



Krystyna Kuhn

ZIMOWY MORDERCA

Przełożyła Małgorzata Słabicka

Tytuł oryginału *Wintermörder*

Romanowi i Iwonie

Zofia

Środa,

31 grudnia 1941 roku,

Kraków

Gawrony pojawiły się, gdy na ulicy zastrzelono mojego ojca. Od tamtego czasu siedzą dzień w dzień na dachach, parapetach, nagich drzewach. Tak jakby wszyscy, którzy zniknęli, przemienili się w gawrony i powrócili do miasta pod ich postacią.

Po żywności, mydle i kremach teraz do piątej mamy oddać w Sukiennicach także futra, ciepłe buty, rękawiczki i czapki. Moja matka jest z tego powodu tak rozgoryczona, że pozostaje w łóżku i mówi, że nie ruszy się z niego, dopóki to wszystko się nie skończy. Dlatego ja tam muszę pójść. Na Grodzkiej stadko gawronów szuka w śmieciach pożywienia. Kiedy je mijam, siedzą w tym brudnym bajzlu i nie zważając na nic, czyszczą swe czarne pióra, połyskujące jak noc, która w zimie zapada wczesnym popołudniem.

Wróciwszy do domu, dowiaduję się od mamy, że nazajutrz zabierane będą maszyny do pisania i gramofony. Zakupuję więc maszynę pod węglem w piwnicy. Leszek chce mi pomóc, ale gdy nie przestaje kaszleć, odsyłam go na górę. Wieczorem ma gorączkę i chce, żebym znów poczytała mu bajkę o siedmiu krukach.

Kiedy idę spać, jest już późno. Krótco po tym, gdy zasypiam, budzi mnie jakiś warkot. Zamieszanie na ulicy. Wyskakuję z łóżka i przez story obserwuję długą kolumnę ciężarówek, na których siedzą żołnierze w hełmach i w pełnym rynsztunku. Są całkowicie obsypani śniegiem i wyglądają jak upiory.

Mam trzynaście lat. Jest wojna.

Siedem dni

Gdy w ten sobotni styczniowy wieczór spiker w programie informacyjnym mówił o „mrozie syberyjskim”, Henrieta Winkler wyłączyła telewizor i drżącą ręką sięgnęła po bordeaux, które od czterdziestu lat sprowadzała bezpośrednio z Francji.

Znowu nadchodził. Ten niepokój, który dopadał ją co wieczór. Zawsze to wrażenie, że o czymś zapomniała. I strach, który jej nie opuszczał. Noc w noc ten okropny sen: biegnie długim tunelem i napotyka ludzi, którzy już dawno poumierali.

Aby odpędzić te myśli, energicznie otworzyła klapę fortepianu, oparła obok laskę i usiadła. Chopin, polonez fis-moll, opus 44.

Zaraz po pierwszym akordzie palce zsunęły się jednak z klawiatury, dłonie za bardzo dygotały. Powinna się pogodzić z tym, że już nie może grać na fortepianie, i nie próbować tego co wieczór. Tak samo jak musiała oswoić się z myślą, że już nie jest w stanie pracować. Od miesiący nie wychodziła z domu, tak niepewnie trzymała się na nogach, że obawiała się upadku.

I tak samo jak złościła ją narastająca bezradność, irytowała ją także cisza, która panowała w domu.

Podniosła się z taboretu przy fortepianie, żeby podejść do regału. Jej dłoń mimowolnie sięgnęła po ballady Chopina w wykonaniu Artura Rubinsteina z 1960 roku. Zawsze słuchała ich wieczorem po powrocie z biura. Lubiła te klarowne, wyraziste melodie, ich doskonały pointowany rytm. Potem jednak zmieniła zdanie. Teraz potrzebowała głosów, które wypełniłyby przestrzeń, przemówiły do niej, aby mogła zapomnieć.

Denise podarowała jej na gwiazdkę odtwarzacz płyt kompaktowych. Chociaż brzmienie muzyki było z niego czystsze, wzbraniała się go używać. Potrzebowała Callas. Callas starzała się wraz z nią. Żaden młody energiczny głos albo zniewalająca urodą jakaś Anna Netrebko nie były w stanie zastąpić Callas. Potrzebowała szumu winylowej płyty.

Ostatecznie zdecydowała się na *Tannhäusera*. Ze względu na skrzypce i oczywiście pieśń o gwieździe wieczornej, która pasowała do styczniowej nocy. Wagnerowi zawsze udawało się okiełznać jej lęki. Ostrożnie wyjęła płytę z okładki. Nastawienie jej drżącą ręką było sztuką. Igła zsuwała się. Trzeba się skoncentrować. Lewa dłoń przytrzymywała prawą, aż wreszcie igła zetknęła się z płytą.

Szum.

Uwertura.

Kwadrans po dziewiątej.

Sięgnęła po laskę, podeszła do skórzanego fotela i usiadła. Drewno w kominku już tylko się żarzyło. Gdy dorzuciła małe polano, buchnął w górę niewielki płomyk, ale drewno się nie zajęło. Niecierpliwie szturchała je pogrzebaczem, aż wreszcie pojawił się płomień. Przez chwilę mu się przyglądała, a potem nerwowo wstała, żeby sprawdzić, czy drzwi na taras są na pewno zamknięte.

Przez szybę Henrieta zobaczyła księżyc w pełni, zwycięsko triumfujący pośród rozgwieżdżonej nocy. Jeszcze przed kilkoma dniami mgła i deszcz przywodziły na myśl raczej listopad. Teraz, z opóźnieniem, nastał mróz. Zewnętrzny termometr pokazywał już dwanaście stopni poniżej zera. Z założonymi rękoma wpatrywała się w ciemny ogród. Jeżeli prognozy się sprawdzą, temperatura spadnie jeszcze niżej. Do minus osiemnastu.

Cieszyła się, że Denise wyszła za Olivera, bez którego firma byłaby stracona. I dobrze, że przyjął on nazwisko Winkler. Przynajmniej w rodzinie znalazł się jeszcze ktoś, kto ma odwagę i dalekosiężne wizje. To Oliver wprowadzi firmę w XXI wiek. Dla swojego syna, a jej prawnuka – Frederika.

Coś wyrwało Henriętę z zamyślenia.

Jak długo tu stała?

Czy już wcześniej czuła, że coś jest inaczej? Zanim usłyszała ten odgłos? Czy to w ogóle był jakiś dźwięk? Czy coś innego? Czy z zamyślenia wyrwało ją coś innego niż kroki na żwirze?

Nie, przy takim mrozie po ogrodzie nie plątały się żadne zwierzęta.

Henrieta odwróciła się, podeszła do fortepianu, wzięła okulary i wróciła do drzwi prowadzących na taras.

Światło księżycy było białe. Jakby zamarzło. Początkowo nie zdołała niczego dostrzec. Wyciągnęła rękę ku rolecie. Zanim jednak ją opuściła, znów coś zauważyła.

Jakiś ruch.

Na tyłach ogrodu, przy altanie. Ktoś tam stał. Widać było tylko cień.

Nie, nie myliła się. Ktoś stał przed altaną i spoglądał w jej stronę. W jednej chwili zeszywniała ze strachu. Paznokcie wbiły się w jej zwiotczałą skórę dłoni.

Strach!

Nigdy go nie znosiła. Nie dopuści, by ją dziś dopadł. Wszystko zaczęło się od pożaru. Rozniecił coś, co uznawała za zapomniane. Nietrudno było zgadnąć, kto tam stał. Nie była głupia. To ten mężczyzna, który w ostatnich miesiącach pisywał listy. „Co za tupet”, myślała. „Co za bezczelność”. A potem je paliła.

Czy powinna wezwać policję? W moim ogrodzie jest człowiek, który mnie nagabuje?

Dlaczego nie miała tu pistoletu?

To oczywiste: bo czuła się nietykalna.

Henrieta odwróciła się i pogłośniła muzykę.

Tannhäuser śpiewał dla Wenus.

...słowika, przepowiadającego wiosną,

już nie słyszę.

*Czy nigdy już tego nie usłyszę, więcej nie uświadczę?**

* [*Libretto *Tannhäusera* Ryszarda Wagnera w przekładzie Małgorzaty Twarogal (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).]

Dlaczego wybrała akurat tę operę?

Za dużo romantyzmu, za dużo miłości, za dużo ohydnej namiętności.

Znowu wstała i podeszła do drzwi tarasu. Cień wciąż czekał i gapił się w jej stronę.

Bezczelność!

Światło! Powinna zgasić światło!

Ale zamiast tego wzięła głęboki oddech.

Otwierając drzwi, poczuła na twarzy uderzenie lodowatego powietrza. Raz na zawsze położyła kres tej sprawie.

Mężczyzna położył na fortepianie starą skórzaną torbę. Znoszoną, pobrudzoną, z prującymi się szwami.

Wypakował wszystko, prawie się nie odzywał, tylko od czasu do czasu mówił „to” lub „tutaj”.

Kiedyś te fotografie były tylko okazijnymi ujęciami i nie miały znaczenia. Większość z nich uszła z jej pamięci, od lat już o nich nie myślała.

To wszystko było tak dawno.

– Młody człowieku – odezwała się, nie mając na myśli jego wieku, a naiwność. – Nie dam panu tego, czego pan ode mnie chce. Bez sensu jest to nieustanne pisanie do mnie listów, przysyłanie zdjęć czy któregośkolwiek z tych okropnych dokumentów, które, Bóg wie, skąd pan wziął. Niech pan wraca do domu i zapomni o tej sprawie. Niczego pan przez to nie wskóra. Jeśli potrzebuje pan pieniędzy, niech pan popracuje. Tutaj tylko praca może pomóc.

Siedziała przed nim w szarym jedwabnym kostiumie, starając się emanować taką samą godnością jak zza biurka.

Nie ustąpi. Ani trochę! Czubek laski ostro uderzył w parkiet.

– Niech pan zostawi mnie w spokoju!

Wyjął zdjęcie ładnej wesoło uśmiechniętej dziewczyny w marynarskiej sukience, opartej o drzwi jakiegoś domu.

– Kto to ma być? – Zmuszała się do spokoju, ale dreszcze były nie do opanowania.

– Zimno – stwierdził mężczyzna. – Jest pani zimno, a to dopiero początek. Będzie pani marzyła przez resztę swego marnego życia.

Wciąż starając się kontrolować postawę, podniosła się.

– Koniec tej rozmowy. Niech pan idzie. Jeżeli jeszcze raz zobaczę pana na mojej posesji, zawiadomię policję.

Nadal siedział.

– Niech pan idzie albo natychmiast wzywam policję.

Znowu żadnej reakcji.

– Nie znam tej dziewczyny. – Wzruszyła pogardliwie ramionami.

Zanim się zorientowała, co chce zrobić, zamachnął się i uderzył ją w twarz. Cios był silny. Poczula, jak pęka kość szczęki, i nie zdołała utrzymać się na nogach. Głowa z impetem uderzyła w marmurowy blat stołu.

Gdzieś w oddali słyszała śpiew Tannhäusera.

Drewno w kominku zajęło się ogniem. Zimno ustępowało i nagle poczuła się lekka.

Powinna być mu wdzięczna, oszczędził jej długiej agonii.

On jednak nie ustępował.

Ciągnął ją za stopy. Głowa sunęła po podłodze. Krew zalewała twarz, oczy. Wyciekała z ust. Biodro uderzyło o nogę fortepianu, a spódnica zaczęła się rozdzierać. Mężczyzna pociągnął mocniej, aż materiał ustąpił, rozdzierając się.

Puścił ją przed drzwiami tarasu.

Nogi gruchnęły o kamienną posadzkę. Trzask pękających kości. Nieznośny ból. Odsunął drzwi na taras. Znowu złapał ją za nogi. Jednym szarpnięciem przeciągnął przez próg na nocny mróz i znów wypuścił. Ponowny gruchot kości. Odgłos przypominający trzask polan w ogniu.

Zostawił ją tak, z twarzą przyciśniętą do lodowatych kamieni. Nabrała powietrza, ale naraz mróz zaparł jej dech. Jedna dłoń powędrowała ku płucom. Kurczowo ją zaciskała, aż dopadł ją odkrztuszający kaszel. Jednocześnie czuła w gardle spływającą krew. Zrobiło jej się okropnie zimno. Zaczęła dygotać. Zęby szczękały w takt uderzeń serca, w rytmie dłoni, które nie znajdowały spokoju.

Znowu był nad nią. Dlaczego odginał jej palce u rąk? Wściekła zacisnęła dłoń. Palce wpiły się w materiał spódnicy. Gdy tak leżała, czas zmienił się w czarną płachtę, za którą tańczyły cienie. Wyraźnie wyczuwała w powietrzu kpinę i peszyło ją, że jest obserwowana.

Zaschło jej w ustach. Język nieustannie przesuwiał się po wargach, by je zwilżyć.

– Pić – jęknęła.

Żadnej odpowiedzi.

Podciągnęła spódnice, by się uwolnić i ochłonać, tymczasem mróz niezauważalnie pożerał jej życie. Henrieta Winkler grała na fortepianie. Poloneza fis-moll, opus 44. Jej palec dotknął klawisza fis. Ktoś jednak był szybszy i ją uprzedził. Rozgniewana spojrzała w bok. To Denise, której dłonie uniosły się po końcowym taktie. Powietrze tchnęło melancholią.

Potem miała już tylko siłę, żeby trzymać oczy otwarte i wpatrywać się w jasny księżyc.

Nie, na końcu tunelu nie było światła. Raczej dziura.

Jasna dziura na ciemnym niebie.

Nie dojrzała tam ani spokoju, ani piękna.

Ale teraz było już za późno na modlitwę.

Zofia

Czwartek,

1 stycznia 1942 roku,

Kraków

Gdy wstaję, okazuje się, że woda w rurach zamarza. Matka wysyła mnie po wodę naprzeciwno, do domu, który stoi pusty. Ona tymczasem siedzi w łóżku, pali i mówi:

– Teraz jeszcze pogoda daje nam w skórę.

Kiedy się w tym zimnie ubieram, mama ochryłym głosem narzeka na żołnierzy, całą noc hałasujących po pijanemu na ulicach. Ich śmiech docierał przez zamknięte okna również do mojej sypialni, a o północy wyrwały mnie ze snu strzały, którymi witali Nowy Rok.

To okropność musieć wyjść na dwór w taki mróz. Cała kamienica jeszcze śpi, nawet pani Lipska na parterze, której uwagi zwykle nic nie uchodzi. Mam na sobie jedyny płaszcz, który nam jeszcze został. Palce u nóg sprawiają wrażenie zmarzniętych na kość.

W piwnicy jest ciemno. Światło wpada tam jedynie przez wąskie okratowane okno. Ziemią pokrywa śliska warstwa lodu. Napęlam wiadra wodą ze studni, spieszą się, ostrożnie wchodzą po schodach. Wiadra są ciężkie. Woda się trochę rozlewa. Co chwilą muszą się zatrzymywać, żeby odpocząć. Śnieg, który spadł w ciągu ostatnich dni, zamarł i teraz skrzypi pod butami.

Jeszcze nie widzę samochodu, ale już go słyszę.

Silnik wydaje z siebie głośny warkot.

Stoję na środku ulicy, sięgam po wiadra, chcę iść dalej i wtedy słyszę, że auto się zatrzymuje.

Natychmiast pojawia się strach, który zawsze się czai. Podobnie jak głód i uczucie zimna.

Przyspieszam kroku. Obydwa wiadra z każdą minutą stają się coraz cięższe, jakby woda zamarzała w nich kropla po kropli.

Dlaczego się odwracam?

Spoglądam w reflektory samochodu, patrzę mu w oczy.

Nie odwracaj się! Nie rzucaj się w oczy!

Idź dalej!

Wreszcie docieram do chodnika przed naszym domem. Teraz muszę wyjąć klucz z kieszeni płaszcza. Rękawice są grube i nieforemne.

Trzask drzwi samochodowych.

Ustami ściągam rękawiczkę, nie czuję nic poza paniką. Pęk kluczy jest wilgotny. Upada na ziemię. Po prostu wyślizguje mi się z palców. Schyliam się, by go podnieść.

Trzeszczy skóra butów z cholewami.

Szczeka pies.

Jest tuż za mną.

Nie odwracaj się! Jeszcze chwila, a otworzysz drzwi i będziesz bezpieczna.

Wtedy kątem oka widzę mundur.

Niemiec jest niski i gruby. Siwiejący szatyn z przedziałkiem pośrodku głowy. Włosy poły-

skuja pomada. Poza tym smierdzi mu z ust. Alkoholem. Nie ma plaszca. Moze zolnierze nie marzna.

Brzydki jest. To dobrze. Brzydkich ludzi latwiej nienawidzic.

Swieci mi latarka w oczy i ryczy:

– Nazwisko?

– Zofia Lisowska.

Spoglada na nasza kamienice, na kartke, ktora trzyma w reku, potem na mnie. Wodzi palcem po tekscie, jakby nie umial czytac.

– Gdyby mogli, nie byliby tacy – mawia zawsze moja mama. I powiada, ze ksiazki sa jedyna rzecza, w ktora teraz mozna jeszcze wierzyc.

– Fuchs, Heinrich Fuchs. Czy to twój ojciec?

Nie, mój ojciec nazywa się Henryk. Henryk Lisowski.

Mimo to kiwam glowa.

– To ona! – woła do drugiego, który stoi oparty o samochód i pali papierosa. Z trudem udaje mu się utrzymać psa, który głośno ujadając, szarpie się na smyczy. Potem zejde jeszcze raz na dol, zeby zabrac ten niedopalek dla mamy. Zolnierz podchodzi do mnie. Snieg skrzypi mu pod butami.

– No, maleńka – mówi, sciagajac mi czapke z glowy. Palcem podciaga mi brode do gory i szeroko sie usmiecha. Niemal po przyjacielsku. – To masz pecha.

Natychmiast rozumiem. Ten wyraz istnieje tez w polskim. Najpierw przejelismy z niemieckiego slowo, a potem samego pecha.

Spuszcza psa, który na mnie warczy. Nie ruszam się. Morda najpierw obwachuje moje stopy, cieknie z niej slina. Wpycha się coraz dalej pod plaszcz. Przesuwa się pod kolaniem, wciska pod koszule nocna, wyzej pomiedzy nogi, az zaczynam się chwiac. Woda z wiader wylewa mi się na nogi. Wilgoć błyskawicznie zamarza na moim ciele. Ogarnia mnie lodowaty chlod.

– Czego oni od niej chca? – pyta gruby. – Przecież ona juz teraz robi w majtki.

– Nie obchodzi mnie to – odpowiada drugi, rzuca niedopalek na ziemie i butem gasi go w sniegu.

Samochod rusza, gdy przed naszym domem zatrzymuje się pierwszy tego ranka tramwaj.

Sześć dni

Tego poniedziałku prokurator Miriam Singer znów opuszczała salę rozpraw z poczuciem odniesionego sukcesu. I nie tylko. Była nie do ruszenia.

Z tego wzniesłego nastroju wyrwał ją dzwonek komórki. Połączenie miało kiepską jakość. Bezsensownie próbowała to zmienić, mocniej przyciskając telefon do ucha. Wtedy zorientowała się, że nie jest tu winna ani sieć, ani przestarzały aparat, tylko heski dialekt komisarza Henriego Lieblera. Człowiek ów miał skłonność do niechlujstwa, nie tylko pod względem ubioru. Mimo to Miriam wolała współpracować z nim niż z jego kolegą Ronem Fischerem. Ten bowiem, odkąd pół roku temu przyszedł na świat jego bliźnięta, miewał tendencję to szybkiego tracenia cierpliwości.

– Liebler! – krzyknął ponownie komisarz.

– Tak, tak, tyle zrozumiałam. Gdzie pan jest? Myślałam, że na urlopie?

– Jasne, pani prokurator – roześmiał się głośno. – Stoję sobie tutaj w kąpielówkach obok trupa na wyspach Bahama.

Zirytowana przewróciła oczami i w duchu westchnęła. Nie miała pojęcia, dlaczego Liebler akurat ją racyzył swoją ironią, skoro powszechnie uchodziła za osobę bez poczucia humoru.

– Co się stało?

– Zawsze chce pani oglądać miejsce zbrodni tymi swoimi lodowato niebieskimi oczami albo... – ostatnie słowa zawieruszyły się gdzieś w dziurawej sieci D2 Vodafon.

Oczywiście prościej byłoby poczekać na raport Lieblera. Niektóre wyroki wyglądałyby jednak inaczej, gdyby sędziowie, adwokaci i prokuratorzy umieli spojrzeć w oczy ofiar, obejrzawszy uprzednio miejsca zbrodni. Zdjęcia policyjne były tylko marną kopią rzeczywistości. Denatów powinno się zobaczyć osobiście. Jej profesor od prawa karnego nazywał to ironicznie kontaktem z klientem.

Głos Lieblera powrócił. Z trudem była w stanie zrozumieć, co mówi:

– Powinna pani przyjechać tu jak najszybciej, zanim schowają zwłoki do worka.

– Gdzie pan jest?

– Aleja Kennedy’ego dwadzieścia trzy. Dom Winklerów, przedsiębiorców budowlanych.

Zamilkła na chwilę. Henri Liebler czekał na nią w domu, który Miriam Singer знаła. Poczula lekki przypływ paniki.

– Jest tam pani jeszcze? – krzyknął komisarz.

– Tak.

Nerwowo zerknęła na zegarek.

– Muszę jeszcze pogadać z prasą. Niech doktor Veit na mnie poczeka.

– Trupowi się nie spieszy – Liebler ponownie ryknął w słuchawkę – ale Veitowi tak! Mówi, że dupa mu z zimna odmarza, a będzie mu jeszcze potrzebna. Zastanawiam się tylko do czego. Przecież on i tak nawet pięciu minut nie usiedzi na krześle.

Miriam skrzywiła się. Dowcip Lieblera nie zawsze był na jej poziomie.

– Niech wytrzyma kilka minut. Na pewno przyjadę.

– No to... – usłyszała jeszcze, zanim głos komisarza definitywnie przeszedł w szum niedorównujący nawet jego dialektowi.

Miriam Singer była prokuratorem z powołania. Prawo i ją łączyło powinowactwo dusz. Dla

większości ludzi język jurystów był równie beznamiętny co łacińska klasyfikacja ssaków. Miriam jednak kochała tę mowę, te wszystkie prawne kruczki. Prowokacyjnie głosiła zawsze, że takie słowa jak „zabicie” w języku prawniczym mają więcej znaczeń, niż zdołałby nadać im Goethe. Przy takim podejściu łatwo było zrozumieć, dlaczego uchodziła za wcielenie hybris* [*Hybris (gr.) – nieposkromiona pycha, zuchwałość, arogancja.]. Za plecami nazywano ją także „żelazną damą”.

Z drugiej jednak strony przydomek był oznaką sukcesu. Tego, że jest się osobą zauważaną. Respektowaną.

No dobrze, nie kochali jej. Ani koledzy po fachu, ani adwokaci po przeciwnej stronie barykady, a już na pewno nie kochała jej policja, nie mówiąc nawet o oskarżonych. Jej własny szef, Hillmer, wręcz jej nienawidził. Jedynie sędziowie cenili Miriam, bo jej przemówienia cechowała zawsze nie tylko pasja, lecz także zasadność, co przy orzekaniu wyroku pozwalało zaoszczędzić sporo pracy. Naprawdę sporo. Tak jak dzisiaj.

Miriam wygładziła togę, część garderoby, która doprawdy się opłacała. Podobnie jak ekstrawaganckie, lakierowane na zielono kozaki wystające spod tej togi. Sędzia Salm przyglądał im się nieufnie. obrońca obydwu oskarżonych najchętniej użyłby tych butów przeciwko niej. Tylko gdzie w kodeksie karnym zapisano, że pod togą nie wolno nosić zielonych kozaków?

Miriam poprawiła okulary ze zwykłego szkła. Nosiła je na rozprawach, żeby sprawiać wrażenie skoncentrowanej. Wypracowała technikę zakładania i zdejmowania ich w chwili, gdy dochodziła do punktu kulminacyjnego mowy oskarżycielskiej.

Niewiarygodne. Najwyższy wymiar kary!

Jej argumentacja zawsze była trafna i ostra jak brzytwa. Wspierała racje kodeksu karnego.

Miriam powoli schodziła do hallu, gdzie frankfurckie media zwały swe zwyczajowe szyki. Jak zwykle Udo Jost z prywatnej stacji NDNS – Neuer Deutscher Nachrichtensender – zachowywał się jak dowódca kolegów po fachu. Sądząc po sposobie, w jaki teraz ocierał pot z czoła, był chyba pod straszną presją.

– Czy jest pani zadowolona z wyroku? – krzyknął.

Boże, przystawił jej mikrofon do twarzy tak blisko, jakby chciał wepchnąć go do jej ust. Odsunęła Josta ręką, usiłując go wyminąć. Z ust śmierdziało mu na wpół przetrawionym alkoholem.

– Sędzia przychylił się do mojego wniosku.

Biegł za nią.

– Uchodzi pani za twardzielkę wśród niemieckich prokuratorów.

– To dla mnie zaszczyt.

– Czy wsadzenie za kratki dożywotnio dwóch nastolatków to dla pani zaszczyt?

Przystanąła i poprawiła okulary.

– Obydwaj sprawcy w chwili popełnienia zbrodni mieli ukończone osiemnaście lat. Jeden z nich jest ojcem dwuletniej córki. W wieku osiemnastu lat powinno się ponosić pełną odpowiedzialność za swoje czyny. Sędzia Salm był ze mną w tej kwestii zgodny. I jak pan wie, nie tylko w tej.

– Czy ta twardość jest pani potrzebna? Jako kobiecie?

– Bez komentarza.

– Czy nie wykorzystuje pani oskarżonych dla kariery?

– Bez komentarza.

Jost usiłował ją sprowokować. Czy on nie rozumiał, z jakimi typami miewała do czynienia w sali rozpraw? Nie tylko śledzili ją spojrzeniami. Gdy nikt nie patrzył, pokazywali cichaczem środkowy palec albo szybko ruszali językiem między wargami. To jeszcze nic. Wciąż przekłu-

wano jej opony. Dzwoniono do niej, mimo że zmieniała utajnione numery telefonów częściej, niż te kreatury zmieniały bieliznę. Nie, nie bała się. Częścią prawdziwego powołania była gotowość skakania w ogień.

– Czy istnieje jakiś limit skutecznego odstrzału? Premia za każdą skazaną głowę?

Głos Josta brzmiał jak u reportera CNN. Wrzeszczał tak, jakby musiał przekrzykiwać czołgi. Mdlilo ją na jego widok. Chociażby przez tę łysinę. Dwie wygolone makówki w sali sądowej już jej na dziś wystarczyły.

– Przecież pani dostaje premie! To one napędzają ten pani myśliwski instynkt.

Ponownie spróbowała go wyminąć, ale dziennikarz nie odpuszczał.

– I nie sądzi pani, że ten surowy wyrok tylko zaogni sprawę i będzie wodą na młyn neonazistów?

– Już za sam fakt, że obydwaj wznosili w kolejce miejskiej okrzyki „Sieg Heil!”* [*Sieg Heil!” – Niech żyje zwycięstwo!; w III Rzeszy faszystowskie hasło propagandowe i pozdrowienie nazistowskie.], można wymierzyć karę pozbawienia wolności do lat trzech. Paragraf osiemdziesiąt sześć a, jeśli chce pan sprawdzić. – Powoli traciła cierpliwość.

– Ci młodzi ludzie byli pijani. Wszystko wydarzyło się po meczu Eintrachtu z Schalke. I wygrał Frankfurt. Czyż nie daje to podstawy do zaistnienia okoliczności łagodzących?

Kilku dziennikarzy rzeczywiście się roześmiało.

Zacisnęła zęby z wściekłości. Niedługo będzie musiała nosić nie tylko lipne okulary, ale też sztuczną szczękę. Bo zje własne zęby.

– Przecież był pan na rozprawie! – podniosła głos. – Słyszał pan, jak ta historia się skończyła! Arman Bazmann wstał, by poprosić tych trzech o zaprzestanie faszystowskich ryków! A oni odpowiedzieli na to kopniakami. Wielokrotnie. W krocze. Czy chce pan zobaczyć zdjęcia z obdukcji medyczno-sądowej? Twarz, którą obili pięściami? Chce pan zobaczyć? Niech pan to pokaże w swojej relacji. – Zanim Miriam straciła panowanie nad sobą, wyhamowała, policzyła w duchu do dziesięciu, by się uspokoić. – Potem wyrzucili go z jadącego pociągu, rozumie pan... w tunelu... między stacjami Galluswarte a Hauptwache. Urazy głowy... czy ta wiedza też się panu przyda? O tak, na pewno, bo przecież potrzebny jest panu materiał. Arman Bazmann doznał tak ciężkich urazów głowy, gdy uderzył w mur, że... nie, oszczędzę panu tego. Pan już i tak jest wystarczająco błądy.

Miriam przepchnęła się obok niego. Taki ktoś jak Jost był jej naturalnym wrogiem. Chciał żyć według praw dżungli, ale był pierwszym, który podnosił raban, gdy kolej niemiecka miała opóźnienie.

Przy portalu wejściowym jeszcze raz odwróciła się w jego kierunku.

– Jeżeli nie potrafi pan znieść prawdy, nie powinien pan ubierać się na czarno. Nie służy to pańskiej karnacji.

Kilku dziennikarzy stojących wokół nich roześmiało się.

Droga na aleję Kennedy’ego prowadziła przez sam środek miasta, a na Friedensbrücke – moście Pokoju – najważniejszym ogniwie łączącym city z Sachsenhausen, zrobił się korek. Śnieg na jezdni sprawił, że liczne samochody na letnich oponach wpadały w poślizg. Miriam była już bliska zezłoszczenia się na ignorancję i nieudolność kierowców, gdy sznur samochodów ruszył z miejsca. Do willi dotarta jednak później, niż planowała, i mogła mieć tylko nadzieję, że lekarz medycyny sądowej, Henning Veit, jeszcze nie opuścił miejsca zbrodni.

Otwierając drzwi samochodu, zorientowała się, że wciąż ma na sobie czarną togę. Zdjęła ją i starannie ułożyła na tylnym siedzeniu. Przy wysiadaniu pomyślała, że ekstrawaganckie zielone

kozaki zupełnie nie nadają się na tę pogodę. Potem zauważyła zadrapanie na lakierze czerwonego chryslera. Rysa sięgała od drzwi kierowcy do tylnego bagażnika i była tak szeroka i głęboka, że odsłaniała stalową szarość karoserii.

Cholera, ten samochód miał dopiero trzy miesiące.

To boli. Idioci cholernie boją. Jednak w obliczu tego, co na nią tu czekało, nie miała czasu przejmować się rysą.

Willa z wysokimi białymi oknami i dwuskrzydłowymi drzwiami wejściowymi znajdowała się na posesji liczącej około tysiąca metrów kwadratowych. Budynek cudem przetrwał ostatnią wojnę i pewnie przetrzyma następnych sto lat. Od jej ostatniej wizyty nic się na zewnątrz nie zmieniło. Tylko niegdysiejszy róż elewacji wyblakł, przybierając łososiowy odcień. Już z daleka Miriam widziała przez okno po lewej stronie żyrandol z ręcznie szlifowanymi kryształkami. Pamiętała, że ozdobił salon.

Co tam na nią czekało? Kogo zastanie? Denise? Nie była przygotowana na to spotkanie i nie miała pojęcia, co powie dawnej przyjaciółce ze szkoły. Nie, nie spieszyło się jej, by przekroczyć próg tego domu. I dlatego powoli szła żwirową ścieżką.

Przy drzwiach wejściowych pochylała się młoda kobieta w białym kombinezonie. Ludzie od zabezpieczania śladów pochodzili z zupełnie innej planety niż prawnicy. Pieczołowite gromadzenie materiału i koncentracja na najmniejszych szczegółach wypływały z pierwotnego instynktu, porównywalnego ze stoicyzmem dziecięcia, który stuka w drzewo.

Zatrzymała się i podała rękę młodej policjantce przewyższającej ją o głowę.

– Miriam Singer, prokurator prowadzący sprawę. Macie już coś?

– Katja Weiss.

Miriam spoglądała na młodą, usianą piegami twarz otoczoną awangardową fryzurą ze sztywnych rudych włosów; na twarz, która pozwoliła jej odetchnąć z ulgą, bo emanowała energią i obietnicą zaangażowania się w sprawę.

Katja Weiss krótko się roześmiała.

– Ślady? Mamy ich tyle, że nadgodziny murowane. Naprawdę ciekawa jestem, co kierowało tym typem. Albo sprawca z przekonania, albo po prostu idiota. Nigdy jeszcze nie widziałam miejsca zbrodni, gdzie ktoś tak mało starał się zatrzeć ślady.

Z taką odpowiedzią Miriam się nie liczyła.

Gdy weszła do sieni, serce zabiło jej szybciej. Kiedy była tu ostatni raz? Na osiemnastych urodzinach Denise trzeciego lipca. Sześć tygodni przed tym wydarzyła się ta historia z Mikiem. W tym domu jednak nic się nie zmieniło. Wszystko było takie jak przed dziesięcioma laty. Ta sama posadzka, te same meble, te same obrazy. Nawet ten sam zapach. Babcia Denise kolekcjonowała portrety muzyków. Nad komodą w stylu Ludwika XVI wisiał portret Ryszarda Wagnera w marsowej tonacji wielkoformatowego malarstwa bitewnego.

– Chyba prosto z Bayreuth!* [*Bayreuth – miasto w Bawarii, w którym mieszkał Ryszard Wagner; obecnie miejsce dorocznych festiwali wagnerowskich.] – usłyszała czyjś głos za plecami. Przestraszona odwróciła się. Stał przed nią Henri Liebler z typowym dla siebie szerokim uśmiechem, który niezmiennie ją irytował.

Czyżby komisarz schudł? Akurat on, który za podstawę diety uważał czerwone wino i którego jedynym sportem oprócz wędkowania było oglądanie meczów Eintrachtu na ich własnym stadionie – frankfurckim Waldstadion.

Miriam nie widziała go od wigilijnego przyjęcia w prezydium policji. Tak jak wtedy – nie, nie zapomniała tego – również teraz czuła na sobie to jego dzinsowobłękitne spojrzenie. Spojrzanie, w którym zawsze czaiła się nutka ironii.

Zmienił też fryzurę. Zamiast wiecznie rozczochranej blond czupryny nosił teraz dłuższe

włosy, tak że sprawiał wrażenie młodszego. Miriam musiała w duchu przyznać, że te zmiany wyszły mu na dobre. Co się stało? Czyżby się zakochał? Na myśl o tym poczuła wstrząs, jakby poraził ją prąd, czego nie umiała sobie wytłumaczyć niczym innym niż po prostu zazdrością. Bóg jej świadkiem, życzyła innym ludziom jak najlepiej. Byle tylko nie w miłości. Dlaczego miałyby epatować wielkodusznością? Skoro jej własne związki były skazane na porażkę. Jak ten z Thomasem, który nie przetrwał nawet dwóch lat. Jej celem było dożywocie, bez wyroków z zawieszeniem.

Thomas przez dwadzieścia cztery miesiące deklarował awersję do żeniaczki. A już na pewno do dzieci. Podkreślił to pierwszego wieczoru:

– Tak żeby od początku postawić sprawę jasno. Jeśli usłyszę od ciebie zdanie „chcę mieć z tobą dziecko”, natychmiast z tobą zerwę.

A potem pewnego dnia spakował walizkę, żeby przeprowadzić się do jakiejś pielęgniarki, bo była z nim w ciąży. Zdradzał Miriam od wielu miesięcy, a ona nic nie zauważyła. Cięża! Mój Boże, wdepnęła po uszy w banalny schemat niczym w ogromny krowi placek.

– Hej – usłyszała głos Lieblera. – Znowu nie ma pani zasięgu?

– Co z Fischerem? Jest już tutaj? – zapytała, usiłując powrócić do teraźniejszości.

– Wie pani przecież. Bliźniaki.

„Wszędzie nic tylko dzieci”, pomyślała Miriam. „Mnożą się, gdziekolwiek spojrzeć”.

– Dlaczego nie wziął sobie od razu urlopu wychowawczego?

– Berit jako niezależna artystka nie zarabia tak dużo jak on na państwowym garnuszku. Jeśli w ogóle można powiedzieć, że to dużo. Zafundowanie sobie bliźniaków jest tanie, ale ich utrzymanie... No cóż, tędy proszę!

Liebler odwrócił się i ruszył przodem tym swoim kaczym chodem, który przywodził na myśl pingwina. Tyle że ten pingwin nie miał na sobie fraka, tylko džinsy i pomarańczową bluzę pod skórzaną kurtką.

– Wszystko rozegrało się w pokoju dziennym, czy raczej w salonie, jak określa to gospościa – rzucił przez ramię.

– Ma pan jakąś wstępną ocenę sytuacji?

– Hm, ta sprawa ma jakieś głębsze dno.

– A można trochę jaśniej?

– Jaśniej to będzie, jak rozwiążemy sprawę.

Tak zwany salon, zdominowany przez ciemne regaty sięgające sufitu, miał ponad pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Nie tylko jednak ta przestrzeń sprawiała, że emanował chłodem. Winne były też drzwi tarasowe, które stały otworem. Poza tym ściany były nagie.

– Co się stało z obrazami?

– Pozdejmował je. – Liebler wyciągnął rękę w prawą stronę. – Stoją tutaj przy fortepianie.

U rodziców Miriam sztuka objawiała się wyłącznie w postaci kart z kalendarza oprawionych w tanie ramy. *Modlące się ręce* i *Młody zając* Dürera. To wszystko. Tutaj jednak znajdowała się kolekcja olejnych portretów Chopina i jego rodziny. Przypomniała sobie, jak Denise kiedyś jej te obrazy pokazywała.

W pomieszczeniu panował chaos. Miriam miała tylko nadzieję, że jego sprawcą nie byli ludzie od zabezpieczania śladów. Wszystkie szafki pootwierano, półki z książkami pozrzucono na podłogę, a szuflady powysuwano. O mało co nie potknęła się o rozbitą płytę leżącą na posadzce. Artur Rubinstein, ballady Chopina.

– Co tu się stało? – zapytała Lieblera.

– Tak to wygląda w całym domu, nawet na strychu. Albo ktoś czegoś szukał, albo miał świra. Przypuszczalnie i jedno, i drugie.

– A co takiego chciał znaleźć? Pieniądze?

– Pod belkami wiązania dachowego?

W tym bałaganie Miriam niemalże przeoczyła niską siwowłosą kobietę, która zapadnięta w sobie siedziała na wyświechtanym skórzanym fotelu przed kominkiem. Od razu rozpoznała w niej gospodynię, która pracowała u rodziców Denise i była właściwie członkiem rodziny. Nic jednak w zapuchniętej od płaczu twarzy nie zdradzało, że ta ją rozpoznaje.

– Josefa Hirschbach – przedstawił ją Liebler. – To ona znalazła denatkę, gdy przyszła dziś rano około wpół do jedenastej.

Miriam podała jej rękę.

– Nie mogę w to uwierzyć. Wysłałam wczoraj jak zwykle około ósmej, a dzisiaj...

Pani Hirschbach przycisnęła do oczu zmiętoszoną chusteczkę. Szlochała tak, że musiała wypłakać już chyba wszystkie łzy.

Nic nie mogło ukoić bólu starszej pani. Odezwał się za to głód nikotynowy. Rok miał dopiero dwadzieścia dni. Tyle samo liczyły sobie postanowienia Miriam.

Popatrzyła w stronę tarasu, gdzie kręciła się liczna ekipa od zabezpieczania śladów. Chodząc po ogrodzie w białych kombinezonach, wyglądali jak żywe bałwany.

– To tam?

Liebler skinął głową.

– Tak, zwłoki leżały na zewnątrz przez całą noc. Henning, to znaczy doktor Veit, lekarz medycyny sądowej...

– Wiem, kim jest doktor Veit. Kim jest denatka? – Lepiej się na to przygotować. Czy to Denise?

– Henrieta Winkler, seniorka firmy Winklerbau. Pewnie pani wie, to takie przedsiębiorstwo budowlane we Frankfurcie, które...

Miriam przerwała mu niecierpliwym gestem.

– Znam tę rodzinę. Denise, jej wnuczka, chodziła ze mną do szkoły.

Pierwszą rzeczą, którą Miriam zauważyła, był czarny atlasowy pantofel z obcasem sterczącym ku górze. Nienaturalna pozycja ciała wskazywała, że pod skórą musiało być wiele złamań z przemieszczeniami. Jakby ktoś niedbale opuścił marionetkę, tak że poplątały się sznurki. Mimo to prokurator od razu rozpoznała w tej zniekształconej postaci Henrietę Winkler, babkę Denise. Ogarnęła ją tak silna potrzeba wydania z siebie głośnego jęku, że musiała mocno zacisnąć zęby. Bezwiednie zakryła dłonią usta.

Posiniałą twarz przecinały ciemne zmarszczki. W bruzdach pozamarzała woda i krew. Podobnie jak na szarej spódnicy i białej bluzce, które odstawały od ciała, zastygłszy w dziwacznych kształtach. Pod odsuniętą do pasa spódnicą Miriam zobaczyła koronkową lamówkę pończoch, które kończyły się tuż pod gorsetem. Wyglądało to podniecająco, niemalże obscenicznie. Można było odnieść wrażenie, że drobne, usiane starczymi plamami dłonie zastygły na nocnym mrozie w chwili, gdy staruszka próbowała zsunąć spódnicę z powrotem w dół. Przez cienką bladą skórę, która opinała kości, zdawał się prześwitywać zdeformowany szkielet.

– Czy została zgwałcona? – głośno zapytała Miriam.

Doktor Veit, który z suszarką pochylał się nad zwłokami, raptownie się odwrócił. Nos miał pobielający z zimna, a ręce ukryte w grubych rękawicach. Jak zwykle jego broda, wyhodowana wedle surowych reguł upraw ekologicznych, w zimie była dłuższa niż w lecie.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – zapytał. Veit zwykł ostatnio zwracać się do wszystkich per ty.

– Spódnica została podciągnięta do góry.

Potrząsnął głową i dalej dreptał w kółko z suszarką.

– Prawdopodobnie podsunęła się do góry, gdy staruszka próbowała się poruszyć – oznajmił.

Miriam przełączyła mózg na tryb rzeczowy, przyklęknęła i zaczęła oglądać zwłoki jak jakiś neutralny przedmiot. Nie było powodu, żeby bać się śmierci, a, jak sobie wmawiała, zamrożone ciało miało w sobie coś higienicznego. Przynajmniej nie było zaraźliwe.

– Co pan robi? Czy chce ją pan... rozmrozić?

– Materiał przymarzł do ziemi. Muszę oddzielić go od tych kamiennych płyt. A co do ciała, wiesz przecież, ile to trwa, zanim odtaje głęboko zamrożony kurczak. Przed kilkoma godzinami może jeszcze udałoby się przywrócić ją do życia. W najgorszym razie byłaby w letargu.

Pochylał się, suszarka szumiała, wkrótce zwłoki zmienią się chyba w miękką masę.

– W letargu? – Miriam podniosła się. – Zawsze myślałam, że śmierć pozorna to tylko bujda z dreszczykiem.

Doktor Veit na kilka minut skierował strumień ciepła na białe dłonie, których kostki były opuchnięte i powykrzywiane jak u reumatyków, aż wreszcie wyłączył suszarkę, żeby odpowiedzieć.

– Mój profesor zawsze chętnie opowiadał o pewnej kobiecie na dworcu w Dreźnie. Po próbie samobójczej przez kilka godzin leżała pod gołym niebem. Od razu uznano, że nie żyje. Potem jednak, gdy pracownik zakładu pogrzebowego chciał zamknąć wieko trumny, ona nagle podniosła głowę.

Liebler chyba jednak nie spodziewał się, że Henrieta Winkler zdoła podnieść głowę i puścić do niego oko. Wręcz przeciwnie, jego usta wykrzywił kpiarski uśmieszek.

– Niech mu pani nie wierzy. Henning uwielbia opowiadać takie historyjki.

Mimo to doktor Veit niewzruszenie ciągnął dalej:

– Tamta kobieta przeżyła czternaście godzin bez pracy serca i oddechu.

Znów włączył suszarkę.

– Czyli zamarzła! – krzyknęła Miriam.

Suszarka znów zgasła.

– Chcecie znać szczegóły?

– Nie – odparł Henri.

– Tak – rzuciła Miriam, chociaż już teraz szczękały jej zęby.

– Człowiek – oznajmił Veit – to istota stałocieplna, co oznacza, że stała temperatura ciała jest dla niego warunkiem przeżycia i może się wahać tylko w bardzo niewielkim przedziale. Jeżeli spadnie poniżej trzydziestu pięciu stopni, robi się niebezpiecznie. Początkowo ciało usiłuje jeszcze produkować ciepło przez dygotanie. Cierpi na tym jednak ukrwienie zewnętrznych partii ciała. Od trzydziestu czterech stopni zaczyna się stadium wyczerpania, któremu towarzyszą urojenia. Świadomość ulega coraz większemu zaćmieniu. Nazywamy to psychozą hipotermiczną. Istnieje niestety mało relacji osób, które to przeżyły.

– Rzeczywiście – rzucił ironicznie Liebler – przydałby się większy odsetek ludzi przeżywających morderstwa.

– Ile stopni mrozu było dzisiaj w nocy? – Miriam zwróciła się do Veita.

– Co najmniej dwanaście poniżej zera. Łatwo jednak wytłumaczyć, dlaczego zgon nastąpił tak szybko. – Nachylił się, by podnieść zwłoki na tyle, na ile było to możliwe. – Pod nią wytworzył się lód, którego poza tym nie ma nigdzie indziej na tarasie.

– Co to oznacza? – Miriam nie rozumiała.

– Sprawca oblał tę kobietę wodą. To oczywiście doprowadziło do gwałtownego wyziębienia ciała.

Milczenie, które zapadło, też było zimne. Pomimo szoku Miriam próbowała utrzymać stabilną temperaturę ciała, dygocząc.

– Niezła metoda na mordowanie staruszek – podsumował w końcu Veit.

Jak to Liebler ujął? Ta sprawa ma jakieś głębsze dno. Miriam była skłonna przyznać mu rację. Coś się tu nie zgadzało. Włamywacz, któremu chodzi o pieniądze, nie popełnia takiej zbrodni. Włamywacze bywają zachłanni, ale to tchórze. Chcą jak najszybciej opuścić miejsce przestępstwa. Tutaj ktoś przy kilkunastostopniowym mrozie oblał staruszkę wodą. To miało w sobie coś z sadyzmu i z przyjemności.

Każdy ma taką śmierć, na jaką zasłużył, powiedział do niej kiedyś oskarżony. I zgodnie z tym zeznaniem wlał swojej żonie do oczu gorący wosk, bo zaślepiony miłością nie zauważył, że od lat go zdradzała.

Dlaczego sprawca skazał Henriętę Winkler na zamrożenie?

– Miał najwyraźniej skłonności sadystyczne – stwierdził Liebler niewzruszenie. Czy nic nie było w stanie wytrącić go z równowagi?

– Ktoś, kogo znała? – zastanawiała się Miriam. – Wygląda na to, że sama wpuściła go do domu.

– Sądząc po śladach, trzeba przyjąć takie założenie.

– Musiał jej chyba bardzo nienawidzić. Starej kobiety?

– Miłość – mędrkował Liebler, rzucając jej rozbawione spojrzenie – być może słabnie z biegiem lat, ale nie nienawiść.

Miał skłonność do filozoficznych sentencji. Niestety, Miriam nie przychodziła do głowy żadna ironiczna odpowiedź. Zamiast tego ponownie skoncentrowała się na denatce.

– Czy powiadomiono rodzinę?

– Nie można się z nikim skontaktować. Dzwoniłem do firmy. Jej syn, Carl Winkler, jest w Berlinie, jego zięć w Hongkongu, a jego córka, Denise Winkler, nie odbiera telefonu. Zgłasza się tylko automatyczna sekretarka.

To nie były jakieś tam zwłoki, lecz ktoś, kogo znała, nawet jeżeli tylko pobieżnie. Miriam nie widziała Denise od lat. Od Sary, swojej siostry, wiedziała jednak, że Denise wyszła za mąż i urodziła dziecko. Nie pamiętała już, czy był to syn, czy córka.

Liebler spojrział na zegarek.

– Miałem zamiar wybrać się do Denise Winkler razem z Hanną Roosen, psychologką z wydziału osób zaginionych.

– Nie trzeba. Pojadę z panem.

– To raczej nie są miłe okoliczności do spotkania po latach.

W odpowiedzi Miriam wzruszyła ramionami.

– I nie wchodzi to w zakres pani kompetencji.

– Szczerze mówiąc – odparła Miriam – mam to w nosie. – Ruszyła w stronę salonu. Na tarasie było cholernie zimno.

– Telefon! – krzyknął za nią Liebler.

– Co?

– Komórka!

Zdażyła nacisnąć zielony klawisz tuż przed włączeniem się poczty głosowej.

– Singer, słucham.

Po drugiej stronie tylko dziecięce wrzaski.

– Halo! – powtórzyła zniecierpliwiona Miriam.

– To ja.

Sara, starsza od niej o pięć lat, była żoną Bernharda, szczupłego, mającego wąskie usta męż-

czynny, dyrektora szkoły imienia Leibniza w Höchst. Między 1995 a 2000 rokiem wydała na świat trójkę dzieci. Robina, Raffaella i Verę.

Wrzask po drugiej stronie nasilał się. Pewnie Vera. Wygląd aniołka przy jednoczesnym podejrzeniu o nadpobudliwość.

– Miriam, to ty? Dzwoniłam dziś do tej organizacji. No wiesz, gdzie... Nie, Vera, teraz nie możesz rozmawiać z Miriam.

– I co?

– Chwila, muszę najpierw szybko... Tak, mamusia zaraz przyjdzie.

Rozmowa telefoniczna z matką trójki dzieci była równie bezsensowna co nakłanianie opornego oskarżonego do zeznań.

– Możemy w ciągu trzech dni dostać polską opiekunkę – odezwała się znowu Sara. – Z gwarancją zwrotu pieniędzy, jeżeli się nie sprawdzi.

– Ale bez nielegalnych sztuczek. Gdyby to wyszło na jaw...

– Vera, zostaw ten wazon w spokoju!

Miriam usłyszała w tle dźwięk tłuczonego szkła. Potem podwójny wrzask. Vera ryczała. Sara krzyczała. Trzask odkładanej słuchawki i cisza.

– O Boże. – Schowała telefon.

– Jakies kłopoty? – zapytał Liebler, znów przenikliwie się w nią wpatrując.

– Szukamy opieki dla ojca. Miał przed rokiem udar.

Dlaczego mu to mówiła?

Kiwnął głową.

– Mój ojciec zmarł dwa tygodnie temu. Dopiero co przyjechałem z jego pogrzebu w Austrii.

– Współczuję.

– Nie trzeba. Nie widziałem go ponad dwadzieścia lat. – Krótco się roześmiał. – Odwiedziłem go wtedy opętany pragnieniem dowiedzenia się, skąd pochodzę, żeby wiedzieć, dokąd zmierzają.

Wydobył z kieszeni kurtki niebieskie pudełko gauloisésów, wysunął z niego papierosa i przechyliwszy głowę, zapalił, uważnie obserwując Miriam.

Zaschło jej w gardle. Dokładnie pamiętała, co czuła, gdy paliła. Lekkość. Kosmiczną lekkość. Gdyby tak przynajmniej raz się zaciągnąć. Westchnęła.

– Chce pani jednego? – wyciągnął ku niej paczkę.

– Rzuciłam! – odpowiedziała ochryple.

– Postanowienie noworoczne?

Skinęła głową.

– O cholera – odparł Henri Liebler. – Ale coś pani powiem na pocieszenie. Mój lekarz doradził mi schudnąć. Udało się, ale w zamian palę. I jedno, i drugie jest niezdrowe. Cóż, życie jest niezdrowe.

Henri Liebler jechał ośnieżoną ulicą pewnie i bez cienia nerwowości. Jedynym powodem, dla którego posuwali się do przodu tak wolno, były inne samochody. Niedzielni kierowcy parli pod górę, do warowni Saalburg, by na wierzchołku wzniesienia, jak pchane instynktem lemingi, rzucić się w przepaść.

Znowu zaczął padać śnieg. Wielkie płatki ciężko opadały na przednią szybę. Miriam od tygodni nie wyjeżdżała poza miasto. Biała sceneria wprawiała ją w sentymentalny nastrój. Do tego jeszcze blues. Dłoń Lieblera wystukiwała takt na kierownicy. Poruszał głową w rytm muzyki. Spojrzała na niego z boku. W kącikach jego ust czaił się uśmiech. Zagnieździł się tam chyba na

wieki wieków.

Nie, nie zapomniała, jak na przyjęciu wigilijnym składał jej podszyte alkoholem życzenia wesołych świąt. I jeszcze to przesycone hormonami spojrzenie. Zupełnie, jakby zezował. Czyżby uważał, że jest atrakcyjna? To zabawne, że myśli o miłości nachodziły ją akurat w obecności Lieblera. To na pewno przez nazwisko* [*Liebler – od niem. *Liebe* (miłość).].

Miriam nie mogła zapomnieć widoku powykrecanych nóg Henriety Winkler. Przepelniało ją głębokie współczucie. To okropne, żeby po długim, spełnionym życiu skończyć w taki sposób. Właściwie nie znała zbyt dobrze tej starej kobiety, spotkała ją zaledwie kilka razy. Mimo to czuła smutek. Najwyraźniej teraz umierali ludzie, którzy przez lata stanowili trwałą część jej życia. Zaczął się taniec wokół krzeseł. Nie miała innego wyjścia, niż się po prostu do tego przyzwyczaić.

Im byli bliżej wsi położonej za Bad Homburg, tym większa nerwowość ogarniała Miriam. Denise. Kontakt urwał się po maturze. Nie chodziło tylko o Mike'a. Także o zazdrość połączoną z poczuciem niższości. O trującą mieszankę emocji. Gdy Miriam pracowała dorywczo w fabryce, by zarobić trochę pieniędzy, Denise po maturze wyjechała do Hamburga, a potem do Nowego Jorku. Mieszkanie tuż nad Alster, później na Manhattanie. Tymczasem Miriam podjęła studia prawnicze na Uniwersytecie Goethego we Frankfurcie. Niby dlaczego jej ojciec miałby opłacać mieszkanie w Berlinie czy Monachium, skoro mogła mieszkać za darmo u rodziców?

Musiało upłynąć ponad pięć lat, nim udało jej się w końcu wyrwać z Frankfurtu. A i tak tylko na krótko. Chociaż Kassel to nie Hamburg, Frankfurt to nie Nowy Jork. Niemiecka prowincja. Dlaczego więc dożywotnio związała się jako urzędniczka z tym landem? Tak to już się w życiu układa, gdy człowiek trzyma się reguł.

Liebler tymczasem zaczął nucić. Miał pełny, głęboki głos. Ale muzyka działała jej na nerwy, które były napięte jak struny gitary. Elvis Presley wystawiał na próbę jej cierpliwość, śpiewając *Love Me Tender*.

Jak Denise zareaguje na jej widok?

– Nie ma pan jakiejś innej muzyki? – zapytała z rozdrażnieniem. – Fiola można od tego dostać.

– Jak pani chce informować o morderstwie, skoro nie jest pani w stanie zdzierżyć nawet Elvisa? – odparł Liebler. I znowu ten uśmieszek. Powinien go sobie opatentować.

Kiedy po dwóch godzinach Denise Winkler znalazła się przed swoim domem, była całkowicie wykończona. Pochyliła się, by głębiej zaczerpnąć tchu, opierając przy tym dłonie na udach. Powoli i równomiernie wpompowywała powietrze do płuc, a puls szybko powracał do normy.

Rzut oka na zegarek uświadomił jej, że biegła średnio o dwie minuty wolniej na kilometr. Ale przy tym mrozie i oblodzonym podłożu trudno utrzymać równe tempo. Tyle że było to bardziej wyczerpujące niż w normalnych temperaturach. Wysilek jednak się opłacił. Czuła w ciele przyływ świeżej energii. Nie sposób tego wytłumaczyć, to po prostu trzeba przeżyć.

Przy drzwiach wejściowych zdjęła rękawice, na których od zewnętrznej strony wytworzyła się cieniutka warstewka lodu. Czapka też sprawiała wrażenie zamrożonej. Nie miała ochoty iść po klucz do garażu, zadzwoniła więc do drzwi. Frederik z pewnością był głodny jak wilk. Denise uciszyła wyrzuty sumienia, że na obiad znów będzie tylko gotowa pizza, i postanowiła, że jutro ugotuje mu coś porządnego, żadnych gotowców. Jeśli jednak nie będzie ściśle przestrzegać planu treningowego, może zapomnieć o maratonie nowojorskim.

Ponownie nacisnęła dzwonek.

Nikt nie otwierał.

Na pewno siedział w swoim pokoju. Gdy był sam w domu, nastawiał muzykę tak głośno, że niczego nie słyszał. Szczerze mówiąc, nie wiedziała, czy powodowało to natężenie decybeli, czy raczej jego umiejętność całkowitego pogrążania się w świecie fantazji. Nieraz musiała potrząsnąć go za ramię, by w ogóle zauważył, że była w pokoju. Oczywiście Oliverowi się to nie podobało. Fantazja to iluzje. Takie historyjki robią z człowieka mięczaka i obiecują świat, który nie istnieje.

Gdy również dalsze dzwonięcie nie przyniosło skutku, Denise otworzyła drzwi garażu, gdzie pod starą puszką farby trzymała klucz od domu. Mieszkanie na wsi ma przynajmniej jedną zaletę. Sąsiedzi mają oko na ciebie i twoją posesję.

Otworzywszy drzwi, od razu zauważyła, że nie było torby szkolnej, kurtki i butów Frederika.

– Frederik?

Cisza.

Zdjęła obuwie, wspięła się po schodach do jego pokoju i otworzyła drzwi. Roleta była wciąż opuszczona, jak rano, a łóżko nieposłane. Frederika nie było. Szkoła skończyła się pół godziny temu, a Frederik w zasadzie nigdy się nie spóźniał, wiedział, jak bardzo się o niego martwiła.

Rozległ się dzwonek u drzwi. No nareszcie, to on. Z ulgą zbiegła na dół i energicznie otworzyła drzwi.

– Gdzie ty się włóczysz? Masz przecież zaraz po szkole... – urwała. W progu nie stał jej siedmioletni syn, lecz rosły mężczyzna w towarzystwie wysokiej, szczupłej kobiety, która wydała się jej znajoma.

– Henri Liebler – powiedział mężczyzna i pokazał legitymację.

Serce Denise zamarło. Policja kryminalna. Coś się stało. Musiała się przytrzymać, żeby nie upaść.

– Co się stało? Co z Frederikiem?

– Z jakim Frederikiem? O kim pani mówi? – zapytał mężczyzna.

– To mój syn. Jest jeszcze w szkole. Właśnie wróciłam z joggingu. O tej porze Frederik powinien już być w domu. Gdzie on się podziewa? Spóźnia się już dwadzieścia minut.

Kobieta obok policjanta sprawiała wrażenie zatroskanej. To marszczenie czoła wydało się Denise znajome. Czy to możliwe?

– Miriam? – spytała. – To ty? Miriam Singer?

– Chwilę potrwało, zanim mnie rozpoznałaś.

– Upłynęło sporo czasu.

– Od matury.

– Wejdźcie. – Denise przytrzymała drzwi wejściowe. Miriam wraz ze swoim towarzyszem weszli do przedpokoju. Zakłopotani stali w miejscu kilka minut.

– Chwileczkę – powiedziała Denise. – Tylko szybko się rozejrzę.

Bez butów wybiegła aż na ulicę, ale Frederika nie było widać. Wokół zalegała cisza, niczym niewidzialna płachta, która wszystko tłumi. Denise nie czuła, jak wilgotny śnieg wsiąka w jej skarpetki.

Bez tchu wróciła do sieni, gdzie czekała Miriam z wysokim blondynem.

– Czy często mu się to zdarza? – zapytała Miriam.

– Wiesz przecież, jakie są dzieci. – Denise próbowała się uspokoić. – Dwadzieścia minut. To tylko dwadzieścia minut. Stoją gdzieś pewnie i gadają. – Starła się zachować spokój, ale czuła, że ogarnia ją zdenerwowanie, podobnie jak lekkie mdłości, które uznaje się za urojenie.

– Chodźcie do kuchni, muszę się czegoś napić.

Lodówka miała wielkość szafy na ubrania, ale w znacznej części świeciła pustkami. Denise wyjęła butelkę wody, nalała pełną szklankę i łączywie wypila. Potem jej spojrzenie padło na gości.

– Też chcecie?

Miriam i policjant potrząsnęli przecząco głowami.

Denise z przyzwyczajenia bawiła się włosami, jak zawsze, gdy była zdenerwowana. Potem coś sobie przypomniała. Wyjęła z zamrażalnika pizzę.

– Co łączy panią z Henrietą Winkler? – spytał nagle mężczyzna, którego nazwisko wyleciało jej z pamięci.

– Henrieta? To moja babcia. Czy coś się stało?

Oczywiście, że tak. Najważniejsze jednak, że nie przyszli tu z powodu Frederika.

Miriam wypowiedziała te słowa cicho:

– Ona nie żyje.

– Nie żyje. To niemożliwe, jeszcze wczoraj rozmawiałam przecież z moim ojcem. Wszystko było w porządku.

– Zamarzła.

– Zamarzła?

Przeżona przewróciła butelkę z wodą. Miriam udało się ją w ostatniej chwili złapać i uchronić przed upadkiem na podłogę. Denise sięgnęła po ścierkę, by wytrzeć mokry blat. Stolarz zapewniał, że to odporne drewno, ale już wychodziły na nim pierwsze plamy. Oliver podjął nawet kroki, żeby zaskarżyć rzemieślnika.

Gdzie podziewa się Frederik? Cholera.

– Pani Hirschbach znalazła ją na tarasie – oznajmiła Miriam. – To był napad.

– Napad? – serce Denise zaczęło walić jak młot, przypominając głuche dudnienie w kuźni. W powietrzu posypały się iskry lęku.

Głos Miriam docierał do niej z oddali.

– Sprawca pobił ją w salonie, a potem wyciągnął na dwór, tam oblał wodą i zostawił na mrozie.

Mdłości nie były już urojeniem. Nie mogła ich zignorować. Zwiastowały panikę.

Jej babcia została napadnięta? Dlaczego?

Gdzie jest Frederik? Koniec tej gadaniny. Musi wyjść mu naprzeciw.

– Świetlica szkolna jest już zamknięta od pół godziny. – Nie odrywała wzroku od zegarka na ręku. – Powinien już dawno wrócić. – Raczej bełkotała, niż wypowiadała te słowa.

– Czy wraca ze szkoły sam? – zapytał mężczyzna.

– Do przystanku autobusowego chodzi z kolegą, Danielem. Pozostałe dwieście metrów idzie sam.

– Może jest u tego kolegi w domu? Albo zapomniał klucza. Na pewno dzwonił. – Miriam próbowała ją uspokoić.

– Jasne! – Denise spadł kamień z serca. – Zadzwoń!

Pobiegła do telefonu w sieni. Czerwona lampka automatycznej sekretarki rzeczywiście migiała.

Denise nacisnęła guzik.

Głos dziecka: *Frederik Winkler*. Potem przerwa. *Nie, nie ma mnie w domu. Znowu cisza. Moich rodziców też nie ma. Ale mogą państwo zostawić wiadomość.*

Potem blaszany głos automatu: *Masz trzy nowe wiadomości.*

Poniedziałek, dwudziesty trzeci stycznia, godzina ósma piętnaście. Oliver Winkler sprawiał wrażenie zagonionego. *Tu Oliver. Nie dałem rady wczoraj zadzwonić. Projekt idzie dobrze. Jutro chcemy podpisać wszystkie kontrakty. U Frederika wszystko okej?*

Poniedziałek, dwudziesty trzeci stycznia, godzina ósma trzydzieści. Dzwonią ze szkoły podstawowej. Państwa syn Frederik nie pojawił się dziś na lekcji. Chciałam tylko zapytać, czy nie zachorował.

I wreszcie znowu znudzony głos szkolnej sekretarki, która wypełniała jedynie swój obowiązek, nie przeczuwając, co znaczyła ta wiadomość: *Tu jeszcze raz szkoła. Proszę o oddzwonienie w celu potwierdzenia nieobecności z powodu choroby.*

Denise straciła przytomność tylko na kilka sekund. Niewystarczająco długo, by zapomnieć. Gdy odzyskała świadomość, znów wróciły mdłości. Zaczęła dygotać, zęby jej szczękały. Poczwała ciepło, gdy ktoś okrył jej ramiona wełnianym kocem. To ten policjant... jak on się nazywał?

– Przez chwilę była pani nieprzytomna.

Miał przyjemny głos, uspokajający i troskliwy. Zorientowała się, że jej ręka spoczywa w jego dłoni i że powoli zaczął rozmasowywać jej palce, jeden po drugim.

Dopiero po kilku minutach Denise wydała z siebie dźwięk. Nie słowo, nie krzyk, nie szloch. Jeden jedyny ton, jakby ktoś wpychał jej słowa z powrotem do gardła, by zmusić ją do milczenia. Z trudem oddychała. Kolana znów się pod nią ugięły, a z ust buchnęły wymioty, zupełnie jak w pierwszych tygodniach ciąży.

Potem wyczerpana zamknęła oczy. Bolała ją głowa. Próbowała zrozumieć. Frederik, jej syn, zaginął. Wyszedł jak zawsze rano z domu, ale nie dotarł do szkoły. To niemożliwe. Nie, to nie mogło się dzieć naprawdę.

– Jak pan się nazywa? – wyjąkała z trudem.

– Liebler. Henri Liebler.

Odpowiedź słyszała z oddali. Podobnie jak zdawała się raczej domyślać, niż rzeczywiście widzieć, że uprzętał jej wymiociny z podłogi. Zupełnie jakby szybowała w powietrznej bańce.

Potem szeptem telefonował.

– Pięć godzin, Ron. To dziecko zaginęło pięć godzin temu. Wiesz, co to oznacza. Rusz

wreszcie dupę i przyjedź tu.

Jej ciało przekształciło się teraz w miękką masę poprzenikaną drutami telefonicznymi. Rozlewało się po podłodze na całe pomieszczenie. Nogi zrobiły się naraz dwuwymiarowe. Stały się tylko ledwie widocznymi cieniami. Była bliska rozplynięcia się w niebycie. Potrzebowała wsparcia.

– Oliver – powiedziała głośno. – Muszę do niego zadzwonić.

Ktoś się nad nią pochylił.

– Jak się czujesz?

Miriam. To Miriam. Nie była sama.

– Muszę do niego zadzwonić – powtórzyła.

– Przyniosę ci telefon.

Komórka ciążyła w dłoni Denise. Wyśliznęła się z jej palców i spadła na podłogę. Miriam podniosła aparat.

– Jaki numer?

– Dwójka – odpowiedziała Denise. – Po prostu naciśnij dwójkę.

W końcu trzymała telefon w ręce, mocno przyciskając go do ucha.

– Oliver?

Jego głos był blisko.

– Oliver?

– Co się dzieje? – usłyszała pytanie męża.

– Zaginął. Frederik nie wrócił do domu ze szkoły.

– Gdzie jest?

– Nie wiem.

– Nie musisz zawsze się tak martwić. Wróci. Muszę kończyć – w jego głosie słychać było zniecierpliwienie.

– Nie rozumiesz? Nie wrócił ze szkoły, nawet do niej nie dotarł. Od chwili, kiedy zaginął, minęło już pięć godzin! – krzyknęła.

– Dzwoniłaś do Daniela? – Najwyraźniej się nie przejął.

– Nie. – Teraz jej własny głos brzmiał jak echo.

Miriam włączyła głośnik.

– No to zadzwoń. – Oliver mówił tym rozdrażnionym, niecierpliwym tonem, który w ostatnim czasie był dla niego typowy. – Na pewno nic się nie stało. Nie mogę rozmawiać, jem kolację z Chińczykami.

– Ale jego nie było w szkole. Nie dotarł tam.

Denise rozplakała się. Jak nazywano ten nierówny oddech? Hiperwentylacja?

– On nie wierzy – zwróciła się do Miriam. – On mi nie wierzy. Miriam wyjęła jej aparat z dłoni.

– Tu Miriam Singer, prokurator prowadzący śledztwo. Muszę pana prosić o natychmiastowy powrót do kraju.

– Nie mogę tak po prostu wsiąść do pociągu i...

– Nie słyszał pan? Pański syn zaginął. Czy pana w ogóle to nie interesuje?

– A co pani do tego?

– Wszystko – odparła Miriam. – Mamy podstawy zakładać, że popełniono przestępstwo.

– Przestępstwo? Ale kto miałby...

– Dzisiaj rano znaleziono Henriętę Winkler. Została zabita.

– Henrieta? Henrieta nie żyje? To jest...

– Niech pan natychmiast wraca.

Czy rozmawiali dalej? Denise nie miała pojęcia. Jak zwykle lepiej radziła sobie z bólem, gdy dopuściła go do siebie. Nawet jeśli sprawiał, że gasła, czując, jak staje się niewidzialna i trafia w miejsce, które Mike zawsze nazywał czwartym wymiarem, gdzie zewnętrzny świat wyłącza się jak telewizor.

Energiczny głos przywrócił ją jednak do rzeczywistości.

– Denise.

Otworzyła oczy.

Miriam wyciągała do niej rękę.

– Wstań. Zaprowadzę cię do sypialni. Musisz odpocząć i nabrać sił. Będą ci potrzebne.

Z trudem się podniosła. Koc zsunął się na podłogę. Miriam znów ją nim otuliła, usłyszała wycie syreny.

„Do mnie”, pomyślała, „przyjechali do mnie”.

Ten mężczyzna – jak on się nazywał? – otworzył drzwi wejściowe. Do domu weszli jacyś ludzie, stanęli w przedpokoju.

Gdy wchodziła na pierwszy stopień schodów, usłyszała, że ktoś głośno wymawia jej nazwisko.

– Pani Winkler, czy to prawda, że pani babcia, seniorka firmy Winklerbau, została zamordowana?

Denise usłyszała szcęk migawki. Zobaczyła obiektyw przypominający lufę karabinu.

Czy przetrwa ten koszmar?

Udo Jost był w kiepskim nastroju, gdy znów siedział w swoim biurze w Messeturm, wieżowcu usytuowanym w biznesowym centrum Frankfurtu. Koszula lepiała mu się od potu. Pozwolił, by prokurator Miriam Singer zbeształa go po tym, jak jemu, cholera jasna, nie udało się wytrącić jej z równowagi. Zamiast się wściec, odeszła w tych swoich zielonych lakierowanych kozaczkach, napuszona niczym błada jasnowłosa Nicole Kidman, za której nieprzeniknionym pozerstwem nie kryło się nic poza arogancją gwiazdorskiej karierowiczki.

Jost nie zdziwił się, że Tobler jednym machnięciem odrzucił jego materiał.

Tobler reprezentował producenta, firmę TV-Konkret. Pół roku temu wylansował audycję *Na gorąco*, którą nadawano od poniedziałku do soboty o dwudziestej trzydzieści. Widzowie wiedzieli, że codziennie o ten czas na antenie walczyło pięciu dziennikarzy z unikatowymi relacjami. Dostawali za to premię, która rosła procentowo w zależności od poziomu oglądalności. Ostry biznes. On, Jost, stawał na głowie, a Tobler dopiero na cztery godziny przed rozpoczęciem audycji decydował, czyj materiał tego dnia wygrywa. Program spotkał się ze świetnym przyjęciem. Jego nowa formuła biła rekordy oglądalności. Ale w ciągu ostatnich tygodni Jost wygrał tylko jedną jedyną edycję. Jego dni były policzone. Czuł to. W spojrzeniach kolegów na korytarzu. W rozmowach, niektóre cichły, kiedy wchodził do pomieszczeń. W arogancji sekretarki, gdy chciał się umówić z szefem na spotkanie. Przepalony głos Toblera słyszał już nawet w snach: „Ma pan coś?”. I zanim jeszcze zdołał udzielić odpowiedzi, zapadał wyrok. „Niech pan coś zrobi”.

Jost kłął ołówkiem wierzch dłoni, aż złamał się grafit. Młodszy koledzy, zawsze tylko te młokosy. Ledwie zakończyli staż, a dostawali cenny czas antenowy na materiały, które były tylko efekciarstwem pozbawionym politycznej wagi. Nie mówiąc już o premiach, jakie za to kasowali.

Dzień w dzień wysiadywał w sali rozpraw i śledził proces tych neonazistów, żeby wysłuchać argumentów obrońców i tej Miriam Singer. A przy tym na kilometr widać było, że jej po prostu brakuje chłopca, który by ją śmigał. Powinien zrobić reportaż o niemieckich prokuratorkach. Ile z nich jest mężatkami, ile ma dzieci, ile jest jeszcze dziewicami?

Teraz dłonie drżały mu ze złości.

– Nie powinien pan ubierać się na czarno – powiedziała.

W obecności kolegów i innych ludzi w sądzie. Znali go z telewizji i teraz za każdym razem, widząc go na ekranie, będą się zastanawiać, czy ten anioł zemsty w postaci Miriam Singer miał rację.

Będą go wytykać palcami:

– To jego ostatnio spławiła ta młoda prokuratorka.

Jost zdjął z półki czerwony segregator i sięgnął po opróżnioną do połowy butelkę whisky. Zbyt późno zorientował się, że drzwi sąsiedniego pokoju nie są zamknięte. Otwarte biuro świeciło pustkami. Była tam tylko Ramona Neuberger, której relację o rekordowych opadach śniegu w górach szwajcarskich puszczo w dzisiejszej audycji, podczas gdy jego materiał o procesie neonazistów wylądował w koszu. Ot, priorytety.

Wstał, żeby demonstracyjnie zatrzaskać drzwi, ale Neuberger nie podniosła wzroku. Potem otworzył butelkę. Pierwszy łyk palił gardło. Drugi go uspokoił.

Cztery tygodnie. Cztery tygodnie minęły od chwili, gdy Ramona Neuberger weszła do jego biura, nie pukając, a on akurat wycierał sobie usta. Butelkę miał jeszcze w dłoni. Kobieta patrzyła

na niego z obrzydzeniem. Choć Josta oblały strugi potu, udało mu się powiedzieć:

– To nagroda za strzał w dziesiątkę. Też chcesz łyżka?

Nawet nie odpowiedziała, tylko pochyliła się do przodu, żeby położyć na biurku stertę dokumentów. Piersi wysunęły się jej przy tym tak, że musiał patrzeć wprost na jej biustonosz w panterkę znajdujący się pod brązową koszulką z ogromnym dekoltem przypominającym ramę aktu. Na to wspomnienie Jost pociągnął jeszcze jeden łyk whisky.

Właśnie chciał zakręcić butelkę, gdy zadzwonił telefon. Wyświetlacz pokazywał centralę, która łączyła zewnętrzne rozmowy z wolnymi numerami w redakcji. Jost słyszał, jak dzwonią kolejne aparaty. Wiedział, że to zaprogramowana kolejność, w której on był ostatni. Miał dopiero czterdzieści osiem lat, a już znajdował się na liście do odstrzału.

Podniósł słuchawkę:

– Jost.

Młoda telefonistka, która miała nie więcej niż dziewiętnaście wiosen i pracowała w centrali dopiero od początku roku, sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Choć starała się brzmieć jak profesjonalistka, z jej słów przebijała niepewność. Piskliwy ton jej głosu wzmocnił w uszach Josta dzwonienie, które towarzyszyło mu od kilku tygodni:

– Dzwoni jakiś interesant. Pytałam o nazwisko, ale nie odpowiada. Co mam z nim zrobić?

– Czego chce?

– Mówi, że ma... – zająknęła się. – Chce sprzedać jakąś historię.

– Historia na sprzedaż?

– Tak.

– Niech pani go połączy z ochroną. Wie pani przecież, że zawsze wydzwaniamy do nas jacyś wariaci, którzy zgrywają ważniaków.

– Tam nikogo nie ma.

Jost zawahał się. Jego robota wylądowała na śmietniku. Nie cierpiał na nadmiar materiałów.

– Niech pani go przełączy. Zajmę się tym.

Dzwonienie w prawym uchu nie ustało nawet wtedy, gdy ucichł piskliwy głos telefonistki.

Nie zanikło też, kiedy w słuchawce odezwał się mężczyzna:

– Chce pan kupić historię?

– Z kim rozmawiam?

– Chce pan?

Chrzanić, jak się nazywa ten typ. Ostatecznie wyświetlił się przecież jego numer. Komórka. 0175... Jost odpowiedział, notując jednocześnie numer.

– Zawsze lubię słuchać historii. A jeśli są dobre, to je kupuję.

Ten człowiek nie był pierwszym, który myśli, że ma do sprzedania sensację. Zanim wariaci ją wyjawiają, przeważnie targują się o cenę. Mężczyzna jednak od razu przeszedł do sedna.

– Zna pan rodzinę Winklerów?

– Co?

– Jeżeli nie będzie pan słuchał, to po zawodach. Ma pan minutę.

Dzwoniący nie sprawiał wrażenia pomyłka. Ci byli zawsze gadatliwi. Jost poczuł, jak gwałtownie rośnie mu poziom adrenaliny. Winkler, Winkler... to nazwisko wydawało się znajome.

– Słucham.

– Winklerbau. Frankfurt.

Jost natychmiast zorientował się, o kim mowa. Frankfurcka firma budowlana. Czy w ubiegłym roku nie groziła jej upadłość? Jego mózg pracował na najwyższych obrotach. Tak, pozbyto się wtedy sporo firm zależnych. On nazywał to plajtą, ale prezes mówił coś o konsolidacji i kon-

centracji na kluczowych zadaniach.

– Znam ich.

– Uprowadziłem wnuka.

– Co?

– Uprowadziłem go. Niech pan zadzwoni na policję. W pęku kluczy Henriety Winkler znajduje się klucz.

– Klucz? Jaki klucz?

– Od skrytki bagażowej – w głosie odezwała się nuta zniecierpliwienia.

Serce Josta mocno biło. Dłoń mu drżała, gdy mechanicznie zapisywał słowa. Klucz. Skrytka bagażowa.

– Zrozumiałem.

– Na dworcu coś pan znajdzie. To należy do pana.

– Dworzec? Który dworzec? – Adrenalina szalała mu teraz w całym ciele. Czuł się tak samo, jak podczas tamtej podróży w wieku dwudziestu lat. LSD nie tylko poszerzało jaźń, lecz także katapultowało do podniecającego świata, którego nigdy potem już nie zaznał.

– Jak daleko pan się posuwa? – w słuchawce zabrzmiało pytanie. Jost wyczuwał w tym głosie lekką ironię.

– Jak daleko się posuwam?

– Tak. Kim pan jest? Cykorem czy profesjonalistą? Przekracza pan granice?

Nie mógł sobie pozwolić na sknocenie tej sprawy.

– W razie wątpliwości je przekraczam.

Mężczyzna po drugiej stronie roześmiał się.

– Jak się pan nazywa?

– Jost. Udo Jost.

– Niech pan da mi numer swojej komórki. Od teraz jest pan moim człowiekiem.

Jost nie mógł sobie przypomnieć numeru. Drżącą ręką sięgnął po portfel. Na stół posypały się monety.

– Jeszcze dwadzieścia pięć sekund – powiedział mężczyzna.

Nie wolno mu popełnić żadnego błędu. Musiał się skupić.

– Zero sto siedemdziesiąt trzy... – Jost odczytał na głos numer z wizytówki. – Mam powtórzyć?

– Ma pan jeszcze sześć dni na opowiedzenie tej historii.

Brzdęk. Koniec rozmowy.

Oszołomiony Jost kilka minut trzymał w ręku słuchawkę. Był jak sparalizowany. Gdy w końcu ją odłożył, najpierw sięgnął po butelkę i wlał do gardła whisky. Pierwszy łyk smakował paniką, drugi zrozumieniem.

– To twoja szansa – powiedział głośno do siebie. – Takie coś zdarza się tylko raz w życiu. Tym razem nie możesz tego spieprzyć.

Udo Jost surfował po internecie.

Nie wiedział, ile czasu minęło do chwili, gdy do jego biura wkroczyła Ramona Neuberger i odezwała się swoim rozkazującym tonem:

– Potrzebujemy kogoś, kto zajmie się wypadkami wspinaczkowymi w Alpach.

– Nie mam czasu – odparował Jost. Znowu mógł jej otwarcie popatrzeć w dekolt, nie odczuwając uzależnienia. Wręcz przeciwnie, wreszcie miał nad jej piersiami władzę, ba, prawo do nich. – Sądzę, że będzie lepiej, gdy połączysz mnie z policją – powiedział spokojnie. – Mamy

porwanie.

Wymawiając słowo „porwanie”, uświadomił sobie, że czegoś mu brakuje, coś było nie tak. Nieznajomy zaproponował mu historię, ale dlaczego on nie musiał za nią zapłacić?

Miriam Singer marzła, chociaż grzejnik w jej pokoju chodził na najwyższych obrotach. Nigdy jeszcze tak jak dzisiaj nie uświadomiła sobie, jak szczęśliwie upływało jej życie. Wszystko, co do tej pory odbierała jako dramat, było niczym w porównaniu z tragedią, która spotkała Denise. Oczywiście, bała się, gdy jej matka zachorowała na raka kości, obawiała się, że po udarze umrze również jej ojciec. Spojrzawszy jednak w twarz Denise, Miriam zrozumiała, że nie ma zielonego pojęcia, co oznacza panika: totalną utratę kontroli i zupełną bezbronność wobec własnego ciała.

Ledwie rozpoznała dawną szkolną przyjaciółkę. Gdyby natknęła się na nią w mieście, pewnie by jej nie zauważyła. Denise siedziała chudziuteńka na podłodze, w obrzyganym ubraniu. Miriam też mdliło. Nigdy nie była dobra w trzymaniu kogoś za rękę.

Liebler posprzątał wymiociny. Zawiadomił kolegów, zorganizował grupę poszukiwawczą i zadzwonił do pani Hirschbach, gosposi, żeby zajęła się Denise. Przepędził też media, które dowiedziały się o sprawie tak szybko, jakby złe wiadomości rozchodziły się z prędkością światła. Energicznie wyprosił reporterów z posesji, oni jednak cofnęli się tylko do linii chodnika. Gdy po dwóch godzinach Miriam wychodziła, dziennikarze znów zjawili się jakby spod ziemi. Trzech kamerzystów, rozpoznawszy prokuratorkę, rzuciło się jednocześnie pędem. Zanim Miriam się zorientowała, już zaczęły szumieć kamery i posypały się pytania.

- Co się stało?
- Czy ktoś nie żyje?
- Ile lat ma chłopiec?
- Czy podejrzewa pani jakiś akt przemocy?

Gwałtowna śmierć. Zaginione dziecko. Nie ma się co dziwić, że rozpętała się medialna burza.

A do tego znana rodzina. Właściciele przedsiębiorstwa o jednej z najbogatszych tradycji we Frankfurcie.

Miriam westchnęła. Czowała ogromną potrzebę zapalenia papierosa, potrzebę, która stawała się tym silniejsza, im więcej o tym myślała. Żeby się trochę oderwać, wzięła do ręki akta leżące na wierzchu. Sprawa, która w najbliższy poniedziałek miała znaleźć się na wokandzie. Agim Kadare, Albańczyk mieszkający w Niemczech od piętnastego roku życia, zaczął się nocą na swoją byłą żonę i jej kolejnego męża, by niezliczoną ilością strzałów zabić ich, kiedy siedzieli w samochodzie. Miriam spotkała Kadarego, gdy został doprowadzony przed sędziego, który wydał nakaz aresztowania. Płaczliwy, rozczulający się nad sobą dwudziestoosmiolatek, raz po raz zapewniający, że żałuje popełnionego czynu.

Miriam Singer była jednak pewna.

On niczego nie żałował.

To nie było morderstwo w afekcie, jak twierdził obrońca, tylko dokonany z zimną krwią akt zemsty. Od dawna zaplanowany. Zdecydowanie zamknęła teczkę. To nie miało sensu, nie mogła już dłużej odwlekać rozmowy z prokuratorem naczelnym Hillmerem. Z pewnością będzie miał opory co do powierzenia jej dochodzenia. Bardzo bał się narażać ludziom z wydziału kryminalnego. Ron Fischer, zanim wchłonęło go życie rodzinne z nowo narodzonymi bliźniętami, wielokrotnie się na nią skarżył.

Jeżeli jednak Miriam Singer czegoś się nauczyła, to z pewnością tego, że zawsze trzeba być o jeden krok do przodu, by zostawić za sobą kuśtykający peleton.

– Proszę wejść!

Szef wydziału nie odwrócił się, gdy Miriam weszła do gabinetu. Demonstracyjnie pozostał przy oknie z rękoma splecionymi na plecach i tkwił w tej pozornie zamyślonej pozycji, która traciła siłę wyrazu przez fakt, że kołnierz jego ciemnej marynarki był biały od łupieżu. Garnitur na nim wisiał. Gdy Hillmer się odwrócił, miał zamglony wzrok, jakby dopiero co wypalił skręta.

Sześćdziesięciośmiolatek, który niegdyś chciał wstrząsać posadami świata, ale czas i praca zmieniły go w biurokratę. Zmęczył nadmiar przestępstw, procesów, konfliktów i utrata ostatnich iluzji. Mój Boże, określenie „znużony pełnieniem urzędu” pasowało do niego jak ulał. Jedynie czas zwolni go z posterunku. Tam gdzieś w Niemczech czekało już, niech ich diabli, nowe pokolenie prawników, takich jak ona, Miriam.

Hillmer lekko przygarbiony podszedł do biurka, by usiąść. Wyciągniętą ręką wskazał, żeby zajęła miejsce naprzeciwko.

– Dlaczego nie złożyła pani od razu sprawozdania?

Na wysokości pępka brakowało mu jednego guzika w koszuli, co mimowolnie przykuwało wzrok Miriam.

Wiedział o tym, ona też. Cała ta rozmowa była farsą. Sztucznym windowaniem autorytetu. Trząśł tyłkiem tylko dlatego, że tym razem nie można było zbyć prasy kilkoma napuszonymi formułkami.

– W tym tygodniu mam dyżur telefoniczny, więc sprawa automatycznie trafiła do mnie.

– Sprawa, o której pani mówi, jest w najwyższym stopniu kontrowersyjna. Chodzi o dziecko i o morderstwo. A całość dotyczy znanej i szanowanej frankfurckiej rodziny.

– To, czy mamy tu do czynienia z morderstwem, dowiemy się dopiero w chwili rozstrzygnięcia procesu – podkreśliła Miriam.

Hillmer drgnął.

– Jeżeli ktoś zabija drugiego człowieka – ciągnęła dalej – w świetle prawa nie jest od razu mordercą. Jako prawnik powinien pan to wiedzieć.

Podkopywanie jego autorytetu sprawiało jej niebywałą przyjemność. Wypatroszała go. Kawalek po kawalku. Aż w końcu jej ustępował.

– Wolałbym powierzyć tę sprawę prokuratorowi, który... – Próba przybrania zdecydowanego tonu zakończyła się kompletną klapą. Zaczął się jąkać. – To znaczy... w przypadku którego... zagwarantowana będzie dobra współpraca z policją kryminalną.

Uwieńczeniem tej sceny był dzwonek jej telefonu komórkowego. Miriam wyjęła aparat z kieszeni. Wystarczyło jedno szybkie spojrzenie. Sara.

Hillmer nie znosił przedłużających się spotkań. A Sara potrafiła rozmawiać długo, bardzo długo.

– Mogę? – zwróciła się do szefa. – Może jest coś nowego?

Hillmer skinął głową i stękawszy, podniósł się, by zająć swą pozycję przy oknie, która w sądzie nosiła obiegową nazwę „Hillmerowskie sztywniactwo”.

– Tak? – zapytała Miriam.

– Próbowałam się dodzwonić, ale nie odbiera.

– Kto? – prokuratorka starała się utrzymać służbowy ton.

– Twój ojciec, a któż by inny? – gniewnie odparowała Sara.

– Mamy tutaj straszny młyn.

– A ty myślisz, że co? Że ja tu w raju żyję? Na wyspie wiecznej szczęśliwości? Robin ma umówioną wizytę u dentysty. Ten jego prawy kiel jest taki ostry, że jeżeli się go w końcu nie usunie, przebije mu górną wargę. Pamiętasz? Też tak miałaś. Boże, ale cyrk zrobiłaś u dentysty!

– Mam akurat ważną rozmowę z prokuratorem naczelnym.

Sara jak zwykle nie słuchała.

– I jeszcze Vera. Akurat teraz. Wiesz, co będzie, gdy ją obudzę? I tak przecież zaraz kończysz pracę. Podjedź tam na chwilę i zobacz, czy wszystko w porządku.

Miriam obserwowała Hillmera, który niecierpliwie zaciskał dłonie na plecach. „Chcesz się mnie pozbyć, idioto?”, pomyślała złośliwie. A głośno powiedziała:

– W porządku. Już tam jadę. – Zakończyła rozmowę, nie czekając na odpowiedź Sary, i zwróciła się do Hillmera. – Poszukiwania dziecka trwają. Liebler kazał otoczyć posesję i ustawić blokady w promieniu pięciuset metrów, tak żeby nikt się do niej nie zbliżał. Poza tym zorganizował centrum dowodzenia w miejscowej hali gimnastycznej. Chce przepytac mieszkańców wsi. Musimy też zdecydować, kto zajmie się sprawą Henriety Winkler albo czy obydwa dochodzenia zostaną połączone. Liebler chce wiedzieć, ilu ludzi może dostać. – Płytko nabrała powietrza i zaraz potem kontynuowała: – Aha, prasa wciąż próbuje skontaktować się z Denise Winkler. Telefon dzwoni bez przerwy.

Hillmer odwrócił się. Nawet utalentowany aktor miałby trudności z odegraniem takiej paniki, jaka malowała się na jego twarzy. Przez chwilę Miriam miała wrażenie, że szef zatka rękoma uszy, bo już nie chce słyszeć ani słowa więcej.

– Przydzielam pani tę sprawę. Aczkolwiek niechętnie – powiedział. – Nie mam jednak nikogo innego. Niech się pani trzyma przepisów.

– Znam je na pamięć. – Miriam ledwie była w stanie zdusić triumf w głosie.

Otworzyła drzwi i natychmiast to poczuła. Tę woń unoszącą się w sieni. Mimo że opiekunki z Caritasu codziennie przychodziły myć jej ojca, po kilku godzinach znów śmierdzał moczem. Miriam wyciszyła tę myśl, głęboko zaczerpnęła powietrza i ze sztuczną wesołością zawołała:

– To ja!

Bez odpowiedzi. Gdy otworzyła drzwi salonu, natychmiast zrozumiała dlaczego. Zasnął przed telewizorem. Siedział w starym zielonym fotelu z głową przechyloną na bok i być może – przemknęło jej przez głowę – nie żył. Zmęczenie sprawiło jednak, że ta myśl nie wzbudziła w niej lęku. Wyłączyła telewizor i od razu usłyszała głośny oddech ojca.

„Ta robota mnie wykańcza”, pomyślała. „To ewidentne. Zabija we mnie uczucia. Zamarznięta osiemdziesięcioletnia kobieta. Dziecko zaginione bez śladu. Dlaczego jest mi obojętne, czy mój ojciec nie siedzi tu martwy? Może rzeczywiście jestem zimnym soptem lodu, jak zwykły mawiać Thomas”. Może rzeczywiście jak wszyscy prokuratorzy stała się przez te lata nieczuła, dzień w dzień musząc domagać się kar. Coś takiego odbijało się na psychice i wyrządzało nieodwracalne szkody, prowadzące nawet do autyzmu.

Gdy westchnęła, ojciec otworzył oczy. Natychmiast ją rozpoznał. Jeszcze pół roku temu bywało inaczej.

– Ach, to ty, Miriam – drżącą ręką odgarnął do tyłu siwy kosmyk włosów. W kącikach ust zebrała mu się biała ślina.

– Podnieś to proszę – powiedział i wskazał na podłogę, gdzie leżał pilot od telewizora. Bateria powypadała. Miriam pozbierała wszystko i odłożyła na mały stolik do szycia, przy którym jej matka zawsze spędzała wieczory na robótkach ręcznych.

– Jadłeś coś? – zapytała troskliwie.

Potrząsnął głową.

– Nie wiem, ale to nieważne. Co u ciebie?

Jak zwykle, gdy była mowa o jego zdrowiu, sprowadzał konwersację na inny temat. Robił to w równie wyrafinowany sposób, w jaki niegdyś bronił swoich interesów. Zawsze był ojcem trzymającym dystans. I Miriam wciąż jeszcze miała opory przy wszelkich czynnościach, które wymagały kontaktu fizycznego.

– Zrobię ci kanapkę – powiedziała.

– Też coś zjesz? – Rzucił jej pytające spojrzenie.

Miriam skinęła głową, chociaż nie była głodna. Położy sobie kanapkę na talerzu, raz ugryzie, a potem wyrzuci resztę. Ojciec tego nie zauważy.

W kuchni piętrzyły się brudne naczynia. Miriam włożyła gumowe rękawiczki. Sara miała rację, tak dalej być nie mogło. Nie tylko jeśli chodzi o prowadzenie domu, lecz również dlatego, że samotność wpędzała ojca w depresję. Kiedyś denerwowało ją jego dominujące usposobienie, teraz równie mocno ciążyła jej jego uległość. Miał dopiero siedemdziesiąt pięć lat i prawo do jeszcze paru dobrych lat samodzielnego życia. „Prawo, którego nie da się dochodzić sądownie”, pomyślała Miriam.

Nalała wody do zlewozmywaka, żeby namoczyć naczynia. Z obrzydzeniem wylała zepsute mleko z kartonu i zeskrobała resztki pożywienia z talerzy. Najprostsze czynności bywają najtrudniejsze. Wołałaby wystąpić z aktem oskarżenia przeciwko seryjnemu zabójcy, niż zmieniać pieluchy własnemu ojcu.

Odruchowo zerknęła na zegarek. Miała wrażenie, że jest tu już całą wieczność. A nie minęło nawet pół godziny. Nieporadnie zrobiła dwie kanapki z żółtym serem, pokroiła je w małe czworokąty, żeby ułatwić ojcu jedzenie. Razem z herbatą zaniósła wszystko na tacy do pokoju, usilnie zastanawiając się nad doborem tematu do rozmowy.

Wszystko, co w końcu powiedziała, sprowadziło się do słów:

– Zimno dzisiaj. I pada śnieg.

– Aha – odparł ojciec – pada śnieg.

Powoli wsunął kawałek chleba do ust, by następnie długo go przeżuwać. Powrócił do jedynej rzeczy, która jeszcze była w życiu ważna.

Została u ojca ponad godzinę. Czekala, aż zje. Nie zdobyła się jednak na to, by powiedzieć mu o polskiej opiekunce, która za trzy dni wprowadzi się do jego domu. Stchórzyła. Zwyczajnie stchórzyła.

Kiedy wkładała płaszcz, zapytał z tym swoim smutnym wyrazem twarzy:

– Musisz już iść?

Westchnęła.

– Zostanę jeszcze kilka minut. Do zakończenia wiadomości. – Zdjęła płaszcz, starając się nie patrzeć na zegarek.

Zadowolony oparł głowę o poduszkę. Czasami myślała, że po prostu zmienił strategię, bo w ten sposób mógł lepiej przeforsować swoją wolę. Jakby zrozumiał, że żądaniami i rozkazami nic nie osiągnie, zaczął więc brać ją na litość.

Gdy rozległa się tytułowa melodia wiadomości, ojciec zamknął oczy i momentalnie zasnął. Oddech przeszedł w głośnie chrapanie. Pojawił się spiker. Miriam usiadła w fotelu. Audycję rozpoczęły najnowsze doniesienia na temat liczby zabitych w Iranie i śniegu zalegającego na płaskich dachach w Niemczech.

Spojrzała na zegarek. Mogłaby się teraz wymknąć. Sara przyjdzie o dziewiątej i pomoże mu położyć się do łóżka. Miriam stała już, gdy ponownie popatrzyła na telewizor.

Ten dom wydał się jej znajomy. Podobnie jak szare ramy okien.

Potem kamera przeniosła się na człowieka z mikrofonem w ręku: Jost. Co tam się działo? Cholera jasna, dlaczego Jost stał przed domem Denise Winkler? Zarządzenie brzmiało przecież jednoznacznie: szeroki pierścień blokady. Nie dopuszczać nikogo pod dom. Żadnych kontaktów prasy z rodziną. Dlaczego stał tam teraz ten łysy pasożyt? Ta pijawka żerująca na ranach społeczeństwa, potrzebująca ich, aby przeżyć.

Miriam podbiegła do telewizora, szukając pilota.

– Muszę dać głośniejsze.

Ojciec obudził się przestraszony.

– Gdzie jest pilot? – krzyknęła zniecierpliwiona.

Z trudem podniósł prawą rękę, przytrzymał ją lewą dłonią i wskazał na mały czarny przedmiot.

Do diabła. Baterie nie chciały wejść. Raz po raz się klinowały. Wreszcie zdołała je włożyć i pokój wypełnił się głosem Josta.

– Chłopiec zwykle wraca ze szkoły punktualnie o trzynastej – mówił. – Ma klucz. Dziś jednak jego matka daremnie na niego czekała. Zamiast tego około piętnastej zadzwonił do mnie w redakcji porywacz.

Porywacz! To słowo uwięzło w głowie Miriam. Frederik Winkler został uprowadzony?

Toż to dynamit!

Najpierw śmierć Henriety Winkler, a nazajutrz porwanie jej wnuka.

– Powiedział dosłownie: „Frederik Winkler, wnuk Carla Winklera – relacjonował Jost. – Mam jego wnuka. A pan niech o tym poinformuje”.

Dziennikarz patrzył w kamerę bez cienia powagi ani poruszenia. Nawet nie próbował ukryć triumfu. Przytrafiło mu się coś wyjątkowego. Coś, czego dziennikarz doświadcza tylko raz w życiu. Ta historia spadła mu prosto z nieba. Ot, tak. Był szczęściarzem. Miriam usiłowała ponownie skoncentrować się na tym, co mówił zadowolony z siebie Jost.

– Potem mężczyzna dodał: „Ma pan sześć dni”. Do tej pory nie ma jeszcze żądania okupu. Motywy sprawcy są całkowicie nieznane. W sprawę włączona została prokuratura. Dla programu *Na gorąco* mówił na żywo Udo Jost.

Na ekranie obraz się zmienił. Teraz pokazywano wiadomości sportowe.

Porywacz zwrócił się bezpośrednio do prasy, do Josta. Mogło to oznaczać tylko jedno: chciał mieć dla siebie media. Chciał, żeby opinia publiczna dowiedziała się, jaką historię ma do opowiedzenia.

Ojciec Miriam coś mówił.

– Co?

– Twoja sprawa?

Kiwnęła głową.

– Ciężki przypadek.

Udar uszkodził ośrodek mowy w mózgu ojca. Wymawianie skomplikowanych słów przychodziło mu z trudem. Jednak sposób, w jaki wydusił z siebie „ciężki przypadek”, wydał się Miriam jedynym właściwym sposobem mówienia na ten temat.

– Muszę iść.

Pogładziła go po rzadkich włosach. Posypał się łupież przypominający płatki śniegu. W najbliższych dniach będzie dużo pracy. Nie znajdzie czasu na umycie mu włosów. On jednak, niegdyś tak bardzo dbający o swój wygląd, tego nie zauważy.

Centrala operacyjna nowego prezydium policji we Frankfurcie należała do najlepiej wyposażonych w Niemczech. Jeżeli odbywała się w niej narada, powód musiał być wyjątkowy. Każdy, kto wchodził do tego pomieszczenia, nie czuł dumy, tylko napięcie, jakie niesło ze sobą zakrojone na wielką skalę dochodzenie.

W centrali było ciepło i duszno. Zebrało się w niej około trzydziestu funkcjonariuszy. Brakowało krzeseł. Ludzie siedzieli na stołach, opierali się o szafy.

Miriam zatrzymała się przy drzwiach i rozejrzała. Większość policjantów znała tylko z widzenia.

Liebler stał z przodu. Jego prawa ręka tkwiła w kieszeni spodni, lewa obejmowała butelkę z wodą. Rzucił jej jedno ze swoich niebieskookich spojrzeń sfinksa. Komisarz Ron Fischer był błądy i wyglądał na niewyspanego. Siedział obok Lieblera i kurczowo trzymał się filiżanki kawy.

Miriam nerwowo wpiła paznokcie we wnętrze zaciśniętej dłoni. Czy tamci dwaj umyślnie nie poinformowali jej o najnowszych wydarzeniach?

– Funkcjonariusze, którzy zajmują się skrytką bagażową, są w drodze. Znaleźli kopertę – oznajmił Liebler, kiedy wreszcie zapanował spokój. – Skrytka została wynajęta wczoraj około dziesiątej wieczorem. Wszystko wskazuje na to, że porywacz pojechał na dworzec prosto od Henriety Winkler. Dzisiaj rano około wpół do ósmej sąsiad Denise Winkler, właściciel gospodarstwa rolnego, widział przed domem ciemnoszarego volkswagena sharana. Pomyślał, że pani Winkler odwozi Frederika do szkoły. Ale pięć minut później zobaczył ją wyjeżdżającą z garażu tym samym wozem. Ciemnoszary sharan był poza tym widziany wczoraj przed domem Henriety Winkler. Tam też nie rzucał się w oczy, bo Denise Winkler jeździ tym samym typem samochodu. Wczoraj jednak nie była u swojej babci. Ani przedwczoraj. Nie pojawiała się tam od czterech tygodni.

Pociągnął duży łyk wody z butelki, a następnie wytarł usta.

– Czy są już wyniki z zabezpieczenia śladów?

Miriam stanęła na palcach, ale nie zdołała dojrzeć, kto zadał to pytanie.

– Całe mnóstwo – odparł tym razem Fischer. – Wandalizm jak przy włamaniu. Znamy rozmiar butów sprawcy, jego samochód, mamy odciski palców i jestem w stanie wyobrazić sobie, że w domu Henriety Winkler zgubił niejedną włos.

– Chyba, że już ich nie ma – rzucił beznamiętnie Liebler.

Gdzieniedzie rozległ się śmiech. To nerwowość. Każda osoba w tym pomieszczeniu wiedziała, co ją czeka w najbliższym czasie. Nadgodziny, długie noce, wyścig z czasem. Mieli pięć dni. Ani chwili więcej. Co jednak stanie się potem?

– Nie spieszył się – powiedział Fischer. – Nie chodziło o zadanie szybkiej śmierci. Podczas gdy Henrieta Winkler powoli umierała na tarasie, on wszystko przetrząsał. Cały dom. Czegoś szukał.

Na krótką chwilę zapadło milczenie. Milczenie, które pojawia się, gdy jest za dużo pytań, i które w końcu przerwał ten sam spokojny głos z pierwszego rzędu:

– Co z prasą? Czy będziemy w stanie wyłączyć ją z tej sprawy? Jost opowiada w telewizji, że porywacz wybrał go na osobę kontaktową. Że zawartość skrytki bagażowej jest ponoć wyraźnie przeznaczona dla niego. Twierdzi, że podobno wie, co jest winien policji, ale też oczekuje od nas,

że odwzajemnimy się mu informacjami. Chce czegoś w rodzaju praw wyłączności.

W całym pomieszczeniu rozległ się ironiczny śmiech. Liebler ponownie pociągnął długi łyk z butelki i odpowiedział:

– Zapytałem go, dlaczego właściwie musiała upłynąć prawie godzina, zanim poinformował nas o tym telefonie. „Ależ skąd”, odparł, „przecież natychmiast zadzwoniłem”. Zdołałem mu udowodnić, że to nieprawda. Na co on ze stoickim spokojem powiedział: „Myślałem, że to jakiś wariat, potem jednak ogarnęły mnie wątpliwości”.

Liebler perfekcyjnie naśladował śpiewny ton głosu dziennikarza.

– Co, jeśli porywacz znowu zwróci się do Josta, a nie do nas? Musimy go koniecznie nakłonić do negocjacji z rodziną albo z policją. W przeciwnym razie... – Fischer urwał i popatrzył na Lieblera, który z butelką wody w ręku chodził tam i z powrotem. Nie było to oznaką zdenerwowania. Gdy chodził, lepiej mu się myślało.

– Dlaczego akurat ta rodzina? – zapytał. – Co się za tym kryje? Co sprawiło, że ten człowiek się nimi zainteresował?

– W różnych artykułach prasowych pisano, że firma Winklerbau była o krok od ogłoszenia upadłości. Zwolniła około stu pracowników. Może to akt zemsty?

Miriam wspięła się na palce i w końcu rozpoznała Christiana Fuchsa, kierownika zespołu psychologów z wydziału osób zaginionych. Podczas trudnych dochodzeń nieustannie prosił swoich ludzi o wyczulanie funkcjonariuszy policji kryminalnej na konteksty psychologiczne.

Zamiast odpowiedzieć, Fischer oznajmił:

– Mamy dwie sprawy jednocześnie. Nie wiem, jak zdołamy się z nimi uporać przy tym nie-doborze personelu.

– Proponuję, żebyś ty zajął się Henrietą Winkler, a ja porwaniem – odparł Liebler. – Na miejscu będzie dyżurowało zawsze dwóch ludzi. Będziemy pracowali na dwie zmiany.

Jako prokurator Miriam odgrywała w oczach policji tylko rolę reprezentacyjną. Tego jednak nie zamierzała zaakceptować. Nie w takiej sprawie. Jej kompetencje jednoznacznie określał kodeks karny. To ona nadzorowała dochodzenia, a nie Liebler czy Fischer. Dlatego zabrała głos:

– Jeżeli brakuje wam ludzi, dlaczego nie zwróćcie się do lokalnego urzędu kryminalnego?

Zewsząd odezwały się jęki. Gdzieniedzie odwróciła się ku niej zirytowana para oczu.

– Żeby przejęli dowodzenie? – Ron Fischer starał się mówić spokojnym tonem, co wyraźnie przychodziło mu z trudem. – Zawsze przecież kończy się to tak, że stajemy się ich chłopcami na posyłki. Nie potrzebujemy dozorców.

Zanim Miriam zdołała mu odpowiedzieć, że nie mogą sobie pozwolić na jakiegokolwiek ryzyko tylko dlatego, że ludzie z urzędu kryminalnego zwykli odgrywać FBI, za jej plecami otworzyły się drzwi. Policjant, który wszedł do sali, trzymał w ręku to, na co wszyscy czekali: kopertę z wiadomością od porywacza, z jego warunkami, żądaniem okupu. W centrali operacyjnej zaległa cisza. Nie było słyhać żadnego oddechu, żadnych chrząknięć ani kaszlu.

Fischer włożył rękawiczki i podał Lieblerowi drugą parę. Potem wziął do ręki nożyce i ostrożnie zaczął otwierać kopertę. Następnie pincetą wyjął z niej jedną jedyną kartkę papieru.

„Niech was diabli!”, klęła w duchu Miriam. „Pokażcie to!”

Fischer skinął pod adresem Niny Vatany:

– Potrzebna nam kopia. Oryginał proszę natychmiast oddać ludziom od zabezpieczania śladów.

Nina Vatana, której ojciec posiadał tajlandzką restaurację w śródmieściu, była specjalistką od informatyki. Uchodziła za niedostępną i inteligentną jak Jodie Foster w *Milczeniu owiec*. Gdy w drodze do drzwi mijała Miriam, jej piękna twarz, połączenie rysów europejskich z azjatycką karnacją, sprawiała wrażenie nad wyraz skoncentrowanej.

Do jej powrotu wszyscy w pomieszczeniu jakby zastygli w bezruchu. Siedzieli niczym posągi, ze wzrokiem wbitym w powietrze. Napięta atmosfera rozluźniła się, dopiero gdy Nina Watana ponownie zajęła miejsce obok Lieblera. Razem pochylili się nad ekranem komputera. Sprawiali wrażenie, jakby między nimi istniała jakaś zażyłość. Czyżby to dla Niny Watany Liebler schudł i zmienił styl ubierania się?

Obraz ze skanera łądował się stopniowo. Aż wreszcie, centymetr po centymetrze, na białym ekranie zaczęły pojawiać się pierwsze szarości.

Co to miało być?

Miriam liczyła na coś innego. Spodziewała się jakiegoś listu, warunków, żądań, dużej kwoty pieniędzy. Może liter wyciętych z gazet, ale w żadnym razie nie tego, co zobaczyli!

Tylko fotografia? Stare, czarno-białe zdjęcie z czasów, kiedy brzegi miały jeszcze pofalowany kształt!

Próbowała zrozumieć, co widziała. Nie było tego dużo. Dwóch mężczyzn odwróconych plecami do obiektywu, rozpoznawalnych tylko z profilu. Ujęcie kończyło się na wysokości klatek piersiowych. Stali przy balustradzie ze wzrokiem skierowanym w lewo, na miasto, które rozciągało się poniżej. Mężczyzna po prawej stronie wyciągniętą ręką pokazywał panoramę. Wycieczka turystyczna sprzed kilkudziesięciu lat!

Wszyscy nadal milczeli, tymczasem Fischer ponownie otworzył kopertę, by się jej dokładnie przyjrzeć. Nic więcej tam nie było. Tylko to zdjęcie dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach w najlepszych latach swojego życia. Z ich postawy emanowało poczucie znalezienia się u szczytu wpływów i władzy. Dotarli na sam wierzchołek.

– Czy to oryginał? – Fuchs przerwał w końcu milczenie.

– Trzeba to sprawdzić w laboratorium – odparła Nina Watana.

– W każdym razie to wszystko, co przesłał nam porywacz. – Fischer zaczął składać swoje papiery. – Więcej nie mamy. Zostawia nas z niczym. – Potrząsnął głową. – Tylko jedno stare zdjęcie.

– Ta wiadomość skierowana jest do rodziny Winklerów. – Liebler zachował spokój. – Będą wiedzieli, o co chodzi i kim są ci dwaj mężczyźni.

– No to baw się dobrze. To twoja działka. – Fischer wręczył mu zdjęcie i z aktami pod pachą pospieszenie wyszedł z sali.

Henri Liebler powoli włożył zdjęcie do koperty. Idąc, zarzucił na siebie brązową zamszową kurtkę podszytą owczą skórą. Gdy znalazł się na wysokości Miriam, nachylił się do niej i zapytał:

– Pójdzie pani ze mną?

Carl Winkler siedział w biurze Lieblera od ponad pół godziny. Stała przed nim szklanka wody, której jeszcze nie tknął.

– Czy pańska matka miała wrogów? – zapytał Liebler.

– Wrogów? – Carl Winkler po raz trzeci przecierał okulary.

– Kogoś, kto miałby powód, żeby jej to zrobić?

– Nie była łatwym człowiekiem. Ale wrogowie? Od czasu złamania ręki w lecie prawie już nie wychodziła z domu. Boże, miała osiemdziesiąt pięć lat.

Miriam z ledwością przypominała sobie ojca Denise. Na pewno wcześniej go widywała. Na szkolnych festynach i na wieczorach koncertowych, podczas których Denise grała na fortepianie, interpretując utwory Chopina. Jego wąska, blada twarz była gładko ogolona. Ciemny blond włosów niemal niezauważalnie przechodził w ciemną siwiznę. Carl Winkler sprawiał niepozorne wrażenie, nie tylko z powodu bezbarwnego garnituru i mającego tendencję do niewidzialności

krawata, który jak kameleon przybierał barwę koszuli.

– Chodziłam z Denise do szkoły – powiedziała, aby stworzyć atmosferę poufałości. Winkler jednak popatrzył na nią przez okulary jak na powietrze, jakby w ogóle nie usłyszał tej uwagi.

– Pan właśnie przyleciał z Berlina, tak? – Liebler usadowił się na wprost niego. – Lot odbył się bez zakłóceń?

– Mieliśmy opóźnienie. Pas startowy był oblodzony. – Winkler nerwowo sięgnął po szklanke. Ręka mu drżała, nie wypił jednak ani łyka.

– Kto zawiadomił pana o śmierci matki?

– Pani Hirschbach.

Liebler skinął parokrotnie głową, żeby okazać zrozumienie.

– Czy ona od dawna pracuje dla pańskiej matki?

– Od kiedy przyszedłem na świat.

– To dobrze, że ma pan kogoś, kto może się zatroszczyć o pana i pańską córkę.

– Tak, pani Hirschbach jest naprawdę bardzo pomocna.

– Urowadzenie pańskiego wnuka to zapewne wielki szok.

– Tak – odparł Winkler. Szklanka w jego dłoni drżała. Odstawił ją z powrotem na stół, rozlewając przy tym trochę wody i zostawiając mokrą plamę na biurku Lieblera.

– Co pan robił w Berlinie?

– Budujemy tam wysoki biurowiec.

– Czy wiadomo było, że pan wyjeżdża?

– To nie była tajemnica. Zwyczajna podróż służbowa.

– Kiedy została zaplanowana?

– Kiedy... Boże... musiałbym zapytać moją sekretarkę. Ale na pewno przed kilkoma tygodniami. Może pod koniec listopada. Czy to ma znaczenie?

Liebler znów skinął parokrotnie głową.

– Sprawca wiedział, że pańska matka będzie w domu sama. Jeżeli jest tą samą osobą co porywacz, a wszystko na to wskazuje, oznacza to, że już od dłuższego czasu obserwował pańską rodzinę. Wybrał was.

– Wybrał? Nas? Dlaczego miałby wybierać akurat nas? Z jakiegoś szczególnego powodu? Czy on myśli, że jesteśmy bogaci? Wcale nie. Wie pan, jak wygląda teraz sytuacja w budownictwie? Na pewno. Każdy to wie. Ale co to znaczy kierować w tych czasach przedsiębiorstwem, które stanowi rodzinną własność już od dwustu lat...

Na krótko podniósł ręce i zaraz je opuścił. Zwisaly bezwładnie wzdłuż krzesła, jakby obumarły.

– Mówił pan, że porywacz wysłał wiadomość? – Było to pierwsze pytanie, które skierował do Lieblera. – Ile pieniędzy domaga się w ramach okupu? Zapłacę. Nawet, jeśli musiałbym sprzedać wszystko, co posiadam.

Liebler przysunął krzesło bliżej, nachylił się do przodu i niemal obojętnym tonem powiedział:

– I właśnie tu tkwi problem, panie Winkler. Porywacz nie domaga się pieniędzy.

– Jeszcze nie – odparł zmieszany przedsiębiorca. – Ale ich zażąda, prawda?

– Może zażąda – odpowiedział Liebler i wzruszył ramionami. – A może nie. Szczerze mówiąc, nie sądzę, by chodziło mu o pieniądze. Przeszukał wprawdzie mieszkanie pańskiej matki, ale nie zabrał niczego wartościowego. A wiadomość od niego nie zawierała żądania okupu, tylko klucz do skrytki bagażowej, w której znaleźliśmy to.

Wziął kopertę ze stołu i powoli wydobył zdjęcie. Dłoń Carla Winklera drżała, gdy oglądał zdjęcie. Długo na nie patrzył. Na krótko zamknął oczy. Twarz mu poszarzała. Jego głos był led-

wie słyszalny, gdy zapytał:

– Co to ma znaczyć? Nie rozumiem.

– Zna pan to zdjęcie?

– Nie – potrząsnął głową. – Nigdy go nie widziałem. Ale ten człowiek z lewej to mój ojciec.

Miriam pochyliła się do przodu i przyjrzała ludziom na fotografii. Pomiedzy ojcem a synem istniało podobieństwo, tyle że mężczyzna na zdjęciu był nieco młodszy. Mogli sami na to wpaść.

– A ten drugi? – Liebler ponownie zwrócił do Winklera.

– Nie mam pojęcia.

– Jest pan pewien?

– Nie znam go.

– Gdzie mogło powstać to zdjęcie? Rozpoznaje pan miasto w tle?

Winkler potrząsnął głową.

– Ma pan jakieś przypuszczenia co do powodu przysłania panu tej fotografii?

– Nie, nie rozumiem tego.

– Z którego roku może pochodzić to zdjęcie?

Carl Winkler poprawił okulary i ponownie przyjrzał się fotografii.

– Na pewno przed moim urodzeniem.

– Skąd pan to wie?

– Na krótko przedtem mój ojciec stracił prawą rękę.

– Miał wypadek? – zapytała Miriam.

– Od biedy można tak to określić. To było w marcu czterdziestego piątego. Podczas ostatniego bombardowania Frankfurtu.

Zmęczona i przemarznięta Miriam już po raz trzeci bezskutecznie okrążała dom, w którym znajdowało się – pozornie nieosiągalne – jej mieszkanie. Bezgraniczne wyczerpanie, które jak olów rozlało się po jej ciele zaraz po wyjściu z prezydium policji, przerodziło się w zniecierpliwienie. Po czwartym okrążeniu poddała się więc ostatecznie i wcisnęła chryslera w wąskie miejsce parkingowe, które, dokładnie biorąc, takowym nie było, bo rósł tam klon. Kilkakrotnie musiała już za to parkowanie w niedozwolonym miejscu zapłacić mandat, ale cóż, prokuratorka też znajdowała się czasem w sytuacjach, w których trzeba złamać prawo.

Obok w starym oplu siedzieli trzech młodych mężczyzn. Słuchali muzyki tak głośno, że Miriam mogła zrozumieć każde słowo. Tekst przyprawiał ją o zimny dreszcz. Nie chciała wiedzieć, co tam jeszcze wyprawiają. Dlatego odwróciła wzrok. Bywały chwile, że nie miała siły, aby zwracać uwagę na to, czy prawo jest przestrzegane.

Wysiadłszy z chryslera, uruchomiła centralny zamek i wchodziła już po schodach, gdy zniecka usłyszała za plecami trzaśnięcie drzwi samochodowych oraz zbliżające się kroki. Właśnie zamierzała się odwrócić, kiedy otworzyły się drzwi do budynku, a przed nią stanął doktor Beck, internista mający gabinet na pierwszym piętrze.

– Znowu nocna zmiana – powiedziała.

Popatrzył na zegarek.

– Przy tej pogodzie każdy czuje się chory. A pani? Widziałem panią w telewizji.

– Trzeba było zmienić kanał.

Za nią rozległ się odgłos zapalnego silnika. Pisk opon. Odwróciła się. Opel dodawał gazu, rozbryzgując błoto pośniegowe. Z otwartego okna dudniła muzyka, a kierowca zapomniał o włączeniu świateł.

Skinieniem pożegnała doktora, który wciąż jeszcze, potrząsając głową, spoglądał w ślad za

opłem.

Na górze, w mieszkaniu, Miriam włączyła światło, położyła torbę na półce z książkami w przedpokoju i rozejrzała się. Żalony widok. W porównaniu z domem Denise jej lokum przypominało podrasowany karton po butach, który umeblowano szwedzkimi pudełkami od zapalek.

Cisnęła przed siebie zielone kozaki. Ktoś powiedział kiedyś, że ma idealne stopy. Nie ktoś. Thomas. Był lekarzem. Chyba więc znał się na rzeczy. Nawet jeżeli ją zdradzał, mówiąc o stopach, był szczery. Zawsze całował je na początku. Że też wmówiła sobie, iż on leży u jej stóp. Ach, Miriam, ten twój zwykle tak trzeźwy rozsądek w kwestiach miłości graniczy z głupotą.

Ubrania i bielizna spadały jedno po drugim na podłogę. Pod prysznicem odkręciła gorącą wodę. Jedyne możliwości, żeby się rozgrzać. Przesunęła dłonią po ciele. Czowała się kompletnie wyjałowiona. Pod tą skórą nie było nic. Nic oprócz narządów, mięśni, kości. Kiedy wreszcie nadejdzie jej kolej? Kiedy zacznie żyć naprawdę? Kiedy w końcu życie przestanie być tylko urojeniem w jej głowie?

Telefon usłyszała, wychodząc spod prysznicza. O mało co nie poślizgnęła się na mokrej posadzce. W ostatniej chwili oparła się o sedes. Gdy była w przedpokoju, włączyła się automatyczna sekretarka.

Daremnie czekała na jakiś głos.

Nikt się nie odezwał.

Nic, tylko cisza.

Cisza, którą można było usłyszeć.

Zofia

Piątek,

2 stycznia 1942 roku

Pociąg z łoskotem toczy się po szynach. W zapchanym wagonie bydlęcym leżą na gołej podłodze, płoną z gorączki i pragnienia. Zaczynam łkać z bólu.

– Boisz się? – pyta dziewczyna obok mnie. Jest wysoka, a jej długie czarne włosy są rozpuszczone, na co moja matka nigdy by nie pozwoliła. – Masz gorączkę. A z twoich uszu sączy się ropa. Musisz je ogrzać. – Jej głos jest głośny, chociaż mówi szeptem. W ciągu ostatnich godzin cały świat stał się głośniejszy. – Masz, weź go. – Zdejmuje z ramion szal i owija nim moją głowę.

W którymś momencie zasypiam. Na każdym podkładzie kolejowym głowa uderza mi o podłogę. Łoskot jest coraz głośniejszy.

Mam sen. Stoimy na dworcu w Krakowie. Mama trzyma Leszka na rękę. Chcę go od niej wziąć, ale ona go nie wypuszcza.

– Zaczekamy tutaj, aż wróci twój ojciec – mówi surowo, zaciąga się niedopałkiem papierosa i wydmuchuje Leszkowi dym w twarz, aż ten zanosi się kaszlem.

Czuję podmuch, słyszę trzepot i gdy podnoszę głowę, widzę dwa odlatujące czarne ptaki.

Ktoś szarpie mnie za ramię. Oszołomiona otwieram oczy.

– Musisz wstać. – Dziewczyna pochyla się nade mną. – Mamy wysiadać.

– Gdzie jesteśmy?

W odpowiedzi wzrusza tylko ramionami.

Ludzie wokół mnie wstają, zdenerwowani i przestraszeni tłoczą się przed wyjściem, gdzie przez przesuwane drzwi wagonu wpada lodowaty wiatr.

Jestem popychana do przodu. Gdy stoję przy drzwiach, ktoś woła:

– Szybko, szybko!

Ostatnimi siłami zeskakuję na śnieg, ale jestem zbyt zmęczona, żeby się wyprostować.

Dziewczyna podciąga mnie i przytrzymuje. W białym śniegu jak słupy stoją rzędem ubrani na ciemno ludzie. Ich szereg ciągnie się bez końca wzdłuż długiego składu wagonów.

Pochyliłam się, by garścią brudnego śniegu ugasić pragnienie i schłodzić rozpalone czoło.

Potem prowadzą nas do ogromnego pomieszczenia bez okien. Wszystkie musimy się rozebrać. Kiedy zamykają się drzwi, zapada niesamowita cisza, którą nagle przerywają strumienie lejącej się na nas wody. Wszystkim chce się pić, więc stajemy w tych strugach z pootwieranymi ustami. Gdziekolwiek słychać śmiech ulgi.

Po wyjściu spod pryszniców idziemy do pomieszczenia obok. Pielęgniarki polewają nam głowy jakąś śmierdzącą cieczą. Płyn wdziera się do oczu, do ust i do uszu, aż krzyczą z bólu. Czują, jak spływa mi do gardła. Połykam go. Smakuje benzyną.

Jedna z kobiet w mundurze pokazuje na mnie, śmieje się i woła po niemiecku:

– Ta nawet w gębie ma wszy!

Nie rozumiem ostatniego słowa. Nie uczyłam się go ani w liceum, ani później u pani Kusikowej, która dawała nam lekcje w swoim małym ciemnym mieszkaniu przy ulicy Kopernika.

Język wrogów trzeba znać. Jakże często nam to powtarzała.

Umundurowane Niemki pędzą nas gęsiego dalej, mijamy grupą mężczyzn, która po nas zmierza w kierunku przyszniców. Jeden z żołnierzy gapi się w moją stronę, wprost na moje nagie ciało. Mam tylko dwie ręce, żeby przesłonić piersi i łono. Zamykam oczy, żeby nie musieć oglądać jego pożądliwego spojrzenia.

Gdy mężczyźni znikają, wolno nam się znowu ubrać. Potem wypędzają nas z baraku na śnieg, gdzie musimy czekać. Przy trzaskającym mrozie siedzimy na oblodzonych pniach drzew. Nie wiemy, co się z nami stanie.

Wreszcie przyjeżdża następny pociąg.

I znowu wsiadamy do wagonów.

Zamykają i ryglują za nami drzwi. Ta dziewczyna znowu siedzi obok mnie. Gdy płaczę z bólu, kładzie moją głowę u siebie na kolanach. Zapadam w niespokojny sen.

Jedziemy dalej.

Kilometr po kilometrze.

Dużo kobiet się modli.

Kilku mężczyzn stoi przy drzwiach wagonu i wygląda przez szparę, w której świszczy wiatr. Kiedy rozpoznają nazwę jakiegoś mijanego dworca, głośno ją przekazują. Tymczasem hałas i smród w przepelnionym wagonie są gorsze niż zimno i głód.

Budzę się, gdy ktoś wykrzykuje nazwę Warszawa. Warszawa, Warszawa.

– Jedziemy przez miasto! – woła z przejęciem człowiek przy drzwiach. Wszyscy mamy nadzieję, że pociąg się zatrzyma, ale on nic, tylko jedzie dalej. Wpatrujemy się w tego mężczyznę w nadziei, że jeszcze coś powie. On jednak milczy. A gdy wreszcie się odwraca, ma twarz zalaną łzami.

– A tak w ogóle – szepcze dziewczyna obok mnie – to nazywam się Magda. A ty?

Nie odpowiadam, tylko pytam:

– O co jej chodziło, kiedy mówiła o moich ustach? Co ja tam mam?

Powtarzam słowo, które wypowiedziała strażniczka pod przysznicem.

– Wszy. – Magda śmieje się wesoło. – Oni boją się wszy bardziej niż nas.

Pięć dni

Gdy we wtorek rano Miriam Singer otworzyła oczy, pierwszą rzeczą, którą zrobiła, było włączenie telewizora. Na godzinę przed budzikiem obudził ją wewnętrzny niepokój. Próbowła się go bezskutecznie pozbyć, oglądając jakąś audycję na temat stylu życia.

Znowu minęła noc – złodziejka czasu. Czasu, którego Miriam nie miała. Czasu, w którym Frederik nadal znajdował się w rękach porywacza.

Jakie plany miał ten typ wobec chłopca? Jak daleko się posunie?

Nie, nie chciała sobie tego wyobrażać. Miriam nie dawała się ponosić iluzjom. Jej fantazja opierała się na aktach, które pieczołowicie rejestrowały wszelkie okrucieństwa, do jakich byli zdolni ludzie. Ludzkość wykarzczoła wprawdzie niezliczone hektary lasów, wybudowała miasta i autostrady, ale nie porzuciła praw dżungli. Chociaż las pierwotny znikł, dzicy pozostali. Mimo że właściwie nie muszą już zabijać z głodu ani używać czerepów jako naczyń do picia.

Leżała w łóżku i wpatrywała się w nagą żarówkę, która zakurzona zwisała żałośnie z pustego sufitu sypialni.

Czy porywacz zamknął chłopca w piwnicy?

W jakiejś dziurze w ziemi?

W skrzyni?

Czy go związał? Przykuł łańcuchem do ściany?

Bił? Wykorzystywał?

Czy go głodził?

Czy dawał mu pić?

Żadnego żądania okupu, tylko jedno zdjęcie, na którym był pradziadek chłopca.

Można dręczyć kogoś niepewnością. Pytaniem, dlaczego? Pytaniem, gdzie jest moje dziecko? Pytaniem, czy jeszcze żyje? Czy było torturowane? Dlaczego ja? Czy porywacz się odezwie? Czy zadzwoni? Teraz? Albo nigdy?

A do tego Udo Jost. Akurat Jost. Porywacz nie mógł bardziej zaszkodzić śledztwu, niż wykorzystując do swoich celów media. Nowoczesny pręgierz, pod którym wystawiano na widok publiczny ofiary.

Kiedy odezwał się dzwonek domofonu, pomyślała, że to listonosz. Rano demonstracyjnie wręczał jej pocztę, gdy jej skrzynka na listy znowu była zapchana fachowymi czasopismami i broszurami reklamowymi. W sądzie utrzymywała wręcz pedantyczny porządek w aktach, ale jeśli chodziło o jej własne dokumenty, wyciągi bankowe, decyzje podatkowe, była wybitną bałaganiarą. Już chociażby z tego względu Thomas nie miał racji, wytykając jej, że jest typową urzędniczką.

– Prokuratorzy – odpowiedziała – nie są urzędnikami. Prokuratorzy działają w służbie prawa, a nie państwa.

Usłyszawszy to, głośno się roześmiał.

Wygrzebała się spod kołdry, przeszła do przedpokoju i odebrała domofon.

– Tak?

– Tu Liebler.

– Co się stało?

Jeszcze wypowiadając to pytanie, nacisnęła guzik otwierający drzwi i w tej samej chwili już

żałowała, że to zrobiła. Jej stopy na czarnej granitowej posadzce przeszył lodowaty chłód. Zanim Liebler zapukał, miała akurat tyle czasu, by narzucić na siebie szlafrok.

Pachniał dymem papierosowym i zimnym powietrzem, ale dłoń, którą jej podał, była ciepła. Na głowie miał ciemnobrązową wełnianą czapkę, która zaskakująco dobrze do niego pasowała. Nie czekał na zaproszenie do środka, tylko przepchnął się obok niej do przedpokoju, gdzie ściągnął zamszową kurtkę i powiesił ją na gwoździu wystającym ze ściany. Rekwizyt był rezultatem jej nieudanej próby przybicia wieszaka.

– Co się stało? – zapytała. – Dlaczego przychodzi pan tu o tej porze?

– A morderstwo i porwanie nie wystarczą? – mówiąc to, z zaciekawieniem rozglądał się po mieszkaniu. – Czego jeszcze pani brakuje? Uzbrojonego szaleńca ganiającego po ulicy?

– Czy pan zawsze musi odgrywać dowcipnisia? – przepchnęła się obok niego do kuchni.

– To nie był dowcip – odparł i ruszył za nią – tylko co najwyżej wisielczy humor.

– No to czego pan chce? – Miriam stała zdezorientowana pośrodku kuchni. Jego obecność drażniła ją.

– Na początek kawę – powiedział i usiadł.

– Nie pijam kawy, tylko herbatę.

– Ziołową?

– Gównu to pana obchodzi. – Miriam straciła cierpliwość. Czego on, do cholery, szukał w jej mieszkaniu? Na jej prywatnym terenie? Jej adres знаła tylko rodzina i sąd. Nie widniała w książce telefonicznej, bo numer stacjonarny był utajniony. Prywatnie nie istniała. Jeżeli ktoś chciał się z nią skontaktować, mógł złapać ją tylko, dzwoniąc na komórkę.

– Dlaczego nie zadzwonił pan na komórkę?

– Próbowałem. Kilkakrotnie. – Podniósł rękę w geście przysięgi. – Serio.

– To chyba wybierał pan nie ten numer.

– Pani numeru nigdy bym nie zapomniał. Sądzę, że to raczej pani komórka jest wyłączona. Miałem bowiem przyjemność rozmawiać z pani pocztą głosową.

– To niemożliwe. Muszę być pod telefonem. Mam przecież dyżur.

Przybrał nadzwyczaj zatroskaną minę. Miriam gorączkowo zaczęła szukać telefonu, który w końcu znalazła w łazience pod bielizną. Liebler miał rację. Komórka padła.

Niech to diabli, rzeczywiście zapomniała ją naładować.

Gdy wróciła do kuchni, zastała Lieblera przed lodówką. Robił przegląd jej mizernych zasobów kulinarnych. Chudy twaróg, włoska suszona kielbasa, zielona papryka. Dwa pomidory na pewno już dawno przekroczyły datę przydatności do spożycia, a swą wciąż czerwoną barwę zawdzięczały jedynie genetycznym manipulacjom.

– Te pomidory są zepsute – powiedział, zauważywszy ją.

– Przechowuję je dla doktora Veita.

– A po co mu one? – zapytał zirytowany, oglądając owoce trzymane w dłoni.

Miriam usiadła, podciągnęła stopy i odparła:

– Obserwuję je od trzech tygodni. Gniją, ale nie zmieniają się od zewnątrz. Czy to normalne? Nie. Doktor Veit powinien to kiedyś zbadać. Może tę zewnętrzną trwałość pomidorów da się przenieść na ludzi. Mógłby to opatentować.

Minęła chwila, zanim zrozumiał, że Miriam żartuje. Położył żywność na stole.

– Niech pani przestanie zgrywać dowcipnisie.

– To nie był dowcip, tylko wisielczy humor.

Pokazała komórkę.

– Pusty akumulator? – zapytał Liebler.

Kiwnęła głową.

– Gdzie chleb?

– Tam też pustki.

– Czy pani nigdy nie je?

– Jestem wielbłądzicą – odpowiedziała Miriam. – W spokojnych chwilach uzupełniam zapasy sadła i potem całe tygodnie wytrzymuję bez pożywienia. Poza tym przed wizytą w kostnicy z zasady nic nie jem.

– Rozumiem.

Miał niewzruszoną minę. Cała ich rozmowa była żenującym absurdem.

– Czytała już pani? – uniósł do góry gazetę.

– Zwinął ją pan z mojej skrzynki na listy?

– Nie, leżała pod drzwiami mieszkania. Tylko podniosłem ją z wycieraczki. – Rozłożył czasopismo. – W takim razie nie widziała pani jeszcze swojego gwiazdorskiego zdjęcia?

Pochyliła się nad stołem, przy czym jej szlafrok trochę się rozchylił.

Tego zdjęcia nie dało się przeoczyć. Czy fotograf leżał na podłodze? Była na nim całkowicie zniekształcona, jak w jarmarcznym gabinecie krzywych zwierciadeł. Z wysoko uniesioną prawą ręką mówiła do kogoś poza zasięgiem obiektywu.

Zrezygnowana wstała. Z najdalszego zakątka szafki wyjęła paczkę cwibaka.

– Jaki jest prawdziwy powód pańskiej wizyty?

– Mamy kolejny ślad. Znaleźliśmy szarego sharana na parkingu przy autostradzie koło Kassel.

Miriam znieruchomiała.

– Kiedy?

– Dzisiaj rano, około szóstej. To wynajęty samochód.

– Wynajęty? Dobrze. Może nas zaprowadzić dalej. Jakies ślady?

– Włókna z ubrania na fotelu kierowcy, włosy i łupież na zagłówku, ślady potu na kierownicy. Na tylnym siedzeniu włosy blond. Musimy jeszcze poczekać na wyniki analizy sądowej, ale wygląda na to, że chłopiec był transportowany tym samochodem. I ze strachu robił w majtki. Na tylnym siedzeniu było pełno moczu.

Miriam poczuła, jak jej ciało sztywnieje. Przygryzła dolną wargę. Niemalże czuła woń tego moczu. Woń strachu, paniki.

– Włosy i szczątki włókna nic nie powiedzą o tym, gdzie wsiąkł porywacz z dzieckiem.

Zostawił tam sharana i co potem?

– Przypuszczalnie zmienił pojazd.

– A co z tym cholernym telefonem do Josta? Nie możecie namierzyć tej komórki?

– Wciąż próbujemy. Chyba wyjął baterię.

– No dobrze, a kto wynajął ten samochód?

– Rezerwację zrobiono przez telefon. Jak pani myśli, na jakie nazwisko?

– Skąd mam wiedzieć?

– Henriety Winkler. I zapłacono jej złotą kartą kredytową.

– Boże.

– Kazaliśmy zablokować kartę, ale sprawca najwyraźniej się z tym liczył. Od chwili porwania już jej nie używał.

Milczenie. Tykanie zegara kuchennego. Czas mijał za szybko. Jak żywiol, którego nie sposób powstrzymać. To było nie do zniesienia.

– On się z nami bawi w ciuciubabkę – odezwał się wreszcie Liebler. – Musimy się do tego przyzwyczaić. Wszystko jest przemyślane. To dramaturg. Ma dokładny plan. Raz po raz zwraca naszą uwagę na tę rodzinę.

– Co pan ma na myśli?

– Pół godziny temu miałem telefon.

Poziom adrenaliny wzrósł szybciej, niż Miriam zdołała pomyśleć.

– Porywacz? Odezwał się?

Liebler potrząsnął głową.

– Nie, funkcjonariusz policji kryminalnej z Krakowa, pan Matecki.

– Z Krakowa?

– To w Polsce.

– Wiem, gdzie leży Kraków.

– Zgłosił nam przypadek kradzieży dzieł sztuki. – Liebler z głośnym chrupnięciem nadgryzł cwibak.

– Co to ma wspólnego z naszą sprawą?

– Powiedział, że ma informacje wskazujące na to, iż skradzione obrazy znajdują się tutaj, we Frankfurcie. U niejakiej Henriety Winkler.

– Kradzież dzieł sztuki?

– Tak. Pochodzą z Pałacu Czartoryskich. Matecki tropi te obrazy od lat.

Miriam zrozumiała:

– Seria chopinowska!

– Właśnie.

„Są niewiele warte”, powiedziała kiedyś Denise. „Mój dziadek kupił je za bezcen na aukcji po wojnie”.

– Szukaliście jakiejś ekspertyzy, dokumentu potwierdzającego pochodzenie tych obrazów?

– Do tej pory niczego nie znaleziono, dlatego uznałem, że trzeba oddać je do rzeczoznawcy, który się na tym zna.

Miriam była poirytowana.

– Nie zabija się ludzi z powodu obrazów – powiedziała.

– Zdarzały się już morderstwa z banalniejszych powodów. – Odchylił się do tyłu i przyglądał się jej jednym z tych spojrzeń, które trudno było zinterpretować. Odwróciła się zmieszana.

– Ale nie porwania. – Miriam powoli kręciła głową. – Nie, nie potrafię wyobrazić sobie, że coś łączy te dwie sprawy. To przypadek.

– W moim zawodzie nie wierzę w przypadki, a los nie wchodzi w zakres mojego słownictwa – powiedział Liebler z przekonaniem.

– A ten...

– Matecki.

– W jaki sposób Matecki dotarł do tych informacji?

– Miał telefon. Anonimowy.

– To wszystko zaczyna wyglądać coraz bardziej tajemniczo.

– Niewątpliwie tak.

Miriam włączyła czajnik elektryczny.

– Mogę panu zaproponować kawę rozpuszczalną.

Henri Liebler skinął głową. W ciągu tych kilkunastu sekund, do chwili gdy zawrzała woda, pani prokurator wsypała do jednego kubka kawę, a do drugiego włożyła torebkę herbaty, policjant tymczasem powoli smarował cwibak masłem. Potem Miriam zaparzyła napoje i podała mu jego.

– Co na to Hillmer? – zapytał.

– Męczy go ta historia z Udo Jostem. Rodzina Winklerów jest zbyt znana.

– Porywacz nie mógł mu gorzej dopiec. – Liebler pociągnął łyk gorącej kawy, ale wbrew

oczekiwaniom nie siorbał. – Za godzinę musimy być w zakładzie medycynie sądowej.

Miriam zerknęła na zegar w kuchni.

– Chyba poprzesuвам wszystkie dzisiejsze terminy.

– Mogę sobie wziąć jeszcze jednego cwibaka?

– A niech pan bierze nawet całą paczkę!

– Co za hojność – odparł Liebler.

Gdy jednak Miriam podniosła ręce, by związać włosy w kok, po raz pierwszy uśmiechnęła się bez cienia ironii.

Nie była to pierwsza wizyta Miriam w zakładzie medycyny sądowej. Ale jeszcze nigdy tamtejszy zapach nie wydał się jej tak odrażający. To, że będzie marzła w krótkiej czarnej spódnicy, było do przewidzenia. Na kozaki też nie mogła liczyć, stanowiły ucztę dla oczu, nie miały jednak żadnej podszewki. Krokodyla skóra. Obcas wysokości dziewięciu i pół centymetra. Sama zmierzyla w domu. Bo przecież każdy centymetr słono kosztował. Sarze powiedziała, że te cacka od Prady kupiła na eBayu. Tak jakby potrafiła czekać na internetową licytację wymarzonych butów.

Henrieta Winkler leżała nago na metalowym stole. W neonowym świetle jej skóra wyglądała jak stara szmata, którą zbyt długo namaczano. Była pomarszczonym strzępkiem człowieka, którego wieku nie dało się zaprzeczyć.

Przy stole stał Henning Veit. Mimochodem uniósł dłoń denatki w powitalnym geście. Skóra cofnęła się, jakby w pośpiechu założono ją na palce niczym rękawiczkę, która okazała się za duża.

– Zgon nastąpił przed trzydziestoma czterema godzinami – oznajmił. – Uduśiła się.

– Wczoraj mówiłeś o zamrożnięciu.

– To ty, mój drogi, mówiłeś o zamrożnięciu, medycyna sądowa nie zna takiej przyczyny śmierci. My mówimy o hipotermii lub wyziębieniu organizmu. I tak jak wczoraj tłumaczyłem, ktoś to wszystko przyspieszył wiadrem wody, by wilgocią spowodować wystudzenie.

Miriam mimowolnie wzdrygnęła się i oplotła ramionami.

– Zimno pani – zauważył Liebler. Ku jej przerażeniu zdjął kurtkę. I jakby tego było mało, zarzucił ją na ramiona Miriam. Wzbranianie się zakrawało na dziecinadę.

– Co poza tym? – zwróciła się do doktora Veita.

– Rana tłuczona na głowie i liczne złamania kości. Ale to nic dziwnego. Wie pani, jaką konsystencję mają w tym wieku kości? Łamię się nawet, gdy uściśnię się takiej staruszce rękę. A ją siłą zawleczono na taras. Ma połamane obie nogi i stopy, a oprócz tego prawy bark. To, można powiedzieć, efekty uboczne. Tylko cios w twarz był celowy. Jego impet rzucił nią tak, że uderzyła głową o marmurowy stół. Potem napastnik włókł ją przez pokój. Może i wszystko zaczęło się od działania w afekcie, ale ostatecznie to była świadomie zadana śmierć. On nie chciał, żeby przeżyła ten wieczór.

– Nie miała żadnych szans, by zdołać jakoś wrócić do pokoju? – Miriam mimowolnie zapytała o odciążenie dla sprawcy. Musiała ustalić, jaką ponosił winę. Ile cierpienia chciał zadać. Czy był łaskawy, czy wyjątkowo brutalny? Kimś, komu chodziło tylko o to, żeby zabić, czy też kimś, dla kogo ważniejsza była agonია?

– Może gdyby była o trzydzieści lat młodsza. Sądząc z ułożenia ciała w miejscu, gdzie je znaleziono, można wykluczyć, że próbowała się poruszać. Aby doczołgać się do pokoju, musiałaby najpierw odwrócić się na brzuch. Nie, nie miała żadnych szans.

– Ile z tego przeżywała świadomie?

– Na początku chyba wszystko.

Czyli powolna śmierć, gdy ofiara jest początkowo w pełni przytomna. Czy jemu się to podobało? Sprawiało przyjemność?

– Czyli liczył się z tym, że to potrwa długo – stwierdziła.

– Polanie wodą było pewnym wyrokiem śmierci. Poza tym była lekko ubrana i miała we krwi alkohol. Nie była w stanie się poruszać, a tym samym nie mogła się rozgrzać. Ale czy sprawca wiedział, ile czasu potrzeba, by człowiek zamarznął? Wątpię. To był przypuszczalnie akt symboliczny. Być może nawet emocjonalny.

– Chce pan przez to powiedzieć, że miał jakiś osobisty stosunek do Henriety Winkler?

– Niewykluczone – odparł Veit.

Liebler przeczesał palcami włosy. Jego ręce odruchowo sięgnęły po paczkę papierosów.

– Ani mi się waż – powiedział Veit.

– To tylko odruch. Od kiedy przeszedłem na dietę... Jakies inne ślady? – Liebler pozostawił papierosy w kieszeni.

– Wszystko, czego potrzebujesz: włosy, komórki nabłonka, włókna z ubrania. – Henning Veit ostrożnie uniósł zniekształconą stopę staruszki. Jak coś cennego. Jak relikwię. Żyjący traktuje zmarłego jako coś wartościowego. Nikt bowiem sam nie chce skończyć jako śmieć.

– Czy ten sprawca to idiota? – zdziwił się Liebler. – Każdy zna przecież te sztuczki. Zakłada się rękawiczki, włosy chowa pod czapkę, wkłada ciuchy, które się nie strzępią, i nie pozostawia spermy na miejscu zbrodni, tylko zabiera w kondomie do domu.

– Z takich śladów jest pożytek tylko wtedy, gdy mamy dane do porównania – odparł Veit. – A co, jeśli sprawca ma czystą kartę? Jeżeli chce nas tymi śladami sprowokować?

– Nikt nie ma czystej karty – odpowiedział Liebler.

– Chodzi mi o to, że musimy skoncentrować się na tym, co on nam chce powiedzieć. On chciał, żeby Henrieta Winkler zamarzła. Świadoma swej stopniowej agonii. – Miriam mimo kurtki z trudem odzyskiwała poczucie ciepła. – Chciał, żeby jej ciało umierało komórka po komórce. W przeszłości coś musiało się między nimi wydarzyć.

– Przy ofierze znalazłem coś, co z pewnością was zainteresuje. – Henning Veit przerwał jej rozważania. – Chociaż nie sądzę, by wam to wiele pomogło. Może poza tym, że uznacie, iż sprawca jest osobą wykształconą.

Veit podszedł do szafki i otworzył szufladę, z której wyciągnął plastikowy woreczek.

– Ciało było, jak wiecie, zamrożone – oznajmił. Dłonie zacisnęła na materiale spódnicy. Nie próbowałem otworzyć ich na miejscu zbrodni. Bo nie chciałem spowodować złamań, które poszłyby potem na moje konto.

– No, mów – burknął Henri.

– Śledztwo kryminalne – pouczył go Henning Veit – wymaga cierpliwości.

– Przy porwaniu nie mam czasu na cierpliwość i twoje gierki. Co to jest?

– Miała w ręku tę kartkę.

Podniósł do góry torebkę, w której znajdował się szary, parokrotnie pozginany papierek wielkości wizytówki.

– Na tej kartce... – Różne stacje telewizyjne daremnie oferowały Henningowi Veitowi dużo pieniędzy za jego umiejętność naświetlania tajemnicy ludzkiego życia na podstawie zwłok. – Na tej kartce sprawca zostawił dla was wiadomość.

Zamaszyście odwrócił woreczek o sto osiemdziesiąt stopni.

Znajdował się tam krótki tekst, który zdumiona Miriam próbowała rozszyfrować. W pierwszej chwili nie było to możliwe, bo zgięcia papieru zniekształcały słowa. Również jednak na drugi rzut oka Miriam nie zdołała ich odczytać. Spodziewała się czegoś innego.

– Łacina – stwierdził Henri. – Tego w szkole policyjnej nie mieliśmy.

– Nie wysilaj się – powiedział doktor Veit. – *Debet quis juri subjacere, ubi deliquit*. Trzeba ponieść odpowiedzialność za to, czym się zawiniło.

– Możesz to jeszcze raz powtórzyć? – zapytał Liebler. – Z łaciną jestem na bakier.

– Trzeba ponieść odpowiedzialność za to, czym się zawiniło.

– Zawiniło – powtórzył Liebler. – Czym mogła zawinąć osiemdziesięcioletnia kobieta, żeby zasłużyć na taką śmierć w cierpieniach?

O ile Veit znał się na ludzkim ciele, o tyle Miriam była specem od praw i ustaw.

– *Ubi* – oznajmiła – oznacza tutaj miejsce, czyli nie czym, tylko gdzie! *Debet quis juri subjacere, ubi deliquit* to istotna część naszego kodeksu karnego, paragraf siódmy, ustęp pierwszy. Czyn podlega orzecznictwu sądu, w którego okręgu zostało popełnione przestępstwo.

– To wcale nie brzmi jaśniej niż łacina – skomentował Liebler.

– Powinno się zostać skazanym tam, gdzie się popełniło przestępstwo.

– Możecie to sobie wyjaśnić gdzie indziej? – zapytał Henning Veit. – Muszę popracować. Robota piętrzy mi się w kostnicy, a raport pewnie też będziecie chcieli dostać jak najszybciej. Najchętniej na wczoraj. – Wręczył Lieblerowi pognieciony papiererek. – I zabierzcie to.

Ledwie wyszli z piwnicy, gdy odezwała się komórka Lieblera. W czasie jego rozmowy Miriam próbowała wyprzeć obraz starej kobiety. Nie mogła. Fenomen śmierci nie dawał się przegnać.

Fenomen.

Śmierć to nie ufo, ani żadne pozaziemskie zjawisko. To największe oszustwo wszech czasów. Umieranie nie było bohaterskim wyczynem. Życie przeważnie po prostu dobiegało końca, jak umowa, którą się kiedyś podpisało bez uważnego czytania. Umowa, która oszukała matkę Miriam na wiele lat i być może kiedyś oszuka również ją.

Liebler zapalił papierosa. Po kilku sekundach powietrze zapachniało dymem. Miriam poczuła zazdrość o papierosa w jego dłoni, zazdrość o dym, który wdychał. Wystarczyło tylko wyciągnąć rękę, by położyć kres cierpieniu. Musiała się opanować, żeby nie wyszarpnąć paczki z jego kieszeni na piersi.

– Czy naprawdę posuniemy się do przodu, gdy dowiemy się, kto jest na zdjęciu? Gdy wyjaśnimy cytadę znalezionej w jej dłoni? – zapytała Miriam. – Dlaczego sprawca miałby dawać nam wskazówki?

– Obserwował Henrię Winkler i już wcześniej był w jej domu. Bo jak inaczej mógłby zdobyć kartę kredytową? Starsza pani nie opuszczała domu od tygodni. Zakupy i wszystkie inne sprawy załatwiała gospoś. Tak na marginesie, to pani Hirschbach ma też pełnomocnictwo w banku.

– Sprawca wyraźnie ryzykuje.

– Jeżeli ktoś kogoś zabija i zaraz potem jeszcze dokonuje porwania, to znaczy, że jest gotów do podejmowania ryzyka – odparł Liebler.

– On chce nam coś opowiedzieć.

– Co?

– Historię, o której wspomniał pan na miejscu zbrodni.

– Która zaczyna się od Oskara Winklera?

– Tak.

– A my nie mamy innego wyjścia niż włączenie się do tej gry. Nie podoba mi się to. Nie lubię być przypierana do muru.

Milczeli przez chwilę. Każde z nich pomyślało, że zna nie tylko początek, lecz także zakoń-

czenie. Ale to nie pomagało w rozwikłaniu zagadki.

Potem Liebler uniósł torebeczkę z kartką.

– Pisane na maszynie – powiedział. – Jest taki jeden doktor George.

– Kto to taki?

– Od trzech lat jest na emeryturze, ale w Szwajcarii był znanym sądowym ekspertem w kwestiach badań charakteru pisma, psychologii pisania i badań grafologicznych maszynopisów. To właściwa osoba, która potrafi powiedzieć coś na temat autora tej wiadomości i stwierdzić, na jakim typie maszyny została wystukana.

– To jest materiał dowodowy. Na kartce z pewnością można znaleźć odciski palców, ślady potu, śliny. Mamy mu dostarczyć kartkę do Szwajcarii?

– To pani jest tu szefem i może powołać biegłego, wnioskując o wpuszczenie Georgego do laboratorium zabezpieczania śladów u nas we Frankfurcie. On jest na emeryturze, ale nudzi się jak mops.

– Wiem, jak wykonywać swoją pracę.

– Wie pani, nad czym zastanawia się całe prezydium policji?

– Nie. I wcale mnie to nie interesuje.

– Dlaczego po prostu nie została pani policjantką.

– Bo chcę rządzić? To pan ma na myśli, tak? Bo chcę mieć wszystko pod kontrolą.

Henri Liebler zaciągnął się papierosem i nie odpowiedział.

Denise Winkler nie mogła już znieść odgłosu dzwoniącego telefonu i przycisnęła dłoń do uszu. Jednak mimo to w oddali nadal słyszała uporczywe dzwonicie.

Odesłali ją na górę, by odpoczęła, co wydało jej się tak absurdalne, że wyszła z pokoju. Nie mogła już znieść gadania o silnych nerwach. Skąd je niby wziąć? Nie robi się przecież psychicznych zapasów, żeby przetrwać zniknięcie syna.

W pokoju na dole jej ojciec pod nadzorem Miriam i Henriego Lieblera przekopywał szuflady w poszukiwaniu zdjęć, na których znajdował się drugi mężczyzna. Miriam tłumaczyła jej, że to jedyny ślad, jaki mają.

Zdjęcie? Co za zdjęcie?

I dlaczego pytali o Chopinowskie portrety? O to, czy są jakieś ekspertyzy. Ani ona, ani jej ojciec nie mieli na ten temat bladego pojęcia. Może Josefa coś wiedziała. Ale dlaczego przejmowali się jakimiś obrazami, skoro chodziło o życie jej dziecka? Wszystko, co zrobili, to podsuniecie jej kilku papierków do podpisania.

Teraz miała telefon na podsłuchu, dom był pilnowany, a na dole w przedpokoju przez całą dobę siedzieli dwaj policjanci i czekali na jakiś sygnał od porywacza.

Miriam wyjaśniła jej, że wszystko musi odbywać się zgodnie z procedurami i że nie wolno im popełnić żadnego błędu, bo potem ona wytoczy porywaczowi proces. Skaże go.

„Przyrzekam”, powiedziała.

Miriam nie żyła nadzieją, tylko swoimi celami, planami, zasadami. Tymczasem ona, Denise, zawsze myliła cele z pragnieniami, które, od kiedy pamiętała, były zawodzone. Właściwą wyciągniętą stąd nauką było zaprzestanie robienia sobie nadziei, ale nie tak to działało. Nie tak toczyło się życie. Nadzieja pojawiała się bez zaproszenia. Była nieobliczalna. Jak nieproszony gość. Jak choroba.

Jak w chwilach, gdy dzwonił telefon. Ta przeklęta pewność, która podszeptwała: „Znaleziono go. Nie żyje. Moje dziecko jest martwe, a ja żyję”.

Potem znów pragnienie, żeby to był porywacz. Żeby postawił warunki, które ona spełni. Żeby wszystko znowu było tak jak kiedyś, gdy świat nie stał jeszcze na głowie. Żeby jej życie znów należało do niej. Żeby znów czuła to, czego doznawała, gdy przemierzała maraton. Pełna kontrola. Ciało robi to, czego chcesz. A jeżeli umiesz pokonać maraton, znosisz również życie.

I rozczarowanie, kiedy to nie on, tylko ktoś inny, pytający z troską w głosie, co nowego. Wszyscy wiedzieli. Proboszcz, burmistrz, szkoła, rodzice kolegów Frederika, ich sprzątaczką. Czy właśnie tego chciał porywacz? Żeby wszyscy wiedzieli? Żeby cały świat blokował linię telefoniczną?

Wszyscy chcieli pomóc. W czym?

Pierwszy telefon był od jakiegoś Josta z programu *Na gorąco*. Mężczyzna nalegał, żeby udzieliła wywiadu. Gdy odmówiła, krzyknął:

– Unikając rozmowy z nami, szkodzi pani tylko sobie! Jeżeli nie poda nam pani faktów, wymyślimy je.

Po prostu wypuściła słuchawkę z ręki i próbowała dodzwonić się do Olivera, który starał się znaleźć jakiś lot powrotny. Powtarzał jej, że Frederik wróci. Że porywacze zawsze chcą tylko pieniędzy, a oni je zapłacą.

Potem przyszła kolej na zarzuty. Skoro już zdecydowała się zajmować domem, zamiast firmą, powinna siedzieć w domu. Ten cały pomysł z maratonem to jakieś mrzonki.

Nie, dla niego nie miało znaczenia, że odkąd biega, czuje się lepiej. To go nie interesowało. Ignorował to. W ich małżeństwo wkradła się obojętność. Tylko obojętność? Czy może jeszcze coś innego?

– Nie było cię w domu – powiedział przez telefon. – Nie uważałaś na niego.

Czy miał rację?

Tak! Cholera. Tak! Rzeczywistość krzyczała: „Tak! Synek zaginął. Ktoś go porwał”.

Ale dlaczego?

Bo na niego nie uważała!

– Nie uważałaś na niego – wyszeptwała Denise. – Nie uważałaś na niego. Nie uważałaś.

Gdzieś z tyłu głowy wzbierała fala strachu, uderzała o czoło i zalewała całe ciało. Raz po raz. Nieustannie. Denise nie miała się już na czym oprzeć. Fala wynosiła na powierzchnię wszystko, co poszło w jej życiu nie tak. Olivera, małżeństwo, firmę.

Oliver uważał, że źle wychowywała Frederika.

Czy miał rację?

Był człowiekiem sukcesu. Dobrym biznesmenem. Uratował firmę przed upadłością.

A teraz, po śmierci babci, to on, a nie ona, pokieruje przedsiębiorstwem. Nie jej ojciec, który w ostatnich latach coraz bardziej przeradzał się w statystę, w pracownika. To Oliver był firmą.

Czyż wszystko nie zaczęło się od tego, że poznała go na przyjęciu wydanym przez babcię? Na które zaproszono tylko przyjaciół. Stule najbliższych przyjaciół. Nikt nie miał tyłu przyjaciół. A już na pewno nie jej babka. I czyż seniorka rodu nie wycofała się dopiero wtedy, gdy Oliver trzymał w ręku wszystkie sznurki?

Rozwód był niemożliwy. Ryzykowałyby utratą firmy. Swojego dziedzictwa. Dziedzictwa syna. Czy miała prawo do wyrzucenia za burtę dwustu lat rodzinnej tradycji? Dusila się.

Jak mogło zaginąć dziecko, które rano radośnie wychodziło z domu? Pełne planów. Z szalikiem trzykrotnie owiniętym wokół szyi. Wciąż z tym samym zapalem co w pierwszy dzień szkoły. To ją przerażało, a zarazem wzruszało do łez.

Dziesięć minut za wcześnie. Wyszedł z domu dziesięć minut za wcześnie.

– Masz jeszcze czas – powiedziała i zapięła zamek kurtki aż pod brodę. – Jest zimno. Poczekaj jeszcze dziesięć minut. Daniel i tak zawsze się spóźnia.

Ale on nie chciał czekać. Poszedł. I gdy Daniel zjawił się w umówionym miejscu, Frederik już zniknął. Nie dotarł do szkoły. Daniel dzwonił wprawdzie do drzwi, ale jej już nie było w domu.

Dlaczego nie była w stanie płakać?

Ciało bezlitośnie odmawiało łez. Odmawiało jej prawa do płaczu.

Skąd ta pustka?

Śmierć babki nie wzruszała jej.

Czuła w sobie tylko chłód. Jak w piwnicy.

Jak w piwnicy, w której leżało teraz jej dziecko?

Nie mogła nic zrobić. Tylko czekać na polecenia i żądania porywacza.

On jednak milczał.

Denise wcisnęła głowę w poduszkę i bezustannie powtarzała:

– Zadzwoń, zadzwoń, zadzwoń!

Znowu odezwał się telefon. Cholera, nie wytrzymała. Zerwała się z łóżka i pobiegła na dół, chwyciła słuchawkę, wrzasnęła:

– Czego pan chce? No, niech pan mówi! Gdzie jest moje dziecko?

Ktoś odpowiedział.

Spokojny głos, który wyjaśniał coś, czego początkowo nie zrozumiała. Powtarzała tylko: tak, tak, tak. A potem odłożyła słuchawkę, weszła do pokoju dziennego i usiadła na kanapie.

Miriam poszła w jej ślady.

– Co się dzieje?

– Nic – odparła Denise. – Nic.

– Kto to był?

Denise popatrzyła jej prosto w twarz.

– Komisarz Fischer.

– Czego chciał?

– Niczego nie znaleźli.

– Jak to niczego nie znaleźli?

– W willi też nie znaleźli żadnych zdjęć. Przeszukali wszystko.

Denise obserwowała, jak Miriam rzuca spojrzenie Lieblerowi.

„Czy powiedzieli jej wszystko, czy może coś przemilczeli?”

– Jakie zdjęcia? – zapytała.

Jej ojciec stał obok, pochylony do przodu, jakby miał się zaraz przewrócić. Bezradnie uniół ręce.

– Zniknęło kilka albumów twojej babci. Ze zdjęciami z okresu powojennego. Ale to głównie fotografie rodzinne. Kogo miałyby interesować?

– Zdjęcia! – krzyknęła Denise i zerwała się z kanapy. – To wszystko? Tylko stare zdjęcia?

Dlatego wprowadzono mojego syna? On ma dopiero siedem lat.

Do oczu napłynęły jej łzy.

Podniosła ręce i zaczęła pięściami uderzać w pierś ojca.

– Ty to musisz wiedzieć. Powiedz mi. Powiedz mi.

Carl Winkler odpowiedział tylko:

– Nie mam pojęcia – i znosił razy, które go bombardowały.

– Nie masz pojęcia? – powtórzyła cicho Denise i opuściła ręce. – Nie masz pojęcia!

Zanurzyła palce we włosach i z całej siły za nie pociągnęła. Ból, jaki sobie zada, przepędzi strach i zwątpienie, które się w niej czało.

– Na Boga, weź się w garść – rozległ się nagle czyiś głos.

W drzwiach stał Oliver Winkler. Kołnier kaszmirowego płaszcza miał podniesiony, jedwabny szal swobodnie owinięty wokół szyi, w dłoni trzymał aktówkę. Nie wyglądał na kogoś, kto spędził jedenaście godzin w samolocie, kto w panice wyruszył w podróż, bo wprowadzono mu syna. Był świeżo ogolony, a czarne włosy miał wystylizowane żelem. Sprawiał wrażenie całkowicie odprężonego.

Dużo kobiet poślubiało mężczyzn, którym ona, Miriam, przyznałaby co najwyżej dwie gwiazdki. Kategoria czystych, nic ponadto. Gdy chodziło o facetów, Denise zawsze miała ten sam gust co ona. Czyżby to się zmieniło w ostatnich latach?

– Czy możecie mi wytłumaczyć, co tu się dzieje? – Oliver Winkler starannie powiesił swój kaszmirowy płaszcz na krzesło, zanim raczył zauważyć wyciągniętą dłoń Miriam. – To teren prywatny.

– Miriam Singer, prokurator prowadzący sprawę przy Wyższym Sądzie Krajowym we Frankfurcie. Rozmawialiśmy przez telefon. A miejsce przed pana domem to przestrzeń publiczna. Nie możemy zakazać prasie tam stać.

Oliver Winkler zignorował tę odpowiedź i zwrócił się do Denise, swojej żony. Miriam jednak nie zdołała dostrzec w jego spojrzeniu ani ciepła, ani choćby tylko pozoru otuchy.

– Denise, co to za ludzie są w domu?

– Pańska żona wyraziła zgodę, żeby w domu przez całą dobę przebywało dwóch funkcjonariuszy policji i żeby telefon był na podsłuchu – oznajmiła niewzruszenie Miriam.

– Jak to wyraziła zgodę?

– Podpisała deklarację zgody.

– Bez adwokata? – Spoglądał na żonę z niedowierzaniem. – Nie zadzwoniłaś do naszego adwokata?

– Nie.

Denise zachowywała absolutny spokój.

Miriam nie posiadałaby się ze szczęścia, gdyby tak szybko jak sadystów umiała na pierwszy rzut oka identyfikować seryjnych morderców albo furiałów. Wystarczyło jedno spojrzenie. Oliver Winkler wyobrażał sobie, że należy do niego pół świata i że niebawem nabędzie resztę. To nie był nawet wilk w owczej skórze. Tylko dokładnie to, co ujrzała w nim od razu. Ze stuprocentowym prawdopodobieństwem – cholerny dupek.

Jakby za sprawą telepatii, Denise wstała, podeszła do męża, przystanęła i napluła mu prosto w twarz. Potem wyszła z pokoju, ani razu się nie obracając.

Miriam podała Oliverowi Winklerowi papierową chusteczkę.

– Mam nadzieję, że miał pan przyjemny lot.

Thomas przyszedł do niej z jedną jedyną walizką. Już wtedy Miriam powinna była się zorientować, że nie zostanie na zawsze. Zaledwie kilka garniturów w szafie, nic ponadto. Jeżeli mężczyzna nie wprowadza się ze swoimi płytami CD, DVD i kasetami wideo, nie może to długo trwać.

– Powinienem być wiedzieć, że to się nie uda – powiedział. – Chcesz mieć wszystko pod kontrolą. Mnie też. Wmawiasz sobie, że w twojej pracy chodzi o życie i śmierć. Formułujesz to w ten sposób, by nadać sobie znaczenie, ale zależy ci tylko na tym, żeby panować nad innymi.

– A na czym tobie zależy? – krzyknęła Miriam. – Jak każdy facet chcesz tylko posuwać laskę, która jest o dziesięć lat młodsza.

To było najgorsze. Przejęła język oskarżonych. Wrzeszczała jak ludzie podczas sądowych show. Ale życie to nie show. Życie składało się z szeregu czynów przestępczych, na które nie było prawnego bata. Na przykład takich jak to, że Oliver Winkler gardził swoją żoną.

Poszedł do łazienki, żeby porządnie umyć twarz.

Denise się nie pokazywała.

Carl Winkler już od dwudziestu minut milcząco wyglądał przez okno.

W korytarzu Miriam zapytała dwóch funkcjonariuszy, kto dzwonił. Byli to wciąż ci sami ludzie: krewni, przyjaciele, pracownicy i oczywiście prasa.

– Teraz ściszyliśmy telefon – stwierdził starszy, który wyglądał na rezerwistę odwołanego z zasłużonej emerytury w ramach powszechnej mobilizacji. – Nie ma powodu, żeby niepotrzebnie denerwować panią Winkler.

– Jak się pan nazywa?

– Glaser – odpowiedział.

– Pan jest z zespołu Fuchsa, już o panu słyszałam. – Miriam podała mu rękę.

– Pewnie nic dobrego – odparł.

– Nie wykonujemy tej pracy dlatego, że dążymy do beatyfikacji.

W odpowiedzi skinął głową, a Miriam ruszyła do kuchni, gdzie zastała Lieblera, który stał oparty przy rozsuniętych drzwiach na taras i palił papierosa. Zdawał się nad czymś rozmyślać.

– Co tu się właściwie dzieje? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Nie byłoby nas tutaj, gdybyśmy to wiedzieli.

Wyjęła z szafki szklanek i nalała sobie wody.

– Aha, Jost chce przesunąć konferencję prasową – powiedział Liebler.

– Dlaczego? Należy przecież do gatunku piranii, bezlitośnie rzuca się na wszystko. Pożera złe wiadomości, żeby je natychmiast na wpół przetrawione wypluć.

– Wypluć? Nie wiedziałem, że piranie to robią.

– Nieważne. Ale ledwie poleje się krew, a tacy jak Jost już się pojawiają. Czym to uzasadnił?

– Problemy z terminem – Liebler zaakcentował słowo „termin”.

– W takiej sprawie pirania nie zna innych terminów. Chce tylko zjeść, zanim sama nie zostanie pożarta. On coś knuje. Dlaczego akurat prasa miałaby nam dawać swobodę działania? Denerwuje mnie to. Czy porywacz znowu do niego dzwonił?

– Telefon jest na podsłuchu.

– Właściwie nie powinniśmy przejmować się Jostem.

– Jako jedyne miał kontakt z porywaczem. – Liebler nie odwracał od niej wzroku.

– Wybrał go? – Miriam upiła łyk wody.

– Może Jost był jedynym, który akurat siedział za biurkiem.

– Faktem jest, że z nim rozmawia. Musimy go zostawić na pokładzie. Przesuńmy w takim razie ten termin. Co zaproponował?

– Osiemnaście trzydzieści. – Liebler spojrzął na zegarek.

– Czyli tuż przed głównym wydaniem wiadomości. Ma wycucie dramatyzmu. Może mu pan powiedzieć, że się zgadzam. Do tego czasu niech pan przygotuje listę wszystkiego, co wiemy. Około osiemnastej omówimy, jakie przynęty rzucimy naszej piranii.

Liebler skinął głową.

– Co z Oliverem Winklerem?

– Dajmy mu jeszcze dziesięć minut na uspokojenie.

Miriam zastała Denise w łóżku Frederika. Gdy wchodziła do pokoju, Denise usiadła. Najwyraźniej oplucie męża wyszło jej na dobre. Już nie była taka blada.

– Jak się czujesz?

– Ani na sekundę nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

- Znajdziemy go. Na pewno.
- Czegoś takiego nie możesz obiecać.
- Nie – odparła Miriam. – Ale dotrzymuję swoich przyrzeczeń.

Zawsze tak było. Miriam brała na siebie odpowiedzialność. W tych kwestiach była jak odkurzacz o mocy 1400 watów. Nic nie uchodziło przed jej poczuciem odpowiedzialności. Jej zmysł sprawiedliwości był wydajniejszy niż Mr Proper.

Kto jej to kiedyś wytknął?

- Czy to nie absurdalne? – ciągnęła Denise. – Porwanie nie zbliża nas, tylko oddala.
- To zrozumiałe, że jesteś wściekła. Potrzebowałaś męża, a jego przy tobie nie było.

– Jak on mógł zaginać, skoro dopiero co tu był? – spytała Denise. – Do spotkania z Danielem miał tylko kilka minut. Mogłam patrzeć przez okno, aż dojdzie do rogu. Albo go tam odprowadzić. Pięć minut. Nie znalazłam dla niego nawet pięciu minut.

– Nie powinnaś się za to obwiniać. Istnieje ktoś, kto popełnił to przestępstwo. Dorwę go. Wiesz co, jestem dobra w swoim zawodzie. Wielu mówi nawet, że najlepsza.

– Jeżeli już nigdy nie będę mogła przytulić swojego dziecka, będę jak pchła. Będę tylko pełznąć przez życie. Co mogę zrobić? Muszę przecież coś zrobić.

– W żadnym razie – odparła Miriam niewzruszenie – nie powinnaś opluwać ważnych świadków. Gdybyś była jedną z moich funkcjonariuszek, miałabyś już w kieszeni upomnienie. Cholera. Denise, tym razem nie chodzi o ciebie, lecz tylko i wyłącznie o Frederika. O twoją rodzinę. Zdjęcie twojego dziadka. Rozumiesz, to nie jest pomyłka. I nie zabawa. Ktoś naprawdę nie żartuje. – Postukała palcem wskazującym w czoło Denise. – Musisz się zastanowić. Pomyśleć, co porywacz chce nam przez to zdjęcie powiedzieć.

- Nie zmieniłaś się – odpowiedziała Denise. – Zawsze to potrafiłaś.
- Co?
- Odsuwać uczucia na bok, na rzecz jakiejś pozornej sprawiedliwości. Ten zarzut ugodził Miriam do żywego. Milczała jednak.
- Muszę stąd wyjść! – powiedziała Denise.
- Lepiej odpocznij.
- Muszę pobiegać, w przeciwnym razie eksploduję.
- Mam wysłać z tobą policjanta?
- Nie, poradzę sobie sama.

Miriam nie przeszkadzała Denise w wyjściu z domu. Świeże powietrze dobrze jej robi, a jeżeli to prawda, że maraton ładował baterie na nowo, tym lepiej: energia przyda się Denise w najbliższych dniach.

W pokoju dziennym zastała Olivera Winklera siedzącego z założonymi nogami na kanapie.

– To zrozumiałe, że z powodu tego porwania mojej żonie puszczają nerwy. Jej psychika jest niestety bardzo chwiejna. Zbyt wrażliwa. – Cała jego postawa tchnęła taką arogancją, że Miriam z trudem powstrzymywała się od zbesztania go. To on reagował nienormalnie, nie Denise.

Także Liebler, który stał przy oknie, zdumiony uniósł brwi, słysząc tę uwagę.

- Uprowadzono pańskiego syna – powiedział. – Czy to pana nie porusza?
- Nie mam w obowiązku informować państwa o swoich odczuciach.

Liebler podszedł trzy kroki w kierunku Olivera Winklera. Już samym wzrostem dominował w pomieszczeniu. Nachylił się. Winkler odruchowo się cofnął.

– A zatem w stronę poleciał pan do Hongkongu? Opłaciło się?

– Nie. – Winkler nagle zareagował zdenerwowaniem. Jego dłonie podciągnęły do góry węzeł

krawata. – Jak pan zresztą wie, nie miałem czasu zawrzeć umowy.

– Która jest ważna.

– Tak.

– Dlaczego po prostu nie wyjaśnił pan partnerom biznesowym, co się stało? Każdy by to zrozumiał. Chińczycy też mają teściowe i dzieci, które kochają.

– Chińczycy chcą mieć silnego partnera – odparł Oliver Winkler. – Jeśli usłyszą, że Henrieta, do której należało sześćdziesiąt procent naszego przedsiębiorstwa, została zamordowana, zorientują się, że przez najbliższe miesiące czekają nas kłopoty. Nie znamy testamentu, a Henrieta, no cóż, bywała w tych sprawach nieobliczalna. Zawsze chciała trzymać w ręku wszystkie sznurki. Do samego końca.

– Do samego końca – skinął głową Liebler. – I od początku.

Komisarz krążył teraz dookoła krzesła, na którym siedział Winkler. Jakby szedł wzdłuż granic, które wytyczył wokół siebie ten człowiek. Jakby szukał dziury w płocie.

– Kocha pan syna? – Liebler gwałtownie się zatrzymał.

– Oczywiście – odparł gniewnie Winkler.

– Kiedy widział pan go po raz ostatni?

Wahanie.

– Chyba tydzień temu. Firma mnie bardzo absorbuje.

– Czy pański syn jest łekliwym dzieckiem? Czy raczej pewnym siebie? – zapytał Liebler.

– Według mnie jest zbyt wrażliwy. Moja żona za bardzo się z nim cacka.

– Czy może pan sobie wyobrazić, że wsiadłby z kimś obcym do samochodu?

– Nie. – Poruszył dłonią w obronnym geście. – Czegoś takiego nigdy by nie zrobił. Zawsze powtarzaliśmy mu, że to niebezpieczne.

– Ale to zrobił.

– Nie mogę sobie tego wyobrazić. Pewnie został zmuszony.

Pocierał ręką prawą skroń, tam gdzie wylądowała ślina Denise.

– Nie ma sensu panikować. Nie sądzę, że państwo tego chcą. Wystarczy już, że Denise...

Ostatecznie, ktoś przecież musi zachować spokój.

– Kiedy po raz ostatni widział pan Henrietę Winkler?

Wahanie tylko przez chwilę.

– Telefonowaliśmy do siebie przed moim wyjazdem. Musieliśmy omówić kilka spraw dotyczących umowy.

Liebler podał Oliverowi Winklerowi fotografię.

– Porywacz przysłał nam to. Czy to zdjęcie coś panu mówi?

Winkler wziął fotkę do ręki, krótko rzucił na nie okiem i oddał.

– To Oskar, dziadek Denise.

– Jakim był człowiekiem?

– Co mam powiedzieć? Dla mnie był wzorem, autorytetem. Nie mogłem tego pojąć, gdy kilka lat temu umarł. Podziwiałem go – oznajmił i dodał: – tak jak Henrietę.

– Dlaczego? – zapytał Liebler i ponownie uniósł brwi.

Miriam pomyślała, że odpowiedź jest oczywista. Trudno nie podziwiać kogoś, kto miał pieniądze, wpływy, kto odnosił sukcesy. Nawet jeżeli się go nienawdziło, pozostawał jeszcze cichy podziw. Taka była zasada władzy. Sprawdzala się nawet wtedy, gdy jej nadużywano.

– Bo chcieli wszystkiego – odparł jednak Winkler. – Bo odbudowywali powojenne Niemcy. Bo mieli wizję. Bo ciężko pracowali.

– Jaki jest związek pomiędzy nim a porwaniem pańskiego syna?

– A skąd ja mam wiedzieć? Był dziadkiem mojej żony, a nie moim.

– O co chodzi w tym projekcie w Hongkongu?

Oliver Winkler na krótko się wyprostował, co było oznaką odzyskania pewności siebie.

– O budowę hotelu.

– Budują państwo hotel?

– Nie – potrząsnął głową. – Zajmujemy się planowaniem i kierowaniem budowy. Wykonanie powierzamy firmom podwykonawczym.

– Dlaczego Chińczycy sami tego nie robią?

– Mamy więcej doświadczenia w dużych projektach, inwestujemy.

– Zapomina pan o chińskim murze – wtrąciła Miriam.

Oliver Winkler rzucił jej zniecierpliwione spojrzenie.

Liebler uśmiechnął się.

– Robicie też remonty?

– To zależy.

– Odziedziczyłem dom, który jest w złym stanie, ale ma wspaniałą lokalizację.

– Jak duży?

– Około dwustu pięćdziesięciu metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej i tysiąc metrów kwadratowych posesji. W Grazu. Świetnie położony, ale, jak już wspominałem, w złym stanie.

Winkler wyjął z portfela wizytówkę.

– Niech pan do mnie zadzwoni. Mogę się temu przyjrzeć.

– Czyli działacie na arenie międzynarodowej – stwierdził Liebler.

– Mamy projekty w Moskwie, Pradze, Hongkongu, Szanghaju. Wschód i Azja, to tam są nasi klienci. Tam też będzie się w najbliższych latach inwestować.

– Tym wszystkim zarządzacie z Frankfurtu?

– Jeszcze tak, ale w przyszłości to się zmieni. Doświadczenie pokazuje, że dobrze jest, jeżeli przedsiębiorstwo ma biura w danych miastach. Większość z tych projektów trwa dłużej niż rok. Wtedy opłaca się wydelegować ludzi, którzy będą na miejscu.

– Jak wyglądają finanse? – zapytał Liebler. – Słyszałem, że w ubiegłym roku mieliście trochę problemów.

Twarz Winklera, która podczas rozmowy o firmie przed kilkoma minutami lekko się odprężyła, teraz znów zmieniła się w maskę. Kości policzkowe uwydatniły się niczym linie graniczne. Czy charakter mógł kształtować kości?

– Chce pan się dowiedzieć, czy jestem w stanie zapłacić okup?

– Okup? – spytał Liebler. – Nie ma żądania okupu.

– Ale się pojawi, prawda?

– Skąd pan to wie?

– Zawsze przecież tak jest – odparł Winkler. Zupełnie, jakby tylko musiał zapłacić, by odzyskać syna. Czy to było powodem tego emocjonalnego zdystansowania? Czy porwanie stanowiło dla niego projekt, który musiał przeprowadzić?

– Potrzebujemy dokładnego zestawienia wszystkich kontaktów – powiedziała Miriam – które miał pan od chwili wyjazdu do Hongkongu, jak również listę wszystkich osób, z którymi prowadzi pan interesy, oraz listę wszystkich znajomych i krewnych. Interesują nas zwłaszcza ludzie, których poznał pan w ostatnim czasie. Ludzie, których musiał pan zwolnić, którzy mają powody, by państwu zaszkodzić, którzy dziwnie się zachowują, których nazwałby pan swoimi wrogami, którym winien jest pan pieniądze albo przysługę. Człowiek dzwoniący mówił z akcentem. Proszę więc również o listę wszystkich osób kontaktowych na tych wszystkich ciekawych budowach, o których pan wspominał.

– Wymaga pani, żebym wykonał waszą pracę.

– Dokładnie tak – odrzekł Liebler. – A wie pan, dlaczego? Bo to pańskiego syna porwano, a nie naszego. – Tu wskazał na siebie i na Miriam.

Było to intymniejsze niż wszystko, czego Miriam dotychczas doświadczyła z jakimkolwiek mężczyzną. Tak blisko niej nikt jeszcze nie dotarł.

Miriam siedziała w biurze i nieruchomo patrzyła w okno. Jak długo już tak siedziała? Nie miała pojęcia. Zdała sobie sprawę z tego, gdzie jest, dopiero gdy zadzwoniła komórka. Na wyświetlaczu dostrzegła numer Lieblera.

- Co tam?
- Mam gorącą pizzę – powiedział na powitanie. – Może pani do mnie dołączyć?
- A co z Fischerem?
- On ma kogoś, kto mu gotuje, więc o wpół do siódmej przyjdzie do prezydium najedzony i zadowolony.
- Jest już wpół do szóstej. Trochę mało czasu na posiłek w restauracji.
- To nie restauracja, tylko raczej bar szybkiej obsługi – powiedział Liebler. – Ale wino mogę dla pani zamówić.
- Odważa się pan pić alkohol przed konferencją prasową?
- Potrzebuję kogoś, kto mnie przed tym powstrzyma. W takim razie do zobaczenia za dziesięć minut.

Miriam miała kłopot, by znaleźć miejsce parkingowe w pobliżu baru szybkiej obsługi w dzielnicy Bockenheim. Trwał semestr. Grupy młodych ludzi przechodziły przez ulicę, nie zwracając uwagi na ruch. Dzielnica przystosowała się do uniwersytetu. Były tu księgarnie, punkty ksero i lokale gastronomiczne, w których można było przekąsić na stojąco.

Zaparkowała samochód przed Muzeum Historii Naturalnej. Plakat informował, że tyranozaur w tym roku obchodzi setne urodziny i że dzieci powinny ślać mu kartki urodzinowe na adres: Tyranozaur, Senckenberganlage 25, 60325 Frankfurt nad Menem. Za wielkimi oknami mieszkały wypchane ptaki i ryby w formalinie, skóry obsypane proszkiem przeciw molom. Archiwum Darwina. Zawsze bała się tego muzeum, bo zawsze przerażała ją przyroda. Wydawało się, że w tych wszystkich eksponatach pozostał jakiś cień. Cień z epoki tyranozaura.

Na zewnątrz toczyła się właśnie jedna z frankfurckich bitew w błocie: wieczorny ruch uliczny. Woda lała się nie tylko z góry, lecz także ze studzienek ściekowych. Miriam, przechodząc przez ulicę, zmokła w ciągu sekundy. Podniosła ramiona i schowała brodę w sztucznym futrze kołnierza płaszcza. Podeszwy krokodylowych kozaków chlupotały w wodzie płynącej po mokrym bruku. Każdy krok brzmiał tak, jakby żaby jedna za drugą wskakiwały do jakiegoś zatechłego bajorka.

Gdy go dostrzegła, Liebler wgrzyzał się akurat w kawałek tłustej pizzy. Przed nim stał kieliszek wina. Postawiła torbę na brudnej podłodze. Pachniało olejem i pomidorami.

- Grzaniec – oznajmił – żeby nie marznąć. Co mam dla pani zamówić?
- Colę light i pizzę margheritę.
- Czy to nie jest podstawowa wersja pizzy?

Pomógł jej zdjąć płaszcz, przewiesił go na oparciu krzesła i złożył dla niej zamówienie.

- Co pan tam ma? – zapytała, wskazując na stertę akt.

Liebler uniósł pierwszą stronę teczki:

- Kilka informacji o firmie Winklerbau.

– Jest coś ciekawego?

– Przedsiębiorstwo istnieje od tysiąc osiemset czterdziestego dziewiątego roku, a pierwszy rozkwit przeżyło wraz z rozwojem kolei żelaznej. Dostarczało wtedy drewniane podkłady pod szyny w całej Europie. Dopiero potem przyszedł czas na zlecenia w budownictwie.

Po sporym łyku grzanego wina ciągnął dalej:

– W latach dwudziestych było o krok od ogłoszenia upadłości, ale od tysiąc dziewięćset trzydziestego znowu nastąpił dynamiczny rozwój. Po wojnie kolejny wzlot. Nic dziwnego, Frankfurt leżał przecież w gruzach. Obecnie przedsiębiorstwu daje się we znaki konkurencja ze wschodu i recesja w budownictwie. Tylko dzięki sprzedaży firm budowlanych udało im się uniknąć upadłości w ubiegłym roku. Firma koncentruje się teraz na planowaniu i realizacji projektów zagranicznych. Bilans ostatniego roku po raz pierwszy znów wykazał zyski.

– Oliver Winkler tak po prostu dał wam do ręki bilans?

– Nie! Carl Winkler. Opowiedział nam też, że to Denise miała przejąć kierowanie firmą. Oliver był do narodzin Frederika zatrudniony jedynie na stanowisku architekta, ale potem Denise wycofała się z biznesu.

– Zapewne było to po myśli jej męża.

– Nie lubi go pani.

– A pan?

– Odczuwanie sympatii czy antypatii nie pomaga w prowadzeniu śledztwa.

– Uważa pan, że zatraciłam obiektywizm? – przerwała mu.

– Jest pani o krok od tego. Za bardzo się pani w tę sprawę angażuje...

Miriam chciała coś powiedzieć, ale Liebler podniósł ręce w obronnym geście.

– Wiem, wiem. Jest pani królową dochodzeń. Ale czy nie ma pani jakiegoś hobby, które pozwalałoby oderwać się od pracy?

Komisarz wytarł usta serwetką.

– Czy z pańskimi ludźmi poradzicie sobie z tym wszystkim?

– Chce mi pani znowu zagrozić wsparciem z urzędu kryminalnego?

– Jeżeli dacie radę sami, też będzie mi to odpowiadać.

– Skoro już pani koniecznie chce, niech pani znajdzie kogoś, kto odciąży ludzi od zabezpieczania śladów. Przez całą dobę zajmują się analizami i są kompletnie sfrustrowani.

– Dlaczego?

– Bo nic nie prowadzi ich dalej. Sprawca wszędzie zostawił ślady, ale żaden z nich nie naprowadza na niego.

– A komórka?

– Wyłączona.

– O portretach Chopina nie będziemy nic mówić – oznajmiła Miriam. – Dopóki nie wyjaśni się, jak Winklerowie weszli w ich posiadanie, nic nie powinno przedostać się do wiadomości publicznej.

– Mamy szczęście, że prasa do tej pory jeszcze się o tym nie zwiędziała.

– Co z gospożą?

– Dzwoniłam do niej i na marginesie wspomniałam, że szukamy prywatnych zdjęć. Zapytałam, czy wie, gdzie mogą być.

– I co odpowiedziała?

– Że jest w szoku, zaraz potem wybuchnęła płaczem. Zadzwoiłam do jej lekarza domowego. Potwierdził to. I co tu zrobić?

Pizza Miriam była gotowa, a talerz Lieblera pusty. Jego szeroka dłoń sięgnęła do kieszeni na piersi koszuli i wydobyła z niej paczkę papierosów. Wysunął jednego, nie przejmując się posta-

nowieniami Miriam. Prokurator skoncentrowała się więc na pizzy, która była już pokrojona na kawałki.

Liebler zapalił zapalniczkę i przyłożył ją do papierosa.

– Aha, mamy go – powiedział i zaciągnął się.

Miriam popatrzyła na niego, nic nie rozumiejąc i trzymając w palcach gorący kawałek pizzy.

Kogo mieli?

Porywacza?

Ledwie się na chwilę odwróciła, a już go dorwali?

Już po wszystkim?

Czy może Liebler mówił jedynie o podejrzeniu? Ale czyż nie powiedział, że ślady do niczego ich nie zaprowadziły? Poza tym, że pęczniały akta sprawy?

Gorący kawałek pizzy wyslizgnął się z jej dłoni i wylądował na stole.

– Kogo?

– Tego mężczyznę na zdjęciu.

Głębokie rozczarowanie i wielka ulga. Absurdalność uczuć. To oczywiste, że jeszcze nie było po wszystkim. To zakrawałoby na cud, a w pracy prokuratora jeszcze nigdy nie miała do czynienia z cudem.

– Przez chwilę myślałam, że już naprawdę po wszystkim, że znaleźliście Frederika.

– Czy sądzi pani, że wtedy siedziałbym w barze szybkiej obsługi przy tej lurze z taniego jabola?

– Kto go zidentyfikował?

– Historyk, do którego zwróciliśmy się o ekspertyzę.

– Historyk?

– To był pomysł Christiana Fuchsa, bo fotografia pochodzi najwyraźniej z lat czterdziestych.

Lepiej jednak, żebyśmy jeszcze raz się upewnili, bo jeśli to prawda, musimy brać pod uwagę konsekwencje. Szykuje się nam niezły skandal.

– Skandalu – podkreśliła Miriam – akurat najmniej nam potrzeba. Kim więc jest ten mężczyzna?

Udo Jost nie spuszczał komórki z oczu.

Rozwiązał pierwsze zadanie.

Teraz kolej na ruch nieznanego.

Pytanie tylko, czy Singer i spółka doszli do tego samego wyniku.

Szybkim krokiem szedł z parkingu do wejścia gmachu prezydium policji. Ale będzie numer, gdy uda mu się odpalić tę bombę. Musiał jednak zachować spokój. Spokój przede wszystkim. Nie mógł sobie pozwolić na ani jeden błąd w dramaturgii.

Odruchowo zwolnił, by ostatecznie przy wejściu sprawiać wrażenie ewidentnie znudzonego. Recepcjonistka miała tyle wdzięku co gmach prezydium. Biała bluzka z ostrym jak brzytwa kołnierzykiem wystającym spod ciemnoszarego kostiumu.

– Udo Jost.

– Ach tak, pan Jost.

Czyżby w jej głosie usłyszał nutę szacunku?

– Proszę pokazać swoją legitymację dziennikarską. Rozumie pan, czysta rutyna.

Nawet nie przyjrzała się dokumentowi.

– W prawo, a potem piętro niżej do piwnicy.

Szum barierek rozległ się, zanim zdążył przed nią stanąć.

Władza to przyjemne uczucie. Otwierała drzwi.

W pomieszczeniu tłoczyli się dziennikarze. Siedzieli nawet na podłodze. Ledwie starczało miejsca dla kamer telewizyjnych. Sztuczne oświetlenie rozgrzewało powietrze. Jost poczuł, że oblewa się potem.

Tylko żadnego pocenia się.

Zachowaj zimną krew.

To ty pociągasz za sznurki.

Podczas zebrania w redakcji Tobler posadził go na krześle obok siebie, by zaraz potem poinformować kolegów, że praca Josta ma priorytet.

Teraz zatem on, Jost, nadawał ton. Rozdzielał zlecenia. Wydawał polecenia Ramonie Neuberger. Wykonała naprawdę dobrą robotę, powiększając zdjęcie tak, że drugi mężczyzna obok Oskara Winklera stał się wyraźnie widoczny. Ale to on wskazał właściwy kierunek. Wiedział, gdzie szukać. Po prostu czuł to.

Próbował odsunąć na bok emocje. Ostatecznie ćwiczył przeciw swoje wystąpienie.

Miriam Singer w towarzystwie Henriego Lieblera i Rona Fischera. Żelazna dama bez togi nawet w połowie nie wyglądała na tak żelazną.

Była wysoka i, jak na jego gust, za chuda. A te włosy! Skołtunione loki, które skrzyła w pozbawiony gustu kok. To mogło świadczyć o nieśmiałości. Znał się na tym. Potrafił klasyfikować kobiety według stopnia emanowania seksualnością.

Nie chodziło przy tym o seksapil. Seksapil był sztuczny. Nie, tu chodziło o sygnały gotowości. Potrafił je wywachać. Okej, zmysł powonienia w ostatnich miesiącach nieco mu się pogorszył, ale, jeśli się nie mylił, sposób, w jaki Ramona Neuberger nachyliła się dziś nad jego ramieniem, był czymś w rodzaju propozycji. Co najmniej siedem w dziesięciostopniowej skali seksualnej gotowości.

Żelazna dama? Taksował ją kątem oka. Minus dwa. Głośno się roześmiał. Cała trójka popatrzyła na niego nieufnie. Potem w milczeniu usiedli. Znał tę grę. Często w nią grywał, chociaż rzadko kiedy kończyła się dla niego wygraną. Reguły nie bywały bowiem takie, żeby mógł wygrywać. Miał nadzieję, że dziś będzie inaczej.

Konferencję prasową rozpoczął Ron Fischer. Zaczął od wyników śledztwa w sprawie morderstwa Henriety Winkler. Niewiele tego było. Sprawca został wpuszczony do mieszkania, przetrząsnął szafy, zaciągnął ofiarę na taras, oblał ją wodą i pozwolił umrzeć. Nowością była informacja, że zapłacił za wynajęty samochód kartą kredytową Henriety Winkler. Dziennikarze pilnie wszystko notowali, chociaż większość faktów i tak już do nich nieoficjalnie dotarła. Nieliczne pytania, które skierowano do Fischera, dało się przewidzieć. Dużo śladów. Są na dobrej drodze. Sprawdzają wszystko i prowadzą wielotorowe dochodzenie.

Potem mikrofon powędrował do rąk Lieblera. Im dłużej komisarz mówił, tym większej pewności nabierał Udo Jost: nie posunęli się do przodu ani o krok. Nie zidentyfikowali mężczyzny na zdjęciu. Pracowali byle jak. Ta zagadka nie była przecież taka trudna. Ten człowiek był znany. Każdy, kto interesował się niemiecką historią, musiał go znać. Owszem, na fotografii widać go tylko z profilu. Ale w tle jest przecież jeszcze miasto.

Podczas gdy kolega zadawał pytanie przygotowane przez Josta, on sam siedział nieruchomo i starał się powstrzymać od udziału w dyskusji.

– Czy nie można namierzyć telefonu komórkowego?

– Nie ma kontaktu. Przyпускаjemy, że wyjął baterię z aparatu.

Miriam Singer przejęła mikrofon. Była zdenerwowana. Bez przerwy wysuwała do przodu to jedną, to drugą nogę. Od bioder w górę stanowiła uosobienie pewności siebie, ale pod stołem wyraźnie emanowała nerwowością. Czuł, że miała go na oku. Jeżeli przeczuwała, jakie miał zamiary, błędem byłoby, gdyby go nie uprzedziła.

– Intensywnie nad tym pracujemy. Mamy już wiele cennych wskazówek. Również od państwa, czyli od mediów, za co jesteśmy wdzięczni. Informacje te muszą jednak jeszcze zostać sprawdzone. Rozumieją chyba państwo, że nie będziemy prezentowali tych wyników dochodzenia, co do których nie mamy jeszcze stuprocentowej pewności.

– Dziewięćdziesiąt osiem procent w zupełności wystarczy! – wtrącił dziennikarz prasowy.

W pomieszczeniu rozległ się aprobujący śmiech.

– Oczywiście, rozumiem – uśmiechnęła się Miriam – ale ja nie mogę na tym poprzestać. Dla tego muszę niestety prosić państwa o cierpliwość. Sądzę, że jutro będę mogła powiedzieć więcej. Gdy tylko będzie coś nowego, natychmiast skontaktujemy się z państwem. Proszę jednak zrozumieć, w chwili obecnej nie możemy nic więcej powiedzieć. Mamy jednak nadzieję, że porywacz wkrótce się odezwie.

– Pojawiają się pogłoski, że może chodzić o kogoś, kogo firma Winkler zwolniła w ramach ubiegłorocznej restrukturyzacji. Czyli o akt zemsty – odezwał się Philipp Roosen, mąż policyjnej psycholog Hanny Roosen.

– Proszę zrozumieć, nie możemy nic na ten temat powiedzieć.

– Jak zamierzają państwo znaleźć chłopca? Mija drugi dzień, odkąd zaginął. Ryzyko wzrasta z każdą godziną – w głosie Ramony Neuberger pobrzmiwała prowokująca nutka.

– Dziękujemy za uwagę.

Prokurator gwałtownie wstała, uderzając przy tym kolanem w stół. Na jej twarzy nie pojawił się jednak żaden grymas. Spieszno jej było do opuszczenia sali.

Dziennikarze zaczęli się pakować. Jost usłyszał pomruki niezadowolenia i narzekanie na stratę czasu.

Intuicyjnie wiedział, czego chce od niego porywacz. Z jednego jedyne go powodu. Bo sam

też identycznie by działał. Genialna metoda. To była współpraca, która sprawiała przyjemność. Nie myślał o dziecku, które tamten mężczyzna przetrzymywał.

– Jeszcze jedno pytanie. – Powoli podniósł się z miejsca.

Momentalnie zapadła cisza.

Uwagę publiczności miał teraz po swojej stronie.

Żelazna dama powoli się odwróciła.

Pogarda. Oto, co wysyłała pod jego adresem. Pachniała pogardą. Nie dla niego, lecz dla całej jego płci. Krótka spódniczka, którą nosiła, była tylko atrapą. Zwyczajnym eksperymentem. Czy stała teorią. Pod tę czarną spódnicę dawno już nikt nie sięgał. Nie, żeby on sam odczuwał taką potrzebę.

– Pan Jost? – usłyszał głos Lieblera, który wysunął się przed prokuratorkę, jakby chciał ją osłonić. – Co możemy dla pana zrobić?

– Czy naprawdę chcą nam państwo wmówić, że nie rozpoznaliście tego drugiego człowieka? – zapytał głośno Jost.

Cisza jak makiem zasiał.

– Jednego z największych zbrodniarzy w historii Niemiec?

Zręcznie wybrał moment. Kamery telewizyjne natychmiast skierowały się na niego. Rozbłysły flesze. Podetknięto mu pod brodę mikrofony.

Teraz Miriam Singer całkowicie odwróciła się w jego stronę, zdawała się jednak nie mieć zamiaru wracać na swoje miejsce. Za minutę na pewno będzie musiała usiąść.

– Czy może nic nie mówi państwu nazwisko Frank? Hans Frank.

Żelazna dama wiedziała. Kąciki jej ust drgnęły. Wiedziała, kim był mężczyzna na zdjęciu, i myślała, że może zataić to przed prasą. Nie zamierzała z nim współpracować, chociaż porywacz powiedział: „Jest pan moim człowiekiem”.

Teraz milczała. Jasne, nie chciała stracić twarzy.

Dlatego szybko dodał:

– Rzeźnik Polski.

Z zadowoleniem stwierdził, że koledzy ponownie zajmują miejsca.

Atmosfera w pomieszczeniu zagęściła się. Wspólnie z Fischerem i Lieblerem Miriam próbowała zbagatelizować sprawę.

Tak, owszem, oni również zidentyfikowali Hansa Franka. Nie byli przecież nowicjuszami w swoim fachu, prosili jednak o zrozumienie, o współpracę. Tutaj chodziło o ludzkie życie, a nie o sprawę polityczną. Oświadczyli, że muszą najpierw sprawdzić autentyczność fotografii. Nie mogą tak jak media po prostu coś stwierdzać. Musieli gromadzić dowody, a to wymagało czasu.

– Sprawca chce tym zdjęciem prowokować – oznajmiła Miriam i żałowała, że nie ma przy sobie okularów.

– Może on chce tylko coś wyjaśnić? – krzyknął Jost. Był nie tylko osobą kontaktową porywacza, lecz również jego obrońcą.

– Nie chcemy żadnych objaśnień ze strony porywacza, tylko jego żądań, żeby móc zareagować. On nie daje nam szansy. Nie daje szansy rodzinie. O cokolwiek chodzi z tym zdjęciem, Frederik Winkler nie ma z tym nic wspólnego. To tylko siedmioletnie dziecko.

– Ale może akurat to jest żądaniem? – Podniósł się Roosen. – Porywacz domaga się, żebyśmy zajęli się rodziną Winklerów. Mężczyzna obok Hansa Franka jest pradziadkiem uprowadzonego chłopca. Fakt, że tu sfotografowano go u boku generalnego gubernatora Polski, pozwala wnioskować, że prowadził interesy z nazistami. Muszą państwo przyjąć, że porywacz nie chce zwyczajnie pieniędzy, lecz wyjaśnienia.

– To jednak nie pomaga nam w poszukiwaniach Frederika Winklera – odparła Miriam. – Musimy dowiedzieć się, gdzie jest dziecko, i jak zawsze trzymać się śladów, które mamy.

– A jeżeli rzeczywiście chodzi tylko o wyjaśnienie? – zapytał Roosen.

– Wciąż jeszcze mamy nadzieję – powiedział Liebler – że on wysunie żądanie okupu.

– Jakie kroki zamierzają państwo teraz podjąć? – padło kolejne pytanie z tłumu.

– Skoncentrujemy się na następujących punktach: znamy numer telefonu komórkowego, z którego dzwonił porywacz, i przypuszczamy, że na parkingu koło Kassel zmienił samochód. Prosimy państwa, abyście w waszych relacjach zaapelowali do społeczeństwa. Niemożliwe, żeby nikt tego nie widział. Chłopiec nie towarzyszył mu dobrowolnie.

– Gdzie jest matka? Czy zwróci się do porywacza? – zapytał Jost.

– W tej chwili nie jest w stanie tego zrobić – odpowiedziała Miriam.

– Jeżeli motyw sprawcy tkwi jednak w historii rodziny, mogłoby to pomóc. – Znowu ten Jost. Czy nikt nie mógłby mu zamknąć gęby?

– To wszystko spekulacje – oznajmiła Miriam – które nikomu nie przynoszą pożytku. Gorąco prosimy, aby państwo wyraźnie podkreślili, iż rodzina gotowa jest spełnić każde żądanie.

– Również wyciągnąć trupa z szafy, którego ukryła sześćdziesiąt lat temu? – spytał z uśmiechem Udo Jost. – Bo przecież to chce nam powiedzieć ta fotografia. Chyba nie oczekują państwo od nas, że o tym nie wspomnimy i że zamieciemy to pod dywan?

Odwrócił się do swoich kolegów.

– Hans Frank nie bez kozery nazywany był rzeźnikiem Polski i został skazany na śmierć. Ma na sumieniu tysiące ludzkich istnień.

– Jeżeli teraz rozdmuchają państwo ten temat, rozślwią tę postać na nowo. – Miriam z trudem zachowywała spokój.

– Co chce nam pani przez to zainsynuować, pani prokurator? – Po twarzy Udo Josta przemknął udany wyraz zdumienia. – Że pracujemy dla nazistów, bo przekazujemy prawdę? Czy pani w ogóle wie, kim był Hans Frank? Hitler osobiście mianował go generalnym gubernatorem południowej Polski. To tam znajdowały się Auschwitz i Birkenau. Frank zarządzał obławami, publiczne egzekucje, był odpowiedzialny za przymusowe deportacje, za getta, zamierzał uczynić z Polaków naród wyrobników, ograbiał Kraków i kraj z dzieł sztuki.

Zamilkł na krótką chwilę i z ironicznym uśmiechem dodał:

– Nie powinna pani ubierać się na czarno, jeżeli nie jest pani w stanie znieść prawdy. Nie służy to pani karnacji.

Miriam zacisnęła zęby. Musiała się opanować. Wszystko w niej krzychało, żeby zerwać się z krzesła i opuścić salę. Prawy kciuk wrzynał się w dłoń. Ból pomagał przyćmić wściekłość. Miriam nie była jednak tylko wzburzona, czuła się poniżona tym, że dała się wciągnąć w ten dialog z Jostem, że w ten sposób zdołał ją publicznie zaatakować.

Tego akurat nie potrzebowała.

Media powinny się cieszyć, że w ogóle z nimi rozmawia. Musiała im uświadomić, że wszyscy tutaj zdani są na jej łaskę.

Już była bliska tego, by głośno i dobitnie oznajmić, że wprowadzi zakaz rozpowszechniania informacji, gdy nagle Henri Liebler i Ron Fischer wstali.

– Koniec konferencji – powiedział Liebler. – Będziemy państwa informować na bieżąco.

Wszystko wymykało się spod kontroli. Miriam nie pozostało nic innego, jak podążyć za Fischerem, niczym nastoletnia delikwentka, którą musiano zaarrestować.

– Do cholery, nie chodzi o panią, o pani honor! – darł się w swoim gabinecie Fischer. – Tutaj chodzi o życie dziecka.

Liebler położył mu dłoń na ramieniu:

– Uspokój się, stary.

– Nie mogę się uspokoić. Ignorowanie, ot, co jest potrzebne temu Jostowi. Ignorowanie znaczy dla niego tyle, co kopniak w dupę. Nie wolno nam podchwytывать jego haseł i tym samym nadawać im znaczenia. W takich sytuacjach się przerywa. Nie my, tylko pani, pani prokurator. To pani zadanie. To pani prowadzi konferencję prasową. Mamy do przekazania określone informacje. Koniec, kropka. Potem oni mogą wyprawiać, co chcą. Ale więcej nie dostaną. Tak to działa. Z prasą się nie dyskutuje. A już w żadnym wypadku... – podszedł do krzesła, na którym siedziała Miriam – ...gdy chodzi o – tu jego głos odruchowo przycichł – narodowy socjalizm. Wtedy najlepiej zamilknąć. To temat tabu. Nie wie pani, ilu polityków musiało z tego powodu zejść ze sceny i przejść na emeryturę?

– Co za bzdury pan wygaduje! – Miriam wstała. – Tabu. Narodowy socjalizm. Co ja takiego powiedziałam?

– Że Jost rozsławi Hansa Franka, jeżeli o tym powie.

– Ale to przecież prawda. On konstruuje szaleńcze teorie. Już to widzę, jak w wiadomościach o dwudziestej pokażą zdjęcia, które mogą nie mieć nic wspólnego z tą sprawą.

– No i niech mu pani pozwoli skoczyć na złamanie karku. To właśnie jest dobre. Istne pole minowe. Jeden krok i bum, wylatuje pani w powietrze. Jost sam siebie załatwi, jeżeli będzie jechał na tym temacie. Wiem to z doświadczenia. Nie przeżył tego jeszcze nikt poza tym historykiem z ZDF. A jemu uchodzi to na sucho tylko dlatego, że skleja materiał wizualny z archiwum i podkłada autoryzowane państwowe teksty z podręczników niemieckiej historii, zatwierdzone na szczeblu ministerialnym.

– Hej, stary, zejź z orbity – odezwał się Liebler i zachęcająco uśmiechnął do Miriam: – On wcale nie to miał na myśli.

– A właśnie, że miałem! – ryknął Fischer i wybiegł z biura.

– Czy on ma rację? – zapytała Miriam.

– Obawiam się, że tak. Ale ja zawsze kieruję się dewizą, że na zmiatanie przyjdzie czas. Na razie zostawmy to potłuczone szkło, może przyniesie szczęście. Zanim jednak podejmie pani decyzję o ustąpieniu z urzędu, co – mam nadzieję – nie nastąpi, jedźmy do Carla Winklera i pogadajmy z nim raz jeszcze.

– A co z Fischerem?

– Niech sobie jedzie do domu i swoich bliźniaków. Wtedy powróci do rzeczywistości i będzie się musiał znowu skoncentrować na tym, co ważne.

– Ważne jest, żebyśmy znaleźli Frederika Winklera – stwierdziła Miriam.

– Boże, nareszcie załapała – powiedział Liebler. – A w ogóle, to lubi pani piłkę nożną?

We śnie Denise widziała niebo zasnuwane kłębam dymu. Czowała żar, usłyszała skwierczenie, gdy materiał zajął się ogniem. Zrozpaczona próbowała oderwać od siebie dziecko. Wypuściła dłoń Frederika. Po prostu ją wypuściła i zbyt późno dostrzegła, że z jego ust unosił się dym. Zafascynowany stał i wpatrywał się w płomień, które go osaczały i coraz szybciej pochłaniały, aż zupełnie znikł.

Musiała się zdecydować. Włożyła rękę w ogień. Nie poczuła bólu. Pożoga wewnętrznie ją wypaliła. Została już tylko powłoka ze skóry. Pofrunęła przez ogień niczym strzępek żaru.

Denise obudziła się zlnana potem. Oddychała z trudem. W pokoju było zupełnie ciemno, potrzebowała trochę czasu, żeby uświadomić sobie, gdzie się znajduje. Była w pokoju Frederika, leżała w jego łóżku.

Co się z nią działo? Kiedy to wszystko się zaczęło?

Przyszło jej na myśl, że istniała destrukcja, która nie uwidacznia się na zewnątrz i prowadzi do tego, że chodzi tylko o przeżycie, albo nawet i nie o to. Być może maraton nie oznaczał siły, tylko jedynie próbę ucieczki. Uciekała przez całe życie.

Rzuciła okiem na zegarek. Jedenasta. Zupełnie straciła poczucie czasu, który podczas tego czekania nie dłużył się jak zwykle, a wręcz przeciwnie – gnał do przodu.

Rzeźnik Polski i jej dziadek na twierdzy w Krakowie. Denise słuchała, jak Miriam jej to tłumaczyła. I rozumiała, ale nie pojmowała.

A jej ojciec jak zwykle milczał. Dlaczego nigdy nie mogła na niego liczyć? Dlaczego nigdy nie był dla niej oparciem? Również teraz. Tak, możliwe, że nie miał pojęcia, co oznaczało to zdjęcie. Że nic nie wiedział o powiązaniach swojego ojca z Hansem Frankiem, generalnym gubernatorem Polski. Ale kiedy on w ogóle chciał wiedzieć? Nigdy. Taka była prawda, do cholery.

– Zdjęcie wykonano w Krakowie na Wawelu, na tak zwanej Baszcie Sandomierskiej – tłumaczył Liebler. – To wieża, w której Hans Frank mieszkał podczas okupacji Polski. Mało powiedziane mieszkał, on z Wawelu rządził, wiódł życie króla. W sali koronacyjnej obradował z SS. Tam zapadały decyzje o życiu milionów ludzi.

A co na to jej ojciec?

Wzruszył ramionami.

Czy nigdy się nie zastanawiał, co robili jego rodzice w czasie wojny? Cholera, jego obowiązkiem było o to wypytywać.

Denise wyłączyła światło. Ogień natychmiast powrócił. Psycholożka tłumaczyła, że jedyne, co zawsze funkcjonuje, nawet w pasywnym trybie czuwania, to podświadomość. Jest jak archiwum bez żadnego porządku. Wspomnienie wprowadza psychikę w chaos emocji i przeżyć, splatając je w historię.

Jakże mogła o tym zapomnieć.

Centrum handlowe było jednym z pierwszych międzynarodowych projektów, które Oliver pozyskał dla siebie. Bardzo prestiżowy obiekt z ponad dziesięćmi tysiącami metrów kwadratowych powierzchni sprzedaży i wspaniałym widokiem na Wawel i Wisłę.

Wawel. Wawel. Rezydencja rzeźnika Polski, który nazywał się tak niepozornie – Hans Frank. Który na zdjęciu sprawiał wrażenie łagodnego. Wręcz pogodnego. Tak jak jej dziadek. Na jego odpowiedzialność jednak mordowano ludzi. Dzieci. Matki.

Mordowanie było częścią jego myślenia, jego chleba powszedniego. W jego mózgu istniały synapsy kojarzące mord z dziećmi. Pokrętne okrucieństwa jego świadomości. I fakt, że go za te zbrodnie powieszono, wcale nie pocieszało.

Dokładnie sześć miesięcy temu Oliver, Frederik i Denise byli w Krakowie. Ich hotel znajdował się w samym centrum, zaledwie minutę od Rynku, pośród zgiełku miasta, którego serce prawie nie zmieniło się od czasów średniowiecza. Pierwszego wieczoru prezydent Krakowa zaprosił ich do jednej z najlepszych restauracji w mieście. Pochlebiał Oliverowi. Była też prasa. W gazetach ukazały się artykuły. Oliver czuł się jak dobroczyńca. Widziała to w protekcyjnym wyrazie jego twarzy.

Następnego dnia stał w łazience i się golił, tymczasem ona zawiązywała krawat Frederikowi. Chłopiec pozwolił go sobie założyć jak smycz. Siedział nieruchomo, jakby ktoś powiedział „siad”.

Denise chciała pójść na piechotę, Oliver jednak zamówił taksówkę. Nie mógł przecież przyjść pieszo na uroczystość oficjalnego otwarcia. Taryfiarz, którego złote zęby połyskiwały w słońcu, już po kilku metrach zaoferował im butelkę wódki.

– Pięć euro – powiedział.

Kupiłaby ją, nawet jeśli nie piła alkoholu. Pomyślała zwyczajnie, że istnieje powód, dla którego sprzedawał w taksówce wódkę. Handel stanowił drugi filar jego bytu, bo z jednego nie mógł się utrzymać, a już na pewno wyżywić rodziny. Po minie Olivera zorientowała się, że absolutnie by tego nie zaakceptował. Nie było potrzeby, żeby kupować wódkę w taksówce. Uśmiechnęła się więc uprzejmie i potrząsnęła przecząco głową.

Frederik przez cały czas siedział sztywno obok niej. To był pierwszy raz, kiedy zabrali go na oficjalne spotkanie biznesowe. Denerwował się. Bez przerwy poprawiał krawat, tak jak Oliver, kiedy był czymś przejęty.

Mało brakowało, a Oliver nie usłyszałby dzwonka komórki, tak głośno wyły syreny nad miastem. Po wyrazie jego twarzy zorientowała się, że coś się stało.

– Zaraz tam będę – powiedział, zaciskając przy tym szczęki tak mocno, że linie kości ostro zarysowały się na policzkach.

Frederik, który przez cały czas gapił się przez okno, odwrócił się do ojca. Wyczuł, że coś było nie w porządku.

– Co się dzieje? – zapytał. Oliver jednak nie odpowiedział. Zamiast tego zwrócił się do taksówkarza i ponaglił po angielsku:

– More quickly, please.

Kierowca starał się jechać szybciej, ale na ulicy zaczął się tworzyć korek. Z tyłu słychać było syreny wielu wozów straży pożarnej. W samochodzie panowała cisza. Nikt się nie ruszał. Przez przednią szybę Denise widziała, jak czarny obłok dymu rozlewa się po niebie i z zawrotną szybkością tworzy czarny klosz otulający miasto.

Oliver wciąż jeszcze trzymał komórkę przy uchu. Twarz miał zlaną potem.

– Nie można szybciej? – warknął na taksówkarza, który w odpowiedzi wzruszył ramionami, sięgnął pod fotel i wyjął niebieskiego koguta, którego następnie umieścił na dachu. W parę sekund taksówka zmieniła się w cywilny patrol i za kilka minut dotarli na obrzeża dzielnicy, w której znajdowało się nowe centrum handlowe. Paliło się jasnym płomieniem. W odległości dwu-

stu metrów od budynku taksówkę zatrzymała policja. Drogę blokowały radiowozy i straż pożarna. Przed nimi zaś ściana ognia, z którą walczyli strażacy. Słyszeli nawoływania ludzi. Nadjeżdżało coraz więcej wozów do gaszenia pożaru. Wobec potęgi płomieni armatki wodne sprawiały wrażenie śmiesznych zabawek.

Taksówkarz napisał cenę na kartce. Jednak Oliver już wysiadł z samochodu. Przez okno Denise widziała, jak biegł w kierunku płonącego kompleksu budynków. Nie pamiętała, jak wysiadła i jak z Frederikiem dotarła do gmachu.

Była pełnia lata. Miała na sobie białą suknię z lnu, którą potem musiała wyrzucić, iskry powypalały w materiale czarne dziurki. Nikt jej nie zatrzymywał. Z powodu dymu ledwie była w stanie oddychać. Żar palił jej twarz, a ręce piekły, jakby położyła je na grillu. W powietrzu unosiły się kłęby dymu. Niebo przysłaniały strzępy żaru, które wyglądały jak ogromne płonące ptaki. Denise miała wręcz wrażenie, że słyszy trzepot ich skrzydeł, gdy wielkimi chmurami przemieszczały się nad Wisłę.

Nagle huk eksplozji. Strażacy biegiem oddalali się od budynku i coś do niej krzyczeli. Jeden z nich pociągnął ją za sobą.

Kątem oka widziała, jak włosy Frederika w blasku ognia skrzą się czerwienią.

– Biegnij – krzyczała – dasz radę!

Skinął głową, słyszała, jak sapie, biegnąc tuż obok niej i kurczowo trzymając ją za rękę.

Gdy rzuciła okiem przez ramię, zobaczyła, jak pękają szyby w fasadzie. Jedna po drugiej, niczym efekt domina.

To był koszmar.

Istne piekło.

Wydawało się, że płonie cała dzielnica.

Jak mogła o tym zapomnieć? Powinna była o tym pomyśleć już za pierwszym razem, gdy tylko padła nazwa Kraków. Co wydarzyło się potem? Denise próbowała sobie przypomnieć. Były problemy z ubezpieczeniem, chodziło o przyczyny pożaru. Więcej nie wiedziała.

Odnalazła wódkę na dnie zamrażalnika. Dlaczego ten taksówkarz na nich czekał? Czy to była ciekawość? Litość? Troska? Czy może zwykła polska przedsiębiorczość? Kierowca w każdym razie wysiadł i otworzył drzwi prowadzące na wysiedziane tylne fotele obite sztuczną skórą. Wsiadła i mocno przytuliła do siebie Frederika. Mężczyzna ponownie sięgnął pod fotel i wyciągnął wódkę. Ukryła ją przed Oliverem. Najpierw w walizce, potem w zamrażarce, do której na pewno nigdy nie zaglądał. Bez namysłu nałała sobie kieliszek.

Czy ten pożar był początkiem? Tak, miał znaczenie, chociaż jeszcze nie wiedziała jakie. Denise była pewna, że aby odnaleźć syna, musi podążyć tym śladem.

Sięgnęła po telefon komórkowy, ale w tej samej chwili uświadomiła sobie, że nie zapisała w nim numeru Miriam.

W korytarzu obydwoj policjanci pełnili wartę przy swych technicznych urządzeniach, najwyraźniej wyćwiczeni w spaniu na siedząco. Zaproponowała im wódkę, ale odmówili. Byli taktowni aż do granic niewidzialności i ignorowali jej dziwne zachowanie.

– Mają panowie numer pani Singer? – zapytała, a gdy już go dostała, rzekła: – Poza tym będzie mi potrzebne przekierowanie połączeń telefonicznych.

Mazurek Chopina wyrwał Miriam ze snu. Położyła się do łóżka śmiertelnie zmęczona po bezskutecznej próbie obejrzenia do końca audycji o książkach. W którymś momencie prowadząca program zaczęła działać jej na nerwy. Jej wywody sprawiały na niej w półśnie wrażenie kazania uporczywym napastowaniem w kwestiach gustu, nieznośnym, umoralniającym szumem w uszach. A miłość była wciąż opisywana tak nienaturalnie, jakby chodziło o chorobę. O dolegliwości cielesne. Jak tu żyć, skoro nawet miłość nie niosła nadziei, przekonania, że coś na tym świecie było dobre?

Z zamkniętymi oczami błędziła ręką po podłodze, aż poczuła pod palcami komórkę. Melodia zatraciła wszelką muzykalność. Brzmiała jedynie metalicznie i przenikliwie. Mike mawiał, że Chopin to roztrzepane gówno, słuchał tylko Santany albo Pink Floyd, a klasykę nazywał muzyką burżuazji. Tak wtedy rozmawiali. Podejrzane było wszystko, co nosiło znamiona establishmentu.

Mike nie żył, ale Chopin przetrwał.

Zegarek na wyświetlaczu komórki pokazywał dwudziestą trzecią dwadzieścia.

– Singer.

– Kraków.

W głosie Denise pobrzmiwała nutka determinacji.

– Co?

– Kraków. Byliśmy tam pół roku temu.

– Kto? – zapytała zasnana Miriam.

– Oliver, Frederik i ja. Wybuchł pożar. Na budowie. Dokładnie w chwili, kiedy budynek miał zostać uroczyście otwarty.

– Pożar?

– Komu najbardziej zależy na ustaleniu przyczyny pożaru?

– Co masz na myśli? – Miriam nadal nie rozumiała, o co chodzi Denise.

– Ubezpieczenie. Były problemy z ubezpieczeniem, rozumiesz. Z powodu przyczyny pożaru.

Dokumenty są w firmie. Musimy je zabrać.

– Teraz?

– Tak.

Teraz Miriam była już całkowicie przebudzona.

– Denise, to niemożliwe. Musisz zostać w domu przy telefonie.

– Mam przekierowanie połączeń na komórkę. Ale on nie zadzwoni. Dawno mógł to zrobić.

Nie dam rady już dłużej czekać, zwariuję. Drapię się do krwi, wyrywam włosy. Mam ochotę papierosem wypalić sobie dziury w mózgu. Chciałabym usłyszeć ten syk, żeby zapomnieć. Rozumiesz? Mój syn i ja jesteśmy karani za coś, co zrobił mój dziadek.

– Nie jesteś karana.

– Owszem, jestem. – Przez chwilę po drugiej stronie trwała cisza. – Nie wiem, jak mam to wytrzymać.

– Na tym właśnie polega tajemnica życia, że wszystko jakoś wytrzymujemy – powiedziała Miriam.

Ciemnoszary sharan Denise czekał już z włączonymi reflektorami przed siedzibą firmy na rogu Golub-Lebedenko-Platz i Kleyerstraße. Budynek w stylu lat pięćdziesiątych, który niedawno podrasowano szkłem, lekkimi żaluzjami i nową recepcją.

Miriam wysiadła i spojrzała w niebo. Chmury wisiały nisko. Ponownie zanosilo się na śnieg. Drząc z zimna, podbiegła do sharana i zapukała w szybę. Denise otworzyła drzwi. Gdy Miriam wślizgnęła się na miejsce pasażera, poczuła alkohol. Na twarzy Denise malował się nowy wyraz determinacji, który najwyraźniej zawdzięczała siłom dzina z butelki wódki w jej ręku.

– Tysiąc kilometrów – powiedziała Denise.

– Co?

– Tysiąc kilometrów, tyle jest do Krakowa. Może jego nie ma w Niemczech, tylko jest tam. Może on przewiózł go przez granicę...

Ukryła twarz w dłoniach. Jej palce wpiły się w skórę, jakby chciały przebić się do wnętrza czaszki, żeby pochwycić prawdę i ją wyszarpnąć.

Przez chwilę Miriam zatęskniła za obecnością Henriego Lieblera, potem wysiadła i stanęła przy otwartych drzwiach.

– Chodźmy.

Dłonie Denise odkleiły się od twarzy. Teraz w jej oczach malował się strach. Zagnieździł się tam niczym czarny pasożyt. Denise odkręciła butelkę i podniosła do ust.

– Też chcesz?

– Nie. Butelka zostanie tutaj.

Miriam wyjęła wódkę z ręki Denise i schowała do torby. Potem odwróciła się i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę budynku.

– Muszę najpierw wyłączyć alarm – usłyszała głos Denise. – Firma ochroniarska co dwie godziny zagląda tu i kontroluje. Jeżeli alarm jest włączony, wiedzą, że wszystko w porządku.

Hall przy recepcji rozjaśniało dyskretne oświetlenie. Pochodziło z lamp zatopionych w granitowej posadzce i ciągnęło się przy ścianie wzdłuż schodów na górę. Towarzyszyło im w drodze na pierwsze piętro. Tutaj Denise otworzyła szklane drzwi prowadzące na szeroki korytarz. Wszędzie na ścianach wisiały rysunki budynków.

Biuro, do którego weszły, znajdowało się na początku, po prawej stronie. Niewiele różniło się od pomieszczeń w sądzie. Denise skierowała się prosto do jednej z szaf. Za ażurowymi drzwiami, które odsunęła, ukazały się starannie opisane i uporządkowane alfabetycznie rzędy segregatorów. K jak Kassel, jak Koblenca, jak Kraków. Wyjęła jeden z segregatorów. Jej palce wprawnym ruchem przesuwały się po spisie treści.

– Nie ma żadnych dokumentów – stwierdziła zmieszana.

– Może są przechowywane gdzie indziej – rzuciła Miriam.

– Nie. – Denise potrząsnęła głową. – Wszystkie papiery muszą być zachowane w dwóch egzemplarzach. Oryginał w księgowości, kopia w dyrekcji.

– Dawno tu nie byłaś, prawda? – Miriam nie potrafiła ukryć surowości w głosie. – Zostawiłaś prowadzenie firmy ojcu i Oliverowi.

– Oni nie zajmowali się papierami. Poza tym ten sposób przechowywania dokumentów to zarządzenie mojej babci, a wszystko, co ona mówiła, było prawem. Przywiązywała dużą wagę do tego, żeby w każdej chwili mieć dostęp do papierów. Nikt nigdy nie odważył się zmienić tego systemu.

– To poszukajmy kopii.

Denise starannie zasunęła drzwi szafy, wyłączyła światło i zamknęła biuro. W milczeniu ruszyły na następne piętro. Miriam nasunęła się pewna myśl.

– Czy istnieją jeszcze dokumenty firmowe sprzed czterdziestego piątego roku?

Denise potrząsnęła głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Budynek uległ całkowitemu zniszczeniu podczas bombardowania w lutym czterdziestego piątego. Mój dziadek był tu w piwnicy. Ledwie co udało mu się uratować. To wtedy stracił rękę.

– Nie był w wojsku?

Usta Denise wykrzywił szyderczy uśmiech.

– Miał przecież... jak to się wtedy nazywało? Przedsiębiorstwo o znaczeniu wojennym.

Korytarz na wyższym piętrze pogrążony był w ciemnościach. Denise zaczekała, aż Miriam wejdzie za nią do pomieszczenia, dopiero potem włączyła neonowe oświetlenie. Biuro wypełniło się jaskrawym światłem. Diametralnie różniło się od księgowości. Znajdowały się tu dwa ultranowoczesne biurka ustawione naprzeciw siebie, na nich duże płaskie monitory obramowane szkłem. W pobliżu okna stała deska kreślarska, do której przypinano plany budowlane.

– Tutaj się nie pracuje – oznajmiła Denise i wydobyła z szafy segregator. – Tylko reprezentuje. Buduje potiomkinowskie wsie. Scenerie. Tutaj Oliver przyjmuje nowych klientów.

– A właśnie, Oliver. Czy on wie, gdzie jesteś?

Denise obojętnie wzruszyła ramionami.

– Poszedł na kolację z jakimś klientem. – Otworzyła segregator. – Tu też nic nie ma. Tylko szkic.

– Pokaż.

Denise podała Miriam teczkę, która zawierała plany i różne widoki centrum handlowego.

– Ogromne!

– Tak – odparła Denise. – Oliver nie zadowala się błahostkami. To miało być centrum handlowe z osiemdziesięcioma markowymi sklepami, kawiarniami, restauracjami i salami kinowymi. Zainwestował dużo pieniędzy.

– A po pożarze?

– Wszystko zniszczone.

– Będzie odbudowa?

Denise obojętnie wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko jedno... ten ślad prowadzi do Krakowa. Tak jak zdjęcie z Wawelu.

– Czy kiedykolwiek zatrudnialiście robotników budowlanych z Polski?

– Cała wschodnia Europa u nas pracowała, Polacy na pewno też. Sądysz, że ktoś miał powód do zemsty?

– Możliwe.

Denise podeszła do szafy, otworzyła ją, żeby wyjąć kolejne dwa segregatory.

– To listy personelu. Zabierz je. Chcę znać odpowiedź. – Najwyraźniej coś jej się jeszcze przypomniało, bo gwałtownie się odwróciła. – Pamiętam, że babcia dziwnie zareagowała na ten pożar. Chociaż nie była osobą, którą łatwo wyprowadzić z równowagi. Wtedy jednak ewidentnie się przeraziła. Była zdenerwowana, wręcz rozkojarzona. Kilkakrotnie dzwoniła do Olivera i pytała o szczegóły.

– Jakie szczegóły?

– Czy policja tam była i co powiedzieli. I nie chciała, żeby dowiedział się o tym mój ojciec. Wszystkim miał się zająć tylko Oliver. Chociaż sprawy ubezpieczeniowe prowadził właściwie ojciec.

– Dlaczego?

– Wtedy myślałam, że babcia się starzeje. Czasami wręcz miałam nadzieję, że się sypie – roześmiała się histerycznie. – Dosłownie wyobrażałam sobie ten rozpad pomnika. Wieniec lau-

rowy na jej głowie tracił liście. Kamień pękał. Przyglądałam się, jak odpadały ręce i nogi.

– Nie miałaś wysokiego mniemania o babce, prawda?

– Nie cierpiałam jej.

W gabinecie Henriety Winkler unosił się zapach perfum Chanel nr 5, których używała również Sara. Meble były stare. Z ciemnego drewna. W pomieszczeniu królowało majestatyczne biurko ozdobione płaskorzeźbami. Chociaż od dłuższego czasu nie używano go, blat błyszczał tak, jakby zaledwie przed kilkoma minutami został wypolerowany specjalnym olejkim.

Denise przesunęła na bok obraz i fotografię willi jej dziadków, odsłaniając sejf.

Gdy obracała zamek szyfrowy, rozległo się ciche szcęknięcie.

– Kiedy Henrieta leżała ze złamaną ręką w szpitalu – powiedziała – wyjawiała mi kod. Miałam jej przynieść dokumenty. Zdziwiło mnie to. Mogła przecież poprosić mojego ojca albo Olivera.

– Jakie dokumenty?

– Nie mam pojęcia. Jakaś teczkę i kopertę.

– Nie przyjrzałaś się im?

– O Boże, nie. Szybciej odgryzłabym sobie język, niżbym zapytała, co to takiego.

– Kiedy to było?

– W połowie czerwca. Zaraz po tym, jak wróciliśmy z Krakowa. Tydzień później babcia miała ten wypadek. Mówiłam już, że była wtedy jakaś taka nerwowa i rozkojarzona. Zleciała ze schodów. Od tamtej pory zaczęła podupadać na zdrowiu. – Denise otworzyła drzwiczki sejfu. – Nie doszła już do siebie po tym wypadku.

– A co z jej testamentem?

Denise wzruszyła ramionami.

– Prawdopodobnie leży u Conradowego. To nasz notariusz.

Nazwisko wydało się Miriam znajome. Musiała koniecznie do niego zadzwonić.

Denise sięgnęła do sejfu.

Miriam mimowolnie cofnęła się o krok. Po cichu zaczęły się w niej budzić wątpliwości, czy to, co robi, nie przekracza jej kompetencji. Prokurator prowadząca śledztwo nie otwiera sejfów bez nakazu rewizji. Powinna była kazać opieczetować to biuro. Porwanie zepchnęło dochodzenie w sprawie morderstwa Henriety Winkler na drugi plan. Braki kadrowe w policji kryminalnej były ewidentne. Nikt nie pomyślał, żeby obejrzeć biuro denatki.

Denise posprawdzała dokładnie półki. Zaraz potem wyjęła stamtąd małą kasetkę z metalu.

– Nic tam nie ma – rzekła w końcu. – Tylko to pudełko. Leżało całkiem z tyłu. Opróżniła skarbiec.

Wręczyła kasetkę Miriam, która ostrożnie ją otworzyła. To, co zobaczyła, zaniepokoiło ją. Broń. Ostrożnie ją wyjęła. Poczowała jej ciężar w dłoni.

– Po co twojej babce broń?

– Nie mam pojęcia.

– Wiedziałaś o tym?

– Nie.

– Jedźmy do domu – powiedziała Miriam. – Zadzwonię do Lieblera. Niech zaraz rano skontaktuje się z tym Mateckim, który prowadzi sprawę obrazów. Może on coś wie o pożarze.

Krzyk usłyszały, gdy zamykały drzwi gabinetu Henriety Winkler.

Wpierw krzyk, potem jęk.

Natychmiast przystanąły.

Nie, tylko Miriam się zatrzymała, Denise szła tymczasem dalej ciemnym korytarzem ku drzwiom na jego samym końcu. Żołądek Miriam podszedł jej pod gardło.

Obudził się w niej zdrowy instynkt ucieczki.

Znowu jęk.

Jęk, jaki wydawało całe ciało, nie tylko usta.

Czy naprawdę chciała się dowiedzieć, co dzieje się za tymi drzwiami?

Nie!

A jednak stała w ciemnym korytarzu przed zamkniętymi drzwiami, za którymi ktoś zdawał się krzykiem wypluwać z siebie wnętrności. Rzucenie się do ucieczki byłoby nie tylko tchórzostwem, lecz także aktem nieudzielenia pomocy.

Denise przeobraziła się teraz w ducha, w białą bezcielesną postać w czarnym dresie.

Dotknęła klamki i po chwili wahania poruszyła ją. Początkowo coś blokowało drzwi od środka, mimo to przez szparę Miriam mogła zauważyć, że w pomieszczeniu pali się światło.

Denise zajrzała do środka, a potem gwałtownie się odwróciła. W jej ciele widać było napięcie. Ze skamieniałym wzrokiem ruszyła w stronę klatki schodowej. Stąpała tak sztywno, jakby zmuszono ją do wędrówki przez bagno. Głowę nosiła wysoko, jakby chciała uniknąć zanurzenia.

To, co Miriam zobaczyła minutę później, tylko w pierwszej chwili odpowiadało jej oczekiwaniom.

Dwa ciała zmagające się ze sobą na czarnej granitowej posadzce.

Wyglądało to prosto.

Męczyzna ręką przytrzymał odchyloną do tyłu głowę kobiety.

W ten sposób łamało się człowiekowi kark.

Leżeli nago pod biurkiem. Kobieta zaciskała dłonie na nogach stołu i krzyczała w rytmie ruchów mężczyzny. Brzmiało to jednak fałszywie. Dla Miriam oczywiste było, że rozkosz, którą Oliver Winkler miał nadzieję dawać kobiecie, na której leżał, nie miała w sobie cienia autentyczności. Była zakłamana. Udawana. Przypominała tę, którą miała na myśli Sally, gdy pośrodku restauracji demonstrowała Harry'emu orgazm. Miriam wyczuła jeszcze coś: Oliver Winkler wierzył w każdy jęk, który wydawała z siebie jego kochanka.

A jednak, mimo to.

Coś w tym wszystkim poruszyło Miriam do głębi.

Pierwszą rzeczą, którą zrobiła Miriam zaraz po przyjeździe do mieszkania, był zadzwonienie do komisarza Lieblera. Na szczęście jeszcze nie spał. Romans Olivera Winklera pominęła milczeniem i przeszła od razu do sprawy pożaru.

– Czy nie dziwi pani fakt, że ona nie skojarzyła tego zaraz, gdy tylko padła nazwa Kraków? – zapytał Liebler.

– Jest w szoku.

– Mimo to uważam, że to dziwne – jego głos brzmiał bardziej ochryple niż zwykle.

– Jest pan chory?

– Nie, to tylko zmęczenie. Poza tym za dużo palę.

– To niech pan przestanie.

– Czy gdy się rzuca palenie, nie zaczyna się tyć? To diabelski krąg.

– To niech pan przy tyje! Komu to przeszkadza?

Nie odpowiedział.

- Zniknęła dokumentacja ubezpieczeniowa dotycząca pożaru.
- Czy jest w tym coś osobliwego? – zapytał.
- Tak. Denise nie rozumie, dlaczego tak się stało.
- Jaki mógłby być powód?
- Że coś jest nie w porządku. Od pożaru minęło dopiero pół roku.
- Najlepiej zaraz jutro rano zadzwonię do tego Mateckiego. Rozmawialiśmy akurat dziś wieczorem. Chciał się dowiedzieć, czy znaleźliśmy ekspertyzy tych obrazów.
- Dobrze, że mamy tam osobę kontaktową, która mówi po niemiecku.
- I chce współpracować – dodał Liebler.
- Co z testamentem? Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy.
- Wszystkie siły skupione są na poszukiwaniach Frederika.
- W takim razie sama się tym zajmę i zadzwonię do notariusza.
- Nigdy jeszcze nie miałem tylu śladów, które donikąd nie prowadzą. Gdzie jest ten chłopiec? Gdzie on go zabrał? Gdzie ukrył? – w głosie Lieblera było słycać frustrację i zmęczenie.
- Czy na tym parkingu nie ma kamer?
- Przecież zna pani niemieckie prawo lepiej niż ja.
- Dlaczego ktoś robi coś takiego? – zapytała Miriam. – Dlaczego dręczy tę rodzinę?
- Bo na to zasłużyła?
- Naprawdę pan w to wierzy?
- Sprawca wierzy.
- Może nie powinniśmy machać ręką na inne ślady. Może jednak to jest zwyczajne porwanie, a sprawca oczekuje tylko kilka dni, żeby podkręcić atmosferę, i potem przyśle żądanie okupu?
- Ryzyko wzrasta jednak z każdym dniem. Ktoś może znaleźć chłopca albo on sam się uwolni.
- Tak, facet dużo ryzykuje.
- I niech pani nie zapomina, że wyznaczył Jostowi termin. Mamy jeszcze cztery dni i nie wiemy, co potem zamierza.
- Po drugiej stronie zapadła na chwilę cisza. Potem znów odezwał się głos Lieblera:
- Powinniśmy dalej trzymać się teorii, że mamy do czynienia z aktem zemsty.
- Za co ta zemsta i dlaczego na dziecku?
- Najwyraźniej on chce, żebyśmy właśnie na te pytania znaleźli odpowiedzi i do tego jeszcze obwieścili je światu. Dlatego angażuje prasę.
- Czy on nie żyje? – zapytała. – Czy Frederik nie żyje?
- Takie myślenie nie ma sensu. Prowadzi tylko do kapitulacji. Spokojnych snów.

Życzenie Henriego Lieblera spełniło się. Miriam położyła się i zapadła w głęboki sen zapomnienia, jeszcze zanim jej twarz dotknęła zagniecen pościeli z poprzedniej nocy. W oddali słyszała dzwonek telefonu. Gdy się rano ocknęła, przeraziła się, bo budzik przy jej uchu piszczał tak głośno, jakby go tam wszyto. Po tej nocy czuła się jednak zaskakująco wypoczęta. Organizm jej nie zawodził. Może w ten sposób okazywał wdzięczność, że wciąż rozpieszczała go nowymi butami, zamiast dręczyć nikotyną.

Po wyłączeniu budzika leżała jeszcze kilka minut z zamkniętymi oczami.

Wczoraj wieczorem na parkingu przed siedzibą firmy oburzona Miriam mówiła do Denise:

– Cynik bez serca. Co za facet robi coś takiego? Zamiast być przy tobie...

– To nie zbrodnia, prawda? – odparła Denise. – Na zdradę małżeńską nie ma paragrafów. To nie jest karalne i nawet ty nie zdołasz tego zmienić.

Słowa te dotknęły Miriam. Denise chciała ją zranić, uświadamiając, że jej władza nie sięga tak daleko. Z trudem wydusiła z siebie pytanie, czy powinna zostać z Denise.

– Przecież nie jestem w domu sama – odpowiedziała. – W razie gdyby mój mąż próbował zrobić ze mną to samo, co ze swoją asystentką, mogę wezwać na pomoc tych dwóch policjantów.

W zachowaniu Denise było coś, czego Miriam nie rozumiała.

Coś, co nie wiązało się tylko z uprowadzeniem Frederika.

To istniało już przedtem.

Być może od zawsze.

Beznadzieja.

Zofia

Wtorek,

5 maja 1942 roku,

Frankfurt

Jakże szybko człowiek przyzwyczaja się do obcego życia. Świat dopiero co stał na głowie, a następnego dnia pracuje się, je śniadanie i czesze włosy, jakby wszystko było normalnie. Jeden dzień podobny do drugiego, pamięć jest wykradana jak ubrania, które miałam na sobie, gdy przyjechałam, i jak klucz, który wciąż tkwił w kieszeni mojego płaszcza.

Moje przedwojenne życie wydaje mi się nierzeczywiste. Jak prawdziwa herbata, bułka z masłem albo pieczony kurczak. Nie wiem, kiedy ostatni raz najadłam się naprawdę do syta.

Oprócz mnie jest tu jeszcze tylko kucharka. Pani Wirth. Przychodzi codziennie około dziewiętej, a wychodzi o czwartej po południu. Ma zakaz rozmowy ze mną, więc gada tylko ze sobą. Szorując garnki, mamrocze do siebie:

– Kiedy to wszystko się skończy?

Albo narzeka, że w sklepie nie ma mąki, mięsa, jajek i że kartki żywnościowe nie wystarczają.

Kradnie. Wieczorem odkraja sobie coś z każdego kawałka mięsa, z każdego bochenka chleba i zabiera jedno z tuzina jaj. Kiedy tamta kobieta to zauważy, pani Wirth oczywiście obwinia mnie i przez tydzień dostają mniej do jedzenia. Oficjalnie należy mi się dwa kilo chleba i dwieście pięćdziesiąt gramów masła na tydzień.

Od dziś boli mnie brzuch i ledwie mogę chodzić. Gdy rozpalam w piecach, kręci mi się w głowie. Muszę się jednak spieszyć, bo gdy tylko ten mężczyzna wychodzi z domu, ona mnie wzywa. Biegnę wtedy do sypialni z miską, a ona wymiotuje. Wydaje mi się, że zajmuje jej to całą godzinę, chociaż prawie nic nie je.

Dzisiaj jest wyjątkowo nieprzyjemnie. Nie mogą znieść tego zapachu. Boli mnie brzuch. Trzymam miskę daleko od siebie, wylewam jej zawartość do toalety i zaraz potem wybiegam na dwór, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Ona jest za chuda na ciążę.

Duży, okrągły brzuch zwisa z jej ciała. Z trudem przychodzi jej wyprostowanie się, gdy wstaje. Jej mąż nie wie, jak ona źle się czuje, i nie wie też, że codziennie jest na nogach, chociaż lekarz powiedział, że ma cały dzień leżeć.

– Oszaleję – odparła. – Nie potrafię leżeć.

Nie ma nic innego do roboty, gra więc na fortepianie.

Jej palce kurczą się nad klawiaturą, jakby próbowała napadnie im strachu. Klawisze są dla niej jak schody. Wspina się po nich. Stopień po stopniu. Akord po akordzie.

Jej palce kuśtykają po klawiszach, ja tymczasem odkurzam obrazy. Moi rodzice też rozmawiali o obrazach i że muszą je zawieźć do kopalni w Wieliczce. Było jednak za późno. Najpierw zastrzelili tatę, a potem wynieśli obrazy z muzeum.

Żołądek mi wariuje. Stoją na stole, cały czas muszę się wyciągać, żeby wypolerować wszystkie klosze. Mają błyszczeć tak, żeby nie potrzebna było światła, aby biła od nich jasność. Gdy kończę, ona podchodzi do stołu i kontroluje. Nie znajdzie ani jednej plamki, ani drobinki kurzu. Wiem to, i ona też to wie.

Kiedy się odwraca, żeby powrócić do biurka, pytam:

– Czy mogę napisać?

– Czy możesz co? – Obraca się ponownie w moją stronę.

– Napisać.

– Napisać? A co ty chcesz pisać? – śmieje się.

– List.

– Do kogo?

Serce bije mi tak głośno i miarowo jak dzwony kościoła Mariackiego. Myślę o domu. Co pomyślała moja mama tamtego ranka, gdy nie wróciłam? Czy płakała? Czy jeszcze mnie szukają? Czy może uznali, że zaginałam bez śladu? Czy myślą, że po prostu pochłonęła mnie ulica pod naszym domem? Że nie żyję? Że przemieniłam się w gawrona i grzebię w śmieciach obok naszej kamienicy? Ale jeżeli oni o mnie zapomną, kto mnie uwolni? Nie wyobrażam sobie, by Leszek mógł o mnie zapomnieć.

– Do mamy.

– Masz pieniądze na porto?

Gdy potrząsam głową, kobieta wzrusza ramionami.

– Oczywiście, że nie masz. Bo tobie nie wolno posiadać pieniędzy. Rozumiesz? Nie wolno! Wszędzie w gazetach o tym piszą. Gdyby wolno ci było chodzić do miasta, wiedziałybyś, że tylko tutaj jesteś bezpieczna. Wystarczyłby jeden dzień poza domem, a już byś nie żyła. Bo tam czeka na ciebie gestapo. Tam trwa wojna – wskazuje okno – a wojna jest po to, żeby przeżyć. Ona wzmacnia ludzi. Rozumiesz? Hartuje ich. Wybiera, kto jest wart tego, żeby przeżyć, a kto nie.

Kłamie.

Wieczorem, kiedy podaję jedzenie, bóle brzucha są tak silne, że ledwie idę prosto. Gdy otwieram drzwi, taca wyslizguje mi się z dłoni.

Kobieta zaczyna krzyczeć. Jej głos brzmi jak pisk hamulców, gdy pociąg zatrzymał się w polu, by wyrzucić trupy.

Potem wstaje i uderza mnie w twarz. Obrzuca wyzwiskami, mąż tymczasem próbuje ją uspokoić.

Bóle w podbrzuszu są tak silne, że ledwie mogę się wyprostować. W toalecie widzę, że krwawię. Może umieram. Kiedyś przed wojną czytałam opowieść o marynarzach, którzy krwawili z głodu. Może ja też krwawię z tego powodu. Może trujące są łupiny ziemniaków, które potajemnie wyciągam ze śmieci i jem. Może porobiły mi się małe dziurki w żołądku i teraz jedzenie rozprzestrzenia się po całym moim brzuchu. Trucizna niszczy organy i dlatego krwawię.

Podnoszę spódnicę, którą na poddaszu zostawiła dziewczyna mieszkająca tam przede mną. Brzuch mam napęczniały jak ta kobieta. Tylko że ona spodziewa się dziecka, a ja być może choruję na czerwonkę.

Kiedy wieczorem idę do piwnicy, żeby przynieść węgiel na poranek, Magda siedzi na schodach i pali. Pracuje u innej rodziny, niedaleko stąd, dostaje za swoją pracę pieniądze, czasami chodzi do kina i wciąż mówi o miłości.

– Biorę wszystko, tak jak jest – mówi i oferuje mi papierosa.

Potrząsam głową i myślę o mamie. Ona paliła tak dużo, że płuca grały jej jak dudy.

Tato zawsze do niej mówił:

– Wiem, jak brzmią dudy, bo już kiedyś na nich grałem, gdy w dwudziestym dziewiątym byłem na kongresie w Aberdeen.

Potem naśladował ten dźwięk. Maszerował po pokoju. A Leszek za nim.

Potrafił tym mamą rozśmieszyć, nawet jeśli jej śmiech coraz bardziej przypominał gwizd, bo nie mogła złapać tchu.

– Tak, tak – wołał wtedy tato – właśnie tak piszczą te dudy!

Opowiadam Magdzie tę historię, a ona się śmieje, tylko że normalnie, bez gwizdania, i mówi, że się nie zaciąga, tylko puszcza dymka. Codziennie wykrada jednego papierosa swojemu panu, jak go nazywa. Jest tak zapominalski, że czasem nawet zapomina, że pali. Pracuje na uniwersytecie i jest już stary.

– Krew mi leci z brzucha – mówią nagle.

Magda zaczyna się śmiać.

– Nie wiesz dlaczego?

Gdy zaczynam płakać, obejmuje mnie ramieniem i wszystko wyjaśnia.

– Nikt ci jeszcze o tym nie mówił? – pyta.

– Owszem, ale zapomniałam.

Cztery dni

Udo Jost z zadowoleniem stwierdził, że dziewczyna w recepcji na jego widok wręcz się rozpromieniła, zanim przekazała mu pocztę. I w ogóle uśmiech powrócił na przepracowane twarze jego kolegów. Teraz trzeba było tylko zadbać, by tam pozostał i nie ustąpił miejsca ironicznemu grymasowi ostatnich miesięcy.

Popatrzył na zegarek. Do środowej audycji potrzebował czegoś nowego. „Świeżego mięska”, jak mawiał Tobler. Temat Hansa Franka przejadł się. W programie *Na gorąco* już dwa razy leciał reportaż o generalnym gubernatorze.

Od członka Reichstagu przez bawarskiego ministra sprawiedliwości do gubernatora Polski. Wielkie kroki. Zawrotna kariera.

Hans Frank: krótkie życie w urojeniu, że jest się człowiekiem sukcesu.

A potem w wieku czterdziestu sześciu lat kara śmierci przez powieszenie.

Opłacało się?

Jost sam komentował ten materiał. Czy udało mu się nadać głosowi ton, którym cytuje się historię? Krótkie, zwięzłe zdania. Nazwiska. Daty. Kiedy zdarzyło mu się używać takich słów, jak „szubienica” albo „władca”, albo „egzekutor”?

Wiedział, co myślano o takich jak on. Znał te porównania. Hieny, szakale, sępy, plujki. Padli-nożerne bestie. Pojawiały się jeszcze przed śmiercią zwierzęcia. Krążyły po niebie, siedziały wyczekująco w pobliżu, by w końcu zachłannie rzucać się na łup. Jednak on, Jost, nie pożerał tego ściierwa. To inni je pochłaniali, gapie, voyeurzy. On był tylko dostawcą. Nie tym, kto ponosi odpowiedzialność. Nie politykiem, który kłamie. Nie zabijał też innych ludzi, nie był skorumpowany, nikogo nie gwałcił. Był tylko gawędziarzem.

Portretowi Oskara Winklera do dzisiejszego reportażu brakowało jeszcze trochę ostrości. Gdy Tobler zapytał, kto mógłby mu pomóc w zbieraniu materiałów, zaproponował Ramonę Neuberger. Wczoraj wieczorem byli razem w barze.

– Czego się dowiedziałaś? – zapytał.

– Niczego.

– Jak to, niczego?

– Dokumenty archiwalne przepadły w czasie wojny.

– Co oznacza mniej więcej tyle, że zostały zniszczone albo są przechowywane pod kluczem.

– Faktem jest, że biurowiec w marcu czterdziestego piątego został zniszczony podczas nalotu. Oskar Winkler był wtedy poważnie ranny i trafił do szpitala. Stracił prawą rękę.

Jeszcze trzy dni temu wydawała mu się młoda i atrakcyjna. Pachniała hormonami. Teraz siedziała naprzeciwko, a makijaż przypominał maskę, którą dałoby się strącić jednym ruchem. Oczy szklily się alkoholem. Spódnica podjechała do góry, tak że nawet nie musiał się domyślać koronkowego wykończenia jedwabnych pończoch. Mógł je wręcz dokładnie zobaczyć. Była tam, cała ona. Wystarczyło tylko dodać gazu.

– Więcej nie masz?

– A czego jeszcze chcesz?

Pochylił się ku niej.

– Wszystkiego. Po prostu wykonuj swoją pracę.

Sądził, że jest sprytna, jeżeli chodzi o docieranie do informacji. Że nie odpuszcza. Ale się

mylił.

Od dwóch dni policja siedziała na dole w foyer. Kontrolowana była każda rozmowa telefoniczna. Dzwonili jednak tylko koledzy z innych stacji lub gazet, którym chodziło o wywiad z nim. Wciąż zadawali te same pytania.

Co powiedział porywacz?

Jak to powiedział?

Jaki miał głos? Jaki akcent?

I jak on sam się czuł? Czy się bał?

Czy od razu zrozumiał, o co chodzi?

Jak wpadł na ślad Hansa Franka?

Reagował powściągliwie. I żałował. W głębi duszy żałował, że tak szybko poinformował policję. Kolejny dowód na to, że tak naprawdę był tchórzem. Że nie miał odwagi, której potrzebuje dobry dziennikarz. Nie miał tego pazura, kurażu, zdolności docierania do granic prawdy. Autentycznej prawdy, nie tej, którą media tak chętnie konstruowały. Wciąż jednak miał asa w rękawie. Powoli sięgnął po komórkę. Zapisał sobie ten numer. Długo zastanawiał się, jak go nazwać, aż w końcu zdecydował się na zwyczajny iks. Nawiązanie połączenia chwilę trwało. Już prawie miał się rozłączyć, gdy ktoś odebrał. Zabrzmiało jak halo.

– Halo – odezwał się. – Kto mówi?

Odpowiedź, którą usłyszał, zaszokowała go. Potok słów, których nie rozumiał. Ktoś bez tchu paplał i sprawiał przy tym wrażenie irytująco dobrze nastrojonego, a do tego jeszcze w obcym języku.

Nie odpowiadał, wciąż tylko słyszał:

– Halo, halo – i ten głupi chichot. Osoba po drugiej stronie nie była sama, a rozmowa z nim świetnie ją bawiła.

Przestraszony zakończył połączenie i wlepił wzrok w telefon. Głos brzmiał młodo, prawie dziecinnie. Tylko w pierwszej chwili pomyślał, że to Frederik Winkler. Ale to był inny język. Im dłużej Jost się zastanawiał, tym pewniejszy był, że odebrała jakaś dziewczyna. Młoda dziewczyna. Nastolatka, dla której każdy dzień, w którym dorasta, nie wydaje się tragiczny, lecz wyjątkowo śmieszny.

Po kilku sekundach jego komórka znów zadzwoniła. Rolling Stones *Jumpin Jack Flash*. Ściągnął sobie tę melodię z internetu. Basy, notabene, zupełnie zniknęły.

– Halo.

Natychmiast rozpoznał ten głos.

Cały czas dźwięczał mu w uchu.

– Tak.

– Dobra robota – powiedział mężczyzna. – Zna się pan na swojej robocie.

Chwila ciszy.

– Siedzi u nas policja, ale nie wiedzą, że ma pan numer mojej komórki.

– To dobrze.

Dlaczego ten człowiek tak po prostu mu wierzył?

– Dostał pan pocztę?

– Pocztę? – Wzrok reportera odszukał stosik na biurku.

– Koperta. Duża. Biała.

Jost przewrócił stos listów.

– Mam tu dużo kopert.

– Najpierw media, a potem niech pan to da policji.

– Co z chłopakiem? Jest zdrowy? Żyje jeszcze? Kiedy będzie mógł wrócić do domu? Co z

okupem? Dlaczego upatrzył sobie pan akurat rodzinę Winklerów?

Udo Jost czuł się jak uczestnik teleturnieju. Jak najwięcej pytań w jak najkrótszym czasie.

– Wszystkiego się pan dowie.

– Chcę usłyszeć jakiś znak życia od chłopca.

– Jak mówię, że żyje, to żyje.

Nagle przyszedł mu do głowy pomysł.

– Niech pan posłucha, mogę panu zapłacić. Chłopiec musi tylko do mnie zadzwonić.

Cisza.

– Dam panu za to pięćdziesiąt tysięcy euro.

– Jest pan bardzo odważny – odparł mężczyzna i rozłączył się.

Co Jost napisał o rodzinie Winklerów? Kto pakuje się w przestępstwo, ten od niego ginie. W chwili obecnej Jost miał wrażenie, że równie dobrze odnosiło się to również do niego. Obiecał porywaczowi fortunę za ekskluzywny dowód na to, że chłopiec żyje. Może to szaleństwo, ale może właśnie w tym tkwiła jego szansa.

Sięgnął po pocztę. Materiały na wszystkie możliwe tematy, listy czytelników, zaproszenia, reklamy i na samym spodzie koperta. Nazwisko Josta napisano maszynowo na etykiecie. Lekka przesyłka.

Niecierpliwie rozerwał kopertę. Wypadła z niej kartka. Kopia fotografii. Widok, który go podekscytował. Wbicie łopaty. Roześmiane twarze.

Cholera. Policja może się zorientować, że na własną rękę próbował skontaktować się z porywaczem.

Czy powinien powiedzieć o dzisiejszym telefonie?

Mógł przecież to przemilczeć, prawda? Musiał tylko działać rozsądnie, myśleć strategicznie, tak jak porywacz.

I did it my way!

Policja nie przejmowała się jego pocztą. A może jednak? Wszystko było już pootwierane. Oprócz tej koperty. W jaki sposób dotarła na jego biurko?

Udo Jost odnosił wrażenie, że porywacz miał nie tylko ciekawą historię, lecz był także inteligentny i wyrafinowany. Był kimś, kto wie, co robi, i komu chodziło nie tyle o pieniądze, ile o coś innego.

Rzeczy, których nie robi się dla pieniędzy, czynią wolnym.

Jakiegolwiek były to cele, Jost wiedział jedno: niezajomy zamierzał zrujnować rodzinę Winklerów. Nie finansowo, lecz pod względem emocjonalnym i społecznym. Chciał zniszczyć jej opinię. Przewlec przez bagno historii. Zobaczyć, jak nurzają się w błocie. To, że w ten sposób załatwi również ich firmę, było tylko kwestią czasu.

Znowu odwrócił zdjęcie. Wiedział, co znajdzie. Odszukał w szufladzie lupe.

Znał historię, którą chciał opowiedzieć ten człowiek. Miał prostą koncepcję, która wciąż się sprawdzała.

Udowodni, że jest właściwą osobą kontaktową.

Gdy znalazł na zdjęciu to, czego szukał, poczuł nagle, że czym prędzej musi się wysikać.

Kiedy Miriam otworzyła drzwi mieszkania, żeby sięgnąć po gazetę, zauważyła, że eskalacja wojny prasowej powiodła się. Na niebieskiej wycieraczce leżały pocięte wiadomości. Nie po prostu rozerwane, jak to czasem bywa, kiedy papier przemoknie od deszczu lub śniegu. Nie, ktoś potraktował gazetę nożyczkami i potem ułożył pod drzwiami. Gdy Miriam bliżej przyjrzała się dziurze, rozpoznała kształt swastyki, nagłówka można się było już tylko domyślać. *Rzeźnik z Krakowa. Historia dościga Winklerów, frankfurcką rodziną przedsiębiorców. Prokurator Miriam Singer oskarża: Czy Oskar Winkler był przyjacielem kata Polski?*

W pierwszym odruchu uznała, że nie chce mieć z tym nic wspólnego. Zaraz potem pomyślała, że powinna zadzwonić do Henriego Lieblera. Zmieniła jednak zdanie. Prasa żyła mitami. Ten artykuł nie brzmiał inaczej niż ballada o seryjnym zabójcy, a Hans Frank, generalny gubernator okupowanych ziem polskich, nie był przecież de facto nikim innym. Seryjny zabójca, którego niemiecki sędzia skazałby co najwyżej na pięciokrotne dożywocie. Z tego wyroku przemawiała bezsilność wymiaru sprawiedliwości. To wyrok, którego nigdy nie zdoła się wymierzyć. Podobnie jak wyroku wiecznego potępienia. Ono jednak przynajmniej brzmiało jak kłątwa.

Miriam miała już na sobie płaszcz, gdy jeszcze szybko włączyła telewizor. Również tu Hans Frank, skazany na śmierć przez powieszenie za zbrodnie przeciw ludzkości.

Nazwisko Winkler raz po raz umiejętnie wplataną w komentarz. Padło określenie „spekulanci wojenni”. Prasa jednak nie wiedziała więcej niż ona. Media stawiały te same pytania i dawały te same odpowiedzi, czyli żadne.

Sara zadzwoniła, gdy Miriam była już w drodze do pracy. Najwyraźniej czytała poranną gazetę, bo w jej głosie pobrzmiwała niecodzienna rezerwa.

– Od jutra – oznajmiła pewnym głosem – skończą się nasze troski. On przyzwyczaił się do tej kobiety. Wszyscy, z którymi rozmawiałam, bez wyjątku dobrze wyrażali się o polskich opiekunkach. Są pracowite, czyste, niewymagające.

Sposób, w jaki Sara to powiedziała, zabrzmiał jak opis rasy psów. Polski pies opiekun – łagodny, lubiący dzieci i posłuszny. Miriam zapragnęła, żeby istniało jakieś inne rozwiązanie.

Nie miała jednak czasu, by się tym zająć. Frederika nie było już dwie noce. A oni nadal nie mieli choćby najmniejszego śladu.

Dotarłszy do sądu, zobaczyła, że Henri Liebler już czeka przed jej gabinetem. Gdy na parkiecie rozległo się stukanie jej skórzanych podeszew, odwrócił się i uśmiechnął na powitanie. Wszedł za nią do biura. Owionęła ją delikatna fala ciepła. Ledwie wyczuwalna.

– Zadzwoniłem dziś rano do Krakowa – powiedział, z ramionami podciągniętymi do góry i rękoma wbitymi głęboko w kieszenie czarnej skórzanej kurtki.

Miriam zdjęła płaszcz i powiesiła go na kaloryferze.

– Udało się panu kogoś zastać?

– Tak. – Wręczył jej kilka stron faksu. – Pożar wybuchł na godzinę przed uroczystością otwarcia. Plastikową folię podpalono benzyną.

Wskazała mu krzesło.

– Niech pan siada. Ktoś ucierpiał?

Usiadł.

– Wygląda na to, że nie.

Szybko przejrzała raport, który napisano w przedpotopowym stylu na maszynie. Ledwie była w stanie go odczytać.

– Czy ten projekt wzbudzał jakieś kontrowersje?

– Z raportu wynika, że centrum handlowe pierwotnie planowano w samym centrum Kazimierza. To dawna dzielnica żydowska.

– Wiem – skinęła głową Miriam. – Kręcono tam *Listę Schindlera*.

– Właśnie.

– Skąd ma pan te informacje?

– Przysłał mi je kolega z Krakowa.

– Matecki?

– Tak. Jego biuro znajduje się na Kazimierzu. To jego rewir.

– Co tam przedtem było? – spytała Miriam.

– Co ma pani na myśli?

– Co znajdowało się w tym miejscu? Stał tam już kiedyś jakiś dom handlowy? Czy może działka była pusta?

– Matecki twierdzi, że musiano zburzyć całe ciągi kamienic.

– W byłej dzielnicy żydowskiej? I nikt nie protestował?

– Nie mam pojęcia.

– To niech pan zapyta Mateckiego.

– Okej.

Przez chwilę obydwójce milczeli. Ta cisza nie wprawiała Miriam w zakłopotanie. Wręcz przeciwnie.

– Grono podejrzanych wciąż rośnie, zamiast się kurczyć – zauważyła po kilku sekundach.

– Jak najbardziej!

Znowu milczenie.

– Zajmie się pan dokumentami ubezpieczeniowymi, których Denise nie mogła znaleźć w firmie?

Skinął parokrotnie głową. Miriam nie potrafiła jednak zinterpretować wyrazu jego twarzy.

– Tym zadaniem powinni byli się zająć ludzie od zabezpieczania śladów! Powinna była pani kazać opieczetować to biuro.

– Niech pan tam dziś wyśle ekipę techniczną.

– Dobrze, pani prokurator.

– I niech pan daruje sobie tę ironię.

Podniósł się i stanął przy jej biurku. Sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć.

– Coś jeszcze?

– Spotykamy się za godzinę w prezydium. Mamy raport biegłego.

– Jakiego biegłego?

– Tego, którego pani powołała.

– Ja?

– Tak, pani. Tego Szwajcara.

– Jakiego Szwajcara?

– W sprawie opinii na temat maszyny do pisania.

Podał jej kartkę, na której widniał jej podpis i o której już zapomniała. Odłożyła ją na bok,

nawet się nie przyglądając.

– Jeszcze jeden ślad. Jeszcze jedna opinia. To do niczego nie prowadzi. Musimy w końcu znaleźć kogoś, kto ma powód, żeby się mścić na Winklerach. Nie interesuje mnie, na jakiej maszynie porywacz napisał swoją wiadomość.

– Hej – powiedział Liebler – nigdy nie jest tak, że istnieje tylko jeden ślad. Wie pani przecież, że niejedna droga prowadzi do Rzymu i być może też do Frederika. Rozumiem, że jest pani niecierpliwa, ale proszę mi wierzyć, znajdziemy go.

– Zbyt łatwo składa pan obietnice.

– Których z reguły dotrzymuję.

Przez chwilę Miriam sądziła, że weźmie ją za rękę, ale on zamiast tego na pożegnanie stuknął palcem wskazującym w skroń i powiedział:

– Za godzinę w prezydium. George jest Szwajcarem i nie cierpi niepunktualności.

Po rozmowie z Lieblerem Miriam poczuła w sobie zadziwiający zapas energii. Najpierw zadzwoniła do notariusza. Ten jednak był akurat na zebraniu. Poprosiła sekretarkę, żeby pilnie do niej oddzwonił.

Potem zatelefonowała do Corduli, swojej asystentki w prokuraturze:

– Niech pani poprzesuwa wszystkie spotkania zaplanowane na najbliższe dni.

– Jak mam to zrobić?

– Niech pani je zwyczajnie przesunie. Do końca tygodnia sprawa Winklerów ma absolutny priorytet.

– A co z Albańczykiem w poniedziałek?

– Zostaje.

– A jeżeli Hillmer...?

– Proszę go odesłać do mnie.

– Łatwo pani mówić.

– Gra toczy się o zbyt wysoką stawkę – oznajmiła Miriam. – Niech pani mu to powie.

Gdy tylko się rozłączyła, telefon znów się odezwał.

– Skończyłem – usłyszała głos Henninga Veita. – Starsza pani może przeprowadzić się do krypty.

– Mam powiedzieć: to cudownie?

– Owszem, dzięki. Kości były istną kupą gruzu. W zakładzie pogrzebowym będą się musieli nieźle natrudzić, żeby wyglądała w miarę prosto.

– Nie interesują mnie detale – odparła Miriam i rozłączyła się, żeby czym prędzej wybrać numer Carla Winklera, który został już powiadomiony przez zakład pogrzebowy. Pochówek miał się odbyć w czwartek o godzinie trzynastej trzydzieści na frankfurckim cmentarzu głównym.

– Jak się czuje Denise? – zapytała Miriam.

– Nie śpi – odpowiedział Carl Winkler.

Pomimo ostrzeżeń Lieblera Miriam spóźniła się pół godziny. Do małej sali konferencyjnej weszła jednak bez pośpiechu, chociaż niecierpliwie czekało tam na nią czworo ludzi.

– Miriam Singer, prokurator prowadząca sprawę – przedstawił ją Liebler, a następnie wskazał niskiego mężczyznę o szpakowatych gęstych włosach i siwych wąsach. To spojrzenie zza okularów o okrągłych szkiełkach kogoś jej przypominało.

– Pan George z Zurychu, biegły grafolog.

Sposób, w jaki uniósł jej dłoń, by ją pocałować, stanowił domenę wymierającego gatunku. Prędzej czy później trafi do muzeum kryminalnego policji kantonowej w Zurychu.

Miriam z rozdrażnieniem zauważyła, że ręka Lieblera poufale spoczęła na ramieniu ładnej kobiety obok niego. Miała na sobie brązowy tweedowy kostium w stylu angielskim i do tego różowy kaszmirowy pulower, w którym świetnie wyglądała. Upięte w kok loki łągodziły ten klasyczny wygląd.

– Zaprosiłem też Hannę Roosen ze specjalnej komisji psychologicznej.

Miriam skinęła głową pod adresem psycholożki i zajęła miejsce obok Fischera, którego twarz miała ten sam nieobecny wyraz co przez cały ubiegły rok. Traktował ją jak powietrze.

Uwagi Miriam nie uszła napięta atmosfera, postanowiła ją jednak zignorować, zadając pierwsze pytanie:

– Mają państwo coś, co zbliży nas do sprawy lub ofiary porwania? Jeśli nie, to wystarczy chyba krótkie orzeczenie.

– Proszę najpierw posłuchać, co ma do powiedzenia pan George – powiedziała Hanna Roosen.

– Po to przecież tu jestem – odparła Miriam.

Z rękoma założonymi na plecach George zaczął wywody, w których wyjaśnił, że pole czcionkowe maszyny do pisania już w wielu kazusach karnych i kryminalnych naprowadziło na ślad sprawy. Uwzględnić należy także osobisty wpływ piszącego, jego nawyki, impulsy. Odmienne jest nie tylko odręczne pismo różnych ludzi, lecz także ich maszynopisy.

W przegrzanym pokoju nagle wszystkich ogarnęło znużenie. Potrzebę ziewania poczuła nie tylko Miriam. Sińce pod oczami Fischera zaciemniały jego spojrzenie niczym roleta. Całe prezydium policji przeżywało go ostatnio „władcą cieni”.

Miriam niecierpliwie zerknęła na zegarek.

– Może pan zatem orzec, z jakiego rodzaju maszyny korzystał piszący?

– Do pewnego stopnia. W pierwotnym typie maszyny mamy do czynienia z systemem zdezakowym. Układ wersu jest równy, ale przy przełączeniach wielkie litery uciekają poza linię. Widać to bardzo wyraźnie w pierwszym słowie cytatu. *Debet quis juri subjacere, ubi deliquit*. Proszę dokładnie przyjrzeć się pierwszemu słowu. *Debet*.

Wskazał na nie długopisem. D było minimalnie przesunięte w dół.

– Czcionki są już bardzo zużyte – kontynuował. – Niech państwo zwrócą uwagę na odłamany kawałek głowicy czcionki w literze t. Poprzeczna kreska nie jest w pełni odbita.

Wskazał na t w słowie *debet*.

Rzeczywiście poprzeczna kreska była z prawej strony odłamana.

– Ponadto zauważyć można, że małe i jest trochę przesunięte w lewo. Poza tym czcionki są duże, zaokrąglone, wygięte. Taśma barwiąca jest zużyta, co oznacza, że jest już stara lub była rzadko używana. To wszystko pomaga w identyfikacji maszyny.

– Jeśli ją w ogóle znajdziemy – mruknął Fischer.

– Przejdźmy do grupy osób – oznajmił niewzruszenie ekspert. – Piszący to mężczyzna.

Wskazuje na to silny, aczkolwiek nieregularny sposób uderzania w klawisze. Jest przyzwyczajony do pisania na maszynie, czego dowodzi regularne użycie spacji. Nie naciska jej wielokrotnie raz po raz ani na chybił trafił, ani w środku słowa. Piszącemu nie przytrafił się ani jeden błąd, chociaż mamy do czynienia z tekstem łacińskim. Każdy, kto chociaż raz pisał na starej maszynie, wie, że łatwo o literówki. Przypuszczalnie nie jest to osoba, która posługuje się systemem dzieciopalcowym. Uderzenia przy poszczególnych literach są bowiem o wiele za silne. Wie jednak, gdzie te litery się znajdują.

– Rany kota! – Fischer uderzył otwartą dłonią w blat stołu. – Czy wiemy, ile papieru musiał

wyrzucić, zanim poprawnie przepisał ten cytat?

– To też jest możliwe – potwierdził spokojnie George, ponownie krzyżując na plecach krótkie ręce. Miriam już wiedziała. George przypominał jej puszczyka. To mądre ptaki. Powinna go dokładnie słuchać.

– Więc co z papierem? – zapytał Henri.

– Tani produkt. Zła jakość. Poza tym jest stary.

– Na ile ocenia pan jego wiek?

– Około pięćdziesięciu lat, a maszyna do pisania pochodzi przypuszczalnie z pierwszej połowy dwudziestego wieku, nawet jeśli ten tekst nie wystarcza, by to stwierdzić z całą pewnością. Ale uwzględniając papier...

– Sądzi pan, że to wszystko napisano pięćdziesiąt lat temu? – Bruzdy na czole Fischera pogłębiły się.

– Niekoniecznie. To mogło być równie dobrze napisane teraz. Na starej maszynie i na starym papierze. Jeszcze jakieś pytania do tego? – George rozejrzał się dookoła. Nikt nie miał pytań. Hanna Roosen też nie. Jej oczy napotkały spojrzenie Miriam. Obydwie natychmiast odwróciły wzrok.

– W takim razie będę kontynuował. Tekst znajduje się na środku kartki. Papier został czysto przycięty. Nożycami. To też celowe. Tutaj chodzi o cytat i przesłanie. On chce się komunikować. Coś państwu powiedzieć. Wie, co robi. Nie jest kimś, kto działa w nieprzemyślany sposób.

– Do diabła – głos Fischera brzmiał ochryple. – Przecież to wszystko to tylko przypuszczenia. Równie dobrze mógłby pan czytać z fusów, wpatrywać się w kryształową kulę, wyć do księżycy.

George starał się odpowiadać spokojnie, ale przychodziło mu to z trudem. Przeszedł na swój zuryski dialekt.

– Zajmuję się tą dziedziną od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku. To, co państwu opowiadam, to nie są jakieś tam gusła, tylko wiedza oparta na tysiącach dokumentów, które przeba-
dałem w ciągu ostatnich czterdziestu pięciu lat.

– Powróćmy do typu maszyny – odezwał się Liebler, próbując zlikwidować napięcie.

Fischer wstał.

– Siadaj, stary, i słuchaj – powiedział Liebler.

Fischer natychmiast usiadł.

Nagle rola Henriego Lieblera w grupie zaczęła frapować Miriam. Najwyraźniej cały czas go nie doceniała. Za jego pozorną otwartością, opanowaniem, krył się chłodny, wyrafinowany umysł. Miał na swoim koncie wysoki wskaźnik śledztw uwieńczonych powodzeniem. Miriam przeglądała akta osobowe wszystkich funkcjonariuszy wydziału kryminalnego. Nie podobało się to naczelnikowi prezydium policji. Ona jednak chciała wiedzieć, z kim pracuje. Liebler odrzucił awans, bo łączyło się to z przejściem innego wydziału. Był rasowym śledczym.

– Muszą państwo wiedzieć, że czcionka danej maszyny się nie zmienia. – George znów przeszedł na standardowy niemiecki. – Dlatego można zidentyfikować jej typ na podstawie kroju czcionki, stopnia zużycia i wieku. Tutaj chodzi w każdym razie o stary model. Obstawiam maszynę marki Adler, której używano w latach trzydziestych i czterdziestych. Jeśli uwzględnimy dodatkowo wiek papieru, wydaje się to jeszcze bardziej prawdopodobne.

Fischer ponownie wstał.

– Szukamy dziecka. Czy nikt tego nie rozumie? Dzieciaka. Siedmiolatka. Tymczasem marnujemy czas na zbieranie śladów. Ślady, ślady, ślady. Mamy ich już dość, by postawić sprawcę przed sądem. DNA, odciski stóp, odciski palców, próbki śliny, a teraz jeszcze pismo. Ale czy przez to zbliżamy się do niego choćby o krok? Nie. Bo wiecie, co on robi? Pluje nam dowodami

w twarz. Wyrzuca je nam pod nogi, obsywa nas nimi. A my siedzimy sobie w tym gównie i jeszcze się z tego cieszymy. Tylko co z tym chłopczykiem, którego on przetrzymuje?

– Opanuj się – powiedział Liebler. – Ta robota też jest ważna. Wiesz o tym. Nie wiadomo, czy jakiś pozornie błahy ślad nie zaprowadzi nas do niego.

Ron Fischer lekceważąco machnął ręką.

– Boże, Ron, siadaj wreszcie! Nic innego nie mamy! Spróbujmy razem w miarę możliwości zrekonstruować tę historię – wtrąciła się Hanna Roosen. – Wszystko może się okazać ważne. Również to, że cytat został napisany przez mężczyznę na starej maszynie. – Zwróciła się do Miriam. – Ale dlaczego akurat ten cytat? Pochodzi z prawa rzymskiego, prawda, pani Singer?

– Mówi o tym, że sąd powinien odbyć się tam, gdzie popełniono przestępstwo – potwierdziła Miriam.

– Ale on mówi o wydaniu wyroku! O miejscu zbrodni! Chce nam powiedzieć, że skazał Henrię Winkler na śmierć i wykonał wyrok. Pan George ma rację. Z tego maleńkiego przesłania, które wcisnął Henricie Winkler do ręki, przemawia rozgoryczenie. Rozgoryczenie prowadzące do nienawiści i myśli o zemście.

– Maszyna do pisania, literówki, psychologia swoją drogą – odezwał się Liebler. – Ale co ta staruszka zrobiła, że zasłużyła na taką karę?

– Nazwijmy sprawy po imieniu – odparła Hanna Roosen. – Chodzi o drugą wojnę światową, o Trzecią Rzeszę, o faszyzm w Niemczech. – Nachyliła się do przodu, patrząc wnikliwie w oczy Miriam. – Chodzi o to, jak dalece w to wszystko był uwikłany Oskar Winkler. O to, co robił podczas wojny. Co łączyło go z Hansem Frankiem, zbrodniarzem wojennym skazanym później na śmierć. Co Oskar Winkler robił w Krakowie? Jaki udział miała w tym Henrieta Winkler? Jeśli to ustalimy, znajdziemy chłopca.

– Skąd pewność, że on jeszcze żyje? – zapytał Fischer.

– To tylko nadzieja – odpowiedział Liebler. – Stary, ja już nawet o to nie pytam. Po prostu wychodzę z założenia, że on żyje. Koniec, kropka.

– Czy Oskar Winkler był członkiem partii? – rzuciła Hanna Roosen.

– Wstąpił do niej pierwszego kwietnia trzydziestego pierwszego roku, otrzymując numer legitymacji pięćset osiem osiemset osiemdziesiąt dziewięć. Henrieta poszła w jego ślady po niepełna dwóch miesiącach.

– Jakież funkcje w partii?

Liebler potrząsnął głową.

– Nic na ten temat nie wiadomo.

– Przypuszczalnie klasyczny szeregowy członek – stwierdziła Hanna, której wnikliwość zaczęła budzić sympatię Miriam.

– Jako przedsiębiorca obiecywał sobie z tego pewnie korzyści – powiedziała, żeby przynajmniej cokolwiek wyjaśnić. Jakże często już tego bezskutecznie próbowała.

– Co poza tym? – wtrącił Fischer.

– Kraków. Polska. Co on tam robił? – Hanna Roosen ogarnęła zebranych pytającym spojrzeniem.

– Spotkał Hansa Franka? – Miriam wzruszyła ramionami.

– Dlaczego? – zapytał Liebler.

– Może na zlecenie Franka miał coś budować. Czy nie kazał zburzyć kilku budynków na wzgórzu zamkowym? Żeby wybudować sobie kino? Basen? Philipp opowiadał mi o tym dzisiaj rano – oznajmiła Hanna Roosen.

– Gdzie jest to zdjęcie? – rzuciła Miriam.

Liebler wydobyl fotografię z segregatora i podał jej.

– Zastanówmy się – powiedziała Miriam. – Obaj stoją na Wawelu. To centrum Krakowa. Na co patrzą?

Przez chwilę nikt nie odpowiadał, bo nikt nie wiedział, do czego zmierza.

– Gdzieś tam – odezwał się Fischer. – A bo ja wiem?

– Ale może to ma znaczenie.

– Boże, napawają się widokiem – burknął znów zniecierpliwiony Fischer.

Miriam wychyliła się do przodu.

– Na zdjęciu Frank wyciąga rękę. Coś pokazuje. Czy to przypadek? Według pana Georgego sprawca działa w sposób planowy. Przesłała nam informacje. A zatem, na co oni patrzą?

– Jak się tego dowiemy? – zapytała Hanna Roosen.

– Przesłaliście już to zdjęcie do Krakowa?

Liebler zaprzeczył.

– To powinniśmy to jak najszybciej zrobić. I jednocześnie zwróćmy się do tutejszego uniwersytetu we Frankfurcie. Może jest tam ktoś, kto będzie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Boja wiem, jakiś geograf albo historyk.

– Wybieram się teraz do pani Hirschbach. Może ona wie coś na temat zaginionych zdjęć i innych dokumentów – odezwał się Liebler. – Pojedzie pani ze mną, pani prokurator?

Kiwnęła głową.

– Chwila – usłyszeli głos Fischera. – Jeżeli on naprawdę traktuje ten cytat poważnie, nie powinniśmy przeoczyć tego, co najważniejsze.

– Co masz na myśli? – odezwała się Hanna Roosen.

– Cytat mówi, że wyrok musi być wykonany w miejscu popełnienia przestępstwa. Zgadza się?

Miriam kiwnęła głową. Przecież to już wyjaśnili, czego ten Fischer jeszcze chce?

– Dlaczego – zapytał i pochylił się do przodu, opierając łokcie o stół – dlaczego w takim razie wyrok został wykonany w jej własnym domu?

Mieszkanie pani Hirschbach znajdowało się w czteropiętrowym bloku o jasnożółtej fasadzie. Domofon wskazywał, że było tam osiem lokali. Szybko odnaleźli tabliczkę z nazwiskiem Hirschbach.

Przycisk na samej górze domofonu.

Zadzwonili i cierpliwie czekali.

– Spodziewa się nas?

– Nie, ale nie odeśle nas z kwitkiem – powiedział z przekonaniem Liebler. Wyrzucił do ogródka wypalonego do połowy papierosa. – Będzie zbyt zaskoczona. Ostatecznie przecież nikt jej nie podejrzewa. Jest tylko świadkiem.

W domofonie odezwał się lękliwy głos. Gdy Liebler się przedstawił, rozległo się ciche brzęczenie otwieranego zamka. Komisarz napał na oporne drzwi pełnym ciężarem.

Zamiast tego nowego bloku Miriam wyobrażała sobie jakieś przytulne mieszkanie w starym budownictwie w Bornheim, czarną granitową podłogę w sieni.

Drzwi mieszkania stały już otworem. Powitał ich gruby kocur. Biały angorski okaz z puszystym ogonem, który nieustannie się poruszał. Kocur otarł się o wężowe kozaki Miriam, jakby były one żywe i stanowiły potencjalny łup.

Miriam raczej nie przepadała za kotami. Miały w sobie jakąś nieszczerłość, jakiś sekret. Nigdy nie powiedziałyby prawdy, byłyby opornymi oskarżonymi. Nie dałyby się z nimi rozmawiać wprost.

Pani Hirschbach najwyraźniej jeszcze nie wyszła z szoku. Jej twarz była opuchnięta od płaczu. Przygarbiona snuła się po czystym mieszkaniu pełnym poduszek wydzierganych szydełkiem i bukietów sztucznych kwiatów.

– Mamy kilka pytań – zaczął Liebler. – Oczywiście, jeżeli tylko ma pani czas. W przeciwnym razie przyjdziemy kiedy indziej. Jest pani pewna, że możemy porozmawiać teraz?

Najwyraźniej stosował inne metody niż Fischer. Liebler przypominał kota, który teraz leżał na tylnym oparciu sofy. Pozornie zmęczony i senny, niestrudzenie obserwował obcych przez na wpół przymknięte oczy. Miriam ani chwili nie wątpiła, że gdyby stracił cierpliwość, rzuciłby się na nich.

Pani Hirschbach nerwowo poprawiła włosy. Wyciągniętą ręką wskazała, by usiedli.

– Chcieliby się państwo czegoś napić? Kawy, herbaty?

– Herbata to dobry pomysł. Na dworze jest bardzo nieprzyjemnie. Typowo heska pogoda – odparł Liebler.

Heska pogoda? A cóż to takiego? Swoją pogodą mogła się chełpić Rosja, Finlandia, Kanada, ale nie Hesja, która była zbiorowiskiem średniogórzy w środku Niemiec o umiarkowanym klimacie. Jednego dnia Men zamarzał, a drugiego już przychodziły roztopy.

Liebler gadał i gadał. Jak pięknie położone jest mieszkanie, jak idealnie rozplanowane, wypytywał, jak się żyło z sąsiadami. Słowami omiatał uszy pani Hirschbach, niczym kocur, który krążąc znów wokół butów Miriam, wodził po nich wzrokiem.

Gdy tylko gospodyni zniknęła w kuchni, Liebler błyskawicznie wstał. Miriam z przerażeniem patrzyła, jak otwiera drzwiczki szafek, wysuwa szuflady.

– Oszalał pan? Co pan wyprawia?

– Rozglądam się.

– Nie może pan tak po prostu węszyć bez nakazu rewizji.

– Ale pani może mi go przecież w każdej chwili wystawić – odparł niewzruszony. – Po to w końcu panią zabrałem.

Meblościanka była z tego samego forniru co ta w przedpokoju. Szczotkowany dąb. Za szybką trzy albumy. Śląsk, Wrocław, Frankfurt... i cała masa zdjęć.

– Porządek to podstawa – powiedział pod nosem Liebler i wziął do ręki jedną z fotografii. – Niech pani spojrzy.

Zdjęcie przedstawiało chrzest Frederika. Na pierwszym planie Oliver Winkler obok Denise, która trzymała niemowlę na ręku. Za nimi Oskar i Henrieta Winklerowie oraz Carl z żoną. Pani Hirschbach stała tuż za Henrietą i Carlem. Chociaż w czarnej sukni wyglądała na osobę ze służby, dłoń Carla Winklera spoczywająca na jej ramieniu wyrażała ciepło.

– Ona najwyraźniej należy do rodziny – stwierdził Liebler. – A dzięki temu wie więcej, niż mówi.

Usłyszawszy w przedpokoju kroki pani Hirschbach, natychmiast wrócili na miejsca. Kocur na sofie głośno zamiauczał.

– No, co takiego chcesz mi powiedzieć? – Gospodyni postawiła tacę na stole i pogłaskała kota po grzbiecie. Potem nalala herbaty. Pierwszą filiżankę podała Lieblerowi.

– Dziękuję – powiedział. – Dobrze nam to robi.

Wziął sobie trzy łyżeczki cukru i nieskończenie długo je mieszał. Nie gustował w herbacie, jak powiedział w mieszkaniu Miriam, ale rozpoznał miłośniczkę tego napoju w pani Hirschbach. Porcelana w jej dłoni drżała, niepewnie odstawiła filiżankę. Jej ręce spoczywały teraz na podolku, palce spletały się ze sobą. Skóra na nich była tak cienka, że Miriam obawiała się, iż zaraz pęknie.

Gdy kocur wskoczył Miriam na kolana i tam się ułożył, przemknęła jej przez głowę myśl,

czy nie wymówić się alergią. Wzrok Lieblera nakazał jej jednak, by przetrwała tę próbę.

– Ma pani na imię – zaczął swobodnym tonem – Josefa, tak?

Pani Hirschbach skinęła głową.

– Piękne imię. Dzisiaj dość rzadkie. Mój ojciec pochodzi z Austrii. Tam jest częściej spotykane.

– Jak na Śląsku – odparła kobieta. – Ślązacy i Austriacy mają ze sobą wiele wspólnego.

To była nowa informacja dla Miriam.

– Pochodzi pani z Wrocławia? – zapytała.

– Tak. Niestety, nigdy tam później nie byłam. Mój ojciec miał tam restaurację.

– Czy pamięta pani stamtąd cokolwiek? Miała pani przecież najwyżej siedem lat, gdy musicie uciekać. – Zainteresowany Liebler pochylił się do przodu.

Stara kobieta roześmiała się zakłopotana.

– Urodziłam się w tysiąc dziewięćset trzydziestym, mam już siedemdziesiąt pięć lat.

– Naprawdę? Nigdy bym tego nie powiedział, szanowna pani – odparł Liebler. Udało mu się nawet imitować lekki akcent austriacki. Kot na kolanach Miriam zamruczał.

– I nadal pani pracuje dla Winklerów? Dlaczego? Nie ma pani emerytury?

– Po tylu latach – odparła cicho pani Hirschbach – nie mogę ich przecież tak po prostu zostawić na lodzie.

– Ile dokładnie lat pracuje pani już dla Winklerów? – Liebler ze zrozumieniem nachylił się ku niej jeszcze bardziej.

– Sześćdziesiąt.

– Sześćdziesiąt lat? – powtórzyła Miriam. – To sporo czasu. Nic dziwnego, że śmierć pani Winkler tak panią wstrząsnęła.

– Przez tyle lat – dorzucił Liebler – człowiek się zżywa.

– Byłam jeszcze bardzo młoda, gdy do nich trafiłam. Miałam czternaście lat.

– Przyjechała pani do Frankfurtu w czterdziestym piątym?

– Tak.

– Z Wrocławia?

– Tak.

– Tam zimy bywały pewnie inne. Dużo śniegu, kuligi. Pamięta pani coś?

Pani Hirschbach nie odpowiedziała, do oczu napłynęły jej łzy.

– Jak trafiła pani do Winklerów? – Liebler wziął do ręki gazetę, która leżała na stole, i niby przypadkiem otworzył na stronie z artykułem o przeszłości rodu przedsiębiorców budowlanych.

Głos gospodyni drżał, gdy odparła:

– Zakwaterowano nas tam. Mieszkaliśmy w altanie ogrodowej. Mama, dwójka mojego rodzeństwa i ja. W zamian pomagałam pani Winkler.

– Na czym polegała ta pomoc?

– Carl miał wtedy zaledwie kilka miesięcy. Pani Winkler szukała niańki. Jej męża nie było. W ogóle nie było żadnych mężczyzn. Nie było też już żadnej służby. A gdy tu przyjechalśmy, ja byłam najstarsza, więc zajmowałam się Carlem.

– Kiedy to dokładnie było? W jakim miesiącu?

– W maju.

Odpowiedzi padały szybko i precyzyjnie, prawie tak, jakby je przygotowała. Miriam wymieniła spojrzenia z Lieblerem.

– Czyli od tego czasu pracuje pani dla tej rodziny?

– Tak.

– Czy wyszła pani za męża?

– Nie.

– Ma pani dzieci?

Jasna cera pani Hirschbach nagle się zaczerwieniła. Opuściła wzrok, spoglądając na ręce, i potrząsnęła głową.

– Co należy do pani zadań w domu pani Winkler?

– Prowadzę gospodarstwo.

– Co to dokładnie oznacza?

Pani Hirschbach nieufnie przyglądała się Lieblerowi. Ton jego głosu uległ zmianie.

– Gotowanie, sprzątanie, zakupy, pranie – oznajmiła nerwowo. – Wszystko, co się w domu robi. Pani Winkler musiała się przecież zajmować firmą, jej mąż stracił na wojnie rękę.

– Podczas nalotu – skorygował ją Liebler. – A zatem to były ciężkie czasy.

– Oczywiście.

– W jakich godzinach pani pracowała?

– Od śmierci pana Winklera codziennie szłam tam o dziewiątej trzydzieści rano i przeważnie gdzieś tak około wpół do ósmej wracałam do domu. Gdy pani Winkler przechodziła do salonu.

– Mówiąc o salonie, ma pani na myśli pokój dzienny?

– Tak.

– Również tego wieczoru, gdy zginęła Henrieta Winkler?

Odpowiedź z trudem przeszła pani Hirschbach przez gardło. Głos brzmiał ochryple:

– Tak.

– Gdy nazajutrz znalazła pani Henrietę Winkler, było już po wpół do dziesiątej. Zeznała pani, że była tam o wpół do jedenastej.

– Tak, najpierw robiłam zakupy.

Liebler odczekał chwilę, potem kontynuował.

– Jak opisałaby pani swój stosunek do pani Winkler?

Dłonie staruszki spłotły się ciaśniej.

– Jak mam to rozumieć?

– Czy była pani tylko jej pracownicą?

– Nie – oburzyła się pani Hirschbach. – Pracowałam dla tej rodziny sześćdziesiąt lat. Po śmierci mojej mamy długo u nich mieszkałam.

– Należała więc pani do rodziny?

Ponowne oburzenie:

– Nie!

– Ale istniała między wami poufałość?

– Tak. Oczywiście.

– Kto zajmował się osobistymi dokumentami pani Winkler?

Nagle w powietrzu pojawiło się napięcie.

– Co pan ma na myśli?

– Zdjęcia, listy, dzienniki. – Liebler starał się wypowiedzieć to zdanie niedbale, obojętnie rozglądając się przy tym po pokoju.

– Nie... – dłonie pani Hirschbach skrzyżowały się – to nie należało do moich zadań.

W jej spojrzeniu czaił się strach.

– Rozumiem. – Liebler wstał i podszedł do szafy, wziął do ręki zdjęcie. – To nie należało do pani zadań. Ale znała pani chyba niejednego sekret szefowej?

Minęła chwila, zanim padła odpowiedź, w której tym razem brzmiała przekora.

– Nie.

– Prosimy, żeby pani sprawdziła, czy brakuje czegoś z osobistych dokumentów pani Win-

kler. Mojemu koledze, panu Fischerowi, powiedziała pani, że nic nie zginęło. Skąd pani to wie, skoro nie miała pani z tymi dokumentami nic do czynienia?

Austriackość wyparowała. Pozostały Prusy.

Dłoń pani Hirschbach drżała, gdy sięgała po filiżankę.

– Proszę wybaczyć. Nie czuję się dobrze.

– Chce pani szklankę wody? – Miriam współczuła staruszce.

– Nie, ja... w głowie mi się kręci.

– Rzeczywiście duszno tutaj. – Liebler uchylił okno.

– A zatem, czy była pani w stanie stwierdzić, że czegoś brakuje? – Miriam zepchnęła kota na podłogę i usiadła na sofie obok pani Hirschbach. – W porządku. My tylko chcemy pomóc tej rodzinie. Rozumie pani? Żeby jak najszybciej odnaleźć Frederika. – Przekłety kocur znów ocierał się o jej nogi. Obrzydliwe uczucie. Zupełnie, jakby skóra cierpła i zarastała sierścią.

Pani Hirschbach skinęła głową.

– Oczywiście. Przepraszam.

– Czyli niczego nie brakowało?

– Nie.

– Żadnych zdjęć? – rzuciła beznamiętnie Miriam.

– Zdjęć? – pani Hirschbach spojrzała na nią z irytacją. – Nie.

– Listów? – zapytał Liebler.

Staruszka przymknęła oczy.

– Nie.

– A co z papierami? Rodzinny sztambuch, paszport i tak dalej.

– Nie wiem. Zajmowanie się tym nie należało do moich obowiązków.

– Czy pani Winkler miała skrytkę w banku? Albo jakiś sejf? – przyszła z pomocą Miriam.

– Tak – odparła z ulgą pani Hirschbach. – Miała sejf w biurze.

– Owszem – powiedział Liebler – ale oprócz broni nic w nim nie było.

– Broń? – spytała zszokowana gospodyni. – Nic mi o tym nie wiadomo.

– O tym nic pani nie wie, a mówiła pani, że zajmowała się wszystkim.

– Tak, ale..

– Załatwiała pani różne sprawy dla szefowej, prawda? Chodziła pani na przykład do banku.

Albo na pocztę.

– Tak, oczywiście.

– Dlaczego w takim razie nie wie pani, gdzie ona przechowywała papiery? Po sześćdziesięciu latach? – Liebler podniósł głos.

Oczy starej kobiety wypełniły się łzami.

Kot nagle wyskoczył zza fotela, mijając Miriam, która się wzdrygnęła. Usiadł przed Lieble-rem i z podniesionym ogonem wlepił w niego wzrok. Ten jednak nic sobie z tego nie robił. Jego dłoń z pozoru niedbale zwisała obok kociego pyszczka.

– Pani dyskrecja jest godna podziwu. W takim razie pani Winkler pewnie też nie wspominała o żadnym testamencie? Że przypadnie pani coś w spadku?

Kot wbił ślepią w dłoń policjanta.

– Ja już swoje dostałam – oznajmiła pani Hirschbach. – Carl dziesięć lat temu kupił mi to mieszkanie.

– Piękne lokum – potwierdził Liebler. – Do kogo należy budynek?

Kocur ze sterczącym do góry ogonem zbliżył się do dłoni.

– Do rodziny Winklerów.

Komisarz skinął głową.

– Tego można się było spodziewać, że dadzą pani mieszkanie. Ostatecznie przez sześćdziesiąt lat troszczyła się pani o nich.

– Carl nie jest taki – odpowiedziała pani Hirschbach, nie wyjaśniając jednak, jaki nie był i w przeciwieństwie do kogo.

Liebler przyklęknął i spojrzał kocurowi w oczy. Z pozoru obojętnie zapytał:

– Czy szefowa opowiadała pani o wojnie? Starsi ludzi wciąż przecież o tym opowiadają. Na przykład mój dziadek. Ciągłe te same historie. Czy ona nigdy nie mówiła o tamtych czasach?

– Owszem, o nalotach tu, we Frankfurcie, że tuż przed narodzinami Carla musiała opuścić miasto. Przyszedł wtedy rozkaz ewakuacji, żeby ochronić ludność. Carl przyszedł na świat w marcu, w przydrożnym rowie. To najlepsze miejsce, żeby zostać przedsiębiorcą budowlanym, mawiał zawsze pan Winkler. Carl to kochany chłopak. Taki wrażliwy. Nigdy jeszcze nie usłyszałam od niego złego słowa.

– A co z czasami przedwojennymi?

– Nigdy już nie było tak jak przed wojną – odparła z wysiłkiem pani Hirschbach. – Moja rodzina straciła przecież wszystko.

– Tak – odezwał się niewzruszony Liebler. – Na tym, bądź co bądź, polega przegranie wojny. – Zdołał na tyle obłaskawić kota, by ten dał się pogłaskać. – Czy pani Winkler ubolewała nad tym, że Niemcy nie wygrali?

Podniósł się i spojrzał prosto w oczy staruszce, która w końcu, wypatrując pomocy, zwróciła się do Miriam.

– O tym nie rozmawialiśmy. Ja tylko prowadziłam dom – wymamrotała.

– Co z testamentem?

– Pani Winkler omawiała wszystkie te sprawy z panem Conradim.

– Conradi? – zapytała Miriam.

– Z notariuszem.

Liebler wziął do ręki długopis.

– Jasne – powiedział – sami powinniśmy na to wpaść. Jak on się nazywa?

– Conradi.

– Nie wie pani przypadkiem, gdzie znajduje się jego kancelaria? Musimy zaraz tam kogoś wysłać.

– Am Dornbusch dziewięć.

– Które piętro?

– Drugie.

Głos Lieblera z sekundy na sekundę tracił oficjalny ton.

– Nic pani zatem nie wie o prywatnych sprawach pani Winkler, ale zna pani adres kancelarii jej notariusza? I nawet wie, na którym piętrze się ona znajduje? Chociaż rzekomo nigdy pani tam nie była?

Pani Hirschbach nagle się rozszlochała. Sięgnęła po papierowe chusteczki leżące na stole.

– Zawsze musiałam wszystko osobiście nosić. W tej kwestii pani Winkler była nieustępliwa. Nie pozwalała, żeby wysłać to pocztą.

– Dlaczego pani? Dlaczego nie jej syn?

– Nie wiem.

– Co pani nosiła?

– Duże koperty.

– Aha, duże koperty. Co się w nich znajdowało?

– Były zapieczętowane.

– Zapieczętowane?

- Tak.
- Jak?
- Woskiem.
- I nic na nich nie było napisane?
- Nie.
- Kiedy zanosila pani te koperty?
- Dopiero w ostatnim czasie.
- Raz, dwa razy, trzy...?
- Chyba trzy razy.
- Jak pani myśli, co w nich bylo?
- Nie wiem.
- Naprawde nie? Pani Winkler nie zyje. Juz nie moze pani zagrozic.

Staruszka nie odpowiadala.

Kocur ocieral sie o nogi Lieblera. Gdy ten sie nachytil, by go poglaskać, kot zaczał przyjaź-
nie mruzeć.

- Czy ona pani grozila? – zapytal komisarz i podniost glowe.
- Nie musiala.
- Bała sie jej pani?
- Juz nie.
- Co chce pani przez to powiedziec? Ze na poczatku sie jej pani bała?

– Wtedy bałam sie wszystkiego. Przeżyłam Drezno. Na moich oczach zawalil sie tamtejszy
kościół Mariacki. A my przyjechaliśmy tam zaledwie dzien przedtem.

- Co wiec, pani zdaniem, bylo w tych kopertach?
 - Nie wiem.
 - Moze pani nie wie, ale chyba sie pani nad tym zastanawiala? Snula domysly?
- Pani Hirschbach wybuchnela placzem.
- Moze – powiedziala w koncu – te listy.

Miriam Singer musiała pogodzić się z tym, że ramię wymiaru sprawiedliwości jest zbyt krótkie, aby popchnąć sprawy do przodu w kancelarii pana doktora Conradiego. Nie oddzwonił, a jej cierpliwość była na wyczerpaniu. Sięgnęła po słuchawkę. Conradi albo miał nieodpowiednią sekretarkę, albo umyślnie ignorował Miriam.

– Miriam Singer z prokuratury. Chcę natychmiast rozmawiać z panem Conradem.

– Pan doktor Conradi ma niestety...

– Nie musi mi pani tego powtarzać jak mantry. Nie jesteśmy buddystami, tylko niemieckimi prawnikami. Chodzi o morderstwo. O porwanie. Wszystko, czego teraz nie wykona państwa kancelaria, uznaję za nieudzielenie pomocy.

Sekretarka była wystarczająco rozgarnięta, by przełączyć rozmowę.

Gdy Miriam czekała, w drzwiach ukazała się głowa Corduli.

– Zamawiam sushi. Dla pani też?

Miriam potrząsnęła głową, lecz zanim Cordula zamknęła drzwi, zmieniła zdanie.

– Albo dobrze, niech będzie, ostatecznie przecież wszystko jedno, co jem.

W słuchawce rozległ się wreszcie męski głos.

– Conradi.

– Prokuratura frankfurcka, Miriam Singer. Powinien pan lepiej instruować swój personel w kwestii znaczenia słowa „prokuratura”.

– Mój personel jest wystarczająco dobrze przeszkolony, o to niech się pani nie martwi. Co mogę dla pani zrobić?

– Na przykład oddzwonić.

– Do tej pory nie miałem na to czasu.

– Ale tutaj chodzi właśnie o czas, rozumie pan? Nie o dni, nie o godziny, minuty, tylko o sekundy, bo stawką jest życie dziecka. Dlaczego, do cholery, oddzwonienia do mnie nie uważa pan za ważne? Przecież pracuje pan dla Winklerów od wielu lat. Czy nie obchodzi pana, by im pomóc?

– W chwili obecnej wszystko wskazuje na to, że tylko pani potrzebuje mojej pomocy. Dlaczego nie powie pani od razu, czego pani chce?

– Dlaczego jeszcze nie zwrócił się pan do nas w sprawie testamentu pani Winkler?

– Od śmierci pani Winkler minęły dwa dni. O zgonie poinformowano mnie dopiero wczoraj.

– Nie czyta pan gazet?

– Sprawy mają swój tok.

– W normalnych okolicznościach owszem, ale nie w tej sytuacji.

– Mam testament. Jego otwarcie może jednak nastąpić dopiero po pogrzebie.

– To za późno!

– Dlaczego testament miałby wam pomóc w dochodzeniu?

– Bo ja tak mówię.

– Prokuratura nigdy jeszcze nie cierpiała na brak pewności siebie – śmiech w słuchawce zdradzał arogancję.

– Wiadomo nam ponadto, że pani Winkler deponowała u pana inne dokumenty.

– Ma pani na myśli umowy firmowe? Akty sprzedaży? Zgadza się.

– Nie. Chodzi o dokumenty prywatne. Listy i tym podobne.

– Na ten temat nie mogę udzielać informacji.

– Oczywiście, że pan może. Niech pan po prostu powie, czy to prawda.

Milczenie mówiło samo za siebie. Próbował zyskać na czasie. Działał według strategii, obie-
rał mądre taktyki, a jego decyzje nie były dziełem przypadku.

– W tej kwestii muszę powołać się na swoje prawo do odmowy zeznań – odparł po chwili.

– Nawet jeżeli pana klientka nie żyje?

– To niczego nie zmienia. Tylko Henrieta Winkler mogłaby mnie z tego zwolnić, ale jak pani wiadomo, ona jest na tamtym świecie.

– A spadkobiercy?

– Oni nie mają z tym nic wspólnego. Tutaj liczy się ostatnia wola zmarłej. Jak już wspomnia-
łem, powołuję się na prawo odmowy zeznań.

– Czy pan nie rozumie – krzyknęła oburzona Miriam – że porwano dziecko?

– To nie zmienia postaci rzeczy.

– Mogę teraz wydać nakaz przeszukania pańskiej kancelarii.

– Nie toczy się żadne postępowanie ani przeciw mnie, ani przeciw któremukolwiek z moich
klientów. Nie pozwolę na żadne rewizje, a już na pewno nie wydam żadnych dokumentów. Zgod-
nie z paragrafem osiemnastym Federalnego Kodeksu Notarialnego jestem zobowiązany do
zachowania dyskrecji. Naruszenie tajemnicy zawodowej może pociągać za sobą konsekwencje
karne, nie mówiąc już o skutkach dyscyplinarnych i z tytułu odpowiedzialności cywilnej. Jak
pani widzi, jestem w kropce. Niech pani mi pomoże, dając mi spokój.

– Postaram się o nakaz sądowy, który zwolni pana z obowiązku dochowania tajemnicy.

Można to załatwić szybciej, niż pan myśli.

Roześmiał się.

– To się pani nie uda. Nie mogę ot tak opowiadać każdemu o tym, co powierzono mi jako
notariuszowi.

– Odmawia pan wydania ważnego materiału dowodowego.

– Pani podejrzenia nie opierają się na niczym poza przypuszczeniami. Nawet pani nie wie,
czy rzeczywiście znajdują się w posiadaniu dokumentów, o których pani mówi. W jaki więc spo-
sób uzasadni pani, że rewizja doprowadzi do ujęcia sprawcy, a tym samym do odszukania upro-
wadzonego chłopca? U mnie nie znajdzie pani ani porywacza, ani dziecka. A jeżeli bierze pani
pod uwagę konfiskatę, to musi pani podejrzewać mnie.

– Utrudnia pan prowadzenie śledztwa. Za to można zapłacić stołkiem. I ja się o to postaram.

– Obawiam się raczej, że wpakuje się pani w tarapaty. Tylko sędzia może nakazać przeszuka-
nie kancelarii notarialnej.

– W razie ryzyka z powodu zwłoki nakaz może wydać również prokuratura.

– Niech pani robi, co chce. Słyszałem, że ma pani przed sobą wielką karierę. Czy naprawdę
chce pani jej zagrozić?

Gdy tylko Miriam włożyła do ust suchą ryżową kulkę, w biurze zapachniało rybą. Próbowwała
nie zwracać uwagi na to, że ryba jest surowa, i unikała żucia jej kawałków. Zrobiło się jej niedo-
brze.

A Hillmer? Wezwał ją do siebie w trybie natychmiastowym. Niczym jakąś uczennicę. Co
zamierzał z nią zrobić? Wsadzić do karceru? Nie, nie zależało jej na jego ocenie. Jeśli jej starania
zostaną uwieńczone sukcesem, okaże się, że miała rację. Nawet jeżeli miałyby to przypłacić
utrata stanowiska.

Hillmer siedział za biurkiem z ręką przy telefonie, jakby dopiero co odłożył słuchawkę. Pomieszczenie było przegrzane. Zatechłe powietrze kotłowało się pod sufitem. Miriam musiała się opanować, by nie otworzyć okna.

– Miałem właśnie wysoce niepochlebną rozmowę z kancelarią Conrادية. Wysoce niepochlebną rozmowę.

Nie zaprosił jej, by usiadła, co jednak nie przeszkodziło Miriam w zajęciu fotela dla gości.

– Chcę, żeby zaprzestała pani nagabywać pana Conrاديةgo.

– Grają panowie razem w golfa? – Wymownie założyła nogę na nogę. Spódnica podsunęła się wyżej, ukazując kozaki z krokodylej skóry.

Błada twarz Hillmera zaróżowiła się. Wobec wykrywacza kłamstw byłby bez szans.

– To nie ma nic do rzeczy. Wydaję pani polecenie służbowe. Proszę sobie zapamiętać: tutaj, w tym wydziale, to ja jestem osobą decyzyjną. I nie dopuszczę, żeby pani nadal nagabywała notariusza.

– Ale to ja złożę wniosek o nakaz sądowy. Conrادية utrudnia prowadzenie dochodzenia. Przechowuje dokumenty dotyczące przestępstwa.

– A co to ma niby być?

– Listy.

– Listy?

– Według gosposi, pani Hirschbach, Henrieta Winkler otrzymywała wciąż listy. Z zagranicy. Hirschbach zeznała, że wielokrotnie osobiście zanosila do kancelarii dokumenty. Zapieczętowane listy, które prawdopodobnie zawierały pogrożki.

– Pogrożki.

– Boże, nie rozumie pan? Sprawcy nie zależy na pieniądzech. Podczas wojny coś się wydarzyło. Ktoś chce się zemścić i... – Miriam nie mogła się powstrzymać. – W pańskim wieku wie pan znacznie lepiej niż ja, co oznacza nazistowska przeszłość dla takiego przedsięwzięcia jak firma Winklerów. Nie mówiąc już, o nadszarpnięciu wizerunku wymiaru sprawiedliwości. Niemiecka przeszłość to pole minowe. Jak szybko prasa napisze, że nie uwzględniliśmy ważnych dokumentów, że kamuflujemy przestępstwa, że pozwalamy, by sprawcom się upiekło, że nie prowadzimy poważnych postępowań? Sprawca jest przebiegły. Napuścił prasę na nas, na policję kryminalną. Na mnie, na pana, na wszystkich.

Hillmer wstał i podszedł do okna. Znowu zgrywał myśliciela, a w rzeczywistości trząsł portkami. Tym swoim strachem wyrabiał całe nadgodziny. Po kilku minutach odwrócił się do niej.

– Nie mogę pani przeszkodzić w złożeniu wniosku o nakaz sądowy – oznajmił. – Ale cała odpowiedzialność spoczywa na pani.

Nigdy nie lubiła grać w Czarnego Piotrusia. W niewytłumaczalny sposób przyprawiało ją to zawsze o kaca.

– Jeżeli Conrادية nie przekaże nam tych dokumentów, postaram się o formalną konfiskatę.

Hillmer wzdygnął się. Najwyraźniej obleciał go strach, jak odbije się to na najbliższej partii golfa.

Miriam odetchnęła z ulgą, gdy radiowóz zatrzymał się przed kancelarią. Wsiadł z niego Liebler z dwoma funkcjonariuszami pomocniczymi. Czekał piętnaście minut na spóźnionego komisarza, miała dość czasu, by pożałować swej decyzji. Pod względem moralnym miała rację. Mogłaby się założyć o całą swoją kolekcję butów. A jednak przekonanie sędziego Salma do wydania sądowego nakazu przeszukania kosztowało ją dwie godziny. Utrzymywał, że polega na jej znajomości prawa i zapewnieniu, że nie przekracza swoich kompetencji. A ona cały czas

zastanawiała się tylko nad tym, co też jego ojciec robił podczas wojny. Ta myśl nie dawała jej spokoju. Porywacz wprowadził do jej świata konia trojańskiego. Wszczepił wirusa, który zagnieździł się tam jak na twardym dysku.

– Wszystko w porządku? – spytał z krzepiącym uśmiechem Liebler. Gdy przedstawiła mu sytuację, nie zadawał żadnych pytań.

Kiwnęła głową.

– To ruszajmy!

Kancelarię rozświetlał batalion neonówek. Starsza kobieta w recepcji zniknęła natychmiast, gdy tylko Miriam się przedstawiła.

W zaledwie kilka minut później stał przed nimi sam Conradi. Zadbany wygląd nie był w stanie zatuszować faktu, że miał około sześćdziesiątki. Poza golfem z pewnością uprawiał także inne sporty, w przeciwnym razie nie umiałby się poruszać tak atletycznym krokiem. Nie był to naturalny chód, czuło się w nim sztuczność, podobnie zresztą jak w opaleniźnie na twarzy. Conradi miał na sobie szary garnitur w jodełkę, blad różową koszulę i spięty złotą szpilą krawat w tym samym kolorze. Krótko mówiąc, kolorystycznie pasował dokładnie do różanej aranżacji, za którą kryła się teraz recepcjonistka, udając ślepą i głuchą.

– Tak, proszę, co mogę dla państwa zrobić?

– Miriam Singer. Mam w kieszeni nakaz rewizji – zaczęła Miriam. Zanim jednak zdołała go wręczyć, Liebler nagle jej przerwał:

– Porozmawiajmy.

– Nie mogę rozmawiać, czując, że mam na karku policyjną obstawę – odparł Conradi.

Liebler dał znak obydwu funkcjonariuszom, którzy natychmiast wycofali się z recepcji.

– Podejźmy do tego wszystkiego inaczej – zwrócił się ponownie do Conradiego. – Obydwaj reprezentujemy interesy rodziny Winklerów. Nawet jeżeli pani Winkler zobowiązała pana do milczenia, z pewnością nie chciała, żeby zatajał pan przed nami informacje i żeby z tego powodu nie odszukano jej prawnika.

Conradi uniósł ręce.

– Ale ja nie mogę pozwolić panu na wgląd w te papiery – odpowiedział – nawet gdybym chciał. Nasza kancelaria reprezentuje Winklerów od ponad sześćdziesięciu lat. Nie mogę tak po prostu narażać zaufania, które w tym czasie się rozwinęło. Muszę postępować zgodnie ze swoim sumieniem.

– Ja też. Bo nie chcę mieć na sumieniu życia siedmioletniego dziecka.

Co to miało być? Męska przyjaźń od pierwszego wejrzenia? Palce Miriam zacisnęły się na nakazie rewizji.

– Niech pan przynajmniej da nam wskazówkę, o jaki rodzaj dokumentów chodzi. Chcemy przecież współpracować, prawda? Gramy w tej samej drużynie.

Boże, jak ten Liebler słodzi!

Zawahawszy się przez moment, notariusz ustąpił.

– Przejdźmy do mojego gabinetu.

Pomieszczenie oświetlał żyrandol. Conradi usiadł za ciemnym biurkiem z połyskującego drewna. Z tego samego materiału wykonano stojące za nim regały zastawione rzędami niemieckich kodeksów prawnych. Rzetelność, wiarygodność, solidność. Ekspozycja niemieckich cnót głównych, która miała wzbudzać zaufanie. U Miriam tymczasem widok ów budził poczucie, że we wszystkich obszarach wymiaru sprawiedliwości powinno się znów przeprowadzić gruntowne porządki.

– Udowodnię moją chęć do współpracy, coś państwu pokazując. – Conradi sięgnął po słuchawkę. – Chcemy zajrzeć do prywatnych dokumentów Henriety Winkler. Proszę wyjąć je z

sejfu.

Czekali w milczeniu. Liebler defilował wzdłuż regału z książkami, Conradi wlepił wzrok w okno, palce Miriam się zaciskały. Nie mogła uwierzyć, że notariusz tak po prostu uległ pochleb-
stwom Lieblera.

Po kilku minutach weszła sekretarka z kasetą podobną do tych, które konwojenci używają do transportu pieniędzy. Niosła ją przed sobą niczym dar ofiarny.

– Proszę nie robić sobie zbyt wielkich nadziei – powiedział notariusz. Następnie otworzył kasetę i wyjął z niej kartkę. – Niech pan czyta.

Wręczył list Lieblerowi, który przekazał go Miriam.

Oddała dokument po przeczytaniu go.

– Po co? – zapytała, zwracając się do Conradiego. – Po co ktoś robi coś takiego?

Teraz wiedziała, że Liebler miał rację, powstrzymując ją od konfiskaty papierów. Były nie tylko zafoliowane. Przez folię dostrzec można było czerwoną woskową pieczęć.

– Obawa przed tym, co nastąpi po śmierci, miewa osobliwe przejawy – oznajmił notariusz.

– To nie takie proste – powiedziała Miriam. – Henrieta Winkler pisze w tym liście, że powie-
rza panu swoje prywatne papiery. Życzy sobie, żeby pan je osobiście opieczętował i zafoliował.
Ma pan zadbać o to, aby zostały pogrzebane wraz z nią. Po co to wszystko? Co ona będzie miała
z tego, że razem z nią spoczna w trumnie?

Conradi wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– Nigdy pan o to nie zapytał?

– Stawianie pytań naprawdę nie należy do moich obowiązków. Teraz więc z pewnością pań-
stwo rozumieją, że tym razem jednoznacznie czuję się zobowiązany do zachowania tajemnicy.

– Nie wiem – odparła Miriam – czy wobec zmarłej taki obowiązek jeszcze istnieje. Pracu-
jemy przecież dla żywych, a nie dla zmarłych.

– Naprawdę? A co z ofiarą morderstwa? Nie żyje. Czy skazanie sprawcy na coś się jej jesz-
cze przyda?

– Tego nie można porównywać.

– Tylko z punktu widzenia prawa.

– Może te dokumenty mogłyby nam jakoś pomóc? Henrieta Winkler miała coś do ukrycia.
Bo niby po co miałyby zabierać te papiery do grobu? Z prawnego punktu widzenia muszę zaak-
ceptować pańską decyzję o niewydaniu tych materiałów, nawet jeżeli sama jej nie aprobuje. Dla-
czego jednak pan przy tym obstaje? Ostatecznie, Henrieta Winkler nie może już pana podać do
sądu. Choćby dlatego, że nie żyje.

– Zaufanie klientów to w moim zawodzie podstawa.

– Dobra, dobra – powiedział Liebler. – Tak niech pan sobie rozmawia w kręgach prawni-
czych. My mamy inne problemy. Kiedy pani Winkler przekazała panu te papiery? Czy pamięta
pan datę?

– Każdy wpływający dokument jest oczywiście rejestrowany. Jedna kopia pozostaje w papie-
rach, druga trafia do archiwum, do akt klienta. – Wyjął z pudełka kartkę. – Pierwszą partię dostar-
czono pół roku temu, a dokładnie mówiąc, szesnastego czerwca.

– Kto ją przyniósł?

– Podpisała się tu pani Hirschbach.

Odłożył kartkę do pudła.

– Więcej jednak nie mogę państwu powiedzieć. Już i tak mocno nagiąłem granice tajemnicy.

– Jeszcze tylko jedna rzecz. – Liebler nie odpuszczał. – Czy pani Winkler kiedykolwiek
wspomniała o czymś, co wydało się panu osobliwe? Czy otrzymał pan od niej zlecenie, które nie

podlega obowiązkowi dochowania tajemnicy?

Conradi zwlekał z odpowiedzią.

Coś wiedział.

Policjanci wciąż czekali na dole. Ręka Miriam sięgnęła po nakaz rewizji w torebce.

Notariusz jednak ustąpił.

– Tak, było jeszcze coś. Przed dwoma tygodniami zadzwoniła i zapytała, czy mógłbym jej załatwić wyciąg z rejestru urodzeń.

– Rejestr urodzeń? – spytała zbita z tropu Miriam. – Dlaczego?

– Miałem poszukać tam pewnego nazwiska.

– Jakiego?

– Sophia Fuchs.

– Sophia Fuchs?

– Tak.

– Znalazł pan coś? – wtrącił się Liebler.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Ten rejestr już nie istnieje. Zaginął podczas wojny lub wkrótce po niej. – Conradi spojrzał na zegarek.

– Skąd pan to wie? – zainteresowała się Miriam.

– Jestem notariuszem. Wiem, gdzie trzeba szukać.

– W urzędzie stanu cywilnego?

– Nie, w Instytucie Historii Miasta.

– Od kiedy rejestr urodzeń przechowuje się w muzeum? – zdumiał się Liebler. – Czy to nie jest sprawa urzędu stanu cywilnego?

– W tym wypadku zajmował się tym szpital.

– Który szpital?

– Właściwie tylko izba chorych. Przy obozie Kelsterbach.

– Co to za obóz? – Miriam miała wrażenie, że sprawa stawała się coraz bardziej osobliwa.

– Dla robotników przymusowych.

– Dla robotników przymusowych?

– Tak. – Conradi ponownie zerknął na zegarek. – Więcej nie mogę powiedzieć. Muszę iść.

Jestem umówiony.

Skinął głową pod adresem Lieblera i zignorował Miriam, która niemal chciała mu podziękować, że w końcu okazał wolę współpracy. Podążyła do wyjścia w ślad za Lieblerem, który nagle odwrócił się i w przedpokoju zawołał:

– Pamięta pan jeszcze datę? Datę urodzenia dziecka?

Było już późne popołudnie, gdy Henri Liebler zaparkował samochód na Münzgasse tuż pod Instytutem Historii Miasta. Gdy razem wbiegali po schodach, Miriam zorientowała się, że wciąż jeszcze tli się w niej złość na Conrاديةgo.

– Jestem pewna – powiedziała – że dokumenty, które Henrieta Winkler zdeponowała u notariusza, pomogłyby nam w śledztwie. A ten idiota powołuje się na swoje prawo odmowy zeznań.

– Prawo to prawo – odparł Liebler i z pełnym rozmachem otworzył ciężkie drzwi wejściowe.

Doktor Westhof, nerwowy mężczyzna około czterdziestki, który wciąż klepał się po kieszeniach, jakby coś zgubił, już szedł im na spotkanie.

– Wejźmy do mojego gabinetu. Wszystko przygotowałem.

Podążyli za nim na górę. Na ekranie komputera widniał plan miasta.

– To plan z tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku – oznajmił Westhof. – Te klocki to obozy na terenie miasta. Na niebiesko zaznaczono wszystkie obozy zborne, gdzie gromadzono robotników przymusowych różnych narodowości i z różnych przedsiębiorstw. Te żółte to obozy firmowe, natomiast zielone to wszystkie inne obozy, na przykład dla jeńców wojennych.

– Były wszędzie – stwierdziła z niedowierzaniem Miriam.

Mapę pokrywały znaczki. Wszędzie roiło się od niebieskich, żółtych i zielonych plamek, rozrzuconych na całym obszarze miasta gęściej niż dzisiejsze filie McDonald's.

Westhof kiwnął głową.

– A to tutaj to tylko wybrane punkty. Pełna lista obejmuje kilkaset pozycji.

– Kilkaset? Twierdzi pan, że w mieście znajdowało się kilkaset obozów? W centrum Frankfurtu?

– Tak, oczywiście, nie wiedziała pani o tym? Proszę zobaczyć, przy kliknięciu na dany punkt wyświetla się adres.

Miriam wodziła myszką po mapie. Swojskie adresy okazywały się nazwami obozów: Eschersheimer Landstraße 20, Rathenauplatz 3, obóz miasta Frankfurt, obóz Niemieckich Kolei Państwowych. Wszystkie place, ulice, urzędy, firmy знаła, w ich otoczeniu dorastała.

– A firma Winklerbau? Zatrudniali robotników przymusowych? – Liebler siedział przed monitorem i jak zwykle niczemu się nie dziwił.

– Możemy to sprawdzić.

Pojawiła się wyszukiwarka. Westhof wpisał nazwisko Winkler. Nic.

– Pudło.

– W takim razie możemy wyjść z założenia, że nie zatrudniali robotników przymusowych. – Miriam odetchnęła z ulgą.

– Niekoniecznie. Nie można tego udowodnić, jeżeli nie istnieją żadne dokumenty. Wiele firm pod koniec wojny zatroszczyło się jednak, by dokumenty zniknęły. Było to przede wszystkim możliwe wtedy, gdy przedsiębiorstwo nie utrzymywało własnego obozu, bo zatrudniało niewielu robotników cudzoziemskich.

– Ale firma Winklerbau w czasie wojny świetnie prosperowała. Mieli zlecenia na obszarze całych Niemiec.

– Może współpracowali z innymi firmami i od nich wypożyczali robotników, którzy naturalnie byli gdzie indziej rejestrowani.

- Czy w dzielnicy Gallus istniał jakiś obóz?
- Niejeden. – Westhof wpisał w wyszukiwarke nazwę dzielnicy. Odpowiedź pojawiła się natychmiast. – Najbardziej znany i największy był obóz zakładów Adler, na Kleyerstraße siedemnaście.
- Kleyerstraße – wymamrotał Liebler. – Winklerbau ma tam swoje biura. Jest pan w stanie sprawdzić, czy Winklerbau zatrudniała także polskich robotników przymusowych?
- Nie, jeżeli nie istnieje dokumentacja na ten temat. Co oczywiście nie oznacza, że tak nie było. Muszą państwo pamiętać, że podczas wojny we Frankfurcie pracowało około dwudziestu pięciu tysięcy robotników cudzoziemskich i przymusowych oraz jeńców wojennych. To dane oficjalne. Rzeczywista liczba zatrudnianych obcokrajowców była z pewnością znacznie wyższa.
- Czy wśród nich znajdowali się również robotnicy z Polski?
- Z Polski? – Westhof krótko się roześmiał. – A jak pan myśli? W latach czterdziści jeden-czterdziści trzy deportowano codziennie siedem tysięcy osób z samej tylko Generalnej Guberni.
- Na pewno gdzieś tych ludzi rejestrowano?
- Część dokumentów meldunkowych została podczas bombardowań bezpowrotnie zniszczona lub zaginęła. Dochodzą do tego liczne pomoce domowe, które kwaterowano prywatnie i których często nie meldowano. Gestapo to tolerowało, bo brakowało rąk do pracy, a możliwości zakwaterowania były ograniczone. Ta tabela pokazuje zakłady, w których w udokumentowany sposób zatrudniano robotników cudzoziemskich i przymusowych. Lista nie jest jednak kompletna.
- Co się działo, jeżeli jakaś robotnica zachodziła w ciążę? – spytała Miriam. – Szukamy kobiety, która dwudziestego trzeciego lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego urodziła dziecko.
- To trudny temat, który rozpracowano dopiero w ostatnich latach.
- Gdzie te kobiety trafiły?
- Może do obozu zakładów Adlera przy Froschhäuserstraße albo do Szpitala Miejskiego. Ale najbardziej prawdopodobnym miejscem był Kelsterbach. – Miriam rzuciła Lieblerowi porozumiewawcze spojrzenie, tymczasem Westhof tłumaczył dalej: – To był obóz przejściowy rejonowego urzędu pracy, do którego należał również tak zwany szpital pomocniczy. Tam odbywały się porody.
- Co się działo z dziećmi?
- Umierały w obozie lub je wywożono. – Westhof odgarnął włosy z twarzy.
- Wywożono?
- Do innych obozów lub domów dziecka. Jeżeli miały niebieskie oczy i blond włosy, być może do jakiegoś ośrodka Lebensborn* [*Lebensborn – organizacja działająca w ramach SS; zajmowała się m.in. pozyskiwaniem „rasowo wartościowej krwi”, dokonując wywozu zakwalifikowanych do zgermanizowania dzieci z krajów okupowanych lub odbierając urodzone w Niemczech dzieci robotnikom przymusowym.]. Wtedy miały szczęście.
- A co jeżeli teraz chciałabym odnaleźć którąś z tych kobiet? Jeżeli jedno z tych dzieci szuka swojej matki?
- Można wtedy tylko przejrzeć rejestry meldunkowe i sprawdzić, czy była zarejestrowana.
- A jeżeli nie była?
- To musi pani spróbować w kraju pochodzenia lub w rejestrach Czerwonego Krzyża. Może się jednak okazać, że to szukanie igły w stogu siana. Lepiej zwrócić się z tym do kraju pochodzenia.
- A jeżeli tam nie uda się odnaleźć kobiety?
- Wtedy pisze się ogłoszenie o poszukiwaniu i rozsyła je do wszystkich archiwów.

– Nie mamy czasu.
– Historia to czas – odparł Westhof. – Minęło sześćdziesiąt lat.
– Czy mógłby pan nam pomóc? – zapytał Liebler.
– Co mam zrobić?
– Podeślę tu dwóch funkcjonariuszy, którzy sprawdzą wszystkie znajdujące się w pańskich zbiorach rejestry meldunkowe i dokumenty, które mają związek z tymi obozami.
– Jak nazywa się ta kobieta?
– Sophia Fuchs.
Westhof zastanawiał się przez chwilę.
– Niedawno słyszałem to nazwisko. Ktoś o nie pytał.
– Conradi? – zapytała Miriam.
Westhof skinął głową.
– Tak, chyba tak się nazywał. Notariusz, o ile pamiętam.
– Czy mógłby pan udostępnić nam wszystkie informacje na temat firmy Winklerbau, którymi dysponuje wasz instytut? – Liebler pochylił się do przodu. – Zwłaszcza materiały o projektach, które firma realizowała pomiędzy trzydziestym trzecim a czterdziestym piątym rokiem. W kraju i za granicą. Interesuje nas przede wszystkim Polska i Kraków.
Westhof przytaknął.
– Dołożymy wszelkich starań.
Liebler powoli potrząsnął głową.
– Wszelkie starania to za mało. Proszę tak jak my cały czas pamiętać, że chodzi o życie dziecka.

– Musisz je skonfiskować! – Denise krążyła po salonie. Chociaż pomieszczenie było przestrzenne i znajdowało się w nim niewiele mebli, sprawiała wrażenie więźniarki w przyciasnej celi. Najwyraźniej również tę noc spędziła w czarnym dresie. Włosy miała skołtunione. Ciemne sińce pod oczami wskazywały, że prawie nie spała. Tymczasem jej ojciec siedział bez ruchu na sofie. Nie odezwał się dotąd ani słowem.

– Równie dobrze mogłabym urządzić obławę przy konfesjonale – oznajmiła Miriam, chociaż w duchu zgadzała się z Denise.

– To niemożliwe! – wołała oburzona kobieta. – Zwykła granda!

– Denise. – Carl Winkler wstał i podszedł do córki. Strąciła dłoń, którą położył na jej ramieniu.

– Nie dotykaj mnie! – powiedziała. – Nie dotykaj mnie! To jej wina. Twojej matki. Którą ty, o Boże, tak bardzo szanowałeś. Tę jej zaradność, sukcesy, dyscyplinę. To jej wina, że moja matka tak wcześnie zmarła. Wyłącznie jej wina. Zadręczyła ją na śmierć.

– To nieprawda.

– Była zimna, ambitna, ograniczona. I, jak się teraz okazuje, zwyczajnie zakłamana. Cała ta gadanina o honorze, przyzwoitości, sumienności, tych jej zasługach.

– Kiedyś ją podziwiałaś – odparł Carl Winkler.

– A teraz rzygać mi się chce. Od dłuższego czasu. Od narodzin Frederika. Zupełnie, jakby przetoczyła się rewolucja. Od tamtej pory mam jasny obraz wszystkiego. Ona była tak cholernie surowa dla Frederika. Nie znosiłam tego, kiedy na przykład musiał siedzieć sztywno przy stole. Nie wolno mu było odezwać się ani słowem.

– Co w tym złego? – zapytał zmęczony jej ojciec.

– Że to robił – odparła Denise. – Że to po prostu robił, nie sprzeciwiając się. Tak jak ja. Jak

ty. Jak my wszyscy. To było złe.

Zamilkli.

Liebler siedział z pozornie obojętnym wyrazem twarzy, ale Miriam nauczyła się tymczasem rozpoznawać, że był w najwyższym stopniu skoncentrowany. Jego dłoń raz po raz sięgała do kieszeni z papierosami, lecz potem znów zmieniał zdanie.

– To, co się teraz dzieje – ciągnęła Denise – jest potwierdzeniem, że mam rację. Zawsze wiedziałam, że coś nie gra. A teraz wypływa to rodzinne szambo. Wypadają trupy z szafy. Zawsze sądziłam, że to emocjonalne trupy, nigdy nie pomyślałabym, że moja rodzina ma na sumieniu ludzi.

– Jeszcze nic nie wiemy. Snujemy tylko domysły, że może mieć to związek z robotami przymusowymi. Chociaż przypuszczalnie mamy do czynienia z jakimś pracownikiem, który chce się zemścić, bo Oliver go zwolnił.

Denise nie słuchała słów Miriam, tylko ciągnęła dalej:

– Ale jest jeden plus. Niemal ulga. On jest w Polsce. Czuję to.

– Równie dobrze może być gdzie indziej – próbowała oponować Miriam. – Przewiezienie dziecka przez granicę nie jest wcale takie proste.

Twarz Denise wykrzywiła się w gorzkim uśmiechu.

– Sama w to chyba nie wierzysz. Co rusz szmuglowane są całe ciężarówki pełne uchodźców. I jakoś nikt nic nie widzi, albo nie chce widzieć. Małego chłopca można ukryć wszędzie. W bagażniku. Za jakimiś pudłami.

– Skontaktowaliśmy się już z Polakami. Szukamy tej Sophii Fuchs – powiedział spokojnie Liebler. – Ten policjant z Krakowa jest naprawdę bardzo zaangażowany.

– A co ta kobieta ma wspólnego z Frederikiem? – krzyknęła Denise.

Jej ojciec milczał.

– Ty mi to powiedz! – wrzasnęła do niego. – Dlaczego Henrieta jej szukała?

Bezradnie wzruszył ramionami, na chwilę ukrył twarz w dłoniach.

– Nie wiem, o co chodzi.

– Twój ojciec wtedy dopiero co się urodził. – Miriam otoczyła ramieniem Denise. – Jeżeli twoja babcia nigdy o tym nie mówiła, to on tego nie wie. Minęło ponad sześćdziesiąt lat.

– Co ja mogę mieć z tym wspólnego?

– Wkrótce na pewno dostaniemy jakieś informacje z Polski.

– Kiedy? – krzyknęła Denise. – Kiedy?

– Uspokój się. Jeśli będzie trzeba, wyślę tam ludzi. Musisz teraz zachować spokój. Jestem pewna, że Frederik jeszcze żyje. Porywaczowi nie chodzi o wymuszenie pieniędzy. On chce wyrzucić na was emocjonalną presję, dopieć wam. Za coś, co wydarzyło się podczas wojny. Teraz musicie trzymać się razem.

– Wie pan coś o robotnikach przymusowych? – Henri Liebler zwrócił się do Carla Winklera.

– Czy pański ojciec ich zatrudniał?

– Nigdy o tym nie było mowy. Dokumenty firmowe uległy zniszczeniu podczas bombardowań.

– Co za praktyczny zbieg okoliczności – wtrąciła Denise. – Ale jesteś pewny? Może twoja matka własnoręcznie je unicestwiła? Mogę to sobie świetnie wyobrazić, jak stoi przed sejfem i pali jeden papier za drugim.

Carl Winkler potrząsnął głową.

– Nie – w jego głosie pobrzmiwało napięcie, rysy twarzy zastygły tak, że Miriam nasunęło się podejrzenie, iż tej pewności wcale nie miał.

– Nigdy nie pytałeś, co robili podczas wojny? – Denise nie dawała za wygraną. – Nie wie-

działałeś, że twoi rodzice byli nazistami?

– Nazistami... – powtórzył Carl. – Nazistami. Nie sądzę, żeby nimi byli.

– Przecież słyszałeś, obydwójce byli w partii. Wstąpili do niej już w trzydziestym pierwszym.

– Chodziło o firmę.

– Firma. Zawsze tylko firma. Bogiem była, czy co?

– Tak – odparł Carl. – Myślę, że dla mojej matki na pewno.

– Pierwszy raz to przyznajesz. Tylko że teraz jest już za późno.

– Poczekajmy na wiadomości z Polski. – Liebler bezskutecznie próbował uspokoić Denise.

– Pojadę do Conrادية – powiedziała Denise. – On musi wydać mi te papiery.

– Nie zrobi tego.

– Zmuszę go.

– Nie możesz. – Miriam mówiła to, w co sama nie chciała wierzyć, czego sama nie chciała słuchać ani zaakceptować. Mimo to dodała: – Potrzebujemy cię tutaj, przy telefonie.

– On nie zadzwoni. – Denise wstała. Dres na niej wisiał. Od trzech dni nie zmieniała ubrania.

– Od trzech dni czekam na telefon i nic.

– Potrzebujesz kogoś, kto się o ciebie zatroszczy – powiedziała Miriam. – Sama nie dasz rady.

– Nie dam rady? Ja nie dam rady? To Frederik może nie dać rady. Jest sam. Potrzebuje mnie... On mnie potrzebuje! – Zaczęła szlochać i osunęła się po ścianie na podłogę. Ciasno opłótła tułów ramionami, jakby próbowała wyrzucić z siebie szloch, jakby nie było innej możliwości wykrzyczenia całej rozpacz. Zalała się łzami.

I znowu to Liebler natychmiast znalazł się przy niej, przykląkł i ujął jej dłonie w swoje.

Co on takiego w sobie miał?

Jak on to robił?

Miriam poczuła zazdrość, że sama znów nie potrafiła pomóc Denise, że znów nie umiała znaleźć właściwych słów albo przynajmniej gestów.

Czyżby była oziębła? Niezdolna wesprzeć swej najdawniejszej przyjaciółki?

Denise szlochała. Wreszcie i Miriam wyciągnęła do niej własną zimną dłoń.

Liebler wstał i kiwnął do niej głową.

Carl Winkler przez cały ten czas nic nie powiedział. Najwyraźniej jednak był bliski utraty panowania nad sobą. Miriam zastanawiała się, jak on to wszystko znosił. Też doświadczał naraz zbyt wiele. A teraz musiał jeszcze znosić wyrzuty córki. Jeżeli sprawca zamierzał zniszczyć tę rodzinę, już mu się udało.

Miriam na chwilę zatrzymała się pośrodku salonu Henriety Winkler. Rozejrzała się. Ekipa techniczna sprawdziła wszystko na wylot. Prokurator była pewna, że sumiennie wykonali zadanie. Oni jednak tropili konkretne ślady. Szukali czegoś innego. Chociaż nie wiedziała dokładnie czego, uznała, że chce poczuć ducha Henriety Winkler. Może nie przeniósł się jeszcze w zaświaty, tylko nadal gdzieś tu się czaił.

Szuflady były już wprawdzie pozamykane, ale nikt nie zadał sobie trudu, by poukładać płyty i książki, które sprawca pozrzucał z półek.

Mimowolnie usiadła na podłodze obok sterty płyt i brała jedną po drugiej do ręki.

Wagner, *Tannhäuser*, nagranie z 1930 roku, wykonane w Bayreuth.

Artur Rubinstein, Chopin *Ballady 1-4*, 1960 rok.

Starsza pani najwyraźniej nie czytała powieści. Nie było prawie żadnych książek.

Miriam wstała i podeszła do regału. Znajdowały się tam jedynie albumy – sztuka, architek-

tura. Żadnych krajobrazów, tylko miasta. Florencja, Rzym, Wenecja. Trochę Paryża. Ani śladu Ameryki czy Anglii.

Ponownie ogarnęła wzrokiem pokój.

Dwa komplety niebieskich remerów do wina i szampana. Chińska porcelana w witrynie z drzewa orzechowego.

Sekretarzyk, jaki zwykła posiadać dziewiętnastowieczna pani domu. Ponieważ nie można było w nim przechowywać segregatorów ani ustawić komputera, zdawał się odpowiednim miejscem na wspomnienia.

Bez namysłu Miriam zaczęła badawczo dotykać szufladek, drewna, gałek, niczym lekarz daremnie szukający zmian. Ale nic nie drgnęło. Nie było tajemnych skrytek. Co jednak nie oznaczało, że żadne sekrety nie istniały.

Otworzyła pierwszą szufladkę: pióro, długopis, ołówek automatyczny. Druga szuflada. Zapasy papieru listowego.

Zdjęcia zmarłych. Henrieta przeżyła wielu.

Kolejna szuflada z drukowanymi zaproszeniami, karty klienta, ulotki z programem opery frankfurckiej.

Wyjęła je i przejrzała.

Nadburmistrz Friedrich Krebs zaprasza na przyjęcie Führera i Kanclerza w ratuszu z okazji rozpoczęcia budowy autostrady Frankfurt – Mannheim 23 września 1933 roku.

Nie myliła się: duch Henriety Winkler nadal tu był.

Nawet jeśli ściany świeciły pustkami, bo policja zabrała obrazy, które sprawca pozdejmował. Miriam ponownie zadała sobie pytanie, co mogło łączyć je z całą tą sprawą.

Czarny asfalt skrzył się, a lód skrzypiał pod skórzanymi podeszwami kowbojek, gdy u boku Henriego Lieblera podchodziła do ogonka, który w trzaskającym mrozie utworzył się przed wejściem do winiarni w Sachsenhausen.

Ulicę znowu pokrywała cienka warstwa lodu. Przez cały dzień radio kierowców ostrzegało przed marznącym deszczem, zmorą, która od wielu dni straszyla w mediach. W drodze powrotnej będzie musiała skorzystać z metra, nic jednak nie przekonałoby jej teraz do samotnego siedzenia w domu. Nie miała pojęcia, dlaczego Liebler tak pewnie parł do wejścia, bo właściwie nie miała nadziei na miejsce w tej restauracji. Komisarz jednak przepchnął się do przodu. Gdy jakiś mężczyzna w towarzystwie wyfiokowanej kobiety, która zdawała się żywcem wyjęta z dowcipu o blondynkach, zaprotestował, Liebler wydobyl policyjną odznakę, jakby kręcono właśnie scenę do *Szklanej pułapki* z Bruce'em Willisem.

Miriam potrafiła wytłumaczyć sobie to zachowanie tylko tym, że komisarz był tutaj stałym bywalcem. W każdym razie jeszcze zanim kelnerka ucałowała Lieblera na powitanie, ze stolika przy oknie zniknęła niepostrzeżenie tabliczka z napisem *Rezerwacja*.

– Ta winiarnia to miejsce znane tylko wtajemniczonym – oznajmił Liebler i rozsiadł się na krześle.

– Sądząc po tłumie przed wejściem, to chyba tajemnica poliszyneła. Nie mam w zwyczaju wpychać się przed innych. Mam nadzieję, że nie spotkamy tu nikogo, kto nas zna. Właśnie nadużył pan odznaki policyjnej. Ja to nazywam przywłaszczeniem władzy.

– Ten stół był dla mnie zarezerwowany. Nie zawsze jest tu tak pełno, ale przy tej pogodzie każdy szuka ciepłego kąta. – Liebler podał jej kartę. – Na co ma pani ochotę?

– Cokolwiek.

– Jest pani zimno?

– Co chce pan przez to powiedzieć? Że po tym dniu cierpię na uderzenia gorąca?

– Ludzie różnie reagują. Chce pani moją kurtkę?

Miriam energicznie potrząsnęła głową. Jego opiekuńczość działała jej na nerwy. Tak dalece, że żałowała, iż nie może powiedzieć głośno, jak bardzo ją wkurza.

Podszedł do baru.

Grupa mężczyzn głośno się roześmiała. To też ją drażniło. Wolałaby jakąś spokojniejszą restaurację. Chciała pogadać. A teraz wylądowała tutaj, bo pozwoliła zdecydować Lieblerowi. To był błąd. Powinna na niego uważać. Nie miał wprawdzie tak gęstych włosów jak angielski kocur, ale poza tym miał wiele z nim wspólnego.

Gdy wrócił do stołu, trzymał w swych dużych dłoniach tacę.

– Przyniosłem dla pani grog. Tutejsza specjalność. W takim stroju może pani dziś jeść tylko argentyński stek. Więc zamówiłem dwa. Krwiste. Odpowiednie do okazji.

Miriam wzruszyła ramionami.

– Biorąc pod uwagę pańskie hobby, obstawiałam raczej rybę.

– Nie jem zwierząt, które znam osobiście. Niech pani się napije, to panią rozgrzeje.

Pierwszy łyk sparzył jej język. Miłe uczucie. Rum palił gardło. Też fajnie.

– Jest pani wykończona.

– Tak.

– Muszę pani coś pokazać. Oliver Winkler dał mi tę listę. Odrobił zadanie domowe. Pracownicy, miejsca budowy i tak dalej. Znajduje się na niej co najmniej pięćdziesięciu Polaków, którzy pracowali dla tej firmy. W samym tylko Krakowie dwudziestu.

– Tak – odparła znużona Miriam – to brzmiałoby logicznie, gdyby to był jeden z nich. Wręcz do przewidzenia. Ale taki ktoś goni raczej za pieniądzem, chce na tym zarobić. Tutaj mamy do czynienia z czymś innym.

– Zemsta?

– Odwet – odpowiedziała Miriam.

– A to nie to samo?

– Nie.

– Odsuńmy na chwilę na bok uczucia czy moralność – zaproponował Liebler. – Spójrzmy na sprawę rzeczowo. Dzwoniłem dziś do Mateckiego.

– Matecki?

– Ten policjant z Krakowa.

– Ach, tak.

– Zapytałem go o pożar w centrum handlowym.

– I co?

– Ucieszył się, że ktoś się u nas tą sprawą zajął. Strasznie się przy tym nakręcił. Bo podejrzewa Olivera Winklera o oszustwo ubezpieczeniowe. Obiecał, że posprawdza ludzi z listy. Choć będzie to, jego zdaniem, trudne, większość tych mężczyzn, według niego, pracuje teraz w Niemczech, Belgii albo Bóg wie gdzie. Legalnie lub na czarno.

– Powinniśmy sprawdzić ślad związany z tą robotnicą przymusową. Nawet jeśli zaprowadzi nas to sześćdziesiąt lat wstecz. Zdjęcie z Hansem Frankiem wskazuje, że powody morderstwa i uprowadzenia tkwią w przeszłości. W poprzednim stuleciu, rozumie pan? – ostatnie słowa właścicielce wykrzyczała.

Mężczyźni przy stoliku obok spojrzeli na nią z zaciekawieniem. Co do licha – wypatrywali rodzinnego dramatu? Kryzysu w związku? Czy ci goście nie mogli sobie wyobrazić, że istniały ważniejsze rzeczy? Że problemy, które uważali za kataklizmy w swoim życiu, nie miały większego znaczenia niż ciachnięcie się nożem w palec? Rana cięta w życiorysie, nic więcej. Istniały wydarzenia, które spychały ludzi w otchłań, które stanowiły apokalipsę, zawalenie się tego wszystkiego, co dotychczas uchodziło za rzeczywistość.

– Wie pani, że Oliver Winkler się wyprowadził? – Henri Liebler pociągnął łyk grogu.

– Co?

– Dzisiaj rano opuścił dom z dwiema walizkami, by przeprowadzić się do hotelu.

Przed oczami stanął jej obraz z ubiegłego wieczoru. Dwa splecione ze sobą ciała. Oczy Denise, i to, jak wychodziła z firmy. Wyprostowana i milcząca. Pamiętała nawet o tym, by z powrotem włączyć alarm.

– To wyłącznie sprawa ich obojga – powiedziała Miriam.

– Chwila, chwila – przerwał Liebler – wszystko to nasza wspólna sprawa. Co się stało?

Opowiedziała mu, co widziała w biurze.

Teraz to Liebler się wkurzył.

– Co to za koleś? Jego żona siedzi w domu sama, zrozpaczona, a on posuwa sekretarkę. W samym środku tego zamieszania on bzyka się ze swoją pracownicą. Czy na to nie ma paragrafu? Dokładnie o to samo zapytała Denise.

– Wezmę go sobie na widelec – powiedział Liebler i wyjął papierosa. – Może przynajmniej zdołam go pociągnąć do odpowiedzialności z powodu oszustwa ubezpieczeniowego. Sprawiloby mi to dużą przyjemność. – Pociągnął długi łyk z kieliszka.

– Szkoda czasu. Mamy inne priorytety.

– Na to znajdę czas – odparł Liebler. Wkroczył na ścieżkę wojenną. – Nawet jeśli miałbym to zrobić w wolnym czasie.

– W jakim wolnym czasie?

– Do dupy z tymi gnojami. Wkurzają mnie.

Tym razem mężczyźni zerkali na niego.

– Porozmawiajmy o przeszłości – rzekła Miriam.

Liebler nagle znieruchomiał. Sięgnął po kieliszek. Ręka mu drżała. Wypił do dna. A potem zapalił papierosa. Zaciągnął się mocno i głęboko.

– Nie – odpowiedział w końcu zdecydowanym tonem. – Mam dość tego ciągłego owijania w bawełnę. Pogadajmy o przyszłości.

– O przyszłości? – spytała zbita z tropu Miriam. – Co, do licha, ma pan na myśli? Jaką przyszłość?

Teatralna pauza, która nastąpiła, była doskonała i połączona z przeciągłym spojrzeniem kocura, który zmierzał ku określonej celowi.

– Naszą – wyjaśnił Liebler i odstawił kieliszek.

Upłynęło kilka sekund, zanim Miriam zdołała zareagować. Czym było jej życie w tej chwili? Piłką, w którą grali bogowie? Obojętnie podrzucali ją w górę lub pozwalali, by spadała w dół. Wszystko wedle ich własnego widzimisię.

– Oszalał pan?

– A czy to nie część miłości?

– Tutaj – stwierdziła Miriam – nikt nikogo nie kocha.

– Na to akurat wyjątkowo nie ma pani wpływu.

– Nic nie chcę na ten temat wiedzieć. Nie w tej chwili, nie teraz, nigdy.

– Właśnie dlatego to mówię. Bo poza tym widzę tylko jedno wielkie gnojowisko. Nie rozumie pani? Mam dość tej pracy. Mam dość oglądania, znoszenia, rozumienia, akceptowania zawsze tylko tego najgorszego. A co z całą resztą?

– Z czym?

– Z tym, po co w ogóle żyjemy.

– Niech pan mi oszczędzi swej filozofii. Nie mam na to nerwów.

– Tak, ma pani rację. Ale przecież pani lubi filozoficzne klimaty, prawda? Chociaż myślę właściwie o tym – nachylił się ku niej – że od trzech dni mam ochotę cię pocałować i nie tylko. Rozumiesz?

W tym momencie Miriam wiedziała już, że on nie odpuści. Mówił poważnie. Nie wypił jeszcze dość alkoholu, by żartować. Jego palce w zbyt zdesperowany sposób przeczesywały jasne włosy, oczy błyszczały mu zbyt mocno, a dłoń, która nagle ujęła jej rękę, była zbyt ciepła.

– Ja wiem – ciągnął dalej. – Uważasz mnie za spasiony, pozbawiony emocji wrak...

– A co to niby jest? Pozbawiony emocji wrak?

Opór Miriam przysł. Wobec tej osobliwej deklaracji miłości nagle zrobiło jej się wesoło. Grog rozpalał ją jak grzałka. Zgiełk wokół zlał się w niewyraźne dudnienie. Nie, to gdzieś w środku niej odezwał się alarm. Komisarz nazwał po imieniu to, co ona wyczuwała od wielu dni, miesięcy. Poczucie przyszłości. Emocjonalny wrak. Gdy wszystko jest obojętne. Gdy oglądasz świat przez lunetę i cieszysz się, bo widzisz tylko wycinek i nic więcej. Tylko kawałek nieba, tylko księżyc, tylko skrawek świata, tylko człowieka, który przed tobą stoi. To wystarcza, cała reszta to za dużo.

Zapalił następnego papierosa. Odebrała mu go. Jej palce dotknęły jego skóry. Boże, jaki on był gorący. W jego żyłach też płynął grog.

Zaciągnęła się. Dym spłynął jej do płuc. To był błąd. Ale wybaczalny. Żadne przestępstwo. Nikt jej nie oskarżał. Grzaniec w niej wrzał. Zaróżowił skórę na jej dłoni.

– Niech pan przestanie, Liebler – roześmiała się. – Bo w przeciwnym razie nie będzie pan jutro wiedział, jak się z tego zaułka wydostać.

Liebler jednak nachylił się ku niej.

– Mam na imię Henri – wyszeptał. – Słyszysz? Odtąd tylko tak mnie nazywaj.

– Ale to przecież nie jest twoje prawdziwe imię.

– Naprawdę nazywam się Heinrich. Tak jak mój ojciec. Noszę imię człowieka, którego widziałem w życiu cztery razy. Gdy mnie poczywał, gdy się urodziłem, gdy osiągnąłem pełnoletniość i gdy umierał. Ale opłacało się. Zostawił mi w spadku dom w jednym z najpiękniejszych miast Austrii. Willę. Pojedź tam ze mną, gdy to wszystko tutaj się skończy. Graż ma dobrą operę i wspinały teatr, nie mówiąc już o winie.

Potem Henri ją pocałował.

Nie mogła uwierzyć w to, co robiła. Jej dłoń dotknęła jego koszuli, palce wpiły się w twarde dzinsowy materiał. Dawno się nie golił. Jego zarost drapał ją po szyi. Lekki ból sprawiał przyjemność. Miłość musi boleć, powiedziała niegdyś jej mama, mówiąc o Mike’u. Tylko w ten sposób możesz poczuć, że żyjesz.

Henri Liebler objął jej szyję, przyciągnął ją do siebie i z zadowoleniem wyszeptał:

– Nareszcie, Boże, tak długo na to czekałem.

Pierwsza myśl: „To mój zegar biologiczny, tykająca bomba zegarowa”.

Zaraz potem: „To się nigdy nie uda”.

Po chwili serce zsunęło się jej do podbrzusza. Wątpliwości i pożądanie. Pożądanie i wątpliwości – coś wspinałego!

Czy Henri Liebler dokładnie planował swoje życie? W każdym razie Miriam od razu zauważyła, że w łóżku była świeżo zmieniona pościel.

Przypadek czy zrządzenie losu?

Połączenie dwóch egzystencji zajmuje dużo czasu. Każdy rok pomnożony przez dwa. Rozmawiali do świtu.

– Moja matka urodziła się w Pradze – opowiadał Henri. – W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym wyjechała z Czechosłowacji i wylądowała jako pokojówka w Grazu. I była nią do czasu poznania mojego ojca, który zostawił ją zaraz po moich narodzinach – roześmiał się. – Zobaczył mnie, te trzy i pół kilograma o długości pięćdziesięciu pięciu centymetrów, po czym ulotnił się. Mama przeniosła się potem do rodziców, którzy tymczasem przeprowadzili się z Pragi do Frankfurtu. Reszta tej historii: samotna matka, jednak, dzieciństwo u dziadków w Bornheim, szkoła policyjna w Wiesbaden. Jestem więc prawdziwym Europejczykiem. Nie tylko w sensie duchowym, lecz także genetycznym.

– Spóźnione pokłosie monarchii austro-węgierskiej – odrzekła Miriam. – To jeszcze nie Europa.

Leżeli obok siebie w łóżku Henriego, w jego dużym czteropokojowym mieszkaniu z wido-kiem na Muzeum Historii Naturalnej. Lokum Lieblera też miało w sobie coś z muzeum.

– Co to jest? – Miriam wskazała dziwną witrynę, w której leżały małe kartki, sznurowadło, puste opakowanie po papierosach, korkociąg, złoty ząb i zasuszone liście jałowca.

– Moja prywatna przechowalnia dowodów rzeczowych, ale nie mów o tym nikomu.

– Co przez to rozumiesz?

Wzruszył ramionami.

– Wiem, że to zabronione, ale przywykłem do zachowywania pod ręką jednego dowodu z każdej sprawy. To jest dla mnie jak fetysz. Lepiej mi się myśli, gdy na nie patrzę.

– Nie możesz tak po prostu zatrzymywać dowodów rzeczowych. Albo nie powinieś mi o tym opowiadać.

– Możesz złożyć oskarżenie przeciwko mnie, ale nie będziesz w stanie niczego udowodnić – stwierdził z uśmiechem. – Mam swoje metody.

Tak, Miriam była tego pewna.

Sięgnął po papierosy.

– Wiesz, jak sprawiłem, że mi uległaś?

– Uległam? Przesadzasz.

– Powbijałem w twoje zdjęcie małe szpileczki.

– Jakie zdjęcie?

– Nie powiem.

Miriam mgliście przypominała sobie aparat fotograficzny, który miał ze sobą na imprezie bożonarodzeniowej. Zrobiło jej się słabo.

– Przestań!

– Dużo nauczyłem się od tych typów, z którymi mam do czynienia. I widzisz, zadziałało. Leżysz obok mnie. – Zadowolony zapalił papierosa, zaciągnął się i wypuścił w powietrze kłąb dymu.

Miriam usiadła.

– A więc zupełnie poważnie twierdzisz, że wbijałeś małe szpilki w moje zdjęcie?

– Tak.

– Nie wierzę ci.

– Ale zrobiłem to!

– Gdzie?

– Co gdzie?

– Gdzie powbijałeś te szpilki?

– To zbyt intymna kwestia – uśmiechał się. – Zapaliłem przy tym czerwoną świeczkę.

To jeden z jego żartów czy mówił poważnie?

– Słucham?

– Zapaliłem czerwoną świeczkę.

– Po co?

– To część całego rytuału. – Wypalonego do połowy papierosa zgasił w popielniczce, która stała na podłodze, i nachylił się nad Miriam. Lubiała zapach tytoniu.

– Nie powinno się żartować z tych rzeczy – wyszeptała.

– Nigdy w życiu nie byłem poważniejszy.

„On nie ma pięknego ciała”, pomyślała.

– Jesteś piękna – powiedział, przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Jej ciało świetnie do niego pasowało. Na tym polegał fatalizm. Musiała istnieć jakaś harmonia.

Poza tym na dworze było zimo, a w łóżku Henriego ciepło. Tylko takie wytłumaczenie przychodziło jej do głowy. Dość cieniutkie. Wręcz żalodne.

– Dlaczego? – zapytała, gdy wreszcie ją wypuścił. – Dlaczego akurat ja? I dlaczego teraz, gdy mamy całą listę spraw do załatwienia?

– Może właśnie dlatego – odparł. – Może dlatego, że ja sam temu nie podołam i ty też nie dasz rady.

– Dotychczas radziłam sobie bez ciebie.

– Mylisz się, udawało ci się jakoś przetrwać, nic ponadto.

Popatrzyła na zegarek. Szósta rano. Powinna pójść do domu i się przebrać. Zielone kozaki uchodziły w sędzie za fanaberię, ale westernowy styl byłby absolutnie nie do przyjęcia.

– Muszę iść – oznajmiła stanowczo. – Najpierw muszę podjechać do ojca, bo dziś przychodzi polska opiekunka.

Ich spojrzenia się spotkały. Oby tylko nie przyszło mu do głowy, żeby jej znowu dotknąć.

– Zobaczymy się później – powiedziała.

W jego oczach odczytała powątpiewanie, a szara plamka na dole po lewej stronie była początkiem rozczarowania.

Miriam zawahała się. Jeżeli teraz wyjdzie z sypialni i nie wykorzysta tej szansy, jakie będą skutki?

Czy w ten sposób sama wydaje na siebie wyrok?

Czy skazywała się na dożywotnią samotność?

W wymiarze trzystu sześćdziesięciu pięciu dniówek?

Zofia

Wtorek,

8 lutego 1944 roku,

Frankfurt

W mieście panuje niesamowita cisza. Ze strachu przez nalotami ludzie nie ruszają się z domu. Zastanawiam się, co u mojej mamy i Leszka. Dlaczego nigdy nie odpowiedzieli na moje listy, które Magda zanosila na pocztę?

Dzisiaj rano odwiózł tę kobietę do szpitala i teraz jestem z nim w domu sama. Słyszę, jak krąży po salonie. Bez przerwy słucha radia. W każdej chwili spodziewa się nalotu. Od wielu dni muszę napełniać wodą mnóstwo wiader, bo ta kobieta ma świra na punkcie wody. W całym domu człowiek wchodzi na dzbanki, wiadra, garnki. Woda musi być codziennie wymieniana. Jeszcze kilka dni temu mówił, że to za ciężka praca dla mnie, że jestem za młoda.

On ją zdradza. Czasami, gdy siedzi w swoim gabinecie, telefonuje. Podnoszę słuchawkę na górze. Jak w kinie. Kobieta po drugiej stronie mówi: „Kocham cię. Nie mogę bez ciebie żyć”. Ale on milczy. Potem ona płacze, a on traci cierpliwość. Mówi, że to nie czas na sceny. Że jest wojna. Nie rozumiem go. Tutejsze kobiety tak szybko uderzają w szloch i krzyczą.

On i jego żona bezustannie się kłócą. Bo on sobie wychodzi, gdy ona zostaje w domu, siedzi przy biurku i pracuje. Gdy ona ma tego dość, mówi, że znowu ktoś pytał, dlaczego nie jest na wojnie. W ten sposób mu grozi.

Ale on tylko się śmieje. Jeżeli i ja pójdę, będziesz w firmie sama. Chcesz jeździć na lotnisko i taplać się tam w błocie? Teraz, kiedy nareszcie jesteś w ciąży? Co jeżeli znowu poronisz?

Ja życzę jej tego z całego serca i mam nadzieję, że Bóg mnie za tę myśl nie ukarze. A jeżeli nawet... to jak ta kara będzie wyglądała, skoro od lat i tak już pokutuję.

Za to, że podjadłam bratu kawałek czekolady?

Że okłamałam mamę, gdy powiedziałam, że byłam w szkole, a zamiast tego spacerowałam po Plantach?

Czy nie było to słuszne? Niemcy zamknęli szkołę. A my, dzieci, uważaliśmy, że to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobili.

Magda mówi, że jeżeli kobieta musi iść do kliniki, to ciąża jest niedobra.

Nagle on wchodzi do kuchni i mówi:

– Nadlatuje samolot. Musimy zejść do piwnicy.

Zastanawiam się, co może zdziać jeden samolot.

Biorę kosz z jedzeniem, które przygotowałam. Gdy schodzimy na dół, rozlega się głucho uderzenie i gaśnie światło. Bez wcześniejszego ostrzeżenia syren sypią się bomby.

– Gdzie lampa naftowa? – pyta, zamknąwszy drzwi piwnicy.

– Na prawo od drzwi – odpowiadam.

Wkrótce potem bunkier rozjaśnia słabe światło.

Wszystko wydaje się tak nierzeczywiste. Coraz głośniejszy szum silników samolotowych,

wybuchy bomb na ulicach i dachach, trzask drewna, brzęk tłuczonego szkła, pękające mury. Wszystko zlewa się w nieustanny hałas, który nie chce się skończyć. Boję się.

Tymczasem on jest zupełnie spokojny. W garniturze siedzi na fotelu pokrytym czerwonym aksamitem, założył nogę na nogę, popija francuskie czerwone wino i pali. Gdy czuję jego wzrok na sobie, robi mi się duszno.

Piwnicą wstrząsa silna eksplozja. Mury się chwieją. Podłoga faluje.

Żeby tak teraz umieć się modlić, tak jak kobiety klęczące na twardej kamiennej posadzce kościoła Mariackiego.

„Kiedy zaczynasz się modlić – słyszą głos mojej mamy – to znaczy, że straciłaś już ostatnią nadzieję. To tak samo, jakby szczury opuszczały tonący statek”.

– Nie bój się – mówi on. – Nic się nie stanie. W końcu to ja wybudowałem tę piwnicę. Możesz mi wierzyć, to najbezpieczniejsze miejsce we Frankfurcie. Czyż nie jest nam tu dobrze? Wszędzie ludzie tłoczą się w piwnicach, a my jesteśmy tutaj sami. Chodź no tu do mnie i napij się. To uspokaja.

Nalewa wina do szklanki i podaje mi. Wlewam je w siebie jak wodę.

Nie sędzę, by myślał o żonie, która leży w szpitalu. Czy ona też musiała zejść do piwnicy? Zniesiono ją czy została wygoniona z łóżka?

– Wiesz, że jesteś piękna?

Czuję, jak się przybliża.

Nie wiem, co odpowiedzieć, więc potrząsam głową.

– Już w Krakowie tak pomyślałem.

Kładzie dłoń na moim policzku.

– Widziałem cię – mówi. – Przed muzeum. Wtedy myślałem, że masz więcej niż trzynaście lat.

Dlaczego w Krakowie? Nie rozumiem. Serce zaczyna mi walić młotem. Drżą mi ręce.

Przedmioty w piwnicy poruszają się. Regał z zapasami się chwieje. Na zewnątrz słyszemy osobliwy trzask i szum, przerywany odgłosem pękającego drewna i belek. Zapach spalenizny. Jego zimna dłoń zjeżdża po mojej szyi i wsuwa się w dekolot.

Oczy nabiegają mi łzami.

Jego usta są teraz przy moich uszach.

– Nie płacz.

Śmierdzi alkoholem.

– Jesteś piękna. To nie powód do płaczu. Jesteś moim prezentem. Führer mi ciebie podarował. Powiedz to. Powiedz: „Jestem twoim prezentem”. – Wybuchają śmiechem.

Nie potrafię. Śmiertelnie się boją. Nie bomb, tylko jego. Czuję pot na czole, jakby pociły mi się włosy. Sucho mi w ustach. Wlewam w nie wino.

Mimo to próbuję:

– Jestem...

– ...twoim prezentem – dopowiada, podczas gdy jego dłoń sięga między moje uda.

Wlepiam wzrok w lampę naftową, która nagle staje na głowie, a potem gaśnie.

Jeżeli istnieje ból, który rozdziera ciało, to tenże ból na zawsze oddziela mnie ode mnie samej.

Czy ja naprawdę zasłużyłam na tę karę?

Trzy dni

Nawet jeżeli Ramona Neuberger złożyła mu ubiegłego wieczoru jednoznaczną propozycję, przyciskając do niego pierś w taksówce, Udo Jost nie żałował, że w czwartkowy poranek obudził się w swoim łóżku sam.

Za kilka miesięcy kończył pięćdziesiąt lat. Czy to w tym sęk? Nie, to raczej Ramona Neuberger emanowała czymś, co nagle mu zbrzydło, nie mówiąc już o tym, że jej cycki w dotyku sprawiały wrażenie kulek do masażu przeciwreumatycznego.

I ani chwili nie rozmyślałby o tym, gdyby nie to, że minęły już całe miesiące, odkąd...

Dlaczego nie skorzystał?

Prawda była taka, że miał dość bab.

Ich urody.

Ich uwodzicielskich sztuczek.

Wcześniej, owszem, nieustannie polował na kobiety jak na dobre tematy. Teraz miał już dość ścigania fantomów.

Jost zawsze sypiał nago, dawało mu to ostatnią namiastkę erotyki. Czuł się wtedy męski. Może już nie był szczupły. Okej, na pewno nie był już szczupły, ale nago mu to nie przeszkadzało. Wtedy żył w zgodzie ze swoim ciałem. Człowieczeństwo jego fizyczności działało na niego kojąco.

Gdy na zewnątrz uczestniczył w grze, już tego nie czuł. Stanowił wówczas tylko powłokę pozostającą po przepoczwazzeniu. Mimo to grał dalej. Na tym polegała wszak umowa społeczna: gra aż po gorzki kres.

Takie myśli często chodziły ostatnio Jostowi po głowie. Przeważnie nocami, w które za mało wypił.

Jak wczoraj.

Spojrzenie Ramony Neuberger, której źrenice przyćmił alkohol. Jej mokre wargi szepczące tak blisko, że ich wilgoć skraplała się w jego uchu.

Obrzydlistwo. Ta baba ociekała erotyką, jakby leżała zamarynowana w oleistym wywarze.

Ohyda.

Ohydny był też dym.

Nawet alkohol nagle mu zbrzydł.

A potem zobaczył Singer.

Z tamtym komisarzem.

Całowali się. Jostowi zebrało się na wymioty. Odepchnął Neuberger tak, że o mało nie spadła z barowego stołka.

Prokuratorka i komisarz. Nawet jeśli komisarz wyraźnie schudł, to wciąż nie mógł pochwalić się olśniewającym sześciopakiem na brzuchu. Jego paluchy były nabite jak palce Josta. Nachylił się nad Singer, zasłonił ją, ba, niemalże ją połykał. A żelazna dama? Okazywała pełną gotowość do tej konsumpcji.

Jak zareagowaliby Winklerowie? Denise siedziała w domu, dostawała szału na myśl o synu, a pani prokurator szlajała się po knajpach i na oczach wszystkich migdaliła z komisarzem.

Jost sięgnął po komórkę i wyszukał numer, spod którego ostatnio dzwonił do niego porywacz.

Poza zasięgiem.

Pozostał więc tylko pierwszy numer. Ta dziewczyna, która odebrała. Kim była? Czyżby to był zły numer? Czy błędnie go sobie zanotował?

Zadzwoił ponownie.

Sygnal.

Jeden... dwa... trzy. Wreszcie po czwartym dzwonku usłyszał zaspane „halo”.

– Z kim rozmawiam?

Niezrozumiała odpowiedź, lecz najwyraźniej znów głos młodej dziewczyny.

– Nie rozłączaj się! – krzyknął. – Moment. Just a moment. – Intuicyjnie przeszedł na angielski. – I am looking for Frederik.

– I don't know – rozległa się zaspana odpowiedź, a zaraz potem ziewnięcie.

– Frederik?

– No.

– Where are you?

– Here is Cracow in Poland.

– Your mobile... what's the number?

Kliknięcie.

Dziewczyna zakończyła rozmowę.

Kraków.

Czy Frederik był w Krakowie?

Nie mógł dłużej przetrzymać drugiej fotografii. Ściągał na siebie winę. Odpowiedzialność za życie dziecka. Co w niego wstąpiło? Dlaczego nie przekazał dalej wiadomości? Najpierw czekał, potem opadł go strach, że wpadną na to, że dał porywaczowi numer swojej komórki.

Wyrzuty sumienia, niezdecydowanie, czekanie. Po jego ciele krążyły tysiące mrówek, zaczął pocić się pod kołdrą. Pot oblewał mu ciało. Próbował go wytrzeć. Ale mrówki przemieniły się w tłuste ślimaki, które pozostawiały śluzowe ślady. Ślimaki pełzły w kierunku podbrzusza.

Ciężko oddychając, odsunął kołdrę i wlepił wzrok w lustro nad łóżkiem. Rekwizyt próżności, który dawno się wysłużył. Ponownie przesunął dłonią po torsie w dół, aż po krocze, by wytrzeć pot. Potem rozejrzał się za butelką. Wyszło mu w ustach. Ale butelka po whisky była pusta.

Rzut oka na zegarek. Dziesięć po dziewiątej.

Niech to diabli, zasnął. Zasnął i zapomniał.

O posiedzeniu redakcji o wpół do dziesiątej i popołudniowym pogrzebie.

Ociężale wygrzebał się z łóżka. Szafa była otwarta. Cały batalion czarnych spodni i koszul.

Prosty wybór.

Powlókł się do łazienki, puścił zimną wodę, by wreszcie dojść do siebie.

Wciąż czuł suchość w ustach. Gdzie były dokumenty, które badała Neuberger?

– Możesz mówić do mnie Ramona – powiedziała. A jednak nawet jej nie wspomniał o zdjęciu.

Gdy Miriam weszła do kuchni, ujrzała ojca siedzącego pomiędzy Sarą a kobietą o rudych włosach. Musiał się w pełni koncentrować, żeby zjeść jajko. Kobieta wstała, by się z nią przywitać. Zaskoczona Miriam pozwoliła się trzykrotnie ucałować w policzki. Spojrzała przez okno na ogród, gdzie Vera w różowym kombinezonie rzuciła się na plecy, by rozłożonymi ramionami malować w śniegu anielskie skrzydła.

Sara energicznie zastukała w szybę, potrząsnęła głową i dała Miriam do zrozumienia, by wyszła z nią do przedpokoju.

– Przyjechała dziś rano o wpół do siódmej – szepnęła. – Odebrałam ją z dworca autobusowego. Ma na imię Halina.

– Jak zareagował?

– Nie wiem, czy zrozumiał, że ona się do niego wprowadza.

– Nie wyjaśniłaś mu nic?

– Owszem, ale on tylko zapytał, czy coś jadła.

Szept Sary sprawiał na Miriam wrażenie kosmicznej plotki wyjawianej w niesamowity sposób. Litery szybowały w powietrzu, czytelne dla każdego. Wróciły do kuchni, gdzie Halina sprzątała właśnie naczynia po śniadaniu. Nie miała więcej niż metr pięćdziesiąt pięć. Jej krótkie włosy były farbowane. Dobięgała chyba pięćdziesiątki, miała na sobie obcisłe džinsy, różowy pulower i z miejsca zaczęła mówić do Miriam po polsku. W świetle kuchennej lampy rozbłysło złoto siekaczy. Miriam przypomniała sobie nagle, że pilnie musi pójść do dentysty.

Uprzejmie zapytała:

– Miała pani przyjemną podróż?

Niezrozumienie.

– Dobra podróż? – powtórzyła jeszcze raz wolniej. – Podróż dobrze?

– Osiem. – Kobieta o imieniu Halina pokazała czas na palcach. Paznokcie miała polakierowane na taki sam ognisty kolor jak włosy. – Osiem godzin. Dużo śnieg. Wypadek.

Uśmiechnęła się do Miriam niemal czule.

– Herbata? Tak?

Miriam skinęła głową, nagle poczuła głód i z błogą mieszanką wyrzutów sumienia i ulgi obserwowała, jak obca kobieta szybko i pewnie porusza się w kuchni ojca. Polski derwisz.

Parę minut później stały przed nią kubek gorącej herbaty i kanapka. Dobrze być rozpięszczonym.

– Ma pani dzieci? – Miriam powróciła do pełnych, poprawnych gramatycznie zdań, przestraszyła się jednak, kiedy zorientowała się, że mówi za głośno. Halina nie była przygłucha.

– Dzieci? – powtórzyła ciszej.

Halina sięgnęła do torebki i wyjęła zdjęcia.

– Syn.

Mężczyzna dobiegał trzydziestki, miał czarne włosy i należał do tej samej kategorii wagowej co Henri.

Drugie zdjęcie.

– Cóрка.

Ona również miała czarne włosy. Podobnie jak pewnie kiedyś Halina.

– Gdzie oni mieszkają?

Halina dołała herbaty.

– Milano.

– Mediolan?

– Tak. Praca tam.

– Żona? Mąż?

– Nie.

– Ja też nie – odparła Miriam.

Zafrasowana Halina pokręciła głową.

– Niedobrze. Bez męż. Bez dzieci.

– Dzieci? – Miriam zaprotestowała. – Na miłość boską. Nie mam czasu.

– Bez dzieci – odpowiedziała Halina – życie za długie.

– Co dziś ugotujesz? Gotować? Dziś? – Sara zwróciła się do Haliny.

– Zupa.

– Skąd pani pochodzi? – zainteresowała się Miriam.

– Nowy Targ, niedaleko Krakowa.

– Zna pani Kraków? – spytała przestraszona i zauważyła, że to miasto zdawało się jej do tej pory urojeniem. Nierealną bajką.

– Kraków? – Twarz Haliny rozpromieniła się – Ładne miasto.

– Kazimierz?

Halina zniesmaczona pokręciła głową.

– Stary. Zepsuty.

– Zniszczony w czasie wojny?

– Nie. Socjalizm. Państwo.

Halina pogładziła ojca po głowie. W tym geście było coś swojskiego, czego Miriam nigdy nie odczuwała wobec ojca. Zawsze trzymał ją na dystans. Ich relacje na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat składały się z konwersacji dotyczących co najwyżej powszednich spraw i niczego poza tym. A teraz było za późno.

– Włosy. – Wykonała ruch, który oznaczał, że chce je umyć.

Sara skinęła głową z przesadną gorliwością, która działała Miriam na nerwy.

– Tak, dobrze. To naprawdę konieczne. Ale proszę natychmiast wysuszyć, żeby się nie przeziębili.

W ciągu kilku godzin godność ich ojca została sprowadzona do poziomu dzieciaka, o którego higienie decydowała międzynarodowa komisja, tak jakby chodziło o przypadek ptasiej grypy.

„Godność włosów powinna być nienaruszalna”.

– Myć włosy, tak? – zapytała Halina, a oszołomiony ojciec najpierw na nią popatrzył. Gdy jednak wzięła go za rękę i się doń uśmiechnęła, wstał i opierając się na jej ramieniu, wyszedł z kuchni.

Miriam w milczeniu siedziała obok Sary przy kuchennym stole i przeglądała gazetę.

Odwet przeszłości.

Dzisiejszy nagłówek. Wiadomość dnia to Oskar Winkler i jego uwikłania w narodowy socjalizm. Wszystkie frankfurckie dzienniki ponownie rzuciły się na ten temat.

Sara zajęta była sprawdzaniem listy zakupów z taką ofiarnością, jakby chodziło o religijny obrządek.

– Wiesz, co nasi dziadkowie robili podczas wojny? – zapytała Miriam.

– Co? – zirytowana Sara podniosła wzrok.

– Czy nasi dziadkowie byli nazistami?

Sara wzruszyła ramionami.

– Odbiło ci?

– Czy tato był w Hitlerjugend?

Sara parsknęła śmiechem.

– Chyba jakiś koszmar ci się przyśnił.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałaś? Nigdy nie chciałaś dowiedzieć się czegoś o tamtych czasach?

– A ty? – Sara przyjęła pozycję obronną.

– Dlaczego nie zadawałaś pytań?

Sara ponownie skupiła się na liście zakupów.

– Nasi rodzice byli zbyt młodzi – stwierdziła w końcu.

– Czy kiedykolwiek widziałaś u nas w domu zdjęcia z okresu wojny?

Sara wzruszyła ramionami.

– Henrieta Winkler chciała zabrać prawdę do grobu.

– Henrieta Winkler miała coś do ukrycia. Nigdy nie trawiłam tej rodziny.

– Nikt nie ma prawa zabierać prawdy do grobu.

– Nie interesowało mnie to, i wiesz co, teraz też nie mam ochoty o tym gadać.

– Dlaczego jesteś taka agresywna?

– Nie jestem agresywna.

Zachowanie Sary przypominało jednak nakaz stopu.

Z okna kuchni Miriam przyglądała się, jak Vera w jaskraworóżowym kombinezonie skoczyła przez stertę opadłych liści, których jesienią nikt nie uprzątnął. Stamtąd z łopatką w dłoni, na pokrytą śniegiem truskawkową grządkę. Potem zaczęła z zapalem kopać. Mała rączka fachowo wbijała piaskową łopatkę w zamrożoną ziemię, ale nie mogła się zbyt głęboko przedrzeć. Udało się jej tylko przerzucać śnieg.

Sara energicznie zastukała w szybę, Vera jednak zignorowała matkę. Ta zaś ponownie zastukała i potrząsnęła głową.

– Oduść – powiedziała Miriam.

– Ty nie musisz czyścić jej butów – odparowała Sara. I dodała: – Byłaś taka sama.

Miriam z zadowoleniem obserwowała, jak Vera nadal ignoruje matkę, a nawet wskoczyła w sam środek mokrych liści. Aż nagle znieruchomiała i ponownie wbiła łopatkę w śnieg. Natrafiła na opór. Zaczęła odgarniać śnieg rękoma. Miriam nie była w stanie dojrzeć, co dziewczynka znalazła. Ale chyba jej się to spodobało, bo raptem zaczęła tańczyć wokół dołka i śpiewać jak karłowata szamanka.

Nagle Miriam doznała olśnienia. Genialne pomysły w jej zawodzie były rzadkością.

Gwałtownie wstała.

– Muszę lecieć do domu i się przebrać – powiedziała. – Dzisiaj jest pogrzeb Henriety Winkler.

W drodze do domu kupiła to, czego człowiek XXI wieku potrzebuje, aby przeżyć: mleko, chleb, wodę i dwa dezodoranty w sztyfcie. Skrzynkę z napojami postawiła na stole, gdzie poczta z kilku dni mieszała się z trzema wydaniem „Frankfurter Neue Presse”, brudnymi naczyniami po paru śniadaniach i częściowo spleśniałymi resztkami chleba. Miriam celowo to zignorowała i ruszyła do sypialni, żeby odszukać czarny kostium, który miała na pogrzebie matki. Był wprawdzie z lekkiego letniego materiału, ale na pogrzebie wypadało zmarznąć. To taki swoisty wyraz

szacunku. Wreszcie odnalazła pognieciony kostium w tej części szafy, w której przechowywała znoszone buty. Gdy popatrzyła na owych towarzyszy przemierzonych w swym życiu dróg, ogarnęła ją sentymalny nastrój. Taniej byłoby nadal palić, niż wciąż kupować nowe buty. Tylko od Nowego Roku sprawiła sobie sześć par kozaków, a na myśl o ostatniej nocy naszło ją pragnienie uzupełnienia tej kolekcji o siódmą. Z punktu widzenia ekonomii, wydajności i efektywności noc z Henrim jawiła się jako bezsensowna, innymi słowy – była błędem w jej życiowej księgowości.

Automatyczna sekretarka pokazywała pięć telefonów. Trzy razy ktoś po prostu odłożył słuchawkę. Czwarte nagranie przypominało syczenie. Odsłuchiwała je kilkakrotnie i po chwili zrozumiała, że ktoś szepcze: „Mam cię na oku”.

Jej dłonie nagle pokryły się potem. Czas postarać się o zastrzeżony numer. Jeżeli te telefony się nie skończą, złoży wniosek o podłączenie urządzenia do identyfikacji anonimowych abonentów.

Po raz pierwszy w życiu poczuła strach. To była groźba, która nagle wypełniła całą przestrzeń. Znajdowała się w powietrzu, w murach, spadała wraz ze śniegiem z nieba, wyrastała spod ziemi.

Jedynym ratunkiem było wspomnienie ostatniej nocy.

Im dłużej Miriam, marznąc na cmentarzu, czekała na Henriego, tym bardziej absurdalne wydawało jej się, że się z nim przespała. Obawiała się melancholijnego kaca. Co też w nią wstąpiło? Co sobie wyobrażała? Odpowiedź na to akurat pytanie była prosta: kompletnie nic. Zupełnie wyłączyła myślenie. Co nie zawsze następowało, jeśli chodzi o facetów. Zdarzyło się bowiem kilka wypadków, gdy jej myśli studiowały akta spraw z całego tygodnia, podczas gdy jakieś ciało bezskutecznie ją maglowało. Wczoraj w nocy było inaczej. Zbijało ją z tropu przypomnienie sobie, że to Liebler oplatał ją nogami, że to on czule się śmiał, gdy jęczała, że to jego skóra była tak mokra od potu, że miała wrażenie, jakby się rozplywała.

Energicznie spacerowała tam i z powrotem, by nie uświerknąć na zimnie. Czarne lakierowane kozaki ze srebrnymi klamrami stuknęły o asfalt, jakby maszerowała.

Przez główną bramę przechodziło sporo ludzi. Przyjaciele, znajomi, koledzy ze świata biznesu, pracownicy, frankfurcka śmietanka, pani nadburmistrz. Nie przybyli jeszcze ani Denise, ani jej ojciec. Pogrzeb rozpoczynał się za dziesięć minut. Miriam powoli zaczynała się denerwować.

Ogarnęła wzrokiem zgromadzonych. Czy był wśród nich sprawca?

Jak ktoś taki rozumował?

Co działo się w jego głowie?

Jak kojarzył fakty?

Jakie rozmowy prowadził z samym sobą?

Czy stał w tłumie i się cieszył? Miał radochę, bo wywarł na coś wpływ? Czy był z siebie dumny? Czy uważał, że miał prawo do swoich działań? Czy może cierpiał na myśl, że musiał tak postąpić, bo nie miał wyjścia?

„Zawsze ma pan wybór!”, krzyknęła kiedyś pod adresem bankowego rabusia na ławie oskarżonych.

Może nie miała racji.

Może świadomość była dyktatorem. Również jej własna świadomość.

Westchnęła i wyłączyła telefon komórkowy. Żadna rozmowa nie jest ważniejsza niż śmierć. Ostatnimi czasy miała skłonność do rozważań, których nie można było nawet nazwać filozoficznymi.

Takie dywagacje powinna zostawić duchownemu, który właśnie nadchodził wraz z mini-

strantami. Na czele krzyż, chorągwie, iście wojskowy szyk. To on powinien orzekać i wydawać wyroki.

Absurdalne myśli. Absurd w najczystszej postaci jako skutek ciągłego życia w napięciu.

Kiedy, nie zaszczyciwszy jej ani jednym spojrzeniem, minął ją Oliver Winkler, poczuła ulgę. Mogła coś działać. Zawołała go, ale on ją zignorował i przyspieszył kroku. Miriam dogoniła go, dopiero gdy dołączył do żałobników. Stała obok niego.

- Muszę z panem porozmawiać.
- Jesteśmy na pogrzebie – odparł.
- Który jeszcze się nie zaczął.
- Ale to i tak nie jest właściwy moment.
- Jeżeli pan ze mną teraz nie rozmawia, wezwę pana z urzędu.

Miriam była pewna, że i tak z pewnością to zrobi.

Wahał się przez chwilę, potem cofnął się o trzy kroki, zawrócił i skręcił w boczną alejkę.

- Co jest z dokumentacją ubezpieczenia? – zapytała.
- Jakiego ubezpieczenia?
- Pożar centrum handlowego w Krakowie.
- O co chodzi?
- To ja pana pytam.
- Papiery są jeszcze w opracowaniu.
- Czy udało się ustalić przyczynę pożaru?

Wzruszył ramionami.

- Ile wynosi suma ubezpieczenia?
- Muszę sprawdzić.

Kłamał.

– I tak się tego dowiem. Wcześniej czy później. Wcześniejsza opcja byłaby lepsza dla Frederika. Czy nie martwi się pan o syna? Może on już nie żyje?

– Niech pani nie mówi o moim synu. Nie pani sprawa.

– Nie moja sprawa? Od kilku dni go szukam, tymczasem pan sypie kłamstwami jak z rękawa i na dodatek zdradza Denise z sekretarką.

Miriam wiedziała, że przekroczyła pewną granicę. Powinna się opanować. Nie udało się jednak. Zamiast tego wyrzuciła z siebie:

– Co się z panem dzieje? Z jakiej planety pan się wziął?

W sumie musiała przyznać, że miał mocne nerwy, bo zachował spokój. Wyraźnie pochłaniał go inny problem.

– Pożar nie ma nic wspólnego z porwaniem.

– To drugi ślad prowadzący do Krakowa – powiedziała Miriam. – Mniej więcej w tym samym czasie Henrieta Winkler otrzymała listy. Jeżeli więc to było podpalenie, musimy znaleźć sprawcę, rozumie pan? Być może naprowadziły nas również na ślad Frederika.

– To nie było podpalenie. – Oliver Winkler gwałtownie się odwrócił i skierował ku grobowi Henriety Winkler.

Krupy syjące się z nieba pasowały do tej sceny. Szare ziarenka lodu. Zimne śmieci. Szara przeszłość, lodowate zimno ludzkich okrucieństw.

Miriam zapomniała rękawiczek. Była na cmentarzu od trzydziestu minut, a pochówek nie mógł się rozpocząć, bo rodzina zmarłej wciąż jeszcze nie dotarła na miejsce.

Coś musiało się stać.

Zadzwoił porywacz?

Obserwowała taksówkę, która powoli zbliżała się do bramy cmentarza.

Wysiadł z niej Jost. Ostatni człowiek, którego teraz chciała spotkać.

Jakim śladem podążał? Tym samym co ona?

Dlaczego nie został w redakcji? Może akurat dzwoni porywacz, by przedstawić żądania, może chce zakończyć tę zabawę w chowanego i dać im wreszcie szansę odnalezienia Frederika.

Nic dziwnego, że jej myśli przekrzywiały się na bakier. Ta sprawa nie przebiegała według reguł. Albo były to reguły, których ona nie rozumiała.

Dziennikarz wolno podszedł do bramy. Zatrzymał się i popatrzył w jej stronę. Zdecydowanym krokiem wyszła mu naprzeciw, podała nawet rękę, która mimo zimna była spocona, a zaraz potem w duchu się za to zezłościła.

Bez jakiegokolwiek namysłu zapytała:

– Czy nadal zamierza pan tak działać?

– Co chce pani przez to powiedzieć?

– Że pracuje pan przeciwko nam. Dlaczego pan nie współpracuje?

Tchórz milczał. Odwrócił się, unikając jej wzroku. Mimo to zdołała się opanować i spokojnie zapytać:

– Czy porywacz tego panu zabronił?

Jost zaprzeczył ruchem głowy.

Miriam miała wrażenie, że coś chciał powiedzieć, ale go uprzedziła:

– Niech pan nam pomoże!

Dlaczego się spoufalala? Gdzie podziewał się Henri? On umiałby przestawić ją z powrotem na właściwe tory i wyłączyć to poczucie bezdenności.

– A kto mówi, że ja nie próbuję pomóc?

Od Udo Josta czuć było alkoholem. I jeszcze to spojrzenie nieruchomych źrenic. W porównaniu z nimi rybie oczy były pełne życia. Nieustannie pocierał o siebie palce dłoni, gest ten sprawiał nieprzyjemne, poniekąd żenujące wrażenie. Kolor jego twarzy przypominał bladą okrągłą kuleczkę sushi z wczorajszego lunchu.

– On robi z pana swojego współnika – głos Miriam przybrał ostrzejszy ton.

Spojrzał na zegarek.

– Oskarżę pana o nieudzielenie pomocy.

– To jedyne, co pani potrafi? – zapytał powoli Jost. Przejechał dłonią po nieogolonej twarzy.

– Oskarżenie? To groźba?

– Tak – odparła prokurator. – To akurat dobrze umiem robić.

Syrena zawyła tak głośno, że Miriam aż się wzdrygnęła. Odwróciła się. Przed cmentarzem zatrzymało się BMW Rona Fischera. Wsiedli z niego jednocześnie Henri Liebler i Carl Winkler.

Przez krótką chwilę poczuła ulgę. Do momentu kiedy Jost powiedział:

– O, przyjechał pani kochanek!

Jost był straszny. Żył w zupełnie innym świecie wartości niż ona. Jemu nie chodziło o życie dziecka. Nawet nie o to, by zniszczyć rodzinę Winklerów. Nie mogła się wyzbyć wrażenia, że jego zachowanie ma coś wspólnego z nią samą.

Carl Winkler kroczył, nie zwracając na nich uwagi, w stronę bramy cmentarza. Spoglądał sztywno przed siebie. Miriam zauważyła, że funkcjonował już właściwie jak fantom. Lekko przygarbiony wyglądał na niewyspanego. Zredukował życie do przetrwania kolejnego dnia.

Henri wziął ją pod rękę i odciągnął na bok.

– Coś się stało – powiedział.

– Co? Co znowu? – Miriam odruchowo zeszywniała.

– Denise zniknęła.

Gdy zauważyła, że Jost się im przysłuchuje, odeszła kilka kroków dalej. Już czuła szczykanie

zębów. Jost w żadnym razie nie powinien zauważyć, że opada z sił.

„Weź się w garść, do cholery”, pomyślała.

– Zniknęła? Kiedy?

– Dziś rano.

– Przecież to niemożliwe. Nie mogła tak po prostu zniknąć.

– Wyszła z domu przez piwnicę, a policjantom powiedziała, że musi wziąć coś z garażu. Gdy przyjechaliśmy, by zabrać ją na pogrzeb, już jej nie było.

– Próbowaliście dodzwonić się do niej na komórkę?

– Nie odbiera.

– Oszalała czy co? Dlaczego ona to robi? Co z pogrzebem? Przecież to jej babcia!

Na cmentarzu rozległ się nagle dźwięk trąbki. Chór pielgrzymów Wagnera. Ostatnia rzecz, jakiej słuchała Henrieta Winkler na krótko przed śmiercią.

– Zabrała ze sobą paszport swój i Frederika – oznajmił Henri.

– Pojechała więc na lotnisko. – Miriam się odwróciła. Bez namysłu minęła własny samochód i ruszyła ulicą.

– Dokąd idziesz? – zawołał za nią Henri.

– Czyżbym coś przegapił? – zapytał zirytowany Fischer. – Wypiłeś brudzia z prokuratorką?

– Ma na imię Miriam – odpowiedział Henri. – A reszta gównem cię obchodzi.

Miriam brnęła w ulicznym śniegu i przyłapała się na pragnieniu posiadania księżycowych kozaków na bezpiecznych szerokich podeszwach, skoro już w miłości wciąż się potykała.

– Poczekaj na mnie.

Ręka Henriego wsunęła się pod jej łokieć.

– Czego ty, do cholery, ode mnie chcesz?

Czy ona naprawdę obudziła się dziś obok tego faceta o chodzie pingwina? Gościa, który wszystko obracał w śmiech. Który miał ironiczny stosunek do każdej sprawy i osoby. Całe życie przypuszczalnie traktował jak jedną wielką porcję frytek z keczupem. Rozbitek w kwestiach związków damsko-męskich, który nigdzie nie ruszał się bez kaloszy. Buty nie kłamią.

Kompletnie zwariowała?

Praca zawodowa oddalała ją od tego, co w życiu najważniejsze. Zrozumiała to po raz drugi. Za trzecim razem ocknie się z tego snu. Wtedy ostatecznie będzie wiedziała, czy sobie coś wmo-
wiła.

Miriam stopniowo się odprężała. Zwolniła kroku.

– Jest jeszcze więcej nowin – powiedział, przerywając milczenie. – Odezwał się Westhof z Instytutu Historii Miasta.

– I co?

– Teraz wiem więcej o Oskarze Winklerze.

– To znaczy?

– Urodzony w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku we Frankfurcie, studia od dwudziestego dziewiątego do trzydziestego pierwszego w Darmstadt, w trzydziestym drugim przeniósł się do Berlina. Tam był studentem Tessenowa* [*Heinrich Tessenow – architekt niemiecki; postulował prostą architekturę związaną organicznie z naturą.], podobnie jak, uwaga, Albert Speer* [*Albert Speer – czołowy architekt III Rzeszy; współodpowiedzialny za wyzysk robotników z krajów okupowanych.].

– Kuźnia kadr? – spytała czujnie Miriam.

– Do rodzinnej firmy wszedł dopiero po ożenku w trzydziestym szóstym. Od końca trzydzie-

stego czwartego do początku trzydziestego szóstego pracował w dziale budowlanym zakładów Adlera tu we Frankfurcie.

– Nie dogadywał się ze swoim ojcem?

– Według Carla Winklera zbieranie doświadczeń poza rodzinnym przedsiębiorstwem było wówczas normą.

– Zakłady Adlera posiadały największy obóz we Frankfurcie.

– No właśnie. Poza tym Henrieta Winkler wniosła w posagu znaczny majątek. Dzięki temu mógł zainwestować w firmę. Od wybuchu wojny zleceń było w bród. Wtedy na przykład główna kwatera Führera, Adlerhorst w Bad Nauheim, była jednym wielkim placem budowy. Od czterdziestego trzeciego bunkry, umocnienia, zakłady zbrojeniowe, elektrownie, szlaki komunikacyjne i infrastruktura zaopatrzeniowa w podziemnych sztolniach i jaskiniach.

– Wszystko na potrzeby wojny – podsumowała Miriam.

– Oczywiście. Taka wojna lubi być przecież dobrze zorganizowana.

– Dlaczego Carl milczy na ten temat?

– Może naprawdę nic o tym nie wie?

– Coś takiego przecież się wie!

– Kto dzisiaj pyta o to, kto zrównywał pole manewrowe na lotnisku albo robił wykop pod fundament bunkra? Poza tym Westhof twierdzi, że duże budowy realizowano często pod pseudoszyldami. Firma Winklerbau była jego zdaniem w pewnym sensie podwykonawcą takich wielkich przedsiębiorstw, jak Holzmann.

– A co z tą Sophią?

– Westhof nigdzie nie mógł znaleźć tego nazwiska. Ale ma dane trzech innych Polek, które pracowały jako pomoce domowe w tej samej dzielnicy, w której mieszkają Winklerowie. Dwie z nich są z Krakowa.

– Znowu Kraków. Myślę, że tam pojechała Denise.

– Na własną rękę? Wydawało mi się, że w tym stanie nie da rady.

– Nie znasz jej. Denise długo zachowuje spokój, jest wręcz pasywna, ale gdy podejmie decyzję, wprowadza ją w życie. Boże, nieomal zapomniałam, jaka ona potrafi być bezkompromisowa. Miriam nie zapomniała, tylko wyparła. Gwałtownie przystanęła.

– Nie możemy zostawić jej samej.

– Najpierw musielibyśmy wiedzieć, że naprawdę poleciała do Krakowa.

– Ale ile ona ryzykuje! Załóżmy, że odezwie się porywacz, a jej nie będzie w domu.

– Znalazła rozwiązanie. – Henri wyjął komórkę i wybrał numer, a potem podał telefon

Miriam.

Po dwóch sygnałach usłyszała automatyczną sekretarkę i głos Denise: *Przekazywanie rozmów Denise Winkler. Proszę o kontakt. W każdej chwili jestem gotowa do rozmowy tylko z panem i zrobią wszystko, czego pan chce. Proszę o podanie pańskich warunków.*

– Wszystko przemyślała – stwierdziła Miriam i zawróciła w kierunku cmentarza. Henri ruszył w ślad za nią. Dotychczas Miriam zawsze pakowała się w związek na łeb na szyję. Była gotowa dać z siebie wszystko. Od samego początku. Zakochanie na zabój stanowiło jedyne uczucie, któremu oddawała się bez zahamowań.

„Bo to jedyne uczucie, które się oplaca”.

Nie, nie była w nim zakochana, ale miał w sobie coś, co wzbudzało w niej zaufanie. Zaufanie jednak wiązało się z ryzykiem, niebezpieczeństwem narażenia samej siebie.

Henri nagle zatrzymał się i popatrzył na nią.

– Zaczekaj.

– Co jeszcze? – zapytała. – To były dobre wiadomości, a jak złe są te złe?

– Oliver Winkler nie był w Hongkongu, gdy uprowadzono mu syna.

Na ten szok nie była przygotowana.

– Ale przecież telefonowałam do niego, a wy natychmiast sprawdzaliście hotel.

– Owszem, dzwoniliśmy tam i powiedziano nam, że nie ma go w pokoju. Kiedy jednak z nim rozmawiałś przez telefon, siedział na frankfurckim lotnisku i czekał na lot. Wydał odpowiednie instrukcje obsłudze hotelu i płacił za pokój przez te dwie doby, chociaż go tam jeszcze nie było. Rozumiesz, on poleciał tam dopiero dwa dni później, niż zeznał. Prawdopodobnie dlatego tak dziwnie zachowywał się przy telefonie. Musiał odwołać wizytę u Chińczyków i jednocześnie udawać, że był w Hongkongu.

– Świnia. A gdzie był?

– Tutaj we Frankfurcie. U swojej młodej asystentki. Ona w międzyczasie to potwierdziła.

– Jeżeli jego przyjaciółka była przy tym tak mało przekonująca jak jej orgazm, powinieneś jeszcze raz zbadać to alibi.

– Mogę tylko mieć nadzieję, że w twoim wypadku nie muszę mieć takich wątpliwości – odrzekł Henri. Chwycił ją za ramiona, jakby zamierzał nią potrząsnąć. Zamiast tego przyciągnął ją jednak do siebie i pocałował na środku ulicy.

Gdy ją wreszcie puścił, powiedziała:

– Nie możemy dalej poruszać się w tej historii po omacku. Potrzebujemy przełomu w śledztwie.

Narada kryzysowa, która właśnie dobiegła końca, nie przyniosła ani promyka nadziei. Wręcz przeciwnie. Nadal nie mieli żadnego tropu prowadzącego do Frederika Winklera. Niezliczone ślady, które zebrali i ocenili, nie miały sensu, nie posiadali niczego, z czym mogliby je porównać. Tymczasem Denise Winkler rozplynęła się w powietrzu.

Nadzieja, że zdołają prześledzić jej drogę, stopniała szybciej niż sprawdzenie list pasażerów. Do Krakowa latało ponad dziesięć linii lotniczych z ponad pięciu niemieckich lotnisk. Na twarzach wszystkich malowała się frustracja zmieszana z przemęczeniem. Mężczyźni powinni się ogolić, a Miriam, która czekała z Henrim na windę, miała pilną potrzebę kupienia nowej pary butów.

– Fischer powinien mieć na oku Josta – powiedziała. – Nie ufam mu. On coś zataja. Albo kombinuje.

– Nie mamy podstaw do wprowadzenia oficjalnego nadzoru. – Henri jednocześnie naciskał kilka guzików, by dać upust swej niecierpliwości.

– Nie mówię o nadzorze. Po prostu depczcie mu po piętach.

– Trzeba pogadać z jego koleżanką z pracy, Ramoną Neuberger. Krążą plotki, że mają romans.

– Jak tam twój kontakt z polską policją?

– Rozmawiałem już z Mateckim. Szuka Sophii Fuchs.

– Co ze zdjęciami?

– Nadal są badane w muzeum Städtla. Powiedziałem Mateckiemu, żeby zachował cierpliwość.

– Czas złożyć wniosek o oficjalną współpracę – główkowała Miriam.

– Czy naprawdę chcesz uruchomić całą maszynę? Tak przynajmniej wszystko przebiega szybko i bez biurokracji.

– Ale nie będziemy mogli skutecznie zareagować, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Wiesz przecież, jak szybko pojawia się zarzut popełnienia błędów w procedurze. Matecki powinien podać nazwisko swojego przełożonego.

– Okej.

– Pozostaje jeszcze Oliver. Czy on ma coś wspólnego ze śmiercią Henriety Winkler lub z uprowadzeniem syna?

Miriam stanowczym ruchem przycisnęła guzik wzywający windę, która najwyraźniej zatrzymywała się na każdym piętrze i kazała długo na siebie czekać.

– Przez całe popołudnie będę poza biurem. Możesz mnie łapać pod numerem komórkowym.

– Co zamierzasz?

Miriam nie odpowiedziała.

Dłoń Henriego dotknęła jej ręki.

– Nie powinienes mieszać życia prywatnego z pracą – odezwała się Miriam i odepchnęła jego dłoń.

– Dlaczego?

– Bo to reguła.

– Gdzie to zapisano?

– To niepisane prawo.

– Niepisane prawo nic dla mnie nie znaczy. Dlaczego mam przestrzegać prawa, które nie istnieje? Równie dobrze mógłbym stać tu i wierzyć, że trzymają mnie zamkniętego w klatce. Choć nie widzę żadnych prętów.

– Wiesz, o czym mówię.

Hanna Roosen minęła ich, rzucając zaciekawione spojrzenie. Henri nie zwrócił na nią uwagi. Złapał Miriam z ramienia i przyciągnął bliżej do siebie.

– Co chcesz zrobić? Widzę po tobie, że coś kombinujesz.

– Nie wyobrażaj sobie, że po jednej nocy znasz mnie tak dobrze, że potrafisz czytać w moich oczach.

Winda zbliżała się do ich piętra.

– Obserwuję cię od miesiący. W tym czasie dość dobrze cię poznałem.

– Puść mnie!

Drzwi windy otworzyły się, ale Henri dalej ją przytrzymał. Minął ich jakiś policjant. Głupio by wyglądało, gdyby pani prokurator wrywała się komisarzowi, żeby wskoczyć do windy.

Skoro już Henri nie zachowywał klasy, przynajmniej ona to zrobi. Drzwi windy zamknęły się, zanim Miriam zdołała wsiąść.

– Cholera – syknęła – muszę iść.

W tym momencie zadzwoniła komórka Henriego.

– Dokąd? – zapytał spokojnie.

– Powiem ci, jak będę wiedziała. Nie odbierasz?

– Nie.

Miriam wyjęła telefon z jego kieszeni na piersi i przycisnęła klawisz odbioru. W słuchawce rozległ się zdenerwowany głos. Czysta rozpacz, przerażenie, które mroziło serce i zapierało dech.

– Proszę się uspokoić – powiedziała Miriam i uniosła dłoń, by dać Henriemu znać, że coś się wydarzyło. – Co się stało?

Głos rozmówcy słychać było na całym korytarzu.

– Proszę się nie martwić – odparła Miriam. – Będziemy działać. Denise i Frederikowi nic się nie stanie. Obiecuję to panu.

Zakończyła rozmowę.

Kim była, żeby szastać takimi obietnicami na lewo i prawo? Szamanką, średniowiecznym szarlatanem, kuglarzem? I znowu nie zapał ani jeden kogut.

– To był Carl Winkler. Denise zabrała z sejfu broń.

Carl Winkler w czarnym płaszczu siedział w biurze Hanny Roosen. Ręce mu drżały, gdy zdejmował okulary i pocierał oczy.

– Po co to zrobiła? Dlaczego Denise ucieka się do czegoś takiego? – zwrócił się do Miriam. – Pani... pani powinna to wiedzieć. Przecież zna ją pani lepiej ode mnie.

– Przez wiele lat nie miałam z nią żadnego kontaktu.

– Ja też – odparł cicho. – Ja też. Odsunęła się ode mnie po śmierci matki. Zarzucała mi, że to była moja wina.

– Wina nie istnieje – powiedziała Hanna Roosen.

Miriam z powątpiewaniem spojrzała w jej stronę. Oczywiście, że istniała. Ktoś ponosił odpowiedzialność. To przecież czyni nas ludźmi. Fakt, że przejmujemy odpowiedzialność za nasze czyny. Bez tego nie ma kultury, a bez kultury jest tylko dżungla, czyli swoboda rozwalania komuś łba i picia z jego czerepu.

– Proszę opowiedzieć nam o swoich rodzicach. – Hanna Roosen weszła całkowicie w rolę psychologa. – Pańska matka była miłośniczką sztuki i muzyki. Kolekcjonowała obrazy, grała na fortepianie.

– Muzyka. Ja nie mam do niej talentu, ale Denise tak.

– Co pańscy rodzice mówili o wojnie? – zapytała Miriam, uznawszy, że czas przejść do rzeczy. Hanna zgromiła ją wzrokiem.

– Frankfurt był prawie całkowicie zniszczony. Było mnóstwo do odbudowania, dużo pracy. W obliczu zniszczeń w niemieckich miastach mieli mnóstwo planów, byli pewni sukcesu. Podejmowali duże wyzwania.

– To było po wojnie – odparła Miriam. – A co działo się pomiędzy trzydziestym trzecim a czterdziestym piątym? Nigdy państwo o tym nie rozmawiali? O projektach wojennych, w których uczestniczyli pańscy rodzice?

– Projekty wojenne? Co pani mówi? To ma przecież wydźwięk militarny.

– Już w trzydziestym roku rozpoczęto w Bad Nauheim budowę bunkra dla Führera. Istnieją dowody na udział firmy Winklerbau w tym przedsięwzięciu. W trzydziestym piątym zaczął powstawać odcinek autostrady Frankfurt-Darmstadt, a w czterdziestym piątym – lotnisko we Frankfurcie. Oto najważniejsze projekty. Na lotnisku zatrudniano przymusowe robotnice z Auschwitz. Wiedział pan o tym?

Carl Winkler przetarł ręką oczy.

– Skąd miałbym wiedzieć?

– Przecież ostatecznie przejął pan firmę. Odpowiada pan za nią.

– Przejąłem? – Winkler potrząsnął głową. – Nie przejąłem jej. Moja matka do śmierci zachowała sześćdziesiąt procent udziałów. Resztę współdzieliłem z Denise. Gdy córka się wycofała, przekazała oficjalne kierownictwo Oliverowi. Ja byłem w gruncie rzeczy tylko zapchajdziurą.

– I tak po prostu się pan z tym pogodził?

– Pani nie знаła mojej matki. Nic nie działo się wbrew jej woli. Każdy tę jej wolę respektował. Zawsze uważała, że jestem zbyt wrażliwy.

– A pański ojciec?

– Ojciec? Był kimś, kto potrafił reprezentować, ale nie umiał ciężko pracować. Po amputacji nie był już w stanie rysować. Dlatego firma silniej skoncentrowała się na budownictwie. To był pomysł mojej matki.

– Czy słyszał pan kiedyś nazwisko Fuchs? Sophia Fuchs.

– Nie.

– Nigdy też nie mówiono o dziecku?

– Nie. O jakim dziecku?

– Pańska matka zleciła Conradiemu odszukanie pewnego dziecka, a dokładniej rzecz ujmując, matki tego dziecka.

– O czym pani mówi?

– Myślałam, że dowiem się tego od pana.

Znowu przetarł oczy.

– Nie wiem. Matka była tajemniczą kobietą.

– Co pan ma na myśli?

– Nie znosiła, gdy ktoś przeglądał jej pocztę, wchodził do jej gabinetu, korzystał z sejfu albo bawił się na strychu. „Czemu tu wieszysz?”, pytała zawsze. Istniało wiele miejsc i rzeczy, które stanowiły tabu.

– Czy to pana dezorientowało? – zapytała troskliwie Hanna Roosen.

Nagle wybuchnął:

– Zawsze, gdy zadawałem pytania, zbywała mnie. Już jako dziecko nauczyłem się, że nie wypada o nic pytać.

– Zmowa milczenia – stwierdziła Hanna.

– Co? – Carl Winkler rzucił jej poirytowane spojrzenie.

– Pact of silence. Rodzice nie rozmawiają o przeszłości. Dzieci to wyczuwają. Zachowanie, które odnosi się nie tylko do ofiar, lecz także do dzieci sprawców.

– Sprawców? Moi rodzice nie byli żadnymi sprawcami.

– Jakkolwiek by na to patrzeć, pańscy rodzice bardzo szybko wstąpili do partii.

– Tak, już pani mówiła, że byli w partii, ale czy nie robił tak każdy, kto chciał przeżyć?

– Nie. Ale tyle na pewno pan wie. O co pytał pan rodziców?

– O to, co każde dziecko chce wiedzieć. Jak się poznali. Kiedy się pobrali.

Nagle przerwał. Prowadził wewnętrzną walkę.

– Pańska matka nie żyje – powiedziała Hanna Roosen. – Już nie musi pan się jej bać.

– Nie bałem się jej. Kochałem ją – odpowiedział przekornie Carl Winkler. – Była moją matką.

– Oczywiście – skinęła głową Hanna.

– Czy pańska matka rozmawiała z panem o tym, jak przyszedł pan na świat? – zapytała Miriam.

– Naturalnie. – Popatrzył na nią ze zdziwieniem. – Okoliczności były bardzo dramatyczne. Gdy nasiliły się naloty na Frankfurt, wezwano ludność cywilną do opuszczenia miasta. Moja matka była zupełnie osamotniona. Urodziłem się gdzieś na ulicy.

– Czy są jacyś świadkowie?

– Też pytanie! Oczywiście, że tak. Nie była przecież jedyną osobą, która opuszczała miasto. Przy porodzie pomagała jej pielęgniarka.

Wibracja telefonu zaczęła się od ledwie wyczuwalnego pulsowania, od drgnięcia, które Udo Jost raczej wychwycił intuicyjnie, niż poczuł. Znowu inny numer.

– Nie znalazłem zdjęcia w gazecie – powiedział mężczyzna. – Nie wypełnił pan zlecenia.

– Najpierw chcę potwierdzenia, że chłopiec żyje. Proszę pomyśleć o jego matce.

„Czyż właśnie tak się tego nie robi? Utrzymuje się kontakt, podtrzymując komunikację i nie pozwalając na przerwanie rozmowy?”

– Myślę o niej. Z całych sił – w głosie rozmówcy przebijała drwina. Nie wyśmiewał, ale kpił, ciesząc się czyjaś krzywdą. Ten ton sprawił, że Josta na moment zatkało.

– Nie dam się panu wykorzystywać. – Dziennikarz starał się mówić stanowczo, ale zabrzmiało to co najwyżej przekornie. Mężczyzna parsknął śmiechem. Nabijał się z Josta. Był w jego oczach tym, czym absolutnie nie chciał być. Pajacem. Kukiełką swej byłej żony i mario-
netką szefa redakcji.

Wściekłość przybrała jak zwykle postać sztucznego ognia, który wprawdzie płonął, ale nie rozgrzewał.

– Nie jestem pańskim chłopcem na posyłki. Po raz ostatni ponawiam swoją propozycję: pięćdziesiąt tysięcy euro za znak życia. Wtedy opowiem pańską historię. Ze zdjęciami i wszystkim. Na prawach wyłączności.

W słuchawce rozległo się długie westchnienie, potem zapadła cisza. Jost po raz pierwszy usłyszał w tle jakiś dźwięk. Głośny turkot.

– Słyszysz mnie pan?! – krzyknął Jost.

Nie może teraz przerwać rozmowy.

Odgłos przypominał dudnienie pociągu. Może nie ekspresu, raczej osobowego. Nie. To raczej jarmarczny zgiełk.

– Tak, jestem przy telefonie – teraz głos mężczyzny znów był wyraźny.

– Pięćdziesiąt tysięcy euro to mnóstwo pieniędzy. Ile lat musi pan pracować, by tyle zarobić?

– Serce Josta waliło młotem. – Zaraz podejmę tę kwotę. Potem pojedę do redakcji i przygotuję materiał, który może być wyemitowany jeszcze dziś wieczorem. W zamian za to wskaże mi pan miejsce, gdzie mam zostawić pieniądze.

– Serdecznie gratuluję. Przekracza pan granice. – Chwila ciszy, a potem pytanie: – Czy pan... jak to się mówi po niemiecku... zataił fakt posiadania zdjęcia? Zataił pan dowód?

– O to niech się pan nie martwi.

– Ja się wcale nie martwię. Tylko pana ostrzegam.

– Niech pan do mnie znowu zadzwoni! – krzyknął Jost. – Przywiozę pieniądze do Krakowa.

Bo pan jest w Krakowie, prawda? Czy Frederik jest w Polsce?

Mężczyzna rozłączył się.

Czy Jostowi udało się go przekonać?

To była uczciwa propozycja. Miał prawo zachować nieustępliwość wobec porywacza, nie pozwolić sobą dyrygować. Policja podkułiłaby ogon i padła przed tym typem na twarz. Tak jak rząd, który zawsze pokornie ustępował, gdy za granicą uprowadzano Niemców, a w ręce przestępczych organizacji trafiały milionowe okupy. Za jedno jedyne ludzkie życie. Jost grał o wysoką stawkę. Władza leżała na jego biurku, była jego życiową szansą. Podobnie jak w sprawie

tego polityka, który utopił się w wannie. Nikt nie mógł potem udowodnić reporterowi, ile wiedział.

Wstał i ruszył do gabinetu Toblera. Wszedł bez pukania. To, że był na topie, potwierdził fakt, że szef mimo to go przywitał, a nawet zaproponował kawę. Jost powiedział, że właśnie dostał nową wiadomość od porywacza. Pokazał mu fotografię, która jednak nie zainteresowała Toblera aż tak, jak Jost się spodziewał.

– Przecież to już wiemy. Ten Winkler był wojennym spekulantem i konformistą. I co z tego? Nadal ani śladu dzieciaka. Żadnego znaku życia. Chłopiec przypuszczalnie nie żyje. A to oznacza, że nie będzie okupu ani horrendalnych kwot, które trafią do nagłówków. Kiedyś w końcu znajdą zwłoki, a jeżeli dziecko nie zostało zamordowane w jakiś spektakularny sposób, będzie to co najwyżej wiadomość piątego sortu, zaraz po relacji z giełdy i przed prognozą pogody.

Jost miał jednak w zanadrzu atut.

– Zaginęła jeszcze jedna osoba.

Tobler odchylił się w swym szefowskim fotelu, który nagiął się po nim, podobnie jak jego podwładni. Wszyscy w redakcji naginali się wobec praw i reguł Toblera.

Jost poczuł przypływ czystej zazdrości.

Takie kształtowanie ludzi, a nawet świata według własnego widzimisię... To musiała być stu-procentowa adrenalina!

– Myśli pan, że też została porwana? – spytał zafrapowany Tobler.

– Wygląda na to, że na własną rękę wybrała się do Krakowa, by szukać tam syna.

Tobler przez kilka minut się zastanawiał. Na jego biurku kołysał się magnetyczny długopis. Wziął go na chwilę do ręki, a potem wypuścił. Długopis znów zaczął się bujać.

– Nigdy pana nie posądzałem o takie wyczucie, Jost. Matka, która wyrusza w drogę, by odbrać syna. Szkoda, że minęło już Boże Narodzenie. Kiedyś była przecież taka historia z matką, która na sali sądowej zabiła mordercę swej córki. Musimy to odkopać. Niech pan robi ten temat! W wielkim stylu. To pańska szansa. Gratuluje! Niech pan natychmiast leci do Krakowa i odszuka panią Winkler. Tam jest teraz zima. Zasypane śniegiem miasto na Wschodzie. Rodzinny dramat. To ma coś w sobie, właściwy klimat, pasuje do prognozy pogody.

Jost z ulgą odetchnął. Wszystko przebiegło zgodnie z planem. Podniósł się. Otarł spocone czoło chusteczką, a potem wyszedł i pospieszył korytarzem do gabinetu.

Po zaaplikowaniu sobie whisky wysłał porywaczowi esemesa: „Denise Winkler jest w drodze do Krakowa”.

Zaledwie czterdzieści minut później Udo Jost opuszczał filię Deutsche Bank z pięćdziesięcioma tysiącami euro w kieszeni, co sprawiło go w swoście uroczysty nastrój. Całkowite opróżnienie własnego konta było cholernie fajnym uczuciem. Pieniądze te stanowiły wyrównanie z tytułu podziału wspólnoty majątkowej po rozwodzie. Fortunnym rozwodzie, który zakończył się na jego korzyść, bo nie istniała intercyza. Zamiast niej były tylko przysięgi dozgonnej miłości. Po rozstaniu zapragnął więc dozgonnego zabezpieczenia. Zgodnie z przysięgą wierności mówiącą, że jeden małżonek powinien utrzymywać drugiego po kres życia. W jego wypadku chodziło o Patrycję, która pracowała na giełdzie i tam miesiąc w miesiąc gromadziła w akcjach i funduszach majątek, który po rozwodzie został między nich sprawiedliwie podzielony.

Część pieniędzy Jost oszczędzał na wypadek utraty pracy, na gorsze czasy, na czarną godzinę.

Drugą część roztrwonił. Na wolność i szkocką whisky. Trunek pochodził z prywatnej gorzelni Glenfarclas z regionu Speyside w Szkocji. Niegdyś osobiście jeździł po whisky, teraz

zamawiał ją przez internet po czterdzieści pięć euro za litr.

Dziecko nie mogło być martwe, jak przypuszczał Tobler.

W przeciwnym razie inwestycja okazałaby się klapą.

Miriam celowo nie powiedziała Henriemu o swoim planie. To była wyłącznie jej decyzja. Siedziała w bibliotece wydziału prawa, zagłębiona w paragrafach i komentarzach, i czuła się tak, jakby cofnęła się o całe lata, do czasów, kiedy była jeszcze idealistką. Thomas nigdy nie rozumiał jej pasji do tego zawodu, nie pojmował, że rozstrzyganie racji najróżniejszych stron w poszukiwaniu sprawiedliwego rozwiązania może być fascynującym zajęciem.

Czy Henri chwycił, co ją kręci? Powinna przygotować dla niego listę testów. Nie wystarczyło, że zdał egzamin podczas pierwszej nocy. Był przecież tylko przygodą. Miriam ograniczyła ich kontakty do spraw zawodowych. Seks z kolegą z pracy wiele komplikuje. Nawet jeżeli był to dobry seks. No, w każdym razie lepszy niż z Thomasem. Praktyki tamtego przypominały metodę parkowania jego BMW. Ileż razy widywała na twarzy Thomasa ten sam wyraz – niezależnie od tego, czy akurat przeżywał orgazm, czy po udanym manewrze zatrzymywał samochód.

Ponownie skupiła się na książkach. Pod jej palcami szeleścił cienki papier kodeksu karnego. Mieli dość dowodów, by skazać porywacza Frederika i zabójcę Henriety Winkler, najpierw jednak musieli go znaleźć. Tymczasem Henrieta zabrała swój sekret do grobu. Dlaczego nie zniszczyła tych dokumentów? Dlaczego kazała się z nimi pogrzebać?

Sprawca chciał, żeby wyjaśnili przestępstwo z przeszłości. Ono było kluczem do terażniejszości. Spostrzeżenie to nie pomogło jednak Miriam wyjaśnić sprawy.

U podłoża zagadki leżał biznes i zatrudnianie robotników przymusowych, co nie było niczym innym jak formą pracy niewolniczej. Dziecko, co do którego nawet nie wiedzieli, czy istniało, tylko że Henrieta Winkler zleciła notariuszowi dochodzenie.

Oprócz tego zapieczętowane dokumenty, skradzione obrazy, uprowadzony chłopiec, zaginiona kobieta i oczywiście listy. Ale gdzie tkwiło powiązanie ze śmiercią Henriety? Jaką winą się okryła, że musiała zamarznąć na śmierć na siarczystym mrozie? Jeżeli ten człowiek poważnie traktował swój cytat, Fischer miał rację. Bezprawie musiało wydarzyć się w domu Henriety Winkler.

Tylko co to była za wina?

Co zrobiła, że musiała przypłacić to śmiercią? Że porwano jej wnuka? Dziecko. Znowu dziecko.

Czy listy pisał jakiś były robotnik przymusowy?

Albo ta Sophia Fuchs?

Czy chodziło w nich o to dziecko?

Dlaczego dopiero teraz? Dlaczego nie wcześniej?

Dlaczego Henrieta Winkler zainteresowała się nim w tym momencie?

A jeżeli to porywacz był tym dzieckiem?

Tutaj nie chodziło tylko o interesy. O te wszystkie projekty, które wyliczył Henri. Wtedy trwała wojna i każdy chciał przeżyć. Oskar Winkler był tylko płótką, nie Albertem Speerem ani Hansem Frankiem. Nie był ani w SS, ani w SA, ani w gestapo. On tylko na nich żerował.

Chodziło o coś innego.

O zemstę, odwet, zadośćuczynienie sprawiedliwości. O puszkę Pandory. Henrieta Winkler trzymała ją zamkniętą i przez sześćdziesiąt lat ukrywała, a teraz przyszedł ktoś i uchylił wieko. Przeszłość wyfrunęła i rozpostarła skrzydła.

Rozwiązanie znajdowało się tylko w jednym miejscu.

Na cmentarzu.

Dwa metry pod ziemią.

W grobie Henriety Winkler.

Współczucie, które odczuwała dla starej kobiety, wyparowało. Starość nie umniejsza win. Chociaż Henriecie Winkler nie można już wytoczyć procesu, winę zabrała ze sobą do grobu.

Co za głupota ze strony Denise, że wzięła ze sobą broń. Głupota. Co też, do cholery, chodziło jej po głowie?

Miriam była święcie przekonana, że w kasecie spoczywającej teraz w grobowcu rodzinnym znajdowały się listy, o których mówiła pani Hirschbach. Te listy mogły zaprowadzić ją do zabójcy Henriety Winkler, a co ważniejsze, do porywacza Frederika. Odsunęła na bok myśl o chłopcu, uznając jednocześnie, że za bardzo ją wypiera.

Henrieta Winkler nie miała poczucia winy, w przeciwnym razie nie chciałaby zabierać tych papierów do grobu.

Z całego jej zachowania przemawiała przekora.

I arogancja jej generacji.

Nie znała ani zwątpienia we własne możliwości, ani skrupułów.

Miriam, siedząc na krześle, odchyliła się do tyłu.

Ale, i na szczęście, dokumenty nie spoczywały w archiwum tylko w grobie. Jediną barierą była nagrobna pokrywa oraz prawa osobiste. Ona jednak nie zamierzała wykraść części zwłok Henriety Winkler. Nie zbecześciłaby grobu. Nie chciała też umyślnie szargać wizerunku zmarłej. Wszystko, czego chciała, to ustalić prawdę, w niej bowiem tkwił klucz do odnalezienia Frederika.

Była prokuratorem prowadzącym sprawę. Ostatecznie, chodziło o rozważenie priorytetów. Musiała stworzyć precedens, odszukać kruczek prawny. Co nie oznaczało, że ominie prawo. Nie widziała jednak innego wyjścia, nawet jeżeli zamierzała zadać swej karierze śmiertelny cios. Bo odpowiedź na pytanie, co bardziej się liczyło – wizerunek osiemdziesięcioletniej kobiety czy życie dziecka – była prosta.

Mimo to: Hillmer przeforsowałby jej zawieszenie w sprawowaniu urzędu.

Aby temu zapobiec, musiała porozmawiać z Carlem Winklerem.

– Nie! – głos Carla Winklera brzmiał tak kategorycznie jak nigdy. – Nie pozwalam!

Miriam na chwilę zamknęła oczy i jeszcze raz rozważyła swoją decyzję. Ale konkluzja była ta sama.

– Muszę to zrobić.

– Nie może pani zlecić ekshumacji mojej matki, tylko po to, by dotrzeć do rzeczy, które chciała zabrać ze sobą do grobu. Jej ostatnia wola jest święta.

– Nic nie jest dla mnie święte, jeżeli mam chronić życie dziecka. Zrobię to niezależnie od tego, czy pan wyrazi zgodę, czy nie.

– Absolutnie się na to nie godzę.

– W takim razie sama muszę przejąć odpowiedzialność.

– Co panią do tego upoważnia?

– Sądzę, że kaseeta zawiera ważny materiał dowodowy. Według pani Hirschbach pana matka dostawała listy. Jako prokurator prowadzący sprawę mam uprawnienie do podjęcia tej decyzji. W wypadku morderstwa też nie może pan jako krewny rozstrzygać, czy przeprowadzamy sekcję zwłok, czy nie. To część policyjnego dochodzenia. Nie tkniemy ciała pańskiej matki. Chodzi

tylko o te dokumenty. Sprawdzenie ich nie potrwa dłużej niż pół godziny.

– Chodzi o spokój zmarłej.

– Chodzi tylko i wyłącznie o Frederika. Czego pan się boi? Że pańska matka wyjdzie z grobu? Ona nie żyje, a ja mam nadzieję, że te dokumenty pomogą ocalić życie Frederika.

– Nigdy nie wyrażę zgody.

– Więc muszę wziąć sprawy w swoje ręce. Ekshumacja odbędzie się jutro rano o wpół do dziewiątej.

Wycieraczki przesuwają się po szybie, ale nie radziły sobie z coraz gęściej sypiącym śniegiem. Miasto wyglądało tak nierealnie jak w filmie. Brakowało tylko muzyki w tle. Samochód za nią dosłownie przylgnął do jej zderzaka. Kierowca nie znał pewnie słowa „odstęp”. Miriam zwołała, żeby mógł ją wyprzedzić, ale on nie reagował.

Co za idiota!

Po co istniała czteropasmowa jezdnia?

Czy zrobili wszystko, by odnaleźć Frederika? Czy w ogóle można było zrobić wystarczająco dużo, gdy zaginęło dziecko? Denise działała nieodpowiedzialnie, sabotowała pracę Miriam i policji kryminalnej.

Czy to była jej zemsta? Gdy wtedy zastały Mike’a w szkolnej sali prób, był naćpany LSD tak mocno, że już ich nawet nie poznawał. Denise po prostu obok niego usiadła. Miriam nie mogła jednak znieść sposobu, w jaki uciekał od rzeczywistości. Wiedziała, że ćpał, gdy robił muzykę. Wciąż powtarzał, że to normalne, że nie istnieje niebezpieczeństwo uzależnienia.

Kiedy zaczął krzyczeć, Miriam w przeciwieństwie do Denise wpadła w panikę.

Czy była winna, tylko dlatego, że się martwiła? Że wzięła odpowiedzialność? Nie pozwoliła, by rzeczy potoczyły się same?

Nie wiedziała, jakie to pociągnie za sobą skutki. Widziała tylko, że Mike się dusił, wymiotował, jakby miał z siebie wypluć wnętrzności, że błagał o wodę. Uderzył Denise, która próbowała go przytrzymać.

– Chcę latać! – wołał. – Latać! Chcę przelecieć każdy dźwięk. Tam jest akord, szybuje.

Widzę go. Widzę muzykę. Lata mi w oczach. Dźwięki latają mi przed oczami. Jak błyskawice.

Po skierowaniu na psychiatrię był proces o naruszenie ustawy o narkotykach. Mike wyleciał ze szkoły. Po dwóch miesiącach wypuścili go z oddziału psychiatrycznego, a nazajutrz wrzucił suszarkę do wanny. Na dwa tygodnie przed maturą.

Czy była winna, bo wezwała karetkę? Czy tak szybko można zostać winnym śmierci człowieka?

Serce zaczęło jej bić jak szalone. Jak zawsze, gdy nie wypierała śmierci Mike’a, tylko przywoływała wspomnienie równie klarowne, jak straszny dla niego był powrót do rzeczywistości.

Opel nadal wisiał jej na zderzaku. Cholera, dlaczego jej nie wyprzedzał?

Skręciła w najbliższą przecznicę. Opel wciąż jechał za nią. Zatrzymała się, też stanął.

Przypadek?

Wyłączył światła.

Miriam zaczęła drzeć. Urojenia mogły się zdarzać nawet bez LSD. Gdzieś są przecież granice ludzkich możliwości. Zwołała hamulec ręczny, włączyła migacz i powoli ruszyła dalej. Znajdowała się blisko terenów targowych, wkrótce będzie w domu.

Kątem oka widziała, że samochód pojechał za nią. Miriam zamknęła na krótką chwilę oczy, a potem już nie oglądała się za siebie, aż dotarła do domu. Miała szczęście. Tuż przed wejściem było jeszcze jedno miejsce parkingowe. Opel minął ją i znikł za zakrętem na końcu ulicy.

Miriam wysiadła i zamknęła drzwi od strony kierowcy. Silny wiatr smagał ją śniegiem po twarzy. Cały dom tonął w ciemnościach. Ze zdenerwowania o mało co się nie potknęła na zwale śniegu przy brzegu chodnika. Oparła się o samochód i sprawdziła, czy wszystkie drzwi są na pewno pozamykane. Dopiero wtedy ruszyła do wejścia kamienicy, włączyła światło i poszukała kluczy w przepastnych czeluściach torebki.

Ręka jej drżała, gdy wkładała klucz do zamka. Obróciwszy nim drugi raz, zarejestrowała za sobą jakiś ruch. Skrzywienie butów na śniegu. Popchnęła drzwi, ale w tej samej chwili poczuła szarpnięcie za nogi. Upadła na kolana. Ból był tak silny, że nawet nie pomyślała o wzywaniu pomocy. Skoncentrowała się na tym, aby wstać. Głośny oddech przy uchu, woń z ust i głos, który jęczał. Nie, nie jęczał, tylko syczał. Brzmiało to jak „kurwa”, „ścierwo”, „wywłoka”, „zdzira”. Potem wykręcił jej do tyłu ramię. Rękaw czarnej kurtki podsunął się do góry, owłosiony wierzch dłoni, wytatuowany czarny ptak. Znowu znalazła się na kolanach i usłyszała szept:

– Uspokój się albo tak cię przejębie, że mój chuj ci pępkem wyjdzie.

Ktoś się roześmiał. Nie był sam.

– Będę krzyczeć. – Miriam odzyskała mowę. – Niech pan mnie puści albo będę krzyczeć.

Światło zgasło. W ciemności nie mogła niczego dojrzeć. Po omacku szukała kontaktu, by je ponownie włączyć, ktoś jednak znów wykręcił jej rękę do tyłu.

– Rozchyl tylko dziób, a będziesz musiała zeżreć ten nóż.

Coś zimnego przylgnęło do jej warg. Krótki ból. Smak krwi w ustach.

Znowu upadła. Uderzyła kolanami o kant schodka. Krzyknęła.

– Przestań mieszać się do spraw, których nie rozumiesz, ty zarozumiała cipo!

– Jakich spraw?

– Przestań! – głos zamienił się w syk. Miriam zdziwiła się, że dało się w nim jeszcze rozpoznać słowa, ba, nawet sens.

– Powiedz: „Przestanę”!

– Tak – rzuciła Miriam.

– Nie, powiedz: „Przestanę”.

– Przestanę – wydukała.

– Dobrze.

Potem poczuła coś we włosach. Ktoś za nie pociągnął. Wykręcił jej głowę do tyłu. Rozdzierający ból. Kroki oddaliły się.

Miriam nie wiedziała, jak długo kłęczy na schodach. Tak musiał się czuć człowiek na krótko przed egzekucją. Po brodzie spływała jej krew. Z trudem wstała. Ból w nodze powrócił, jakby miała złamane kolano. Potem wdrapała się na górę, do mieszkania.

Gdy nareszcie była bezpieczna, dwukrotnie przekręciła klucz w zamku. Spojrzała w lustro w przedpokoju. Miała wrażenie, że brakuje jej lewej połowy głowy. Aż wreszcie zrozumiała: obciął jej z tej strony włosy.

Chwilę stała przed lustrem i tępo wpatrywała się w swoje odbicie. Wargę wciąż mocno krwawiła. Czerwona strużka spływała z prawego kącika ust i kapiała na bluzkę, która nasiąkała czerwienią. Stopniowo również tutaj ból się nasilał. Nie była w stanie otworzyć ust.

Powoli zawlokła się do pokoju dziennego. Każdy ruch niemiłosiernie bolał. Opadła na sofę i przestraszyła się, słysząc własny jęk. Podniosła z podłogi koc i owinęła się nim. Dreszcze jednak nie ustępowały. Wciąż było jej zimno.

Została napadnięta.

Dwóch mężczyzn śledziło ją, zaczęło się na nią, zaatakowało, przewróciło na kolana, rozciąło usta. Jeden z nich obciął jej włosy.

Stała za tym pogarda i potrzeba wymierzenia kary.

Kary dla kobiet.

Ugięła się wobec przemocy. Upadła przed nimi na kolana.

To bolało bardziej niż cała reszta. Raz po raz jej ręka dotykała głowy, która sprawiała wrażenie dziwnie łysej. Ilość włosów skurczyła się podobnie jak jej istota.

Kiedy zadzwonił telefon, po raz pierwszy nasunęła się jej myśl, że musi wezwać policję. Jakże często pytała przed sądem ofiary, dlaczego tak późno wołały o pomoc. Teraz zrozumiała. Bała się to zrobić właśnie dlatego, że była tak cholernie bezbronna, tak bardzo zdana na pastwę innych. Kolejne poniżenie. Komu chciała się pokazać w takim stanie? Tak poraniona? Tak upokorzona?

Telefon zamilkł. Osoba dzwoniąca zrezygnowała.

– Potem komórka zaczęła w przedpokoju grać Chopina. Natarczywe brzdąkanie. Z trudem wstała. Ból ponownie przeszył kolano, aż krzyknęła. Ciasno opatulona kocem zawlokła się do przedpokoju. Torebka leżała pod lustrem. Gdy nacisnęła zielony klawisz i usłyszała głos Henriego, nagle zabrakło jej tchu.

On tymczasem mówił i mówił, nie zauważywszy, że coś jest nie tak, że ona milczy.

– Denise Winkler zarezerwowała pokój w hotelu Amadeus, ale tam nie dotarła.

Dopiero teraz, gdy nadal nie było odpowiedzi, zorientował się, że coś nie gra, i zapytał:

– Co się dzieje?

Miriam siedziała na kanapie z nogą opartą na składanym krześle. Henri sprowadził pogotowie i Rona Fischera, który ze współczuciem jej się przyglądał. Po raz pierwszy miała wrażenie, że jest przez niego akceptowana.

– Nic się przecież nie stało – powtórzyła Miriam. – Tyle że się z tym nie liczyłam.

– Czy już kiedyś widziała pani ten samochód? – zapytał Fischer. Dotychczas zawsze patrzyła na niego z pewnej odległości. Gdy teraz siedział tuż przy niej, z tułowiem nachylonym w jej stronę i dłonią na jej przedramieniu, nagle ulotniła się cała agresja, którą do niego wcześniej odczuwała. Kojąco wpływał też na nią widok Henriego, który przemierzał nerwowo pokój tam i z powrotem, paląc papierosa za papierosem.

– Czy widziała pani już kiedyś ten samochód? – Fischer powtórzył swoje pytanie.

– Chyba tak. Kiedyś w ciągu ostatnich dni stał tu przed wejściem podobny biały opel.

– Zauważyłaś go i nic mi nie powiedziałaś? – krzyknął Henri. – Jesteś kompletnie...

– Kiedy dokładnie? – przerwał mu Fischer.

– Chyba w poniedziałek.

– Czy w ostatnim czasie zaobserwowała pani jeszcze coś, co wydało się dziwne?

Miriam westchnęła. Nie chciała robić dramatu z tej sprawy.

Henri stanął za jej plecami i zaborczo położył rękę na jej ramieniu.

– Było coś jeszcze, prawda?

– Telefony, wciąż telefony na automatycznej sekretarce. Głuche. I pocięta gazeta pod drzwiami mieszkania.

Henri jęknął i wymamrotał pod nosem coś, co zabrzmiało jak „świr” albo „popapraniec”.

– Pocięta gazeta? To znaczy jak pocięta?

– Tylko moje zdjęcie – odpowiedziała Miriam i była szczęśliwa, że ich rozmowę przerwał lekarz pogotowia. Że w tej chwili nie musiała już nic więcej wyjaśniać.

– Byłoby dobrze, gdyby pani przez najbliższe dni oszczędzała kolano. Wkrótce weekend. Jeżeli chodzi o ranę ciętą na wardze, działanie zastrzyku znieczulającego utrzyma się jeszcze przez jakąś godzinę lub dwie. Potem pani troskliwy przyjaciel może kupić dla pani w aptece śro-

dek przeciwbólowy. Takie rany szybko się goją. Jutro już o tym pani zapomni. Ale to z kolaniem może trochę potrwać.

Uściskał jej rękę na pożegnanie i wyszedł.

Henri spoglądał na nią wyczekująco, jakby jej spowiedź jeszcze nie dobiegła końca.

– Nie mam już siły – powiedziała Miriam. – Czy nie możemy tego dokończyć jutro?

Fischer skinął głową.

– Najważniejsze wiemy. Szkoda, że nie zapamiętała pani numeru rejestracyjnego. Akurat pani mogła przecież na to wpaść.

– Jak tam pańskie bliźniaki? – zapytała Miriam, unikając odpowiedzi. – Wszystko w porządku?

Fischer skinął głową i po raz pierwszy dojrzała w jego oczach coś na kształt dumy. Czy ten błysk był nowy, czy może wcześniej go nie dostrzegła, bo nie chciała zaakceptować? Przez ten napad ją upokorzono. Zerwano z twarzy maskę, za którą nie mogła się już dłużej ukrywać.

– Zajmij się nią – powiedział Fischer do Henriego i wstał. – Jest nam potrzebna. Gdy jej zabraknie, będziemy mieć na karku Hillmera.

– A jak myślisz, co chcę zrobić? – odparł Henri. – I pozdrów Berit. Jak to wszystko się skończy, przyjdziemy z Miriam w odwiedziny, zobaczyć dzieciaki.

Dysponował nią, a ona nie miała nawet siły protestować.

Fischer skinął głową pod adresem Miriam.

Dziesięć minut później zostali sami.

– Myślisz, że to Jost? – zapytała.

– Jost? Skąd ci to przyszło do głowy?

– Mam wrażenie, że mnie obserwuje. Być może nawet śledzi.

– O ile wiem, nie jeździ oplem.

– Gdy kogoś śledzę, też nie biorę własnego samochodu. On wie o nas. Rzucił taką jedną uwagę.

Henri nie odpowiedział. Zamiast tego przypatrzył się jej i powtórzył:

– O nas?

– Nie to mam na myśli – broniła się Miriam.

Ale jego usta były już przy jej uchu:

– Bombowo wyglądasz – wyszeptał. – Nie, nie bombowo. Fatalnie. Ale i tak mi się podobasz.

– Co ja teraz zrobię? Nie mogę się tak nigdzie pokazać. – Dotknęła włosów.

Uśmiechnął się.

– Mogę obciąć ci drugą stronę. Sam siebie też strzygę.

– Też coś – wymamrotała.

Wstał.

– Gdzie masz nożyczki?

– Żartujesz!

– Nie, obetnę drugą stronę do tej samej długości. A może chcesz tak pójść do biura?

– W kuchni, pierwsza szuflada po prawej.

Wzdrygnęła się, gdy spadło pierwsze pasmo. Miała wrażenie, że cała prawa strona już jest obcięta na łyso.

– Nie ruszaj się – krzyknął Henri.

– Chcę lustro!

– Potem.

Dopiero kiedy zadzwoniła komórka komisarza, a on odłożył nożyce, mogła dotknąć czaszki.

Nie miała już włosów. Na jej głowie była tylko sierść.

Na jednej nodze pokuśtykała do przedpokoju, żeby zobaczyć się w lustrze, i przeraziła się. Nie z powodu włosów. Henri rzeczywiście miał talent. Ale jej usta zaskorupiły się od krwi i była blada jak trup. Wyglądała jak wampir.

– Telewizor? – usłyszała zdumione pytanie Henriego. – Po co? – I zaraz potem: – Dobrze już, dobrze, uspokój się, Ron. Już włączam. Natychmiast.

Wróciła do pokoju. Obydwoje wlepili wzrok w ekran. Jost z mikrofonem w ręku znów stał przed domem Denise.

– Gdzie jest zaginiona Denise Winkler? Czy naprawdę poszukuje syna, czy może tylko ucieka przed przeszłością? Ile wie na temat swojego dziadka? Czy również tego zdjęcia nigdy przedtem nie widziała, zdjęcia, które dowodzi, że jej dziadek był wiernym członkiem partii, jednym z pomagierów Hitlera?

Na ekranie pojawiła się fotografia: Oskar Winkler. Powolne zbliżenie kamery, najazd obiektywu na kieszeń na piersi marynarki i powiększenie pozwalające wyraźnie rozpoznać odznakę partyjną.

– Na miejscu pozostaje zrozpaczony ojciec – powiedział Jost. I zaraz potem ujrzeli Olivera Winklera, który siedział w fotelu i dobitnym głosem prosił porywacza o oddanie mu syna:

– Niech się pan zmiłuje – mówił. – Proszę pomyśleć o jego matce. O swojej matce.

Odjazd kamery. Nowy kadr: Oskar Winkler ściskający dłoń mężczyzny, którym ewidentnie był Hitler.

Kiedy Denise dotarła wieczorem do Krakowa, dziwnym trafem nie czuła się zmęczona długą podróżą. Strach ustąpił miejsca agresji. Agresji, która po raz pierwszy w jej życiu wypłynęła na powierzchnię. Świadomość przyćmiły wściekłość, gniew i zimna żądza zemsty. Denise zdawała sobie sprawę, że ta nienawiść kierowała nią od dawna, podobnie jak innych ludzi napędzają ambicje lub zawiść. Nawet jeżeli odnajdzie Frederika, nigdy nie pozbędzie się tego uczucia. To była blizna, która pozostanie na zawsze.

Cierpliwie stała na postoju taksówek w kolejce czekających. Cierpliwość przyda jej się w ciągu najbliższych godzin. Nie mogła pozwolić, by całą energię pochłonęła niekontrolowana panika. W przyszłości nie będzie już negocjowała z nikim poza człowiekiem, który przetrzymał jej dziecko. Machinalnie sięgnęła po telefon komórkowy i go włączyła.

Głęboko odetchnęła. Powietrze była zakopcone, pachniało smołą i spalinami samochodów, nieustannie wyjeżdżających z parkingu i zapchanych ludźmi w grubych paltach.

Wzdłuż jezdni piętrzył się śnieg z ostatnich dni. Czarny jak asfalt. W pomarańczowym świetle ulicznych latarni Denise miała wrażenie, że widzi zimne powietrze. Zabarwione ołowiem wisiało nad placem budowy przed dworcem. Powstawała nowa dzielnica miasta.

Nareszcie przyszła jej kolej. Taksówka zbliżyła się powoli do postoju. Kierowca wysiadł i włożył walizkę do bagażnika. Pokazała mu adres hotelu i poprosiła po angielsku, żeby przejechał obok Wawelu. Skinął głową, otworzył tylne drzwi i wpuścił ją do środka.

Opadła na wyświechtany fotel. Poczwała, że dotarła na miejsce. Na chwilę przymknęła oczy, żeby skoncentrować się na następnym kroku. Potem przyłożyła do ucha komórkę, by odsłuchać pocztę głosową. Nikt się nie wysilił, żeby przesłać wiadomość esemesem. Każdy tylko wykrzykiwał w słuchawkę rozkazy.

– Cholera, gdzie jesteś? Oszalałeś? Zupełnie ci odwalilo? Odezwij się natychmiast, gdziekolwiek jesteś. Nie możesz uciekać.

„Fuck you, Oliver, fuck you”.

Potem spokojny, głęboki głos Lieblera, nad wyraz dobitnie starający się zdobyć zaufanie histerycznej matki:

– Gdziekolwiek pani jest, proszę o kontakt. W ten sposób nie może pani pomóc synowi. Proszę do mnie zadzwonić. Porozmawiajmy. Jeżeli będzie pani potrzebować pomocy, proszę zwrócić się do pana Mateckiego. Pracuje w komendzie policji na Kazimierzu. Na ulicy Szerokiej. Numer telefonu: pięćdziesiąt-sześćdziesiąt siedemczterdzieści trzy.

W porównaniu z nim głos Miriam brzmiał histerycznie:

– Denise, gdzie jesteś? Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? Mogłyśmy porozmawiać. Wracaj! Nie dasz rady tego sama załatwić.

„Próbowałam się do ciebie dodzwonić, Miriam. Parokrotnie. Ale nie było cię w domu”.

Denise mijała zamrożone drzewa i oblodzone dachy, nie zauważając ich. Mimo to udzielała się jej beznadziejność nocy. Zbadała dłonią płaszcz. Broń bezpiecznie tkwiła tuż przy sercu, dokładnie tam, gdzie jej miejsce. Była tylko symbolem, niczym więcej.

Taksówkarz raz po raz spoglądał w lusterko wsteczne.

– First time in Cracow? – odezwał się w końcu.

– No.

- Wonderful city.
- Yes.
- Do you need taxi next days? – Chyba skończył kurs business english.
- No, thank you.
- I give you my number.
- Thank you, but...
- I make you fair... – zająknął się. W końcu dorzucił po polsku: – Złoty.

Kiwnęła głową i demonstracyjnie zamknęła oczy. Może w ten sposób zrozumie, że nie ma ochoty na rozmowę.

Otworzyła oczy, dopiero gdy usłyszała, jak z dumą w głosie wymawia słowo „Wawel”. Wskazywał ręką na prawo.

Przed nimi, na płaskowyzu, widniał oświetlony kompleks zamkowy, który w lecie zwiedzała, nie przypuszczając, że jej los był z nim powiązany. Przemierzała komnaty królewskie, konsumowała sztukę, delektowała się architekturą. Wydawało się, że od tamtych chwil minęła wieczność. Teraz atrakcja turystyczna przerodziła się w twierdzę, za której wysokimi murami kryły się tajemnice. Ktoś zmuszał Denise do powrotu w przeszłość. Tymczasem jej chodziło tylko o odzyskanie syna, nie chciała nic wiedzieć o przeszłości.

Przetarła okno rękawem płaszcza i wpatrywała się w ten widok.

Kilka minut później taksówka zatrzymała się w wąskim zaułku, w którym znajdował się hotel Amadeus, gdzie nocowali ostatnim razem. Za ledwie kilka kroków od Rynku Głównego. Wtedy sądziła, że jest nieszczęśliwa. Kłótnie z Oliverem stawały się coraz gwałtowniejsze. Coś w jej życiu zaciskało się coraz mocniej, miała wrażenie, że się dusi. Odkąd jej babka wycofała się z firmy, Oliver coraz bardziej przejmował stery. Podejmował decyzje sam. Restrukturyzacje, zwolnienia długoletnich pracowników, podejrzane zagraniczne firmy podwykonawcze, z którymi realizował projekty. Na jej zarzuty i wymówki zawsze replikował:

– Czego ty chcesz? Zajmuję się ratowaniem twojej firmy. Poza tym Henrieta się zgadza. Ma osiemdziesiąt pięć lat, ale wie, skąd wieje wiatr i kiedy pora zmienić strategię. Henrieta myśli w wielkim stylu.

– To już od dawna nie jest moja firma – odpowiadała Denise.

Pokój zarezerwowała, będąc jeszcze we Frankfurcie. Bez problemu. O tej porze roku prawie nie było w mieście turystów. Za zimno. Wielki termometr wiszący przed hotelem wskazywał osiemnaście stopni poniżej zera. Gdy taksówkarz wyjmował z bagażnika walizkę, z jego ust wydobywały się białe obłoczki pary.

– Stop! – powiedziała zniecierpliwiona.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– I've changed my mind. I want to stay at another hotel.

Wyjęła portmonetkę z torebki i wręczyła mu pięćdziesiąt euro.

Wstawił walizkę z powrotem do bagażnika.

Wsiadła do samochodu. Po niespełna dwóch minutach dotarli do innego hotelu. Znajdował się na obrzeżu przestrzennego placu, dzięki czemu od razu poczuła się swobodniej. Dała taksówkarzowi kolejny astronomiczny napiwek. Kiedy zadowolony pokiwał głową, odniosła nagle wrażenie, że płaci okup całemu krajowi.

Dziesięć minut później siedziała na łóżku w małym pokoiku. Walizka stała nierozpakowana. Kartkowała książkę telefoniczną, o którą poprosiła na dole. Na pytanie młodej kobiety z recepcji, czy kogoś szuka, czy może w czymś pomóc, zaprzeczyła. Otworzyła barek i wyjęła butelkę wódki. Nalała sobie kieliszek i usiadła przy stole z laptopem.

Nie, nie była turystką. Przyjechała tu, by popracować. Musiała pracować, żeby przeżyć.

Pierwszą osobą, której szukała, była Sophia Fuchs. Ale w Krakowie najwyraźniej nie mieszkał nikt o tym nazwisku.

Z dwudziestu mężczyzn na liście byłych pracowników Olivera odszukała w książce telefonicznej dwunastu. Dziesięć nazwisk powtarzało się parokrotnie.

Stanisław Salik – dwa razy,
Jarosław Dębski – cztery,
Krzysztof Baranowski – raz,
Ryszard Kadow – trzy,
Michał Nowicki – dziesięć.

Skrętnie zanotowała numery telefonów i adresy.

Gdy zamykała listę, była pierwsza w nocy. Na placu przed hotelem panował spokój. Miasto spało, ale Denise nie zamierzała się tym przejmować. Sięgnęła po słuchawkę i wybrała pierwszy numer. Była tak zdenerwowana, że serce waliło jej młotem. Co ma powiedzieć? Jakim językiem mówić? O co pytać? Czy powinna po prostu wymienić nazwisko Winkler? A jeżeli się rozłączą?

Stanisław Salik nr 1.

Liczyła się ze wszystkim, tylko nie z tym, że nikt nie odbierze. Stanisław Salik nr 2.

Po dwóch dzwonekach odezwał się głos młodego mężczyzny. W tle głośna muzyka. Nie rozumiała ani słowa. Kiedy rozległ się piskliwy sygnał, długo nie wiedziała, co powiedzieć, potem nagrała na sekretarkę swoje nazwisko i po angielsku poprosiła, by oddzwonił. Oznajmiła, że ma pytania dotyczące frankfurckiej firmy Winkler. Zanim zdążyła podać numer swojej komórki, skończyło się wolne miejsce na sekretarce.

Jarosław Dębski nr 1.

Dzwoniła tak długo, aż usłyszała zajęty sygnał.

Jarosław Dębski nr 2.

To samo.

Dopiero u Dębskiego nr 3 ktoś odebrał. Zaspany kobiecy głos.

– Halo?

– Przepraszam, czy mogę mówić z panem Jarosławem Dębskim? Jarosław Dębski?

Zamiast odpowiedzi usłyszała pytanie, którego nie zrozumiała. Z podniesionego głosu przemawiały nieufność, niepokój i strach. Szczęk w słuchawce, wolny sygnał. Kobieta rozłączyła się.

Denise nie mogła sobie pozwolić na zbyt długie rozpamiętywanie tej rozmowy. Wybrała kolejny numer. Znowu ktoś postanowił albo nie odbierać, albo nie było go w domu. Dodzwoniła się dopiero do Ryszarda Kadowa nr 2. Tym razem mężczyzna. Młody głos. Ta sama zabawa.

– Halo?

– Ryszard Kadow? – zapytała.

– Nie.

– Ryszard Kadow? Muszę z nim koniecznie porozmawiać. – Odruchowo przeszła na angielski. – Please, is this the number of Ryszard Kadow?

– It's my father.

Wreszcie jakaś sensowna odpowiedź. Oczy Denise zasły łzami. Rozmówca musiał to wyczuć, bo zapytał:

– How can I help you?

– I want to speak to your father. It's important, very important.

– German? – usłyszała w odpowiedzi. – Pani jest Niemką?

– Tak, tak, nazywam się Winkler. Denise Winkler. Ja... muszę porozmawiać z pańskim ojcem.

– Nie ma go tutaj. Pracuje w Niemczech.

– W Niemczech? We Frankfurcie?

– W Berlinie.

Nowa fala zwątpienia.

– Berlin – powtórzyła Denise. – Nigdy nie pracował we Frankfurcie?

– Nie.

– A dla firmy Winkler z Frankfurtu? Pracował dla nich?

Chwila wahania.

– Tak, ale nie we Frankfurcie. W Krakowie. Pracował przy budowie centrum na Kazimierzu.

– Ma pan na myśli to centrum handlowe, które spłonęło?

– Tak.

– Jak mogę odnaleźć pańskiego ojca?

Milczenie.

– Jak się pani nazywa?

– Denise Winkler.

– Jak można się z panią skontaktować?

– W hotelu Matejko.

– Pani jest w Krakowie?

– Tak.

– Zapytam go.

Szczęknięcie. Koniec rozmowy.

Podczas gdy wybierała jeden numer po drugim, nieustannie dzwoniła komórka. Trzymała ją w dłoni. Krótkie spojrzenia na wyświetlacz wystarczały, by wiedzieć, kto dzwoni. Bez przerwy Oliver, jej ojciec, Miriam i Liebler. Nie odsłuchiwała poczty głosowej.

Zrozpaczona zsunęła się z brzegu łóżka i usiadła na podłodze. Ostatnią rozmowę przypłaciła resztkami sił. Dygotała. Zęby jej szczękały. Ściągnęła kołdrę i się nią opatulila.

Pomyłka. To musiała być pomyłka. Los popełnił straszliwy błąd i trzeba mu było o tym powiedzieć. W sprawiedliwym świecie to nigdy nie mogłoby się zdarzyć. A może to tylko pech? Ta nieznaną wielkość, z którą ani bez której nie można była planować życia. Jak w ogóle można było planować życie?

To nie był pech. To była ona, jak powiedział Oliver, fatalna jako matka, bo nie uważała.

Zamknęła oczy, ujrzała syna. Jak siedzi samotnie w pokoju. Było mu zimno. Drżał. Nie znał języka. Był głodny, bał się. Płakał. Wołał.

Gdzie on był?

W piwnicy? W ziemnej norze? W skrzyni? Gdzieś w jakimś domu w lesie? Może już nie żył. Kto mógł być na tyle okrutny, żeby coś takiego zrobić dziecku? Jej? Nie byli winni. Nie ponosili odpowiedzialności. Za co? Za co nie odpowiadali?

Nie pozwałała sobie zasnąć.

Zmęczenie odczuwało tylko jej ciało, nie świadomość. Oczami wyobraźni widziała myśli biegnące niczym neonowa reklama. Migające hasła. Tam, gdzieś w mieście, było jej dziecko. Czowała to. Wszystkimi zmysłami. Niech inni gadają, co chcą. Jeszcze gdy był niemowlęciem, potrafiła wyczuć, kiedy zapłacze. Stała przy jego łóżku, zanim się obudził. Jeżeli gdzieś tam był, to poza książką telefoniczną musiała istnieć jakaś inna możliwość odnalezienia go. Męcząca praca, która była tak bardzo sprzeczna z tym, co czuła. Podobnie jak wszystko w jej życiu, co potoczyło się wbrew jej uczuciom. Równoległe. Zewnętrzna i wewnętrzna linia życia nie potrafiły się ze sobą połączyć. Przebiegały osobno nawet w nieskończoności.

Nie, zasnąć będzie wolno dopiero, gdy go odnajdzie. Wyobraziła sobie, jak krzycząc, biegnie przez Kraków. Jak staje na Rynku Głównym. Ze zdjęciem syna. Z fotografią dziadka na Wawelu. Będzie dzień w dzień przemierzać miasto i wykrzykiwać imię Frederika. Sprzeda wszystko, co

posiada. Rzuci wszystko na jedną szalę. Firmę, dom, własne życie.

Poprosi o pomoc tutejszych taksówkarzy.

Zaproponuje pieniądze. Mają jeździć po mieście na sygnale, z megafonami. Wykrzykiwać jego imię. Objechać dzielnice i głośno go wołać. Tak jak policja przed ewakuacją budynku, jak zakłady miejskie przed wyłączeniem wody, jak straż pożarna w razie niebezpieczeństwa.

Każda przekłeta stacja radiowa i telewizyjna w tym mieście powinna pokazać zdjęcie Fredrika.

Ocknęła się.

Czyżby na krótko przysnęła?

Zofia

Piątek,

1 września 1944 roku,

Frankfurt

Jeżeli tylko cud może mnie uratować, muszę w ten cud wierzyć.

Leżę w pokoju na poddaszu i czekam.

Czekanie stało się moją drugą naturą.

Leżę w napięciu, do którego już przywykłam. Przecucie ściska mi serce. Słyszę na schodach kroki i sztywnieję. Ale przypominam sobie, że on pojechał do Berlina. Nie ma go. Nie ma go.

Dlaczego nie czuję ulgi?

Bo wewnątrz mojej istoty zamarło. Jest tak, jakby funkcjonowały tylko ręce i nogi, nic poza tym.

Wczoraj dotknęłam kuchennej płyty i nie poczułam nic. Usłyszałam syk, ale bólu nie było. Jak to możliwe?

Magda wciąż mnie pyta, co się dzieje, a ja nie umiem jej tego powiedzieć. Więc cały czas tylko ona gada. Że jest zakochana. Gdy mówi o swej miłości, szepcze. Wyjawia mi każdy szczegół. Jak on na nią patrzy, jak mówi, jak ją całuje.

Magda nie ma zasad. Nie potrafię jej już ufać. Jest z każdym za pan brat, a przecież Niemca nie można kochać.

Nienawidzę jej.

Ta nienawiść jest jak wrzód. Rośnie z dnia na dzień. Wydyma mi brzuch.

Kaszlę i kaszlę, a ona zatroskana pyta, czy mam kłopoty z płucami. Mówi, że coś takiego się dziedziczy. Twój brat też przecież miał gruźlicę. Kto wie, czy jeszcze żyje.

W duchu krzyczę do niej: On żyje, żyje! Ale przez moje usta nie wydobywa się ani jedno słowo. Jestem niema.

Wciąż mi powtarza: masz prawo chodzić do miasta. Tak, przepisy są surowe, ale masz prawo, mówi.

Spróbowałam. Gdy nikogo nie było w domu, otworzyłam drzwi, doszłam do furtki i ją otworzyłam. Najpierw nie mogłam się zdecydować, dokąd pójść, potem skręciłam w prawo, do kościoła. Kiedy przed nim stałam, nagle zza rogu wyszła grupa chłopców. W wieku Leszka. Mieli mundury i darli się, śpiewając piosenkę. Ich buty uderzały o asfalt. Uciekłam do kościoła i uklęknęłam na kamiennej posadzce, jak kobiety w kościele Mariackim, i zapytałam Boga, dlaczego moja mama nie odpowiada na listy. Czy może Magda je wyrzucała? Już jej nie ufam, odkąd cały zewnętrzny świat stał się zagrożeniem. Widzę niebo i zakrywam oczy. Zasuвам kotary, gdy świeci słońce. Widzę ulicę i się boję. Słyszą przechodzących, rozmawiających ze sobą ludzi i mam ochotę na nich nawrzeszczeć.

Gdy wróciłam do domu, poszukałam noża i podniosłam spódnice. Ale nie zdołałam go wbić. Ręka mi drżała, palce zaciskały się na trzonku, a ja miałam przed oczami krew.

Początkowo jeszcze myślałam, że to przejdzie. Jak zapalenie płuc albo kaszel. Jak krew każdego miesiąca, którą zbieram w papier gazetowy i razem z węglem wrzucam do pieca.

A teraz te kroki pod drzwiami. Wrócił?

Powoli otwierają się drzwi i wchodzi ta kobieta. Patrzy na mnie. Naciągam wyżej koc.

Dlaczego ona nic nie mówi? Nie wydaje żadnego rozkazu? Dlaczego nie przeciąga palcami po meblach w poszukiwaniu kurzu, pajęczyn, własnych brudów?

To by mnie uspokoiło.

Zamiast tego podchodzi do dachowego okienka i wygląda przez nie, patrząc na ogród. Nie jest większe niż książki mojego ojca, a gdy je otwieram, mam wrażenie, jakbym otwierała stronę prowadzącą do innego świata, tak nierzeczywistego, jak świat w książkach.

Odchrząkuje, podchodzi do mojego łóżka i spogląda na mnie z góry.

– Wiem – mówi. – Ale sama jesteś winna.

Nie odpowiadam.

– Musisz opuścić ten dom. Nie możesz tu dłużej zostać. Znajdę dla ciebie miejsce. Ale najpierw muszą ci coś zaproponować.

Dwa dni

Kiedy w piątkowy rano Denise została wyrwana ze snu, chwilę potrwało, zanim uświadomiła sobie, gdzie się znajduje. Kraków. Hotel. Obce otoczenie w połączeniu z faktem, że dzwonił telefon obok łóżka, natychmiast wyzwoływały w niej panikę. Kto miałby do niej dzwonić? Serce łomotało o żebra. Próbowała uspokoić oddech na tyle, by móc podnieść słuchawkę i wymówić przynajmniej jedno słowo:

– Tak?

– Pani Winkler?

– O co chodzi?

– Ma pani gościa – usłyszała po angielsku.

Nikt nie wiedział, że tu była.

– Gościa?

– Nazywa się... – recepcjonistka zamilkła na chwilę i w końcu dokończyła: – Marek Kadow.

Natychmiast sobie przypomniała. Dzwoniła do niego w nocy, to jego ojciec pracował przy centrum handlowym na Kazimierzu.

– Już schodzę.

Wyskoczyła z łóżka i wskoczyła w dżinsy, które pachniały asfaltem i świeżą smołą.

Spojrzała na zegarek. Dziesiąta. Rzeczywiście spała. Odkąd zaginął jej syn, nie udało się jej zmrużyć oka dłużej niż na godzinę. Czymże innym można to wytłumaczyć, niż tym, że znajdowała się na właściwej drodze? Frederik był w Krakowie. Musiał tu być.

Gdy wyszła z windy, Kadow, szczupły, wysoki mężczyzna około trzydziestki, wstał z białej skórzanej sofy w hotelowym foyer. Pod grafitowym paltem miał dżinsy i białą-błękitną koszulę w kratkę. W dłoniach trzymał czarny kaszkiet. Jak Amerykanin najwyraźniej przykładał wagę do starannie i krótko przystryżonej fryzury, która podkreślała wyrazistą szczękę. Krótko mówiąc, w niczym nie przypominał Polaków, których Denise spotykała na budowach.

Nerwowo podszedł do niej. Gdy podała mu rękę, pochylił się i złożył na niej przelotny pocałunek, co bardzo zmieszało Denise.

– Dziękuję, że przyszedł pan tak szybko – odezwała się zakłopotana.

– Zadzwoniłem do ojca – powiedział. – Możemy porozmawiać.

Denise rozejrzała się. Hotelowy hall był pusty. O tej porze roku nie pękał w szwach, bo którą zimą chciałby odwiedzać miasto, w którym temperatury potrafiły spadać do minus trzydziestu stopni.

– Może usiądźmy w restauracji? – zaproponowała. – Zapraszam pana na kawę. To chyba tu na prawo.

Również w restauracji oprócz pary starszyców na drugim końcu sali było zupełnie pusto. Podążyła za Kadowem do małego stołu przy oknie, skąd rozciągał się widok na plac przed hotelem.

– Proszę usiąść – powiedział. – Przyniosę kawę. Chciałaby pani coś zjeść albo...

Potrząsnęła głową.

– Nie, dziękuję.

Przez sekundę stał niezdecydowany, jakby zamierzał ją przekonać, że powinna coś zjeść, ale potem zmienił zdanie i ruszył w kierunku bufetu śniadaniowego.

Chociaż świeciło słońce, Denise czuła przez szybę zimno. Pomyślała, że światło dzienne w tym mieście miało w sobie coś szczególnego. Lepiej uwypuklało urok starych budowli niż refleksy.

Podczas gdy z radia sączyła się piosenka *The Sound of Silence*, ulicą prowadzącą do kościoła naprzeciwko hotelu nieustannie podążali przechodnie. Ludzie przypominali architekturę miasta: typy podwórkowe, pijacy w brudnych ubraniach, stare kobiety w kwiecistych chustach na głowie, bezzębne, z zaciśniętymi ustami, przygarbione od zimna, potem znów wielka dama, biznesmen z komórką przyciśniętą do ucha, tak jakby ją ogrzewał. Choć tak bardzo się od siebie różnili, łączyły ich dwie cechy. Wszyscy się spieszyli i wszyscy byli obładowani najróżniejszymi torbami, pakunkami, plecakami. Naród, który wciąż taszczył swój dobytek na plecach.

Próbowała ocenić Kadowa, obserwując go. Podobała się jej pewność siebie, z jaką się poruszała.

– Dlaczego pan to robi? – zapytała, gdy wrócił do stołu.

– Co? – zdziwił się, zajmując miejsce naprzeciwko.

– Pomaga mi. Dziś w nocy dzwoniłam do tak wielu ludzi, ale nikt nie chciał mnie wysłuchać.

– My Polacy jesteśmy nieufnym narodem, to wynika z naszej historii – uśmiechnął się. –

Lepiej niech pani od razu się do tego przyzwyczai.

Podał jej filiżankę z kawą i popatrzył na nią. Jego brązowe oczy miały w sobie coś, co wzbudzało w niej ufność. O ile jeszcze coś takiego istniało. Zaufanie.

– A więc dodzwonił się pan do ojca?

– Dzisiaj rano.

– Czy zechce ze mną porozmawiać?

– Nie – potrząsnął z żalem głową. – Odmówił.

Nadzieja w Denise runęła jak domek z kart. Równie szybko i bezgłośnie.

– Dlaczego? – spytała, słysząc rozpaczą we własnym głosie.

Kadow przez chwilę milczał. Gdy wreszcie znów się odezwał, w jego głosie pobrzmiwało zgorzknienie:

– Nie może mu pani brać tego za złe. Tamta sprawa z galerią...

– Z jaką galerią?

– Z centrum handlowym – wyjaśnił.

Denise skinęła głową.

– Co z nim?

– Była ogromna afera, obwiniono jednego z robotników, że nie zachował należnych środków ostrożności, ale koledzy mojego ojca stanęli za nim murem i twierdzili, że to było podpalenie.

– A więc jednak podpalenie!

Wzruszył ramionami.

– Niemiecki kierownik budowy zabronił ludziom o tym rozmawiać.

– Dlaczego? – zapytała zdziwiona.

Kadow nachylił się do przodu i ściszył głos, chociaż teraz pozostali w restauracji sami:

– Wie pani, uważają nas za głupich. Ale każdy wiedział, że to podpalenie. Mimo to kierownictwo budowy utrzymywało, że to niedbalstwo. Najwyraźniej pan Winkler...

– Oliver Winkler?

– Tak, to pani ojciec?

Denise nie odpowiedziała, zamiast tego wpatrywała się w kościół, chociaż jego widok nie dawał ani krzty otuchy.

– A więc co zrobił Winkler? – odezwała się w końcu po krótkiej chwili milczenia.

Kadow odstawił filiżankę.

– W przypadku podpalenia ubezpieczenie nie wypłaca odszkodowania, rozumie pani.

– A policja? Ubezpieczyciel? Przecież rzeczoznawcy wystawiają opinie.

Marek Kadow roześmiał się rozbawiony.

– Pani nie zna polskiej policji. Robi to, co chce prezydent miasta, a jemu zależy na zagranicznych inwestorach. Oto cała tajemnica. – Zgniółł papierową serwetkę. – Nasi robotnicy wyjeżdżają do Niemiec, pracują za najniższe stawki, a niemieccy architekci, inżynierowie budowlani i inwestorzy urządzają nasze miasto. Proszę mi wierzyć, wiem, o czym mówię. Koło dworca w ten sposób wybudowano w mig całą dzielnicę.

Denise zaczynała rozumieć.

Oliver oszukał wszystkich. Ubezpieczyciela, ją, robotników. Czy tym to wszystko spowodował? Uruchomił maszynę nieszczęść? Z czystej chciwości? Tak łatwo było zaszkodzić jej rodzinie. Podczas wojny ludzie okrywali się winą przez to tylko, że żyli. Zaledwie garstce udawało się przetrwać taki okres bez uszczerbku. A może nie? Denise zauważyła nagle, że szuka usprawiedliwień dla swoich dziadków. I to wprawiło ją w zakłopotanie. W przeciwieństwie do babci kochała dziadka. Miał tyle uroku, mimo utraty ręki był ulubieńcem kobiet. Tak, kochano go, i zawsze uważano, że ożenił się z babcią tylko dlatego, że jako jedyna córka berlińskiego przedsiębiorcy posiadała spory majątek.

– Dlaczego pan przyszedł? – zapytała.

– Bo obiecałem – zająknął się na chwilę, a potem ciągnął dalej: – Poza tym sam jestem architektem, ale od dwóch lat pracuję w biurze podróży. Jak już wspomniałem, mamy w Krakowie sporo zagranicznych firm realizujących duże projekty budowlane. Pomyślałem, że mogłaby mi pani pomóc w znalezieniu pracy.

Denise milczała. Czy pomyliła się co do niego? Czy był tylko kimś, komu zależy na własnych korzyściach? Ale z drugiej strony, czy mogła mu to brać za złe? Oczekiwał pomocy. A cóż ona mogła mu dać? Nie miała niczego, wszystko straciła.

– Nie jestem w stanie pomóc nawet samej sobie – powiedziała smutno, uniosła filiżankę i wypła łyk. Kawa była zimna.

– Po co przyjechała pani do Krakowa? – zapytał po kilku minutach milczenia.

Denise nie potrafiła odpowiedzieć. Czy miała odsonić przed obcym uczucia, które się w niej kotłowały? „Wina, nieufność, strach”. Mimo to, zacinając się, zaczęła opowiadać:

– Mój syn. Został... – zabrakło jej powietrza. Wypowiedzenie na głos tego okropieństwa było gorsze niż jego znoszenie. – Został porwany. – Gdy wezbrał w niej szloch, zakryła dłonią usta, starając się powstrzymać łzy.

Ulicą przejechała właśnie szybko ciężarówka, wysoko rozbryzgując błoto pośniegowe. Jakaś kobieta w kożuchu odskoczyła na bok, a zaraz potem przeszła na drugą stronę.

– Porwany? – spytał przerażony.

Kiwnęła głową.

– Trzy dni temu. Nie wrócił do domu po szkole.

– To co pani tu robi? W Krakowie? W Polsce?

Denise wiedziała, że dużo ryzykuje, przyjeżdżając tutaj. Nie potrafiła nawet wytłumaczyć, co nią kierowało, bo było to coś zupełnie nieracjonalnego. A jednak męczyzna naprzeciwko niej wzbudzał zaufanie, mimo że był obcą osobą. Nie znał jej rodziny, nie miał z tą sprawą nic wspólnego, przyszedł z nadzieją na pracę. Może właśnie dlatego lepiej zrozumie, że miała prawo działać po swoim.

Opowiedziała mu całą historię.

Kiedy skończyła, obydwójce milczeli, aż w końcu Kadow zapytał:

– Jak mogę pani pomóc?

– Proszę opowiedzieć wszystko pańskiemu ojcu – odparła z ulgą – i zapytać go o szczegóły pożaru. Chciałabym też dowiedzieć się, co zauważyli inni robotnicy, którzy z nim pracowali.

Kiwnął głową.

– Spróbuję. Jeżeli da mi pani numer swojej komórki, będę mógł się z panią skontaktować.

Zawahała się.

Nie знаła go, a jego ojciec znajdował się na liście – na liście robotników, którzy mogli mieć powód do zemsty na jej rodzinie.

– Może mi pani zaufać. – Kadow wyciągnął do niej rękę.

Uścisnęła ją. Przede wszystkim musiała polegać na intuicji. Była jedyną rzeczą, która dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Jediną rzeczą, którą jeszcze posiadała. Mogła mieć tylko nadzieję, że nie popełnia błędu.

Gdy przy śniadaniu Miriam zakomunikowała Henriemu swoją decyzję, nie protestował. Zdołała go też przekonać, by nie wspominał o niczym Ronowi Fischerowi. Obawiała się, że ten roztrąbiłby to na lewo i prawo. Przeraziła ją solidarność Henriego. Teraz będzie miała u niego dług wdzięczności. Ron był nie tylko jego najlepszym przyjacielem, ale też miał wyższy stopień służbowy.

Razem ruszyli w drogę. Kiedy dotarli na cmentarz, niebo zasłaniały ciemne chmury, jakby sam Christo opakował to miejsce. Nie przesuwwały się, tylko złowieszczo wisały nad grobami. Miriam nie była przesądna ani religijna, ani nawet nie miała predyspozycji spirytualistycznych. Jednak nawet ona wiedziała, że słońce nie mogło świecić w dniu, w którym bez pozwolenia zorganizowała sobie dostęp do grobowca. Nie istniało aż tyle przebaczenia. Pragnęła tylko, by pełniąc swoją powinność tu na cmentarzu, mogła mieć na sobie czarną togę. Pomogłaby jej przewyciężyć wątpliwości. Podobnie jak mundur pomaga żołnierzowi strzelać z broni, w którą go wyposażono.

Przedsiębiorstwo pogrzebowe spóźniło się dwadzieścia minut, co sprawiło, że nastroje przy grobie sięgnęły dna. Oprócz Henriego poprosiła na świadka Henninga Veita, który też nie stawiał pytań, tylko stwierdził:

– Przecież ja już pożegnałem się ze starszą panią.

Miriam była mu wdzięczna za poczucie humoru, które trochę łagodziło okoliczności.

Gdy wreszcie przybył przedsiębiorca pogrzebowy Torsten Frey, chudy trzydziestolatek w czarnej kurtce i szarej czapce, najpierw chciał zobaczyć pozwolenie.

– Kto wie, czy nie dzieją się tu jakieś podejrzone rzeczy – rzucił pod nosem.

– Wszystko w porządku – powiedziała Miriam, celowo nadając wypowiedzi zarozumiały ton, i pokazała papier z własnym podpisem. Nie konsultowała tego ani z Hillmerem, ani z sędzią. Nie znalazła żadnej podstawy prawnej do ekshumacji w celu konfiskaty rzeczy włożonych do trumny. To, co robiła, było nadużyciem władzy. Nawet gorzej. Było bezczeszczeniem grobu i działaniem wbrew woli krewnych. Tylko cmentarni rabusie okradali i profanowali miejsca ostatniego spoczynku zmarłych, odbierając im resztki doczesnego dobytku.

Przedsiębiorca pogrzebowy oddał jej kartkę i kiwnięciem głowy polecił pracownikom, by zabrali się do roboty. Ostrożnie uprzątnęli wieńce i wiązanki kwiatów, które całkowicie rozmokły od śniegu.

– Kwiaty – oznajmił Frey – to najtrudniejsza sprawa. Ostatecznie krewni powinni tu potem zastać znowu uporządkowany grób. – Wbił łopatę pomiędzy wieńce. – Mamy szczęście, świeża ziemia jeszcze nie zamarzła. Czego państwo szukają?

– Skrzynki w trumnie – odparła Miriam. – Niech panowie wreszcie zaczynają!

– Ach tak, pamiętam. Położyliśmy ją w nogach starszej pani. Tam było jeszcze miejsce. Nie była przecież zbyt wysoka. Chyba gdzieś z metr sześćdziesiąt.

Dwaj grabarze wbili łopaty w ziemię. Gdy w pocie czoła pracowali, z ust wydobywały się białe obłoczki pary, tymczasem ich szef palił jednego papierosa za drugim.

Veit stał obok z założonymi rękoma i cicho rozmawiał z Henrim. Śnieg skrzypiał pod butami, gdy dla rozgrzewki przestępowali z nogi na nogę. Nikt się głośno nie odzywał.

Wczoraj wieczorem zamierzała zadzwonić do Henriego, by powiedzieć mu o swojej decyzji,

ale napad wszystko zmienił. Kolano nadal ją bolało i miała spuchniętą wargę. Nocowała w jego mieszkaniu, bo nie chciała zostać sama, w obawie, że kierowca opla może wrócić. Duże, masywne ciało tuż obok dawało poczucie bezpieczeństwa. Poczucie bezpieczeństwa, które dotychczas stanowiło w jej życiu oczywistość. Ostatniej nocy strach wciąż powracał. Za każdym razem, kiedy myślała, że to wszystko tylko się jej przyśniło, dotykała włosów, których już nie było. Próbowwała przypomnieć sobie, co zapamiętała w odniesieniu do napastnika. Ale pozostał cieniem. Pamiętała tylko głos. Słyszała go przez całą noc.

Paznokcie Miriam wbijały się w dłonie. Gdyby tylko wiedziała, czy to, co tu robią, było właściwe. Co jeżeli kasetą nie zawiera listów, których szukają? Wtedy ośmieszy się. Okaże się osobą niekompetentną.

Teraz nie mogła się już wycofać. Grób odkopano do połowy. Na alejce piętrzyła się jeszcze świeża ziemia, wciąż przyprószana białą warstwą śniegu.

Rozległo się głucho uderzenie. Dotarli do trumny.

– Stop – przedsiębiorca pogrzebowy przyklęknął, sięgnął po łopatę i odwrócił ją. Trzonkiem ostrożnie obstukał kontury trumny. – Tutaj się kończy – powiedział. – Usuniemy ziemię z boku, z tej strony, żeby ktoś mógł zejść na dół, otworzyć trumnę i wyjąć skrzynkę.

Mężczyźni kopali dalej, aż Frey powiedział:

– Wystarczy.

Grabarze przerwali pracę i wyszli z dołu. Na górze zamasyżycie powbijali łopaty w pagórek świeżo wykopanej ziemi i sięgnęli po papierosy.

– Kto otworzy trumnę? – zapytał Frey.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy stali dookoła i wpatrywali się w dół, gdzie śnieg powoli przyprószal trumnę.

Pięć twarzy zwróciło się ku Miriam. Miała nadzieję, że Henning Veit zejdzie do grobu, ale on energicznie potrząsnął głową i uniósł ręce w obronnym geście. Solidarność aż tak daleko nie sięgała. Zrozpaczone spojrzenie Miriam padło na Henriego. Mogła go poprosić, a on by to dla niej zrobił. To jednak nie byłoby fair. Jedynie ona ponosiła odpowiedzialność za tę decyzję. A poza tym zaciągnęłaby w ten sposób u niego kolejny dług wdzięczności. Mógłby sobie robić nadzieje, że ich związek – który nie istniał – się zacieśni.

Była szalona, ba, jej pojęcie obowiązku tym razem wykraczało poza wszelkie granice. Usiłowała wmówić sobie, że nie robi nic niezgodnego z prawem. Tam na dole była przecież przestrzeń, gdzie prawo nie obowiązywało, nieprawdaż?

Wlepiała wzrok w dół. Czy wieko trumny zatrzęszczy? Czy w ogóle da się otworzyć? Czy oczy Henriety Winkler były zamknięte, czy otwarte? Czy spleciono jej dłonie w geście modlitwy? Jak ją ubrano? Przypomniła się jej kobieta w letargu, która nagle podniosła głowę. Paznokcie, włosy, które po śmierci nadal rosły, skóra, która się rozkłada, powykrzywiane ciało, zęby, które wypadły. A co z robakami?

Wzięła się w garść.

Po jednej nocy pod ziemią Henrieta Winkler z pewnością nie zaczęła się jeszcze rozkładać.

– Ja to zrobię – powiedziała Miriam.

Podeszła do brzegu grobu. Świeża ziemia posypała się w dół i uderzyła w trumnę, która gdzieś tam była okryta kwiatami, zwiędłymi różami wyglądającymi jak wyrzucone na brzeg brązowe morszczyzny.

– Nie. – Henri złapał ją za ramię, ale Miriam potrząsnęła głową.

– To ja ponoszę wyłączną odpowiedzialność.

Usiadła na brzegu grobu. Z pomocą przyszedł jej Henning Veit. Trzymając się jego ręki, powoli zsunęła się w dół. Ból w kolanie i zimno sprawiły, że oczy zaszkły jej łzami. Taki grób

mógłby się zapaść i ją przysypać. Pogrzebać w sobie tak, że mogłaby się udusić. Co za pomysł! Zapłaci za to głową.

– Stop – usłyszała nagle głos za plecami.

Zmieszana spojrzała w górę i rozpoznała Carla Winklera. W dzinsach i ciemnoszarej kurtce z goreteksu wyglądał zupełnie inaczej niż w garniturze.

– Ma pani rację – powiedział. – Może to pomoże odnaleźć Frederika. Proszę pozwolić, że ja to zrobię.

– Niech pan nie przecenia swoich możliwości – wtrącił się Veit.

– Muszę poznać prawdę – w jego głosie brzmiała stanowczość, której Miriam dotychczas brakowało. Po raz pierwszy dostrzegła podobieństwo między ojcem a córką. – Nikt mnie nie powstrzyma – mówił dalej. – Niezależnie od tego, jakie tajemnice skrywała moja matka. Tak czy tak, nie miała do nich prawa.

Miriam poczuła ulgę, gdy zastąpił ją Carl Winkler. Położył prawą dłoń na trumnie i przez kilka minut tak trwał.

Czy prosił matkę o przebaczenie?

Tłumaczył jej to?

Czy może dopiero teraz, gdy było za późno, stawiał pytania, których nigdy nie zadał?

W końcu chwycił mahoniowe wieko. Było ciężkie. Z trudem zdołał je unieść.

Wszyscy stali wokół grobu i spoglądali w dół. Pochłonięci paniką, a zarazem zafascynowani. Co jedna noc pod ziemią może zrobić z ludzkim ciałem? Spodziewali się niemal, że Henrieta Winkler zniknęła, a Miriam żywiła bezsensowną nadzieję, że wraz z otwarciem trumny raz na zawsze wyjaśni się tajemnica śmierci.

Co oczywiście się nie stało. Wszystko było tak, jak powinno. Woskowata mocno umalowana twarz starej kobiety sprawiała wrażenie pozbawionej uczucia, jak u manekina. Leżała tam z zamkniętymi oczami i splecionymi dłońmi. Martwa, podobnie jak za życia, nienagannie ubrana, z liczną biżuterią na palcach i nadgarstkach.

Carl Winkler wpatrywał się w twarz matki. Czy myślał o tym, jak bardzo ją kochał? Albo o tym, że nie uszanował jej woli? Po raz pierwszy odważył się przełamać milczenie.

Jego wzrok długo jednak na niej nie spoczywał. Zdecydowanie sięgnął ku stopom, gdzie znajdowała się kasetka. Podał ją na górę. Miriam nachyliła się i przejęła skrzynkę. Była nadszpedzowana ciężka, a wilgoć sprawiała, że wyslizgiwała się z rąk. O mało co nie upuściła jej na ziemię.

W kostnicy zdawało się zimniej niż na zewnątrz. Veit denerwował Miriam, bo ciągle rozcierał dłonie, jakby był na Syberii. Dzięki Bogu jeden z ludzi ekipy technicznej, która tymczasem przybyła na miejsce, pomyślał o grzejniku, przy którym próbowała się teraz ogrzać. Carl Winkler podszedł do niej, by się pożegnać. W jego twarzy dostrzegła, ile ta sprawa go kosztowała.

– Dziękuję – powiedziała – to był wielki dowód zaufania. Mam nadzieję, że to pomoże nam odnaleźć Frederika.

– Też mam taką nadzieję. – Winkler skinął głową i ruszył do wyjścia. Po kilku krokach odwrócił się i zapytał: – Trafili państwo na ślad Denise?

Miriam niemo potrząsnęła głową.

– Tak też myślałem.

Podszedł do niej Henri. Podając jej rękawiczki, spytał:

– Zaczynamy?

– Tak.

Miriam naciągnęła lateksy i wzięła do ręki nożyce, które dał jej Henri. Kasetę stała na folii, która okrywała składany stół. Ostrożnie uniosła wieko i wyjęła kopertę. Gdy usuwała woskową pieczęć, drżały jej ręce. Z zimna i z przejęcia. Na niej spoczywała odpowiedzialność. Ale, jak usiłowała sobie wmówić, odpowiedzialność nie polegała na nic nierobieniu, lecz na podejmowaniu decyzji, nawet jeżeli mogły się one okazać błędne. Teraz łamała tabu. Starła się myśleć o Frederiku i Denise. Henrieta Winkler nie żyła. Jej życzenia były po śmierci równie nierzeczywiste jak ona sama.

Plastikowy worek we wnętrzu koperty był śliski i wilgotny. Pomału rozcięła zgrzany brzeg. Sięgnęła do środka, wyjęła papiery i rozłożyła je na stole. Henri trzymał przy ustach dyktafon i opisywał, co wyklada na stół.

Klucz.

Teczka A4 z czarną okładką i plamami pleśni na obrzeżach.

Szara koperta A4.

Szara koperta A5.

Przez chwilę wszyscy stali nad tym i przyglądali się. Henri, Veit i ona sama skierowali oczy na to, co Henrieta Winkler zabrała ze sobą do grobu. To, co tu robili, nie było niczym innym niż obdukcją duszy.

Nagle kostnicę rozjaśniło jaskrawe światło reflektora. Do pracy przystąpił policyjny fotograf. Raz po raz migiała czerwona lampa błyskowa.

Henri chciał nagrywać dalej, ale na chwilę zamilkł. Miriam wyczuwała, że był zdenerwowany. Gdy jednak wznowił nagrywanie, jego głos brzmiał klarownie i stanowczo.

– Dział zabezpieczenia śladów wykona woskowy odcisk klucza. – Wręczył klucz Katii Weiss, która została zaproszona przez Miriam, bo była młoda i wystarczająco elastyczna, by poruszać się ścieżkami na obrzeżach prawa. Prokurator wytłumaczyła jej i innym kolegom, co zamierza. Dodała też, że to, czy włączą się do tej akcji, czy nie, pozostawia ich decyzji.

Henri sięgnął po czarną teczkę. Kiedy ją otwierał, wypadła z niej kartka. Miriam schyliła się. Na pierwszy rzut oka nie dało się ocenić, co to było, także dlatego, że kolory wyblakły, a pismo okazało się trudne do rozszyfrowania.

– Plany – odezwał się Henri, przeglądając zawartość teczek. Odłożył dyktafon. – Widzisz, to stare plany miasta.

Pochyliła się nad nimi.

– Masz rację.

– Teraz przydałoby się jeszcze wiedzieć, jakie to miasto. Trudno odczytać nazwy ulic. To cała dzielnica w najmniejszym formacie.

– Niemieckie nazwy – powiedziała Miriam.

Henri kiwnął głową.

– Nie rozumiem wprawdzie, dlaczego Henrieta Winkler chciała zabrać te plany do grobu, ale musimy mieć porządne kopie tych dokumentów. Możemy mieć tylko nadzieję, że na fotografiach da się coś później odczytać. Jak pan sądzi? – zwróciła się do fotografa.

– Dzisiaj da się zrobić wszystko – odpowiedział.

– Niech pan spróbuje – rzuciła Miriam. – Plany zabierane do grobu mogą oznaczać albo wielkie marzenie, albo przestępstwo.

Miriam otworzyła dużą szarą kopertę i wyjęła z niej kilka kartek, które pachniały starością i stęchlizną. „Śmierdzą przeszłością i są tak kruche jak prawda”, pomyślała.

– Czy to po polsku? – zapytała, patrząc na tekst.

– Chyba tak – odrzekł Henri. – Przynajmniej wygląda, że to jakiś język słowiański.

Henri chciał wziąć od niej kartki, ale Miriam powiedziała:

– Nie, poczekaj. Coś w tym jest, tylko nie wiem co. Mam wrażenie, jakbym już to kiedyś widziała.

Wodziła palcami po wersach. Nie rozumiała tekstu. Ale litery przykuły jej uwagę. Wydawały się znajome.

– Musimy to pokazać Georgemu – powiedziała. – O ile zrozumiałam coś z tego, co nam opowiadał, to może tu chodzić o tę samą maszynę do pisania, na której napisano cytat. Papier też jest podobny, nie sądzisz?

Henri wziął do ręki jedną z kartek.

– Nie wiem.

Miriam podała papiery fotografowi.

– Z tym musi pan dokonać cudu.

– W końcu po to tu jestem – odparł.

Pozostała jeszcze tylko mała szara koperta. Miriam powoli usunęła pieczęć. Czy to były listy, o których mówiła pani Hirschbach? Czy powiedzą coś o człowieku, który zabił Henrię Winkler i uprowadził Frederika?

W kopercie znajdowały się dwie kartki. Długo się im przyglądała, raz po raz czytając tekst.

– Przynajmniej tyle – powiedziała w końcu i przekazała je Henriemu.

Rzuciwszy krótko okiem, zaczął nagrywać:

– Szara koperta A5 zawiera akt urodzenia Karola Fuchsa, urodzonego dwudziestego trzeciego lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku w obozie przejściowym Kelsterbach. Matka Sophia Fuchs. Ojciec nieznan. Drugi dokument to akt zgonu wystawiony na to samo dziecko. Karol Fuchs, zmarły pierwszego marca tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

– Sophia Fuchs rzeczywiście urodziła dziecko – powiedziała Miriam. – Ale ono umarło w obozie. Dlaczego Henrieta Winkler miałaby szukać nieżyjącego dziecka?

Henri wzruszył ramionami.

– Denise ma rację – ciągnęła rozważania Miriam. – Wszystkie ślady prowadzą do Krakowa.

– Ale Matecki nie może znaleźć kobiety o takim nazwisku – rzucił Henri.

– Może wyszła za mąż i teraz nazywa się inaczej!

– To też już z nim omawiałem. Jeżeli w Krakowie lub w Polsce istnieje lub istniała kobieta o tym nazwisku, to on ją znajdzie.

Przekazał obydwie dokumenty Katii Weiss.

– To wszystko – powiedział.

– I żadnych listów, żadnej wskazówki na temat porywacza. Nie znaleźliśmy niczego, co mogłoby nas zaprowadzić do Frederika. Jak ja to wytłumaczę Hillmerowi?

– Najlepiej w ogóle nie próbuj.

Miriam wyszła z kostnicy. Stało się to, czego się obawiała. Nie osiągnęła sukcesu, którym mogłaby usprawiedliwić swą decyzję.

To, co znaleźli, nie przyniosło rozwiązania, tylko nowe zagadki.

Udo Jost przybył na lotnisko za wcześnie. Ponad godzinę przesiedział, czekając, przy bramce A32, pomiędzy biznesmenami a obszernym bagażem podręcznym dwóch polskich rodzin. W nadziei, że znów odezwie się porywacz, nie spuszczał oczu z telefonu komórkowego.

Z Toblerem uzgodnił, że wieczorem prześle relację z Wawelu. W tym celu kierownik redakcji zaangażował już polską ekipę telewizyjną.

Pięćdziesiąt tysięcy euro trzymał w portfelu pod koszulą. Nylon nieprzyjemnie gryzł go w skórę. Poza tym Jost od dawna nie czuł się tak podekscytowany. Bez przerwy pocierał o siebie opuszkami palców. Plecy miał spocone od rozgrzewania, jednocześnie było mu zimno.

– Proszę wyłączyć komórkę. – Stewardesa miała farbowane blond włosy i makijaż jak lalka, która posiada tylko tę namalowaną twarz. Wszystko w niej było sztuczne, nawet zapach. Jedyną atrakcją mogłyby być nogi, gdyby cienkie rajstopy w cielistym kolorze nie sprawiały wrażenia sztucznej kiszki. Mimo to znów wzrosło jego zapotrzebowanie na nagość. Może znów powinien wybrać się do sauny wspólnej dla kobiet i mężczyzn.

Rozległo się dudnienie. Turbiny rozgrzewały się. Przycisnął komórkę do ucha i odwrócił się do okna, żeby stewardesa nie nabrała podejrzeń. Oparł głowę o płaszcz, zamknął oczy, udając, że śpi. Nawet bez warkotu silników dudniło mu w uszach. Ze strachu. I nie był to tylko strach, że mógłby przegapić telefon od porywacza.

Kątem oka obserwował, jak stewardesa zgodnie z nagraniem płynącym z głośników przekazuje instrukcje bezpieczeństwa. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Jej przesłanie trafiało w próżnię. Mimo to zdobyła się na uśmiech. Równie ohydny jak jej nogi.

Zaciągnął ciaśniej pas i ponownie zamknął oczy. Dudnienie w uszach nasiliło się. Nie, żeby bał się latać, ale czas najwyższy, żeby maszyna wzbiła się w powietrze i żeby minął moment, w którym zawsze miał wrażenie, iż pilot traci kontrolę nad samolotem.

Maszyna dotarła do pasa startowego. Warkot silników na chwilę przycichł, by zaraz potem wzmóc się ze zwielokrotnioną siłą. Tak samo musiało brzmieć od środka tornado. Poziom hałasu wzrastał. Jost miał wrażenie, że uszy wpełzają mu do wnętrza czaszki, szukając tam schronienia. Impet szybkości wbił go w fotel. Mocno zacisnął palce na telefonie.

„Co jeżeli ciśnienie na zewnątrz wzrośnie tak, że powypadają szyby z okien, jak to pokazywali w filmach? Jeżeli fotele poodczepiąją się od podłogi? Kokpit oderwie się, a fotele z szybkością samolotu poszybują do przodu, by wypaść z okaleczonego kadłuba maszyny?”

Jego sąsiad, otyły biznesmen, czytał polską gazetę. Nawet nie podnosił wzroku. Jakże otepiałby musiał być wobec życiowych bodźców, skoro ignorował potężne ryzyko zdania się na możliwości techniki?

Rozległ się gong, a nad fotelem wyświetlił sygnał odpięcia pasów. Silniki przycichły. Samolot odnalazł swój korytarz powietrzny. Obydwie stewardesy zaczęły rozdawać napoje.

Widok wózka z napojami uspokoił puls dziennikarza. Stewardesa nachyliła się ku niemu.

– Whisky! – oznajmił Jost.

Jej białe uzębienie lśniło, jakby wygrała je w totolotku, podczas gdy napełniała plastikowy kubek napojem, który z pewnością był czymś innym niż whisky. Nieważne, grunt to alkohol, by usmierzyć strach. Jednym haustem opróżnił kubek.

Potem odchylił się do tyłu i wyjrzał przez okno. Pod nimi rozciągała się – ku jego uldze –

gruba warstwa chmur. Nie przykładał wagi do widoków podczas lotu.

Ostrożnie wyjął papiery. Polski biznesmen trzymał obie ręce po jego stronie. Gdy się nachylał, zaczepił o gazetę. Jost próbował to zignorować, chociaż czuł, jak wzbiera w nim agresja.

Wszystko zależało od tego, czy porywacz się odezwie i da mu dowód, że chłopiec żyje.

Dlaczego był taki pewny, że chłopak pozostał przy życiu? Ten człowiek zabił Henrię Winkler. Ona jednak okryła się winą. Nie wiedział jeszcze, jaka to wina, ale miało to związek z wojną, z miastem, do którego leciał.

A chłopiec?

„Przekracza pan granice?”, zapytał go porywacz. To pytanie miało znaczenie. Było jego credo. Jakby podjął decyzję i stawiał mu wyzwanie, by się zmierzyć. Jost podjął to wyzwanie. Chciał odpowiedzieć na pytanie, jak daleko potrafił się posunąć, co był gotów zrobić, jakie granice przekroczyć.

„By ratować człowieka”, dodał w myślach dla uspokojenia własnego sumienia.

Podniósł plastikowy kubek. Blondyna ponownie go napełniła, a on znów opróżnił jednym haustem. Wkraczanie do świata, w tym obowiązywały inne reguły, to zwariowane uczucie! Był to świat, w którym działało się wedle własnych praw, w którym nie liczyły się tradycyjne kwestie moralne. Przez chwilę poczuł, że rozumie Hansa Franka, i poczuł lęk przed samym sobą.

Lewą ręką podniósł telefon do ucha. Ciche buczenie dało mu sygnał, że dostał wiadomość. Palcami próbował wolno poruszać się po klawiaturze.

Zamknął oczy.

Masz nową wiadomość głosową. Naciśnij jeden.

Palec wskazujący wędrował po klawiszach.

Pierwsza wiadomość głosowa. Głos w słuchawce brzmiał tak, jak wyglądała stewardesa.

Potem jego własny głos. *Udo Jost.* Był ochryply i pasował do jego nieogolonego samopoczucia.

Nareszcie – ledwie mógł w to uwierzyć – poszczęściło mu się.

– Niech pan przyjedzie do Krakowa – brzmiała wiadomość.

Tylko tyle.

Denise szybko pożałowała, że nie wzięła taksówki, by dotrzeć na kazimierski komisariat. Nie miała czasu do stracenia. Odwaga, którą czuła wczoraj wieczorem, wypływała ze strachu i była upiorem nocy. Teraz w świetle dnia przyjazd do Krakowa znów wydał się jej bezsensownym. Odruchowo sprawdziła telefon komórkowy, czy nie dostała jakichś wiadomości. Oliver, ojciec i Miriam bombardowali ją nagraniami na pocztę głosową. Cały czas zajęta była tylko kasowaniem tych wiadomości.

Budynek, w którym mieściła się komenda policji, miał tylko trzy kondygnacje i znajdował się przy ulicy Szerokiej, niedaleko centrum handlowego. Przed wejściem stały trzy błękitne radiowozy. Drzwi komisariatu chyba niedawno odnowiono, podobnie jak większość okolicznych domów. Jedna knajpa przy drugiej, restauracja przy restauracji. Zbliżała się grupa turystów. Zatrzymali się dwadzieścia metrów od Denise i mimo zimna uważnie słuchali słów przewodniczki. Denise usłyszała, że stoją przed niegdysiejszym cmentarzem żydowskim i dopiero teraz zauważyła nagrobki za wysokim białym murem.

Odwróciła się. Każdy miał swoje własne nieszczęście.

W budynku policji panował całkowity spokój. Nikogo nie było widać. Kantorek portiera był pusty. Na biurku stał osamotniony talerz z resztkami ciasta.

Instynktownie ruszyła schodami na górę.

Tutaj pachniało kawą i teraz było słychać również głosy. Ktoś głośno coś opowiadał, zaraz potem rozległ się śmiech.

Zapukała, a ponieważ nikt jej chyba nie usłyszał, otworzyła drzwi. W małym pomieszczeniu wokół jednego biurka stała grupa mężczyzn, niektórzy w mundurach. Mieli w dłoniach kieliszki szampana, a na białym obrusie stały liczne półmiski z ciastem.

– Przepraszam – odezwała się Denise. – Szukam pana Mateckiego. Pan Matecki?

Wszyscy wlepili w nią wzrok, aż z grupy wyłonił się jeden z nich, podszedł do niej i wyciekając na nią popatrzył.

– Pan Matecki?

– Tak.

Miał między czterdzieści pięć a pięćdziesiąt lat, może nawet więcej. Trudno było oszacować, bo sprawiał wrażenie niewyspanego i zmęczonego. Włosy, jasne jak jego cera, nosił ciasno zaczesane do tyłu, co podkreślało pociągłą twarz, która zdawała się składać tylko z kości.

– Mówi pan po niemiecku? – spytała Denise. Przypomniała sobie, że Liebler wspominał o tym kiedyś Miriam.

– Tak – głęboki głos brzmiał ochryple, jakby był przeziębiony. – W czym mogę pani pomóc?

– Komisarz Liebler z Frankfurtu powiedział mi, że mogę się do pana zwrócić. Chodzi o mojego syna.

Nie zareagował, tylko nadal się w nią wpatrywał. Speszyla się. Nie zrozumiał?

Jego koledzy spoglądali w ich kierunku.

– Proszę ze mną. – Matecki wyprowadził ją na korytarz i otworzył drzwi naprzeciwko. – To moje biuro. Niech pani siada.

Podczas gdy Denise zajmowała miejsce, Matecki odwrócił się do niej plecami i podszedł do okna. Tam zastygł w bezruchu, przez kilka minut spoglądał na placyk przez budynek, a potem

nagle się odwrócił. Uśmiechał się.

– Już sobie przypominam. Firma Winkler, tak? Winklerbau. Pożar przed rokiem. Poznaje panią. Była tam pani na budowie. Miała pani białą sukienkę.

Zdumiona Denise pokiwała głową.

– Pan tam był?

– Oczywiście. Była tam i straż pożarna, i policja.

– To może mi pan pomóc. Mój mąż – Denise zawahała się – on nigdy mi nie powiedział, co było przyczyną pożaru. Tymczasem wiele się wydarzyło, moja babcia... została zamordowana i...

– Uprowadzono pani syna – oznajmił rzeczowo. – Wiem.

– Dlatego tu jestem. Sądzę, że to wszystko ma jakiś związek, rozumie pan? Pożar nie wybuchł przypadkiem.

Zareagował dopiero, gdy Denise prawie krzyknęła:

– Wiem, że mój syn jest w Krakowie!

– Skąd ta pewność? – Matecki ponownie się odwrócił i spojrzał przez okno. Potem podniósł rękę, by je otworzyć. Zimne powietrze pachniało spalinami, węglem, smołą.

Ponownie odwrócił się w kierunku Denise. Przyglądał się jej.

Pod jego wzrokiem zaczęła drżeć i poczuła, że do oczu napływają jej łzy, na co absolutnie nie chciała sobie pozwolić. Jeżeli zamierzała uzyskać pomoc, musiała sprawiać wrażenie stanowczej. Gdyby policjant zorientował się, że była kłębkiem nerwów, mógłby ją odesłać do domu i powiedzieć, że sobie to wszystko wmówiła.

– To długa historia – powiedziała.

Matecki usiadł, wyjął z kieszeni marynarki paczkę papierosów i wyjął jednego. Obracając go w palcach, oznajmił:

– Mam czas.

Gdy Denise skończyła opowiadać, milczał.

Co myślał?

Że to wszystko to jakiś obłąd?

Że przestępstwa miały inny przebieg?

Mąż zabija żonę z zazdrości, jeden gangster ukatrupia drugiego bandziora, kierując się chciwością, mafioso mści się na innym rzezimieszku. Nikt jednak nie uprowadza dziecka, nie żądając okupu, czy też po to, by po sześćdziesięciu latach nagłaśniać historię pewnej rodziny.

– I jak ja mam pani pomóc? – zapytał w końcu.

– Niech pan mi opowie wszystko na temat tamtego pożaru. Niech pan mnie potraktuje poważnie. I niech pan poszuka tej Sophii Fuchs.

– Sophia Fuchs nie istnieje – odparł, zapalając papierosa.

– Szukał jej pan?

– Wiem. – Milczał kilka minut, zaciągając się papierosem. Obserwował ją. Potem mówił dalej: – To było podpalenie. Pani mąż oferował pieniądze w zamian za to, żebyśmy nic nie powiedzieli firmie ubezpieczeniowej. Żeby dostał... jak to się nazywa...?

– Odszkodowanie.

– Tak, właśnie, odszkodowanie.

– Dlaczego nie powiedział pan, że to było podpalenie?

Matecki nachylił się nad stołem.

– Pani mąż myśli, że my tu w Polsce wszyscy bierzemy łapówki. Że wszyscy oszukujemy i kradniemy. Czy pani też tak uważa?

– Nie – potrząsnęła głową.

– To dobrze. – Odchylił się do tyłu i znów rzucił jej jedno ze swoich nieprzeniknionych spoj-

rzeń.

– Ja ich jednak nie przyjąłem – oznajmił. – Nie przyjąłem pieniędzy.

– W takim razie ubezpieczenie nie wypłaci odszkodowania.

– Wypłaci.

– Dlaczego?

– Znaleźli robotnika, który przyznał, że niechcący rozlał olej napędowy, od którego później zajęła się ogniem folia.

– Nie rozumiem. Powiedział pan przecież, że to było podpalenie.

– Jak pani sądzi, ile dostanie pani mąż z ubezpieczenia?

– Kilka milionów?

– Czym wobec tego jest dziesięć tysięcy euro dla jednego robotnika?

– Twierdzi pan, że ten robotnik dostał pieniądze za fałszywe zeznanie? Od mojego męża?

Matecki skinął głową.

– Dlaczego nikt z tym nic nie zrobi, skoro każdy to wie?

– Szef policji, prezydent miasta, wszyscy mówią to samo. – Wzruszył ramionami. – Mamy zeznanie, mamy więc i winnego. Pani mąż jest dla Krakowa ważny. – Konfrontowanie jej z tą historią zdawało się go bawić. Krótco się roześmiał. A może był to gorzki śmiech?

Wstrząsnął nią dreszcz.

Rzucił jej krótkie spojrzenie.

– Zimno pani?

– Mówi pan więc, że sprawę odłożono ad acta, bo włączyli się prezydent miasta i pański szef?

Znów się roześmiał.

– Ja nie przyjąłem pieniędzy, ale to i tak nie było podpalenie. To jest Polska.

– Ale przecież takie coś jest chyba niemożliwe?

– Wszystko jest możliwe, zarówno w Polsce, jak i w Niemczech.

– Czy może mi pan przynajmniej powiedzieć, do czego doszedł w śledztwie? Czy podejrzewa pan kogoś o podłożenie ognia?

– Istnieje plan. – Zaciągnął się ostatni raz, wstał i zamknął okno.

– Jaki plan?

– Niech pani jedzie do domu – powiedział.

– Nie mogę. Jest jeszcze więcej wskazówek dotyczących Krakowa. Na przykład zdjęcie. Mój dziadek był tutaj podczas wojny. A co z tymi obrazami? Co z oskarżeniem, że malowidła, które od kilkudziesięciu lat wiszą w willi mojej babci zostały skradzione z tutejszego muzeum? Jaki to wszystko ma związek?

Matecki popatrzył na nią. Przez chwilę zdawało się jej, że dostrzegła w jego oczach coś na kształt współczucia.

– Pani naprawdę chce to wiedzieć, tak?

– Co?

– Czy powody uprowadzenia pani syna i zamordowania babci tkwią w przeszłości waszej rodziny. Albo czy musi pani obwiniać o to wszystko samą siebie.

Serce Denise zabiło z ulgą.

– Pan też sądzi, że to wszystko jest ze sobą powiązane. Najpierw ten pożar, śmierć mojej babci i to... porwanie mojego synka. W takim razie on musi być tu w Krakowie.

– Ale nie ma pani na to dowodów. Dopóki ich nie ma, nie mogę pani pomóc. Na razie to wszystko jest tylko fantazjowaniem.

– Musi pan mi pomóc. Chodzi o dziecko. Moje dziecko.

Matecki wstał i podszedł do drzwi.

– Fantazje nie wystarczą, żeby odnaleźć Frederika. Proszę dostarczyć dowody. W Krakowie co noc zdarzają się jakieś przestępstwa. A policjantów jest mało.

Denise wstała.

– Jak mogę się z panem skontaktować, gdy natrafię na jakiś ślad?

– Może pani dzwonić o każdej porze. – Podszedł do biurka i zapisał numer. – Ktoś zawsze tu jest.

– Dziękuję, że przynajmniej powiedział mi pan prawdę o moim mężu.

– Prawda – odparł. – Jeżeli pani jej szuka, to musi pani wiedzieć, że okropności nie mają kresu.

Oszołomiona Denise wyszła z komisariatu. Liczyła na to, że policjant jej pomoże. Tymczasem Matecki dał jej do zrozumienia, że ta historia to nie jego sprawa.

Przeszła przez ulicę. Po drugiej stronie obejrzała się. Policjant nadal stał w oknie i patrzył na nią. Może chętnie by jej pomógł, ale miał związane ręce. Skinęła w jego stronę. A potem ruszyła w drogę. Idąc, kupiła w kiosku plan miasta, żeby mieć orientację.

Co teraz?

Dokąd się udać?

Wyższa niż zwykle tonacja głosu Henriego i szybsze tempo wypowiedzi dało Miriam do zrozumienia, że wiadomość, którą chciał jej przekazać, należała do kategorii pozytywnych.

– Namierzyliśmy komórkę! – zawołał.

– Co?

– Komórkę, z której porywacz po raz pierwszy zadzwonił do Josta.

– Ale jak...

– Nie uwierzysz. Jakaś studentka znalazła ją w koszu na śmieci. W samym środku Krakowa. Brakowało baterii. On wyjął baterię, dokładnie tak, jak przypuszczałem.

– A dlaczego teraz telefon działa?

– Zaniósł go do brata, który załatwił odpowiednią baterię.

– No a PIN?

– To Polacy – roześmiał się Henri. – Coś takiego to dla nich nie problem. Dziewczyna była wniebowzięta, że w ten sposób dorobiła się komórki. Wysłałem tam Mateckiego.

– Dobrze, że nie odpuściłeś.

– Ja nigdy nie odpuszczam, jeszcze się nieraz przekonasz. Mam żelazną cierpliwość. We wszystkich sferach życia. Jak się czujesz?

Miriam odruchowo sięgnęła do włosów, by je z tyłu spleść, ale natknęła się na pustkę. Jej ciałem ponownie targnął przyływ lęku. Fakt, że nawet ekshumacja nie zaprowadziła ich dalej, tylko przyniosła nowe znaki zapytania, jeszcze pogłębił ten szok. Strach zagnieździł się w jej ciele na dobre. Wraz ze wszystkim, co się z nim łączyło – kołataniem serca, dreszczami, brakiem czucia w palcach, z których wyślizgiwało się wszystko, co chciała utrzymać. Herbata smakowała zgnilizną, a jeść w ogóle jej się odechciało.

– Dobrze – odpowiedziała – do zobaczenia potem.

Przed nią leżały akta Albańczyka, patrząc na nie, czuła wyrzuty sumienia. Na poniedziałkową rozprawę nie przygotowała się tak solidnie, jak wymagał tego ten casus.

Po raz pierwszy miała ochotę pójść na zwolnienie lekarskie. Chciała po prostu zaszyć się w domu i naciągnąć koc na głowę.

Jednak zanim to pragnienie całkowicie nią zawładnęło, otworzyła akta. Zdjęcia z miejsca zbrodni były spektakularne. Dwa skąpane we krwi trupy o zmasakrowanych twarzach w samochodzie.

Nie miało to nic wspólnego z napadem na nią.

Mimo to przez głowę przemknęła jej myśl: „To mogłabym być ja”.

Palce zaczęły jej drżeć. Cała dłoń dygotała. Nie była w stanie nad nią zapanować. Tak jak ojciec przytrzymała prawą rękę lewą dłonią i wzięła głęboki oddech.

– Weź się w garść! – powiedziała głośno.

Powoli i ze skupieniem przeglądała akta dalej, aż do opinii biegłego, która stwierdzała, że Agim Kadare, Albańczyk, przeszedł traumę po utracie obu braci podczas wojny. Obrońca będzie wnosil o uznanie czynu za zabójstwo w afekcie. Oczywiście, przeżył traumę, ale przecież umyślnie strzelił w głowę byłej żony i jej drugiego męża. To wyglądało na egzekucję i nie wskazywało na afekt. Rozpacz kierowała się innymi mechanizmami. Kadare walczył w szeregach armii wyzwoleniczej w Kosowie. Potrafił obchodzić się z bronią. W przypadku zabójstwa w afekcie nie

wypychano sobie kieszeni nabojami. Cholera, on zastrzelił ich z zimną krwią!

Miriam powołała na biegłego doktora Ibrahima Schahadata, muzułmańskiego psychiatrę, którego opinia szczegółowo i wyczerpująco objaśniała kwestię odwetu i tłumaczyła prawo krwawej zemsty. Według albańskiego pojęcia honoru to oskarżony był poszkodowany. Nie tylko dlatego, że żona go opuściła. Również ze względu na to, że oskarżyła go o gwałt. Jej rodzina proponowała mu pieniądze jako tradycyjną rekompensatę, sprawca jednak je odrzucił. Zgodnie ze starą tradycją mógł odzyskać honor tylko przez wymierzenie kary śmierci.

Będzie wnosila o karę dożywocia z dodatkowym pozbawieniem praw publicznych. W końcu odebrał dwojgu małym dzieciom oboje rodziców i groził świadkom. Zabił, kierując się zemstą i nienawiścią. Adwokat twierdził, że oskarżony żałuje czynu. Biegły wskazywał jednak, że zemsta ze strony tego człowieka grozi również bliskim zabitej kobiety. Wszystko było niezwykle skomplikowane.

Wstała. Bolało ją kolano. Było opuchnięte i posiniaczone. Henri chciał ją zawieźć do lekarza, ale Miriam odmówiła.

Powinna była to zrobić, bo zaraz po powrocie z cmentarza wezwał ją do siebie Hillmer.

– Jak pani mogła?! – Był czerwony z wściekłości.

– Carl Winkler wyraził zgodę – oznajmiła ochryple.

– Gównu mnie to obchodzi! – Nigdy jeszcze nie słyszała, żeby Hillmer wrzeszczał. – Zarządziła pani ekshumację bez mojej zgody. Zawieszę panią w wykonywaniu obowiązków.

– Niech pan robi, co chce. Nie potrzebuję pańskiej zgody. To ja prowadzę tę sprawę.

– Żadna sprawa nie jest pani własnością. Tutaj wciąż jeszcze ja decyduję. Nie istniały przecież żadne podejrzenia dotyczące Henriety Winkler. Pani decyzja była bezpodstawna.

– Istniało uzasadnione podejrzenie, że w trumnie znajdują się listy z pogrózkami sprawcy.

– Znalazła je pani?

– Nie.

– Tym gorzej. Grozi pani postępowanie o znieważenie miejsca spoczynku zmarłej i naginanie prawa.

Nie odpowiedziała.

– Nie może już pani liczyć na moje poparcie. Odbieram pani tę sprawę.

– Niech pan robi, co pan uzna za stosowne. Gdy odejdę, zadbam o to, żeby przeżył pan kilka niespokojnych nocy. Opowiem, że miał pan układy z Conradim, że za wszelką cenę chciał pan chronić opinię rodziny, która zatrudniała robotników przymusowych, prywatnie przyjaźniła się z rzeźnikiem Polski i której grozi proces o kradzież dzieł sztuki.

– To niesłychane! Nikt pani nie uwierzy – powiedział Hillmer. Cały aż kipiał ze złości. Jeszcze tylko parę słów, a udar, zawał, krwotok gwarantowany.

– Zamienię pańskie życie w piekło. Jestem jeszcze młoda – oznajmiła. – Świat biznesu czeka na takich ludzi jak ja. A pan – wyciągnęła palec wskazujący przed siebie – a pan dalej będzie ze strachu robił w gacie. Gdy przejdzie pan na emeryturę, nie będzie pan stąd odchodził w wielkiej chwale, tylko z podkulonym ogonem przez tylne drzwi.

– Pani jest histeryczką! – krzyknął Hillmer. – Niech pani natychmiast wyjdzie z mojego gabinetu. To będzie miało konsekwencje!

Miriam nie zależało na tym, by mieć ostatnie słowo, wiedziała, że Hillmer zrozumiał przynajmniej jedno. Czasy się zmieniły. Dziś kruk krukowi z przyjemnością oko wykołę.

Kobieta, która otworzyła drzwi Miriam i Henriemu, ciężko dyszała. Ważyła jakieś sto pięćdziesiąt kilo i Miriam dziwiła się, że przy takiej tuszy można w ogóle dożyć takiego wieku.

Twarz składała się z nabrzmiałej masy, w której zatopione były oczy, nos i usta.

Miriam ledwie ochłonęła po rozmowie z Hillmerem, gdy zatelefonował Henri i oznajmił, że znaleźli pielęgniarkę Karlę Werner. Jako świadek przed sześćdziesięcioma laty podpisała akt urodzenia. Nazwisko Karli Werner pojawiło się już w trakcie śledztwa. Na listach płac Winklerbau AG. Chociaż pielęgniarka miała obecnie osiemdziesiąt dwa lata i była w firmie zupełnie nieznana, przez całe lata otrzymywała stamtąd pensję.

Henri najwyraźniej miał już dość wstępnych uprzejmości albo może sprawił to widok tej kobiety. W każdym razie przeszedł od razu do rzeczy:

– Policja. Musimy z panią porozmawiać o Henriecie Winkler.

– Już się dziwiłam, że tyle to trwa – powiedziała.

Odwrociła się od nich i powoli, ociężała poczłapała przez mroczny, zatęchły przedpokój. Podążyli w ślad za jej sapaniem. Oddychając, rzeźbiła, jakby płuca były w całości wypełnione wodą. W pokoju opadła na fotel. Włączony telewizor, na stole butelka lemoniady i paczka herbatników. W kartonie po butach piętrzyły się lekarstwa. Na sofie urządzono posłanie.

– Dlaczego nie zgłosiła się pani do nas dobrowolnie? – zapytał Henri.

– A niby czemu? Mogliście przecie o mnie zapomnieć. A ja już nie wychodzę z domu. Nie ma tu windy. Jak zejść na dół, nie daję rady wejść na górę.

Powietrze w pokoju było tak zatęchłe, że Miriam mimowolnie oddychała przez usta. Kobieta sięgnęła po herbatnika, wepchnęła go do ust i zaczęła żuć. Nie zaproponowała, żeby usiedli. Zresztą nawet nie było gdzie.

– Ma pani jakieś krzesła? – zapytał Henri. Miriam jeszcze nigdy nie widziała go tak zniecierpliwionego.

– W kuchni – odparła kobieta i odwróciła głowę, by spojrzeć w telewizor. Leciał właśnie jeden z tych popołudniowych sądowych show. Krzykliwie ubrana dziewczyna wyklócała się w sali rozpraw o to, że nie chce mieć nic do czynienia z tą dziwką, swoją matką, że na jej widok rzygać jej się chce. Telewizyjny sędzia nie ingerował.

Gdy Henri powrócił z dwoma krzesłami, wyłączył telewizor. Gospodyni nie protestowała, tylko sięgnęła po następnego herbatnika.

– A więc, dlaczego figurowała pani na liście płac firmy Winklerbau?

– Bo dla nich pracowałam – oświadczyła Karla Werner i nagle zaczęła chichotać. – Pracowałam dla nich.

– W jakim charakterze?

Kobieta posłała im głupi uśmiech. Brakowało jej siekaczy i kłów. Uśmiech na jej twarzy wyglądał tak, jakby powiększała go lupa.

– Milczałam dla nich – odpowiedziała w końcu. – Przez sześćdziesiąt lat. A co pan myśli? Nadal nie wiecie, kim ta baba była? Ale się uśmiełam, jak zobaczyłam ją w gazecie. Z tymi wszystkimi ludźmi. Z premierem i tak dalej. Siedziałam w tym fotelu i się śmiałam. A teraz ona nie żyje. Zamordowana. Ukatrupił ją? Widziałam wszystkie relacje. Także te o chłopcu. Nie znałście go jeszcze, prawda?

Zdawała się naprawdę z tego cieszyć.

Henri rzucił spojrzenie Miriam.

– Wie pani, gdzie on jest?

– Nie – potrząsnęła głową. – Tak tylko pytam – odrzekła – bo mnie to ciekawi. – Nachyliła się do przodu. – Człek się przecie interesuje losami innych.

– No to jakiego sekretu pani tak pilnowała?

– A niby czemu mam wam powiedzieć?

Miriam poczuła, jak narasta w niej złość. Chciała się odezwać, ale Henri spojrzeniem popro-

sił ją o milczenie.

– Bo ona już nie żyje – wyjaśnił. – Teraz więc nareszcie może pani mówić. Pieniądzy już i tak pani żadnych nie dostanie.

– A co jeżeli wszystko zapomniałam? – Znowu przenikliwy śmiech. Woda w jej płucach bulgotała jak włączony whirlpool. Zaczęła kaszleć, pewnym ruchem sięgnęła do pudełka z lekami i wydobyła spray, którym psiknęła sobie w usta. Nie po to, by zaczerpnąć powietrza, tylko by śmiać się jeszcze głośniejsze. – Wyobraźcie sobie, że ona płaciła mi przez te wszystkie lata, a ja wszystko zapomniałam.

– Nie zapomniała pani – rzucił podniesionym głosem Henri.

Śmiech się urwał.

– Nie, niczego nie zapomniałam.

Popatrzyła na Miriam.

– Ma pani dzieci?

– Nie.

– Dlaczego nie? Nie ma pani chłopca, żeby jakieś zrobił? Czy może nie może pani zająć w ciąży? Dzieciak po prostu się pani nie trzyma? Chłup i już? Robaczek rozpuszcza się w śluzie i krwi. Usuwała pani kiedyś?

Miriam przełknęła ślinę. Z trudem znosiła gadanie tej baby. Mimo to spokojnie odpowiedziała:

– Nie.

– To nie więcej niż mały pęd, który się zaszczepia na drzewie – oznajmiła Karla Werner. Zamilkła na chwilę. – Mój ojciec był ogrodnikiem. Pracował dla miasta. Uwielbiam kwiaty. To jedyna rzecz sprawiająca radość. Zawsze mi mówił: „Karla, ty masz ogrodniczą żyłkę”.

Miriam rozejrzała się po pokoju. Nie było w nim ani jednej rośliny.

– Nie – powiedziała niecierpliwie Karla Werner. – Już nie. Nie mogłam patrzeć, jak umierają, a nie byłam już w stanie o nie dbać. Pozanośiłam je na cmentarz. Na groby.

– Jakie groby? – zapytał Henri i odchylił się do tyłu.

– Jakie groby? Nie wiecie?

Ani Henri, ani Miriam nie reagowali. Im mniej wiedzieli i pytali, tym więcej mogli usłyszeć. Wyglądało na to, że nagle zapragnęła mówić. Henrieta Winkler wyrzuciła pieniądze w błoto.

– Na początku wojny – zaczęła – miałam dwadzieścia lat. Było zapotrzebowanie na pielęgniarki. Nie miałam wykształcenia, ale zgłosiłam się i wszystkiego nauczyłam. W czterdziestym drugim trafiłam do obozu Kelsterbach. Początkowo było tam mało ludzi. Dopiero pod koniec wciąż ich przybywało. Przede wszystkim Rosjanie, no i oczywiście te kobiety.

– Jakie kobiety?

– Te, co nie umiały utrzymać nóg razem – odparła zniecierpliwiona. – Były tu po to, żeby pracować. Ale zamiast tego kładły się, rozkładały, giry, a potem nadziwić się nie mogły, jak wyskakiwało z nich dziecko.

– Co działo się z tymi dziećmi?

Wysunęła głowę do przodu.

– Większość z nich w ogóle się nie rodziła.

– To znaczy, że usuwano te ciąży?

– A po co te bachory? Matki nie mogłyby pracować. Co, mieliśmy je jeszcze karmić? Za darmo?

– A te ciąży, których nie usuwano?

Karla Werner milczała. Tylko jej usta nadal się poruszały, jakby zamiast herbatnika przeżuwała myśli.

– Co się z nimi działo? – zapytał Henri. – Czy te dzieci zabijano?

– A co ja mogłam zrobić? – Karla Werner na chwilę okazała skrucę. – Te niemowlaki leżały w skrzynkach, w których były pchły i robaki. Wszędzie brud. Matkom wolno było zostać tylko kilka dni, a potem musiały wracać do pracy. Ten brud powodował u dzieci choroby. Większość umierała. Rzadko które przeżywało. Wolno mi było wpisywać diagnozę: *debilitas vitae*, wadłość wrodzona. – W jej głosie zabrzmiała duma. – No i kiedyś przyszła pani Winkler i chciała zabrać tego chłopca do domu, bo sama nie mogła mieć dzieci.

– Jakiego chłopca?

– Swojego.

– Ma pani na myśli... Carla Winklera?

Miriam rzuciła Henriemu przerażone spojrzenie. Twarz ani mu drgnęła, jakby cały czas to przeczuwał.

– Jej syn, tak, synalek, spadkobierca. – Szyderczy uśmiech powrócił na obrzmiałą twarz. – On o tym nie wie, prawda? Nie wie, że jest Polaczkiem.

Miriam ledwie mogła się opanować. Przed sądem spotykała wielu ludzi, których nie darzyła sympatią, których oziębłość ją oburzała, a brak skrupułów odpychał. Nigdy jednak nie czuła wstrętu wobec drugiego człowieka. Tej pielęgniarki nie cechowała oziębłość, lecz coś zupełnie innego.

– Co się stało z matką? – zapytał Henri.

– Matka? – wzruszyła ramionami. – Nie ma pojęcia.

– Przeżyła poród?

– One wszystkie były twarde – oznajmiła kobieta. – Poród wtedy to nie to samo co dziś.

Wtedy obywało się bez krzyku. Dziecko było tylko wypryskiem. Wyciskało się i już. Ale nie wszystkie się do czegoś nadawały.

Henri zdawał się zupełnie niewzruszony, Miriam jednak poznała go już na tyle dobrze, by po drzeniu jego dłoni, która sięgała po papierosy, dotykając ich tylko w obawie, że mogły zniknąć, zorientować się, że musiał panować nad sobą, aby nie wrzasnąć, nie zerwać się i nie przyłożyć tej kobiecie.

– Co się stało z matką?

– A bo ja wiem. To był luty. Wszyscy się baliśmy. Amerykanie byli blisko. Panowało zamieszanie. Prawdopodobnie trafiła do innego obozu pracy. Może na lotnisko. Tam wtedy pracowało dużo kobiet. Dlatego utrzymywaliśmy te dzieci kilka tygodni przy życiu. Żeby uspokoić matki. Miały przecież pracować. Były potrzebne. Potem jednak dzieciaki umierały. Wytrzymały nie dłużej niż sześć tygodni.

– Ale tego jednego chłopca Henrieta Winkler zabrała do siebie?

– Tak, koniecznie chciała go mieć.

– Dlaczego akurat jego?

– Ta dziewczyna pracowała u niej w domu.

– Czy matka wyraziła na to zgodę?

Karla Werner roześmiała się.

– Zgodę? A bo ja wiem. Nie pytałam. Zresztą nikogo to nie obchodziło. Winklerowa przyjechała samochodem z szoferem. Miała na sobie biały kozuch.

– I zabrała dziecko?

– Porozmawiała z lekarzem, a on wystawił zaświadczenie, że to jej dziecko. Ja poświadczam i lekarz też.

Znów się roześmiała.

– Nie bała się pani, że ta sprawa kiedyś wyjdzie na jaw?

– Byłam tylko pielęgniarką, a lekarz któregoś dnia już się nie pojawił w obozie. Jego dom został zbombardowany i było po nim. A ona dawała mi pieniądze. Później. I załatwiła pracę. Prawie dwadzieścia lat pracowałam w ambulatorium w zakładach Adlera, dopóki ich nie sprzedano. Wtedy znowu do niej poszłam, a ona powiedziała, że dostanę od niej pensję i już nie muszę pracować.

Sięgnęła po czekoladowy herbatnik. Ugryzła. Rozległo się chrupnięcie.

– A co z ojcem dziecka?

Wzruszyła ramionami.

– Nigdy o tym nie mówiła. Ojcowie w tamtych czasach nie grali roli.

Henri nie podziękował, gdy wstawał.

– Musimy zaprotokołować pani zeznanie.

– Ja nie ruszam się z domu – powiedziała.

– Przyślę tu kogoś. Opowie mu pani to wszystko, co nam.

– Wiem – odparła. – Za prawdę niczego się nie dostaje.

Na pożegnanie nie podali jej ręki.

– Znosiłam tam kwiaty – odezwała się, gdy Miriam i Henri stali już w drzwiach.

– Dokąd?

– Na cmentarz. Poustawiali tam krzyże.

Przez chwilę zdawało się Miriam, że zobaczyła w jej oczach łzy, ale to było złudzenie, bo zaraz potem powiedziała:

– Mój Boże, zwłoki niemowlaków. Dzisiaj nic już z nich przecież nie zostało. Tylko proch. A na prochu nie wyrosną żadne kwiaty. No i niech pan włączy telewizor.

Henri Liebler siedział obok Miriam w samochodzie, ale nie miał zamiaru ruszać z miejsca.

– Powiemu mu? – Miriam przerwała milczenie.

– Carlowi Winklerowi? Będziemy musieli.

– Nie do wiary. Sądziłam nawet, że istnieje podobieństwo rodzinne.

– Moja matka zawsze twierdziła, że jestem podobny do ojca. A potem, gdy jako osiemnastolatek po raz pierwszy go spotkałem... siedział przede mną chudziutki facecik. I to miał być mój stary? Był ode mnie przynajmniej dwadzieścia centymetrów niższy, miał szare oczy, łysy jako kolano.

– Nie chciałeś być do niego podobny?

– Nie.

– A teraz?

– Teraz zostawił mi w spadku dom i dwie lamy.

– Lamy?

– Lamy. Sprawił je sobie, gdy już nie czuł się na siłach, żeby dbać o ogród. Miały pilnować, by trawa zbyt wysoko nie rosła.

Przez chwilę Miriam sądziła, że Henri żartuje, ale jego twarz pozostała bez wyrazu. Krótco się roześmiała, bo myśl o lamach koszących trawnik wydała się jej absurdalna. Gdy jednak Henri nadal zachował powagę, ucichła.

– Przez całe życie się mną nie przejmował – ciągnął dalej komisarz. – A tu nagle telefon od notariusza, że mój ojciec zażyczył sobie, bym przyjechał na jego pogrzeb i że jestem jego jedynym spadkobiercą. Dlaczego?

– Na starość i w obliczu śmieci ludzie dziwaczej.

– A co z twoim ojcem? Jesteś do niego podobna?

– Czy to takie ważne? Czy to ma jakieś znaczenie, do kogo jest się podobnym albo czyj charakter się odziedziczyło?

– Zapytajmy Carla Winklera, czy to dla niego ważne. Zapytajmy Denise.

– Ona przypuszczalnie poczuje ulgę, że jej babcia wcale nie była jej babcią.

– Albo wręcz przeciwnie. Takie rzeczy wyzwają czasem uczucia, o których istnieniu nie miało się pojęcia. Dlatego najpierw powinniśmy porozmawiać z Hanną. Ona wie, co należy zrobić w takich wypadkach.

– Carl Winkler ma sześćdziesiąt lat.

– Sześćdziesiąt lat był okłamywany. To zaboli. Poza tym: gdzieś tam być może żyje jeszcze jego matka i nadal o nim myśli.

– Sophia Fuchs.

Henri wzruszył ramionami.

– Moje życie opiera się wprawdzie tylko na jednym filarze – powiedział – ale jego na żadnym. Wtedy łatwo o załamanie.

– Pozwól mi pójść do niego razem z Hanną. Chcę przy tym być.

– Dlaczego zostałeś prokuratorem, skoro właściwie chętniej wykonujesz policyjną robotę?

– Nie wystarczy tylko zebrać dowody przeciw komuś. Ja chcę też widzieć, że ten ktoś zostaje skazany.

Jost nie mógł pojąć, dlaczego ludzie uważali, że to piękne miasto. Ulice były brudne i czarne jak węgiel, którym palono w zimie. Poza tym powietrze śmierdziało smołą. Czarne sterty śniegu piętrzyły się na brzegach chodników i zawężyły przejście. Sadza przyczerniała fasady. Nawet dopiero co odrestaurowane i pomalowane w tonacji żółci lub ochry budynki upstrzone były szarymi zaciekami po deszczu.

A ludzie? Pochylali głowy i wciskali je w podkurczone ramiona. Jakby tutaj nikt nikomu nie chciał spojrzeć w twarz. Domy też sprawiały wrażenie pozamykanych, jakby mieszkańcy się w nich zabarykadowali.

Czerń jego odzieży była dobrym kolorem ochronnym. Płaszcz okazał się jednak za cienki, nie nadawał się do tych temperatur, tylko do Frankfurtu, gdzie Jost wszędzie poruszał się samochodem.

Na lotnisku załatwił rezerwację w hotelu Cracovia, socjalistycznym klocku w stylu lat sześćdziesiątych, którego personelu po epoce socjalistycznej nie wymieniono. Pani w recepcji uprzejmie go przywitała. Gdy zapytał o drogę na Wawel, okazała życzliwość w tak nachalny sposób, że obawiał się, iż jej głos nigdy nie zniknie z jego uszu, podobnie jak te wszystkie inne głosy, które od paru dni pełzały w jego głowie i bezwstydnie o nim plotkowały.

Upłynęło około dwudziestu minut, zanim wreszcie znalazł się na trakcie prowadzącym na wzgórze. Z lewej strony wznosił się czerwony ceglany mur, co kompleksowi zamkowemu nadało wygląd twierdzy.

Gdy przechodził przez pierwszą bramę, zobaczył na tablicy nazwisko Hansa Franka.

Po plecach przebiegł mu dreszcz. Historia przybierała rzeczywisty wymiar. To tędy maszerował generalny gubernator, to tędy jego żona w białym futrze jako „królowa Polski” była wwożona na górę, gdy wracała z zakupów. Tutaj pełnili wartę niemieccy żołnierze.

Dotarł do zamkowego dziedzińca, który z lewej okalały zabudowania kościelne, z prawej zaś niedysiejszy szpital. Baszta, na której powstało zdjęcie Hansa Franka z Oliverem Winklerem musiała znajdować się na prawo po drugiej stronie. Przeciął plac. Grupa znudzonych i zmarzniętych uczniów podążała za nauczycielką w kierunku kościołów.

Przed nim rozciągała się panorama południowo-zachodniej części miasta i Wisły, która szerokim łukiem oplatała krakowskie śródmieście.

Czy Hans Frank i Oliver Winkler stali tu, by snuć plany na przyszłość?

O czym rozmawiali?

Jakie tematy poruszają zwykle mężczyźni? Sytuacja polityczna, wojna. Najlepsze restauracje w mieście i kobiety!

Co to musiało być za uczucie – wiedzieć, że u twych stóp leży całe miasto? Jost miał nagłe wyobrażenie tego, jakie poczucie daje władza. Prawdziwa władza, nie śmiesznie pobieżna ekscytacja, którą potrafił wzbudzać jako dziennikarz.

Rozglądał się za odpowiednim miejscem, z którego nada relację. Z ekipą telewizyjną umówił się około czwartej po południu. Chciał mieć w swoim materiale zachód słońca jako symbol zmierzchu rodziny.

Ponownie odwrócił się w stronę dziedzińca i ruszył do przybudówki, w której znajdował się sklep z pamiątkami. Jost postanowił kupić przewodnik po mieście. Może znajdzie tam informacje

o przebudowach Wawelu, jakie przeprowadził rzeźnik Polski.

Chciał akurat wejść do sklepiku, gdy na środku placu ujrzał kobietę idącą w jego stronę. Miała na sobie dzinsy, czarne kozaki i zimowy płaszcz w brązowo-zieloną kratę, który kończył się tuż nad kolanami. Był rozpięty. Zielona opaska na czole stanowiła kiepskie zabezpieczenie przed zimnem. Kobieta nie zwracała uwagi ani na kościół, ani na zamek, tylko zdążyła ku balustradzie, od której Jost dopiero co odszedł.

Wlepił w nią wzrok, ale ona go ignorowała. Szczęście to przypadek do kwadratu. Nie sądził, że tak szybko napotka Denise Winkler. Wejście na zamkowe wzgórze było właściwą decyzją, bo tutaj rozpoczynała się historia, którą chciał opowiedzieć porywacz. Instynkt nadal go nie zawodził. Denise Winkler wpadła na ten sam pomysł.

W stronę balustrady kierowała się grupa turystów prowadzona przez młodą kobietę w jasno-brązowym futrze i z chorągiewką w rękę. Wmieszał się w tłum. Grupa zatrzymała się nieopodal Denise Winkler, a przewodniczka rozpoczęła wykład po angielsku z akcentem działającym na Josta tak erotycznie, że zapomniał o zimnie. Uśmiechnął się do przewodniczki, uklonił się i zachował tak, jakby chciał pocałować ją w rękę. Odpowiedziała uśmiechem. Podniósł do góry telefon komórkowy, udając, że chce sfotografować grupę, tymczasem w rzeczywistości wziął na celownik Denise.

Wykonawszy serię zdjęć, stanął tuż obok niej, by możliwie dyskretnie się jej przyjrzeć. Chciał się zorientować, czy cierpiała.

Miała twarz jak z kamienia i zdawała się nie rejestrować niczego, co działo się wokół.

Chętnie opowiedziałby jej, że poświęca cały swój majątek, by zdobyć dowód życia jej syna. To wszystko wydało mu się tak absurdalne, że zachciało mu się śmiać.

Kiedy odwróciła głowę w bok, by popatrzeć na miasto z jego strony, chciał znowu przycisnąć klawisz aparatu fotograficznego w telefonie. I wtedy nagle zauważył, że ręka mu drży.

Komórka wibrowała. Gdy wybierał zielony przycisk, czuł silne bicie serca.

– Jost.

– Gdzie pan jest? – zapytał głos, którego śmiałość stała się mu już znajoma.

– W Krakowie.

– Za godzinę, na moście Piłsudskiego.

Jost nie miał szansy odpowiedzieć. Rozmówca się rozłączył.

O mało co nie wybuchnął gromkim śmiechem. Dostanie potwierdzenie, że chłopiec żyje. Idealny moment. Relacja z wzgórza zamkowego będzie hitem. Do tego zdjęcia Denise Winkler. Naraz zrobiło mu się bardzo ciepło, jakby miał gorączkę. Był szalony, ale od dawna nie czuł takiego podniecenia.

Wyczerpana i kompletnie załamana Denise Winkler nie była w stanie zdecydować, czy powinna udać się pod adresy, które miała w kieszeni. Po wizycie w komisariacie wyobrażenie sobie kolejnych spotkań z ludźmi, którzy reagują na jej sprawę kompletnym niezrozumieniem, graniczyło z niemożliwością. Jak wytłumaczyć komuś własne nieszczęście? Czy można zadzwonić do cudzych drzwi i powiedzieć:

– Mój syn został uprowadzony. Proszę mi pomóc.

Każdy odeśle ją na policję, z którą właśnie rozmawiała.

Powoli przemierzała schody na tyłach zamku, schodząc do miasta. Od czasu do czasu napotykała spojrzenia ludzi, zdumionych, że przy takim mrozie nosi rozpięty płaszcz. Ona jednak nie marzła.

Spróbowała rozeznąć się w planie miasta. Stąd było blisko na Kazimierz. Odruchowo skierowała się w prawo.

Każe sporządzić pełną ekspertyzę na temat przyczyn pożaru. Oliver powinien zapłacić za to, że w imieniu firmy oszukał towarzystwo ubezpieczeniowe. Raz na zawsze trzeba skończyć z tym, że nazwisko Winkler musi płacić za swoje ambicje. Gdy odnajdzie Frederika, z powrotem przejmie stery w przedsiębiorstwie. Była pewna, że może liczyć na ojca. Tak dużo było do zrobienia, także tutaj, w tym mieście. Przywróci porządek w firmie.

Na myśl o tym, że Oliver mógł być tym, kto sprowokował te wszystkie wydarzenia, znowu wezbrała w niej wściekłość. Przerazała ją gwałtowność, z jaką wypływały na powierzchnię agresja i rozgoryczenie. Nigdy nie przypuszczała, że była zdolna do takiej nienawiści.

Spacer miał dobroczynne działanie. Wiatr, który się nasilał, usypiał uczucie nienawiści i łagodził ból. Ruiny centrum handlowego dojrzała już z daleka. Kompleks budynków stał opuszczony. Jedne ogromne rumowisko. Denise miała wrażenie, że jeszcze czuje dym, widzi deszcz sypiących się iskier, potężne płomienie, które całą dzielnicę zatopiły w gorącej czerwieni. Szyby przedniej fasady kompletnie rozprysnęły się w żarze ognia. Pozostały tylko czarne ramy. Usiłowano zakryć je prowizorycznymi dużymi plandekami, ale śnieg ostatnich miesięcy osadził się tu i ówdzie, rozrywając płachty swoim ciężarem. Nikt się tym nie przejmował. Reszta budynków była czarna od dymu. Dach częściowo się zawalił. Wtedy się nad tym nie zastanawiała, ale teraz zauważyła, że to potężne centrum handlowe nie pasowało do tej dzielnicy. Spychało małe kamieniczki na bok, połykało je, przytłaczało monstrualnością.

Odezwiał się dzwonek komórki. Wyjęła telefon z kieszeni i rzuciła zniecierpliwione spojrzenie na wyświetlacz. Nie знаła tego numeru. Czyżby to wreszcie on? Gdy naciskała klawisz odbioru, ledwie panowała nad drżeniem ręki.

– Tak! – krzyknęła zbyt głośno, aż jakaś babcia spacerująca z wnuczkiem w wózku popatrzyła na nią z dezaprobatą. – Halo! – zawołała ponownie.

– Kadow – odezwiał się głos w słuchawce.

„Kadow?”

– Kto?

– Marek Kadow.

– Ach tak.

– Gdzie pani jest?

- Przy galerii na Kazimierzu.
- Proszę przyjść do biblioteki.
- Gdzie?
- Do biblioteki uniwersyteckiej. Biblioteka Jagiellońska. Niech pani wejdzie od ulicy Olean-dry.

- Dlaczego?
- Czekam tam na panią. Coś znalazłem.

Rozejrzała się. Oprócz niej na ulicy nie było nikogo. Chociaż nie, tam, dwieście metrów za nią szedł ten korpulentny facet, który gapił się na nią na Wawelu. Czy on ją śledził? Kroczył powoli, zwlekał, ale raz po raz patrzył w jej stronę i podnosił komórkę, by robić zdjęcia. Wydał się jej znajomy. Już go gdzieś widziała. Ale jej myśli były jak sparaliżowane. Poruszały się tylko w jednym kierunku.

- Jest tam pani jeszcze? – usłyszała pytanie Kadowa.

- Jak tam dojść?

- Gdzie pani teraz jest? Jak nazywa się ulica?

Denise podbiegła do najbliższej tabliczki z nazwą.

- Podgórska. Stoję na wprost galerii.

- Czy widzi pani most od strony Wawelu?

Denise popatrzyła w lewo i ujrzała most o ogromnej stalowej konstrukcji.

- Tak.

- To most Piłsudskiego. Wyślę tam po panią taksówkę. Przyjedzie za parę minut.

- Co takiego pan znalazł?

- Czekam na panią – odparł Kadow i zakończył rozmowę.

Denise zniecierpliwiona pobiegła w stronę mostu, zatrzymała się przy światłach i nerwowo wypatrywała taksówki.

Po drugiej stronie znów nadchodził z przeciwka ten mężczyzna, ukrywając twarz za planem miasta. Na jego czarnym płaszczu połyskiwał ciemnoszary jedwabny szal. Gdy podniósł głowę, popatrzyła mu prosto w twarz. Skąd ona go знаła?

Gotowa już była go zagadnąć, kiedy zza rogu wyjechała taksówka.

Miała kłopoty z otwarciem drzwi po stronie pasażera. Kierowca pomógł jej od środka. Opa-dła na fotel, który zapadł się pod jej ciężarem. Samochód przesiąknięty był zapachem tytonio-wego dymu i oleju napędowego. Zorientowała się, że nie wie dokładnie, dokąd ma jechać.

- Biblioteka – powiedziała do kierowcy. – Biblioteka Jagiellońska.

Kiwnął głową i dał gazu.

Szybko się obejrzała i zobaczyła jeszcze, jak mężczyzna unosi komórkę, by zrobić zdjęcie.

Denise straciła już nadzieję na znalezienie właściwego wejścia do biblioteki, gdy jakiś stu-dent, który mówił po angielsku, pokazał jej drogę prowadzącą wokół starego budynku do nowej części. Tam czekał na nią Kadow.

- Co pan znalazł? – zapytała.

- Coś, o czym sam jeszcze nie wiedziałem.

- To znaczy?

– Zwyczajny łut szczęścia. Po tym, co mi pani opowiedziała, przyjrzałem się starym planom Wawelu i Kazimierza. Biblioteka posiada duże zbiory specjalne.

- I co?

- Musimy wyrobić dla pani kartę do czytelnicy. Ma pani przy sobie paszport?

– Tak.

Gdy stali w długiej kolejce, która utworzyła się przy okienku, Denise myślała, że oszaleje. Paznokcie wbijały się jej we wnętrze dłoni.

– Dlaczego to tak długo trwa? – niecierpliwość wzbierała w niej, była niemalże nie do zniesienia.

– Tak już jest. Ale bez karty nic nie można zdziałać. Ta biblioteka jest lepiej strzeżona niż lotnisko. My Polacy chronimy naszą wiedzę, żeby nikt nam jej nie odebrał. Książki są dla nas świętością. Nie tak dawno zdarzyła się kradzież dzieła Johannesa Keplera, pierwsze wydanie z tysiąc sześćset czwartego roku, które wypłynęło potem na aukcji we Frankfurcie.

– To tylko książki – powiedziała Denise. – A ja szukam syna. Dlaczego po prostu nie powie pan, co chce mi pokazać?

– Bo nie mam pewności.

Dlaczego mu ufała? On też mógłby być porywaczem i właśnie z tego względu starać się jej pomóc. Na krótką chwilę ogarnął ją strach, ale zaraz potem poczuła ulgę. Jeżeli rzeczywiście tak było, tylko ją to cieszyło. Bo to zaprowadzi ją do syna.

Upływała minuta po minucie, a ogonek z ledwością posuwał się do przodu. Denise dotknęła broni w kieszeni. Pistolet dawał jej zaskakujące poczucie bezpieczeństwa, którego nie była w stanie wytłumaczyć. Na lotnisku we Frankfurcie nagle uświadomiła sobie, że przecież będą ją kontrolować od stóp do głów. Nie miałyby szans na zatrzymanie broni. Nie zastanawiając się długo, pojechała na dworzec i dowiedziała się o najbliższe połączenie kolejowe do Krakowa. Przetrwiała tę podróż tylko dlatego, że była nafaszerowana środkami uspokajającymi. Dudnienie pociągu docierało do niej jak przez mgłę. A kiedy czuła, że zniesienie doprowadza ją do szału, dotykała rewolweru. Zimny metal uspokajał.

– Hans Frank przeprowadził kilka przebudów na Wawelu – powiedział Kadow.

– Wiem.

– Miał jednak bardziej dalekosiężne plany.

– Co pan ma na myśli?

Przyszła ich kolej. Bibliotekarka rozmawiała z Kadowem, nie patrząc na niego. Najwyraźniej nie było łatwo przekonać ją do wystawienia karty dla Denise. Gdy wypełniała formularz i wpisywała numer swojego paszportu, ręka drżała jej tak bardzo, że długopis wypadł z dłoni. Kadow spokojnie go dla niej podniósł.

Droga do czytelni na trzecim piętrze prowadziła wąskimi schodami, których pilnował strażnik z zestawem słuchawkowym na głowie. Całość przypominała strefę zaostrożonych środków bezpieczeństwa i Denise zastanawiała się, przed czym nauka tak się tu chroni.

Na trzecim piętrze Kadow przycisnął klawisz przy wejściu. Bibliotekarka w środku skinęła głową i szklane drzwi otworzyły się z cichym bzyczeniem.

Przyłożył palec do ust:

– Musimy rozmawiać szeptem.

– Ale przecież jesteście tu zupełnie sami.

– Pilnujący są bardzo surowi. Tutaj znajdują się cenne manuskrypty.

Podążyła za nim do stołu pokrytego papierami.

– Proszę zobaczyć – powiedział.

Plan był kiepsko naszkicowany i stary, ponadrywany przy liniach złożenia i poplamiony na brzegach. Poza tym ledwie dało się odczytać napisy. Kadow włączył zieloną lampę stojącą na stole.

Denise nachyliła się i próbowała się zorientować.

– To Wawel? – zapytała, wskazując potężny kompleks budynków po prawej stronie, który

wznosił się nad rzeką.

Kadow kiwnął głową.

Denise wyjęła swój plan miasta, rozpostarła go i położyła obok.

– Kazimierz musi być więc tutaj, na południowym wschodzie. – Jej palec powędrował w kierunku dzielnicy po prawej stronie, na dole. – Wygląda jednak zupełnie inaczej.

– No właśnie – powiedział Kadow. – Na pani planie wszystkie ulice Kazimierza biegną ku Rynkowi, czyli wprost ku centrum. Mijają dzielnicę Stradom, widzi pani?

– Tak, ale na tej starej mapie kierują się promieniście na Wawel, jakby ktoś wytyczył je za pomocą cyrkla. A Stradom zniknął. Poza tym nazwy ulic są niemieckie.

– Dokładnie – odparł Kadow. – Ten plan pochodzi z czterdziestego pierwszego. Powstał więc w okresie okupacji niemieckiej.

– Co to ma oznaczać?

– Co? Ano to, że Hans Frank zamierzał wyburzyć Kazimierz, żeby potem wybudować go na nowo, według własnych planów. Kazimierz, dawna dzielnica żydowska, miała stać się niemiecka.

– Ale co to ma wspólnego ze mną i z uprowadzeniem mojego syna?

Kadow wskazał na prawy dolny róg starej mapy:

– Poznaję pani?

Denise poznała natychmiast. Dwie litery O i W były ze sobą splecione. Serce zaczęło jej mocniej bić. Tylko jedna myśl. Babcia: nieprzystępna, nieosiągalna, niepojęta. Dziadek: którego trzymała za jedyną rękę, gdy siedziała u niego na kolanach, który przytulał ją, kupował jej prezenty. Który mówił jej, że ona sama jest prezentem. Krzyk babci, że jest za duża, żeby pchać się dziadkowi na kolana. Natychmiast więc się z nich zsuwała i uciekała.

– Tymi inicjałami mój dziadek sygnował swoje projekty. – Denise z trudem przyszło wypowiedzenie tych słów.

– Nie byłem pewien... – zaczął Kadow.

– Jak pan to znalazł?

– To nie było trudne – oznajmił cicho. – Prosto z hotelu przyjechałem tutaj, by poszukać w archiwum nazwiska pani dziadka. W ten sposób trafiłem na to. Raz po raz pojawiały się pogłoski, że Kazimierz ma zostać wyburzony. Po przesiedleniu ludności żydowskiej do getta dzielnica w znacznym stopniu opustoszała i była zamieszkiwana tylko przez ludzi, którzy nie mieli pieniędzy. Gdy Hans Frank stał tu na wzgórzu wawelskim, widok tej części miasta był mu solą w oku.

Skazał na obliczu jego Krakowa. Chciał się tej dzielnicy pozbyć. To chyba zrozumiałe, prawda?

– Nie do wiary – głos jej drżał. Uczucie, że została oszukana, było nie do zniesienia.

– Planów tych nigdy nie zrealizowano – powiedział Kadow, jakby chciał ją tym pocieszyć.

– Ale to mój dziadek je stworzył. Pracował dla Hansa Franka. Musiał wiedzieć, z kim ma do czynienia.

– Znalazłem coś jeszcze – rzekł Kadow. Wydobył spod planu książkę. – Czy to jest zdjęcie, o którym pani mi mówiła?

Skinęła głową. Hans Frank i jej dziadek na Wawelu.

– Dokładnie w tym kierunku, w którym wskazuje Frank, znajduje się Kazimierz – objaśniał Kadow. – I proszę posłuchać. Tutaj jest cytat z wypowiedzi Franka: „Miasto Kraków musi stać się najbardziej odżydowanym miastem Generalnej Guberni. Tylko tak możliwe będzie zbudowanie czystych niemieckich dzielnic, w których będzie można oddychać niemieckim powietrzem”.

Na chwilę zapadło milczenie.

Czy była zszokowana? Wsłuchiwała się w siebie. Nie czuła nic. Nie miała potrzeby, by usiąść. Serce biło w normalnym rytmie. Nie poruszyło jej to. Wręcz przeciwnie.

– Teraz wiem – powiedziała – czego on ode mnie chce. Rozumiem. Zmusza mnie do poznania prawdziwej historii mojej rodziny. Zrobię, czego się domaga. Wszystko, co wiem, opowiem w mediach. W Niemczech i w Polsce. – Poczucie ulgi nie trwało jednak długo. – Ale czy on zabił moją babcię i porwał Frederika tylko dlatego, że mój dziadek tworzył projekty dla Hansa Franka? Plany, które nawet nie doczekały się realizacji?

Za nimi otworzyły się drzwi. Do sali weszła starsza kobieta o wytapirowanych włosach w kolorze mahoni. Gdy szła, jej buty klekotały po drewnianym parkiecie. Miała na sobie granatowy kostium i białą bluzkę. Zatrzymała się o dwa stoły dalej, gdzie czekała na nią sterta książek, i skinęła głową pod adresem Kadowa. Zanim usiadła, wygładziła spódnice.

– Chodźmy. – Kadow dotknął ramienia Denise. Podążyła za nim w kierunku wyjścia.

Na dole nadal stała kolejka studentów oczekujących na odbiór książek. Przepchnęli się przez tłumek.

– A co z tą Sophią Fuchs? – zapytała głośno Denise. – Jak jej szukać?

– Sophia... jak ona się dokładnie nazywała?

– Sophia Fuchs. W książce telefonicznej nie znalazłam nikogo o tym nazwisku.

– Fuchs to nie jest polskie nazwisko – oznajmił Kadow. – Może nazywa się Lisowska. To polski odpowiednik niemieckiego Fuchs* [*Dosłowne tłumaczenie słowa *Fuchs* to „lis”; Lisowska to oczywiście zaledwie jedna z możliwych interpretacji.]. A Sophia to Zofia. Niemcy często tłumaczyli polskie nazwiska.

– Twierdzi pan więc, że ona nazywała się Zofia...?

– Lisowska.

– W takim razie muszę poszukać tego nazwiska. – Denise poczuła przypływ nowej nadziei. – Czy możemy wykonać kopie tego planu miasta i fotografii?

– Zobaczę, co da się zrobić – powiedział Kadow. – Na dole jest kafejka. Może się tam pani napić kawy i poczekać na mnie. Znam tu kogoś, kto mi pomoże.

Zeszli razem na dół. Denise usiadła z kawą przy jedynym wolnym stole. Nadal była oszołomiona. Nie, nie oszołomiona. Fakty przecież mówiły za siebie. Jej dziadkowie byli nazistami. Koniec, kropka. Porywacz doprowadził ją do zapoznania się z tym faktem. Ale nie przybliżyło jej to do Frederika. Może nadszedł czas, żeby zadzwonić do Miriam? Sama temu nie poddała.

A potem znowu myśl: „To nie wszystko”. Jej syn nie mógł zostać uprowadzony tylko z powodu kilku projektów. Nie. Musiało istnieć jeszcze coś. Jakaś o wiele większa zbrodnia. Jednocześnie uświadomiła sobie, jak bardzo słabła wartość jednego przestępstwa, gdy wydarzało się inne. W jej oczach wręcz niewinne wydawało się wypędzenie ludzi z domów, aby wyburzyć całą dzielnicę i wybudować miasto od nowa. Czymże to było w porównaniu z porwaniem dziecka?

– Chodźmy. – Poczowała na ramieniu czyjąś rękę. Odwróciła się przestraszona. Obok stał Kadow.

– Ma pan te plany?

– Później – powiedział. – Wpadłem na pewien pomysł.

– Jaki?

– Proszę pójść ze mną.

Zerwała się z krzesła, by podążyć za nim do hallu. Podeszedł do tablicy z prawej strony i zatrzymał się przed nią. W marmurze wryto liczne nazwiska z datami urodzin i śmierci.

– Wiedziałem. – Dłoń Kadowa wskazała nazwisko pośrodku tablicy. – Wiedziałem, że już kiedyś widziałem to nazwisko. Henryk Lisowski, tysiąc dziewięćset jeden-tysiąc dziewięćset czterdzieści dwa. Przed wojną pracował dla uniwersytetu, w Muzeum Czartoryskich.

– Ale on niekoniecznie musi mieć coś wspólnego z Zofią Lisowską – powiedziała Denise, chociaż intuicja mówiła jej zupełnie co innego. Pomyślała o portretach Chopina, z którymi dora-

stała.

– Wróćmy do czytelnicy. Tam mają leksykon biograficzny Krakowa. Może coś znajdziemy.

Denise podążyła za Markiem Kadowem. Przerastała ją, że traktował historię z taką oczywistością. Zupełnie jakby wojna stanowiła dla niego wciąż obecną część rzeczywistości. Była historią ludzi, a nie dat czy bitew, jak ją uczono. Wszystkie powiązania, które nastęrczały jej tyłu trudności, zdawały się dla niego sensowne. Wręcz logiczne. Jakby zwykł rozumować tymi torami.

Tłumaczony przez Kadowa wpis w leksykonie był obszerny. Według notki Henryk Lisowski pochodził ze Lwowa, który przed ponad sześćdziesięcioma laty należał do Polski, a pod koniec wojny został wcielony do Związku Radzieckiego. Lisowski odpowiadał za zbiory dzieł sztuki w Pałacu Czartoryskich. Szóstego listopada 1939 roku został wraz ze 189 pracownikami uniwersytetu aresztowany i wywieziony do Buchenwaldu. W marcu 1941 roku powrócił i protestował przeciw wywożeniu polskich dzieł sztuki pod rządami Hansa Franka. W listopadzie 1941 roku został zastrzelony przed gmachem muzeum. Na środku ulicy.

Już nie słuchała, co mówił Kadow, tylko wyjęła telefon komórkowy i zaczęła w portfelu szukać numeru do Mateckiego.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim wreszcie ktoś odebrał. Nieznajomy głos powiedział:

– Halo.

– Matecki?

– Nie.

– Gdzie on jest?

Mężczyzna odpowiedział coś po polsku. Denise oddała Kadowowi telefon.

– Niech pan zapyta, gdzie jest Matecki.

Kadow długo rozmawiał. W końcu zwrócił Denise komórkę.

– Nie ma go w biurze.

– A kiedy będzie?

Kadow przetłumaczył pytanie.

– Nikt nie wie. Chyba wyszedł wcześniej do domu. O ile zrozumiąłem, ma chorą matkę.

Denise rzuciła okiem na zegarek. Była pewna, że teraz zdoła przekonać policjanta, że Frederik na pewno przebywa w Krakowie.

„Duchy”, pomyślała. „Co ja mam zrobić z tymi wszystkimi duchami przeszłości?”

Obrazy w domu babci, z których zawsze była dumna: kłamstwo.

Wspaniała przeszłość rodziny: kłamstwo.

Powojenny sukces: kłamstwo.

Estyma: kłamstwo.

Jakże szybko człowiek przyzwyczaja się, że własne życie się wali. Nie, tego nie powinno się nazywać przyzwyczajeniem. To było dostrojeniem się do losu i Denise miała wrażenie, że zawsze to czuła. Uprawianie maratonu stanowiło próbę ucieczki.

– Przejdźmy się trochę – powiedziała do Kadowa. – Gdzieś, gdzie nie będę już musiała znośić tego miasta.

Szli wzdłuż Wisły. Tymczasem zapadł zmierzch i po drodze napotykali niewielu ludzi, poważnie spacerowiczów z psami.

Mróz porobił wyrwy w asfalcie, w których tworzyły się kałuże i gromadziły resztki starych jesiennych liści. Wyglądały jak zamrożone na drodze kawałki kry. Nie rozmawiali. Denise wlepiła wzrok w rzekę, żeby nie musieć patrzeć na miasto.

– Dlaczego pan mi pomaga? – spytała w końcu. – Przecież nie ma pan żadnego powodu.

– Czy zawsze potrzebny jest powód? – odparł Kadow. – My Polacy żyjemy z dnia na dzień. Myślimy najdalej na miesiąc do przodu. Dopóki mamy pieniądze, wydajemy je, bo pojutrze może ich nie być. Jak komuś pomagamy, nie pytamy dlaczego.

Szli dalej obok siebie, nie rozmawiając.

Gdy usłyszała syrenę, znów przypomniał jej się pożar. Dwieście metrów od nich stała nad brzegiem karetka. Widać było dużo policjantów.

Mogli podejść na dwadzieścia metrów, potem zatrzymał ich policjant.

Denise ogarnęło niewytłumaczalne zdenerwowanie. Nagle poczuła napięcie. Nie czuła już dłoni ani stóp. Była cała przemarznięta.

– Co się stało? – zapytała, gdy Kadow do niej wrócił.

– Wyciągnęli kogoś z wody.

Przez krótką chwilę Denise była pewna, że to Frederik.

– Kogo?

– Jakiegoś mężczyznę. Może był pijany. Przy tych temperaturach nikt nie ma szans na przeżycie w wodzie.

– To straszne – odrzekła Denise. – Wracajmy.

– Chodźmy – powiedział Kadow. – Odprowadzę panią do hotelu. Jest pani przemarznięta i zmęczona. W ten sposób nie pomoże pani synowi.

W hotelu jeszcze raz przeanalizowała w pamięci wydarzenia. Wszystko zaczęło się od pożaru w centrum handlowym. Czy to był pierwszy akt zemsty człowieka, który chciał zadrzeć jej rodzinę? Czy ten pożar stanowił tylko symbol zniszczenia twierdzy kłamstw, którą wokół siebie zbudowała? A co sobie pomyślał, gdy się dowiedział, że Oliver Winkler kontynuował te kłamstwa? Żeby zarobić pieniądze.

Sięgnęła po telefon.

– Denise, do cholery! Gdzie jesteś? Co ty sobie...

– Czy dzwonił ponownie? – przerwała Oliverowi.

– Nie. Chcę, żebyś natychmiast wróciła.

– Nigdy już nie wrócę.

– Co to, kurwa, ma znaczyć? Całkiem ci już odbiło?

– Wiem, że zapłaciłeś, by zatuszować podpalenie. To twoja wina! – krzyknęła. – To ty jesteś winny. Gdybyś pozwolił policji szukać sprawcy, Frederika nigdy by nie uprowadzono, a moja babcia jeszcze by żyła. Sprzedałeś nas. Nienawidzę cię. Wynocha z mojego życia. Złożę na ciebie doniesienie i nigdy już nie zobaczysz Frederika. Nigdy.

Gdy się rozłączyła, dygotała na całym ciele. Przynajmniej jedną sprawę udało jej się doprowadzić do końca.

Ponownie sięgnęła po telefon. Ani ojciec, ani Miriam nie odbierali.

To jednak, co miała do powiedzenia, nie nadawało się na automatyczne sekretarki.

– Nie – głos Carla Winklera jeszcze nigdy nie brzmiał tak stanowczo. – Nie możecie po prostu przyjść i odebrać mi rodziców.

Iluzja jego życia właśnie legła w gruzach. Nie tylko iluzja. Spod nóg Carla Winklera usuwał się grunt, podstawa jego egzystencji. Znalazł się w przepastnej próżni.

– Uspokój się. – Zdenerwowana Josefa Hirschbach siedziała obok Carla. Próbowała go pocieszać, bezustannie głaszcząc po ramieniu.

– Jak mam się uspokoić? Nie mówimy o byle wypadku samochodowym. To nawet nie kataklizm. Bo i jedno, i drugie można by nazwać zrzędzeniem losu. Wydarzeniem, z którym bym się pogodził. Ale pani twierdzi... – wymierzył palec w Miriam – że całe moje życie to jedno wielkie oszustwo.

Miriam jeszcze nigdy nie słyszała, żeby ojciec Denise wypowiedział tyle słów naraz. Zerwał się na równe nogi i przemierzał pokój tam i z powrotem.

– Czy potrafi pani sobie w ogóle wyobrazić, jak ja się czuję? Za sobą widzę tylko czarną dziurę. Mój świat zniknął. Pomiędzy wczoraj a jutrem nie istnieje żaden związek. Bo dzień dzisiejszy zamarł, rozumie pani? Mówi pani, że się ludziłem, że nic nie było takie, jak myślałem. Wszystko mi się tylko wydawało. Rodzina, sukces, praca, relacje z innymi, uczucia. To wszystko ma być oszustwem. Jak ja mam dalej żyć?

– Pańska reakcja jest zupełnie normalna – próbowała uspokoić go Hanna Roosen.

Miriam dyskretnie rozejrzała się, czy nie widać gdzieś butelki alkoholu. Wypił coś czy też wiadomość o tym, że własni rodzice nie byli tymi, za których się ich uważało, wywołała taką rozpacz?

Carl Winkler znajdował się w pomieszczeniu pełnym regałów z książkami. Pomyślała, że całymi latami chował się za nimi, wręcz ukrywał w tej książkowej jaskini, duchowo się w niej zabarykadował. Ani jedna ściana nie była wolna od książek. Nikt nie jest w stanie przeczytać aż tyle w ciągu życia.

– Pańska matka zapłaciła tej pielęgniarce za milczenie dużo pieniędzy – oznajmiła.

– Była wojna. Trwały naloty na Frankfurt. Droga, którą jechała moja matka, gdy zaczęły się bóle, była bombardowana. Czy pani sądziła, że nic nie wiedziałem o tych pieniądzach? Oczywiście, wiedziałem. Moja matka poroniła wiele razy. Pragnęła dziecka. Była wdzięczna Karli Werner za pomoc. Inaczej by tego porodu nie przeżyła. Ja bym nie przeżył.

– Tego panu naopowiadała matka? – Miriam nie umiała usunąć nuty ironii ze swojego głosu.

Hanna Roosen nie dała się wyprowadzić z równowagi. Wstała i położyła rękę na ramieniu Carla.

– Proszę usiąść.

Poddał się i zajął miejsce w jednym ze skórzanych foteli.

– Jeżeli nie wierzy pan pani Singer, powinien pan porozmawiać z panią Werner – oznajmiła.

– Każdy przecież mówi... – głos uwiązł mu w gardle. – Każdy przecież mówi, że jestem z wyglądu podobny do ojca.

– I to prawda – podkreśliła gospościa, która powoli zaczynała działać Miriam na nerwy.

– Wie pan przecież, jak to jest – powiedziała Hanna. – Podobieństwo rodzinne konstatuje się zawsze szybko. Fakty są jednak takie, że nie wiemy, kto jest pańskim ojcem.

– Ale ja to wiem. – Carl Winkler zerwał się z miejsca. – Człowiek, który zabił moją matkę i porwał Frederika, chce się zemścić. Wymyślił sobie to wszystko tylko dlatego, że chce nas zniszczyć.

– Dlaczego w takim razie pańska matka chciała zabrać do grobu ten akt urodzenia? – zapytała Miriam. – Jaki to by miało sens?

– A widzi pani sens w tym, że mnie okłamywała? Przez sześćdziesiąt lat? Nikt nie jest w stanie tak długo kłamać.

– Proszę, niech pan usiądzie – odezwała się Hanna. – Ona pozostanie pana matką. Jeżeli wasze relacje były zdrowe, nikt nie zdoła ich zniszczyć. Nikt nie może odebrać panu tych lat. Rodzice to o wiele bardziej więź uczuciowa niż biologiczny rodowód.

Hanna chciała go tymi słowami uspokoić, ale osiągnęła przeciwny efekt. Carl Winkler nie mógł się już opanować. Łzy płynęły mu po twarzy. Pani Hirschbach też się rozplakała.

Miriam i Hanna siedziały, czekając. Po co tam poszła? Skąd ten pęd do załatwiania wszystkiego osobiście? Do przejmowania odpowiedzialności za wszystko? Zateęskniła do akt. Papiery nie przelewały łez, a dane nie upierały się, że są zaprzeczeniem rzeczywistości. Im było wszystko jedno, kto był czyim ojcem. Drukarka produkowała rzeczywistość bez uczuć. Czarno na białym.

– Upora się pan z tym – powiedziała w końcu Hanna Roosen. – Proszę dać sobie trochę czasu, tyle, ile pan potrzebuje. Ale negowanie prawdy nie ma sensu.

– Nie mogę jej już zapytać. – Carl Winkler wycierał okulary rękawem marynarki. – Nigdy nie dowiem się prawdy. Zawsze będę miał poczucie, że byłem okłamywany. Przez całe życie.

– Pańskie życie nadal należy do pana – oznajmiła Hanna. – Pana córka jest pańską córką, a wnuk wnukiem.

– Dlaczego zgodziłem się na otwarcie grobu? To pani wina – zwrócił się do Miriam. – Obiecywała pani, że w ten sposób odnajdziemy Frederika, a tymczasem odebrała mi pani moją przeszłość.

Miriam milczała.

Hanna przysłała z pomocą:

– On chce panu dokuczyć.

– Kto? – krzyknął. – Kim on jest?

– Nie wiemy – powiedziała Miriam.

– Kim jest moja prawdziwa matka? Ta Sophia Fuchs, której nie znam, której nazwiska nigdy nie słyszałem?

– Tak zakładamy.

– Chciałaby pani żyć z takim poczuciem? Z taką niepewnością? Że przywłaszczyłem sobie coś, co mi się nie należy?

– Należy ci się. – Josefa znienacka przemówiła stanowczym tonem. – Firma należy do ciebie.

Miriam nagle przysłała do głowy pewna myśl.

– Pani o tym wiedziała. – Wiedziała pani, że Henrieta Winkler zabrała dziecko z obozu.

Carl Winkler wlepił oczy w gosposię.

Kiwnęła głową.

– Skąd?

– Usłyszałam, jak ojciec Carla o to pytał, gdy wrócił z niewoli.

– Z jakiej niewoli?

– Jego... – przełknęła ślinę. – Po wojnie Amerykanie go aresztowali. No, wiecie, denazyfikacja...

Miriam skinęła głową.

– I co dalej?

– Jeszcze tego samego wieczoru, kiedy byłam akurat w sieni, on ją zapytał: „Skąd to dziecko? Skąd je masz?”. Możecie sobie wyobrazić, jak się przeraziłam. Dlaczego miałby pytać o własne dziecko? Zatrzymałam się, a on mówił dalej: „To nie twój dzieciak. Przecież poroniłaś. Jak zwykle. One tak samo jak ja nie mają ochoty z tobą przebywać. Nie chcę żadnej obcej krwi pod moim dachem”.

Carl Winkler zatopił twarz w dłoniach.

Głos pani Hirschbach przerodził się teraz w szept:

– A ona krzyknęła: „Obca krew? To nie obca krew, tylko twoja własna. A może myślałeś, że nie zauważyłam, jak ją pożerałeś oczami, tę naszą brudną służącą? Jak noc w noc zakradałeś się do niej na poddasze? To twoje dziecko. Wychowam ci syna, mimo że nie jest moim dzieckiem. No i powiedz teraz, że chcesz mnie zostawić. Mogę w każdej chwili złożyć na ciebie doniesienie. Nie tylko o gwałcie”.

Gospodyni znów załżała się łzami.

– Zostałam z nimi przez wszystkie te lata. Nie mogłam przecież osamotnić Carla. Był takim wrażliwym dzieckiem...

Miriam pomyślała, że trafiła do złej bajki. Gdy to się skończy, będzie miała dwie pilne rzeczy do załatwienia. Kupić buty i pójść do teatru. Na jakąś nowoczesną sztukę, która nie przedstawia absurdalności życia w postaci odwiecznych konfliktów i rodzinnych niesnasek, przewijających się po scenie od czasów starożytności. Wyglądało na to, że nic się nie zmienia. Ludzkość toczyła się przez stulecia niczym lawina, która coraz bardziej narasta. Ludzie w końcu się pod nią uduszą.

Wyszedszy z domu Carla Winklera, Miriam postanowiła odwiedzić ojca. Tym razem nie kierowały nią wyrzuty sumienia, lecz poczucie niepewności. Musiała się przekonać, że jej ojciec był tym, za kogo go uważała. Że nie rozplynął się w powietrzu. Że miała, jak wszyscy zawsze twierdzili, jego oczy i jego charakter. Że jej przeszłość nie była kłamstwem.

Przyptyw sentymentalizmu okazał się na tyle silny, że zaraz po przyjeździe wzięła go za rękę.

– Zimno – stwierdził i wyglądał na zdziwionego.

– Tak, zimno. Bardzo zimno.

– Czy coś nie gra? – przyglądał się jej z niedowierzaniem.

Nic nie gra, ale to nie dotyczyło jego.

– Wszystko w najlepszym porządku – powiedziała. – Tyle że zmarłam. A twoje ręce są ciepłe.

Uśmiechnął się.

– Jadłaś coś?

– Nie.

W drzwiach pojawiła się już Halina z tacą.

– Głodna? – zapytała.

– Tak. – Miriam usiadła przy stole i nałożyła sobie makaronu. Nie pamiętała, kiedy ostatnio jadła coś konkretnego.

– Twoje włosy – powiedział nagle ojciec. – Co się stało z twoimi włosami?

Miriam odruchowo dotknęła głowy. Przez ostatnie godziny wypierała wspomnienie napadu. Teraz jednak jechała do domu. Jej mieszkanie stało się synonimem niebezpieczeństwa.

– Ach, to – starała się mówić spokojnie i niby mimochodem, ale jej głos zadrżał. – Byłam u fryzjera.

Wzrok Haliny spoczywał na niej kilka sekund. Ona też była osobą świadomą odpowiedzial-

ności. Najwyraźniej wyczuwała, że coś było nie tak. Dlatego Miriam złapała widelec i powiedziała głośno:

– Smacznego.

Kiedy Miriam przy lekko prószącym śniegu przejeżdżała przez most Pokoju i zbliżała się do bankowych wieżowców w centrum, zapragnęła tego, czego wszyscy frankfurczycy kiedyś sobie na tym moście życzyli: znaleźć się w Nowym Jorku, aby zniknąć w maszynerii wielkiej metropolii z ponad siedmioma milionami mieszkańców.

Na ławie oskarżonych siadywali przed nią nieudacznicy, macho, mięczaki, konformiści, egoiści spragnieni pieniędzy i władzy. Inni osobnicy, którymi kierowały impulsy czy popędy. Niezależnie od tego, co popychało ich do popełniania przestępstw, Miriam nigdy nie czuła się wobec nich słabsza. Zawsze szła na rozprawę z poczuciem, że wie, co dobre, a co złe. Teraz jednak miała do czynienia ze sprawcą, którego nie sposób było rozgryźć. Był niewidzialny, a mimo to pozostawiał wszędzie ślady. Zamordował Henrię Winkler, aby napiętnować ją przed całym światem. Po rozmowie z Carlem zrozumiała dlaczego. Śmierć nie wystarczała. Uprowadził Frederika. Coś jej w duchu mówiło, że chłopiec był fantem, swoistym zakładnikiem. A ceną nie były pieniądze, lecz prawda. Porywacz szantażował ich, by wymusić prawdę. Dziecko stanowiło gwarancję tego, że przeszłość ujrzy światło dzienne. Jeżeli Frederik by umarł, wraz z nim umarłaby także prawda.

Sięgnęła po album z fotografiami, który zabrała z szafy u ojca. Halina to zauważyła. Miriam miała wrażenie, że kradnie coś, do czego w gruncie rzeczy ma prawo.

Nad rzeką szalała śnieżycą.

Nie, właściwie nie śnieżycą. Płatki śniegu krążyły wokół siebie, tak jak ludzie krążyli w mieście.

Po sekundzie Nowy Jork odszedł w zapomnienie, myśli cofnęły się w czasie. Po rozstaniu z Thomasem powróciła do Frankfurtu, bo tęskniła za swojskością, za pewnością tego, co znane. Teraz nic już nie było pewne. Nawet wspomnienia. Choć jej przeszłość nie opierała się na kłamstwie, jak w wypadku Denise, nie została zbudowana na oszustwie, to jednak pamięć Miriam tworzyła fałszywą historię życia.

Prawda brzmiała tak: wezwała karetkę do Mike'a, bo chciała, żeby pomiędzy nim a Denise wreszcie nastąpił koniec i żeby przyjaciółka go porzuciła, dostrzegłszy jego słabości.

Przejeżdżając obok swojego domu, znów ujrzała za sobą reflektory samochodu. Jej ręce na kierownicy zaczęły drżeć. Poczowała panikę. Nagle wszystko powróciło. Jakby ktoś jednym szarpnięciem oderwał jej ciało od ziemi i wyrzucił je w powietrze. Nie bolało. Tylko to wrażenie, że zaraz uderzy o asfalt, że głowa walnie w mur, że jej całe ciało zostanie przytłoczone. Była zniewolona. Ktoś wysysał jej powietrze z płuc. Znajdowała się w próżni i nagle nie była w stanie oddychać.

Gwałtownie obróciła kierownicą. Opony zapisać, a auto na mokrej jezdni wpadło w poślizg. Nieomal straciła kontrolę, ale chrysler odzyskał przyczepność i ruszył dalej do przodu. Samochód za nią zatrąbił i szybko ją wyprzedził. Ciemnoszare BMW z monachijską rejestracją. Gdy ją mijał, zdążyła jeszcze dojrzeć siedzącą w nim parę.

Jechała dalej. Nie zdawała sobie sprawy, jak blisko mieszkał Henri. Zaledwie kilka ulic od niej. Nie chciała być sama. Tęskniła za bezpieczeństwem, którym emanował. W nocy mocno ją przytulał. Spał głęboko, nie wypuszczając jej z objęć. Twardość, którą jej przypisywano, konsekwencja wydała się teraz tylko przebraniem, które wkładała rankiem wraz z butami. Na obcasach mogła wzniesić się ponad innych.

Zaparkowała samochód tuż przy muzeum. Potem wyskoczyła z chryslera i przebiegła przez ulicę. A co jeżeli nie było go w domu?

Ledwie zdążyła nacisnąć dzwonek, gdy rozległo się brzęczenie otwieranego zamka. Wbiegła po schodach. Po drodze uświadomiła sobie, że był piątek i zaczynał się weekend.

Henri stał w drzwiach. Nie powiedział ani słowa, kiedy pospiesznie wpadła do mieszkania.

– Muszę do niej jechać – powiedziała Miriam. – Do Denise. Muszę jej pomóc. Tym razem nie mogę zostawić jej na lodzie. Polecę do Krakowa.

– To dobrze się składa, bo ja też się tam wybieram – odpowiedział. – Mam dwie dobre i jedną złą wiadomość.

– Dawaj.

– Odnaleźliśmy Magdę Urban, która знаła Sophie Fuchs. Obydwie pracowały jako robotnice przymusowe w domach przy tej samej ulicy.

– Gdzie mieszka?

– W Krakowie. Mam jej adres i telefon.

– Co jeszcze?

– Pamiętasz te polskie teksty z kasetki w grobie?

– Tak. Co z nimi?

– To ekspertyzy portretów Chopina.

– O które pytał Matecki?

– Tak. Według tych papierów obrazy pochodzą ze zbiorów Pałacu Czartoryskich w Krakowie. Od zakończenia wojny znajdują się na liście *Lost paintings* i wszystkie wyszły spod pędzla tego samego malarza, Ambrożego Mieroszewskiego. Powstały na początku XIX wieku.

– *Lost paintings*?

– Malowidła, które Niemcy wywieźli z Polski i innych okupowanych krajów do Niemiec. Hans Frank robił to w wielkim stylu. Tak jak chciałaś, przesłałem te teksty do Georgego.

– I co?

– Miałaś rację. To ta sama maszyna do pisania, na której napisano kartkę znaną w dłoni Henriety Winkler. George nie ma wątpliwości.

– Jak te obrazy trafiły do Winklerów?

– Może były prezentem – powiedział. – Podarunkiem rzeźnika Polski dla Winklerów.

– Za co?

Wzruszył ramionami.

Sprawy się komplikowały. Czy to wszystko się łączyło? Czy stanowiło jedyny motyw?

– Poinformowałaś o tym Mateckiego?

– Nie było go.

– Co jeszcze? – zapytała Miriam.

– Pod Wawelem wydobyto z Wisły ciało.

Zofia

Poniedziałek,

1 października 1945 roku,

Kraków

Na dworcu głównym wysiadam z pociągu jak kiedyś, gdy wracałam z wakacji, które spędza-
liśmy u dziadków we Lwowie. Gdy widzę, że dworzec jeszcze stoi, cisną mi się do oczu łzy
wzruszenia. Jestem w podróży od trzech dni i nie zmrużyłam oka ani na godzinę. Byłam zbyt
podekscytowana, za dużo ludzi siedziało w przedziale i zbyt wielu historii musiałam się nasłu-
chać. Do tego jeszcze radość i obawa, co zastanę w domu, i ta paląca tęsknota za tym, co pozos-
tawiam za sobą. W pociągu siedział taki jeden, co miał w głowie kulę, której nie dało się usunąć.
Ja też mam taką kulę – w sercu.

Boję się, dlatego z dworca nie idę wprost do domu, tylko Plantami w stronę ulicy Pijarskiej.
Droga złoci się wieczornym słońcem. Drzewa stoją, żwir chrzęści pod kozaczkami, które znalaz-
łam na stercie butów w obozie, trawa jest zielona, a gołębie siedzą na okiennych parapetach. Po
ulicy jeżdżą furmanki, na których siedzą starzy mężczyźni. Mój Kraków nie zmienił się, jakby
nigdy nie było wojny. Gdy stoję przed Muzeum Czartoryskich, wyobrażam sobie, że znów przy-
szłam po tatę jak kiedyś.

Odprowadziłam go. Szedł do muzeum, żeby zabrać maszynę do pisania, swoje papiery i
książki. Żołnierze nadeszli od strony Rynku Głównego. Nie było ich wielu. Kiedy tylko wkro-
czyli do pałacu, przeszył mnie dreszcz. Na ulicy nagle zrobiło się cicho. Ludzie, którzy przedtem
tamtędy przechodzili, nagle zniknęli. Rozpłynęli się w powietrzu. Stałam tam zupełnie sama.
Potem otworzyły się drzwi, a żołnierze wypędzili mojego ojca na ulicę. Za nimi szli mężczyźni,
którzy nieśli obrazy z muzeum. Tato spojrzął w moją stronę i pokazał ręką, żebym uciekała. Ale
ja nie mogłam.

Strzał nie był głośny. To tylko moment. Potem ojciec upadł na ziemię.

Pognałam do domu, płakałam tak, że aż się krztusiłam. Nie byłam w stanie mówić. Mama
złapała mnie za ramiona, potrząsała mną i pytała, gdzie jest tato. Nie potrafiłam odpowiedzieć.
Spoliczkowała mnie tak mocno, że poleciałam na drzwi. Dopiero wtedy krzyknęłam:

– Zastrzelili go! Nie żyje.

Pracując na lotnisku, podmrażałam sobie palce u nóg. Bolał. Ale czym jest ten ból wobec
strachu, który pozostanie we mnie na zawsze.

Grodzką idą z przeciwka ludzie z pakunkami, torbami i walizami. Ich twarze mają wyraz,
którego nie da się opisać. Wyglądają na zaszczutych. Jakby chcieli uciekać, a jednocześnie przy-
pominali sobie, że nie ma już powodu.

Ja też mimowolnie przyspieszam kroku i prawie nie dowierzam, że na Wawelu znowu powiewa polska flaga. Teraz nie wyobrażam sobie innej możliwości niż taka, że mama czeka na mnie z Leszkiem.

Kobiety w obozie zawsze powtarzały, że mam zapomnieć.

– Tylko tak zdołasz przeżyć.

Leszek chyba urósł? Mój tato był wysoki, mama też. Tylko ja chyba przestałam rosnąć.

Piekarnia pana Adamskiego. Pospuszczane rolety, okna zabite dyktą.

Ale przed naszą kamienicą, pod kasztanami, tak jak kiedyś bawią się dzieci. Dom naprzeciwko, skąd przynosiłam wodę, nadal stoi pusty. Właściciele wyemigrowali.

– Z całym dobytkiem – mawiała mama, zaraz potem dodając: – albo raczej z tym, co z niego zostało.

Brama stoi otworem, jak przed wojną. Zaraz wyjdzie mama i zawoła, że czas na kolację. Spoglądam w górę, na drugie piętro, gdzie okna dużego pokoju wychodzą na ulicę. Wiszą w nich nasze firanki. Od razu je rozpoznaję i wbiegam co sił po schodach. Odruchowo zwalniam, bo nie mogę znieść odgłosu własnego tupania. Odkąd zaczęłam bać się jego kroków, nauczyłam się skradać na palcach. Przez trzy miesiące co wieczór przychodził na poddasze. Aż któregoś dnia poszedł do firmy. Amerykanie byli już blisko. Nie liczył się z tym ostatnim nalotem. Gdy nie wrócił, pomyślałyśmy, że zginął. Płakałam z radości. Potem jednak dowiedziałyśmy się, że leżał w szpitalu i amputowano mu prawą rękę. I nic więcej. To była cała kara.

Na pierwszym piętrze słyszę dobiegający z mieszkania krzyk. Zupełnie jak kiedyś. Płacz dziecka.

Nie mogę tego znieść i pędzę dalej po schodach.

Staję przed drzwiami naszego mieszkania. Stare brązowe drzwi. Wciąż ten sam dzwonek. Gdy go dotykam, ręka mi drży. Mam dom.

Z mieszkania czuć bigos. A może to tylko moje pobożne życzenie. Jeżeli otworzy mi mama albo Leszek, będę w stanie zapomnieć. Na pewno zapomnę. Będzie tak, jakby nic się nie wydarzyło.

Dzwonię i czekając, przestępuję z nogi na nogę.

Dokumenty wyrzuciłam przez okno w pociągu. Ludzie mówili, że tak będzie lepiej. Poza tym człowiek wolny nie potrzebuje papierów.

Ktoś podchodzi do drzwi. Stąpa jak mężczyzna. Znowu kroki. Zatykam dłońmi uszy. Może mój dziadek tu jest? No pewnie, to musi być on.

Ale otwiera mi obcy mężczyzna. Ma na nogach kapcie mojego taty. Od razu je rozpoznaję. W przedpokoju też nic się nie zmieniło.

– Czego chcesz? – pyta polszczyzną, która brzmi dla mnie obco.

– Moja mama – zaczynam dukać. – To nasz dom, nasze mieszkanie. Gdzie ona jest? Nazywa się Danuta Lisowska.

– Nie ma – odpowiada, jak mawiał kiedyś pan Adamski, gdy chciałam kupić tort. – Nie ma.

Zszokowana stoję pod drzwiami. Nie wiem, co robić, aż przypominam sobie panią Lipską. Zbiegam na parter i walę w jej drzwi.

– To ja! – krzyczę. – Pani Lipska, to ja. Wróciłam z Niemiec.

Cisza, a potem słyszę jej ciężki oddech. Mija dobra chwila, zanim pojmuje, kim jestem. To rzeczywiście sędziwa pani Lipska. Gdy mówi, włosy zupełnie jak kiedyś jej drżą. Tyle że teraz jest niższa ode mnie.

Wciąga mnie do mieszkania.

– Zosia – mówi. – Zosia Lisowska.

– Gdzie moja mama? Gdzie Leszek?

Pani Lipska zaczyna płakać. Jej siwe loki drżą jeszcze bardziej niż zwykle.

– Wyjechali – szłocha. – Wyjechali. Tygodniami na ciebie czekali, a tu ani widu, ani słychu. Leszek był tak chory, ale ona mimo Ruskich pojechała z nim do twoich dziadków, do Lwowa. Od tamtej pory nie miałam od nich żadnych wieści.

Jeden dzień

Było krótko przed trzecią nad ranem, gdy Henri na granicy w Görlitz, polskim Zgorzelcu, przejął kierownicę, po tym jak przez ostatnie trzy godziny spał na fotelu pasażera bez lęklivego niepokoju, który zawsze dopadał Thomasa, gdy Miriam prowadziła jego BMW. Wszystko wskazywało na to, że komisarz Henri Liebler pokładał bezgraniczną ufność w jej umiejętnościach kierowania samochodem.

Byli w drodze od północy. Miriam ledwie miała czas, by spakować paszport, pieniądze i trochę ubrań.

Krajobraz, który mijali, emanował pustką i beznadzieją. Wsie, przez które przejeżdżali, sprawiały wrażenie opuszczonych. Ciemność przerywały tylko reflektory innych pojazdów, zwłaszcza dużych ciężarówek, które od Görlitz jechały całymi konwojami.

– Powinnaś się zdrzemnąć. – Henri kątem oka rzucił jej krótkie spojrzenie. Przejechał dłonią po nieogolonym zaroście, który pojawił się ostatnio na jego brodzie i który Miriam uważała za atrakcyjny.

– Nie mogę spać. Nie będę w stanie zasnąć, dopóki nie znajdziemy Denise. Musiała się przecież w Krakowie zatrzymać w jakimś hotelu.

– Znajdziemy ją.

– Tak jak Josta? – Miriam nie potrafiła wyciszyć sarkazmu w głosie.

Wczoraj o piątej po południu wydobyto z Wisły zwłoki z niemieckim paszportem wystawionym na nazwisko Udo Jost. Nic więcej nie wiedzieli. Komunikacja była trudna. Znajomość języka niemieckiego wśród polskich policjantów nie wykroczyła ponad poziom podstawowy. Na pytanie, czy nie można sprowadzić Mateckiego, Liebler otrzymał informację, że nie ma go w biurze.

Zamiast odpowiedzieć Miriam, Henri gwałtownie zjechał na lewy pas, by wyprzedzić ciężarówkę z rosyjską rejestracją. Przy szybkości stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę dieslowski silnik busa VW głośno zawył. Obserwowała Henriego, ale na jego twarzy nie było widać ani śladu napięcia. Powoli zaczynała się zastanawiać, co w ogóle jest go w stanie poruszyć. Był jak skała, nie tylko pod względem wagowym.

Śmierć Josta całkowicie wyprowadziła Miriam z równowagi. Nie wiedziała, czy chodziło jej przy tym o Josta, czy może o Denise i jej syna, o których troska spowodowała to uczucie paraliżu. O nerwowość przyprawiała ją też sama podróż i pytanie, co zastaną w Krakowie. Czy odnajdą Sophię Fuchs? Czy ta Magda rzeczywiście wiedziała coś na jej temat? Odmówiła udzielania jakichkolwiek odpowiedzi przez telefon albo udania się na policję.

Według aktu urodzin Sophia Fuchs w lutym 1945 roku miała zaledwie szesnaście lat.

Henrieta Winkler wychowała Carla. Czyż nie okazała się osobą wspaniałomyślną? Może Sophia cieszyła się, że ktoś zaopiekował się jej synem? Kto wie, co czuła, rodząc dziecko będące wynikiem gwałtu. To jednak nie umniejszało winy. Henrieta Winkler tolerowała fakt, że jej mąż napastował dziewczynę, że ją gwałcił. Czy Sophia szukała potem swojego syna? Czy pisała do Winklerów, groziła im? A Henrieta nie ustępowała? Ignorowała prośby i późniejsze pogrożki?

Miriam wyprostowała nogi i spróbowała się skoncentrować. Monotonne odgłosy autostrady działały usypiająco. Płaski krajobraz sprawiał wrażenie zimnego i odpychającego. Nie miał w sobie nic zachęcającego. Miriam poczuła się jak pociąg widmo, który o czwartej nad ranem pędzi

przez opustoszałe okolice, bez celu, a zarazem wytrwale. Drogowskazy, tablice, reklamy nic jej nie mówiły. Tylko dym, który tu i ówdzie unosił się z kominów, wskazywał, że mieszkali tu ludzie.

Od tygodnia nie zaznała chwili spokoju. Nieliczne godziny snu były raczej krótkimi utratami świadomości niż odpoczynkiem. A po napadzie... tę myśl odsunęła na bok i ponownie skoncentrowała się na tym, co ją czekało.

Cały czas wychodzili z założenia, że Sophia Fuchs jeszcze żyje, chociaż teraz musiała mieć siedemdziesiąt sześć lub siedemdziesiąt siedem lat. Matecki nie natrafił na jej ślad w Krakowie. Kogo spotkał Jost? Miriam była teraz pewna, że reporter prowadził własną grę, i nie potrafiła zrozumieć, czym się kierował.

Gdy Henri dowiedział się o śmierci Josta, pojechał do redakcji, by porozmawiać z Ramoną Neuberger i Toblerem. Obydwoje mieli wrażenie, że Jost był radosny, ba, wręcz ogarnięty euforią. Ramona Neuberger przypisywała to działaniu alkoholu. Tobler powiedział, że około godziny szesnastej Jost był umówiony z polskim kamerzystą, ale nie przyszedł na spotkanie. Dlaczego? Gdzie był przedtem?

Tyle już wiedzieli, a jednak wciąż nie mogli ogarnąć całości.

Mieli setki śladów, które do niczego się nie nadawały, nie prowadziły do sprawcy.

Porywacz nadal przetrzymywał dziecko, nie dostarczył jednak dowodów na to, że chłopiec żyje, ani też nie wysunął żądania okupu.

Jost był jedyną osobą, która miała kontakt z porywaczem i która z nim rozmawiała. Czy umówili się na spotkanie? Czy to dlatego Jost pojechał do Krakowa, czy może po to, żeby, jak powiedział Toblerowi, zobaczyć się z Denise? Według szefa redakcji chodziło o to, by towarzyszyć matce w rozpaczliwych poszukiwaniach syna. Pokazał Henriemu zdjęcia, na których widać było Denise stojącą na Wawelu. Fotografie te Jost przesłał Toblerowi około godziny trzynastej trzydzieści.

„Dzieci”, pomyślała Miriam. „Cały czas chodzi o dzieci”.

Jej myśli podchwyciły to słowo i przędły je dalej niczym długą nić. Czują, że ma w ręku jeden koniec. Musiała się go trzymać. Nie może zgubić tej myśli, która nagle rozwijała się w jej głowie. Tyle że ten obraz był na razie rozmyty. Usiłowała się na nim skupić, ale się nie udawało. Dzieci, to wszystko miało coś wspólnego z dziećmi...

Ktoś potrząsnął ją za ramię. Henri.

– Obudź się.

Otworzyła oczy.

– Co się dzieje?

– Jesteśmy na miejscu.

Wskazał na tablicę z nazwą miasta. „Kraków”.

Na wschodzie, zza wzgórza, które miało kształt sztucznego wulkanu, wychylało się słońce. Powoli, centymetr po centymetrze, sunęło do góry, aż wreszcie, na pozór, zatrzymało się za czarnym pasmem mgieł.

Była godzina siódma siedemnaście, a bus zbliżał się do długiego korka ciągnącego się ku śródmieściu.

– Taki sam poranny ruch jak we Frankfurcie – zauważyła Miriam.

– Witamy w Europie – odpowiedział Henri.

Kawa, którą poczęstowała ich polska policja, nie odpowiadała europejskim standardom. Składała się z proszku zalanego wrzątkiem. Picie jej bez wrażenia, że ma się między zębami pia-

sek, było sztuką. Kofeina działała jednak szybko. Miriam poczuła, jak wzrasta jej ciśnienie, a czas się kurczy.

– To Jarek Maj – oznajmił inspektor Halecki. Kierował krakowskim oddziałem kryminalnym i komunikował się tylko łamaną angielszczyzną oraz paroma niemieckimi zwrotami. – Mówi po niemiecku.

Maj miał najwyżej dwadzieścia cztery lata. Pomimo jego dobrej znajomości niemieckiego komunikacja przebiegała mozolnie. Trochę potrwało, zanim przetłumaczył wywody inspektora. W efekcie nie wiedzieli więcej niż wcześniej. Faktem było, że z Wisły wyłowiono Udo Josta. Miriam wystarczył pobieżny rzut oka na zdjęcie zwłok.

Polska policja wyszła z założenia, że w wodzie o temperaturze minus czterech stopni utopił się w ciągu zaledwie kilku minut. Był pod wpływem alkoholu i nie znaleziono żadnych śladów działania osób postronnych.

– Miał przy sobie pięćdziesiąt tysięcy euro – oznajmił Maj.

– Co? – Puls Miriam przyspieszył.

Inspektor kiwnął głową i powtórzył kwotę po angielsku.

– Fifty thousand euro.

– Po co tyle pieniędzy? – zastanawiała się zdziwiona Miriam. – Skąd je miał?

– Na zakupy się chyba nie wybierał – stwierdził Henri.

– Gdzie mieszkał? – zapytała Miriam.

– W hotelu Cracovia, gdzie po raz ostatni widziano go około godziny czternastej. Stamtąd wziął taksówkę, którą pojechał nad Wisłę.

– Czy tam ktoś na niego czekał?

Maj pokręcił głową:

– Taksówkarz mówi, że był sam.

– A w kieszeni miał pięćdziesiąt tysięcy euro. – Henri wstał. – Co on z tym chciał zrobić?

– Zamierzał spotkać się z porywaczem – odparła Miriam. – Nie ma innej możliwości.

– Ale dlaczego nadal miał przy sobie tyle pieniędzy? Dlaczego on mu ich nie odebrał?

– Może Jost rzeczywiście był tak pijany, że poślizgnął się i wpadł do wody.

– Ile miał promili we krwi?

– Niecały jeden – odpowiedział Maj.

– Co poza tym miał przy sobie?

– Portfel i paszport.

– A komórka?

– Nie znaleźliśmy.

– Dlaczego nikt już wcześniej nie zaczął tu szukać Denise Winkler? – zapytał Henri. – Matecki obiecał, że się tym zajmie.

Zarówno Maj, jak i inspektor milczeli.

– O co chodzi? – Miriam wyczuła, że coś nie gra.

– Matecki nie wydał żadnego ogłoszenia o poszukiwaniach – odparł w końcu Maj. – Nic nie wiedzieliśmy o porwaniu dziecka.

– Ale on cały czas był tak nastawiony na współpracę. Wciąż dzwonił i się dowiadywał – zaznaczył Henri.

Nagle w pomieszczeniu zapadła cisza.

– Gdzie jest Matecki? – zapytała w końcu Miriam.

– Wyszedł wczoraj około czternastej. Sprawy rodzinne.

– Gdzie mieszka?

– W Nowej Hucie.

– I rzeczywiście nic nie wiedzieliście o porwaniu? I że Denise Winkler przyjechała do Krakowa, by szukać syna?

– Nie.

– Jak nawiązałeś kontakt z Mateckim?

– Przez te obrazy.

– Obrazy?

– Tak, w dzień po uprowadzeniu Matecki zadzwonił.

– Czyli to on nawiązał kontakt – stwierdziła Miriam, podczas gdy zaczęło się w niej budzić ciche przeczucie.

– Tak, podał mi numer swojej komórki i potem ciągle dzwonił, by dowiadywać się o postępy w śledztwie.

Teraz wszystkim zapaliła się czerwona lampka. Matecki zatroszczył się o to, by kontakt przebiegał wyłącznie przez niego.

– Więc on wcale nie szukał Sophii Fuchs – odezwała się z rezygnacją Miriam.

– Who is Sophia Fuchs? – zapytał inspektor.

Gdy Maj przetłumaczył wyjaśnienia Henriego, inspektor wzruszył ramionami i powiedział coś po polsku.

– Inspektor nigdy nie słyszał tego nazwiska – przełożył jego słowa Maj. – Poza tym mówi, że Fuchs to pewnie tylko niemieckie tłumaczenie od Lisowska.

Matecki zamydlił oczy im wszystkim.

– Przecież to on zajmował się sprawą pożaru – rzucił rozpaczliwie Henri. – Był na ten temat poinformowany.

Miriam jeszcze nigdy nie widziała go tak roztrzęsionego. Henri ufał Mateckiemu.

– On nie miał z tym nic wspólnego – odparł Maj i potrząsnął głową. – To nie jego działka.

– Ma jakąś rodzinę?

– Córkę. Z żoną od wielu lat żyje w separacji.

– Jak możemy się skontaktować z jego córką?

Maj zwrócił się do inspektora. Ten zaś podrapał się w głowę i coś powiedział.

– Nie mamy pojęcia – przetłumaczył Maj. – Wiemy tylko, że pracuje w Niemczech jako opiekunka osób starszych. Matecki niedawno był u niej przez dwa tygodnie.

– Praca na czarno?

Policjant wzruszył ramionami.

– Gdzie?

Maj ponownie skierował pytanie do inspektora.

– Frankfurt – padła odpowiedź. Po kilku sekundach nagle otworzyły mu się oczy. Doszedł do takiego samego wniosku co niemiecka prokurator.

Miriam przypomniała sobie, że kiedyś rozmawiała z Fischerem o tym, czy w przypadku pożaru nie wziąć pod lupę pewnego strażaka. Poszukiwali drugiego dna tamtej historii, abstrahując od rezultatów dochodzenia. Ostatecznie, co roku zdarzały się sprawy, w który podpalaczami okazywali się strażacy. Motywy bywały zawsze podobne. Przerost ambicji, prywatne kłopoty, problemy z alkoholem. Chorobliwa potrzeba wyspecjalizowania się w czymś. Podobnie mogło być z policjantami.

– Czy Matecki jest dobrym policjantem? – rzucił Henri.

– W pełni wiarygodny i niezawodny – przetłumaczył Maj. – Nigdy nie wpychał się na pierwszy plan. Jak to się mówi, pełny profesjonalizm.

„Pełny profesjonalizm”, pomyślała Miriam.

– Czym się zajmował? – wypytywał Henri.

- Dochodzeniami dotyczącymi skradzionych dzieł sztuki.
 - Stąd te obrazy – skonstatowała Miriam.
 - To był wabik, który wprowadził nas w maliny – powiedział z rezygnacją Henri. – A ja dałem się nabrać na ten lep.
- Przeczesał palcami swą jasną czuprynę i wstał:
- Możemy zobaczyć jego biuro?

W małym gabinecie znajdowały się dwa biurka. Tylko jedno było zajęte. Poza komputerem, który stał pod ścianą, chyba niewiele się tu zmieniło od czasów socjalistycznych. Uzbierało się natomiast sporo rzeczy. Nie tylko akta, lecz także kartki z kalendarzy na ścianach, maskotki na stole, fotografie. Polscy urzędnicy najwyraźniej nie oddzielali tak bardzo życia prywatnego od zawodowego.

Miriam przypomniał się okólnik, który Hillmer przed rokiem rozesłał w całej prokuraturze, zakazując eksponowania prywatnych rzeczy w biurach. W kilku wypadkach powstały kuriozalne kwestie sporne. Hillmera kłuło w oczy wszystko – od kwiatków w doniczce po akwarium.

Tutaj wszędzie na ścianach wisały zdjęcia, które Miriam oglądała, podczas gdy Henri i Maj usiłowali otworzyć drzwiczki w biurku Mateckiego.

Inspektor kiwnął głową w odpowiedzi na pytające spojrzenie Henriego. Niemiecki komisarz sięgnął po nożyczki, by podważyć drzwiczki w biurku. Klasyczny podział pracy. Podczas gdy trzej mężczyźni siłą próbowali odkryć tajemnice Mateckiego, prokurator przyglądała się zdjęciom.

Na jednym z nich Matecki był prawdopodobnie w towarzystwie córki. Dziecko karmiło kaczkę nad brzegiem rzeki.

„Wisła, w której utonął Jost”, pomyślała. Nigdy Josta nie lubiła. Ba, może wręcz się nim brzydziła, gardziła. Usiłowała zapomnieć, że niedawno określała go mianem pasożyta, piranii. Czy o zmarłych rzeczywiście nie powinno się mówić źle, nawet jeżeli to prawda? Jost był egomaniakiem, przypuszczałnie również alkoholikiem.

Dlaczego wdał się w tę grę? Co mu chodziło po głowie? Wszystko wyjaśni się dopiero po zakończeniu śledztwa. Gdzieś po drodze Jost stracił nad czymś kontrolę. Miriam podejrzewała, że działał według jakiegoś własnego planu. Kierowany chorobliwą ambicją, wewnętrzną potrzebą władzy i – cokolwiek było powodem – pragnieniem zemsty na niej. Chętnie poszukiwałaby jakichś okoliczności łagodzących, ale nie udawało się jej to, mimo że wciąż miała przed oczami wizję grubego, nabrzmiałego ciała reportera w lodowatych wodach Wisły.

Rozległ się głośny trzask i drzwiczki nareszcie puściły.

Henri usiadł na drewnianym krześle i zaczął przeglądać zawartość szafki. Miriam ponownie wróciła do zdjęć.

Na drugiej fotografii Matecki miał około pięćdziesięciu lat. Szczupły mężczyzna, niezbyt wysoki, raczej niepozorny. Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto byłby zdolny do zamordowania starej kobiety i uprowadzenia dziecka. Czy maczał w tym palce? Może tylko tęskno im było do tego, by nareszcie znaleźć osobę, która mogła być sprawcą. Nadal istniała ewentualność, że Matecki, podobnie jak Jost, podczas śledztwa natrafił na kogoś, kto go wyeliminował. Wszystko było możliwe.

Trzecie zdjęcie przedstawiało Mateckiego przynajmniej dziesięć lat młodszego w towarzystwie starszej kobiety. Podobieństwo było ewidentne. Obydwoje mieli te same pociągłe rysy twarzy. „Matka”, pomyślała Miriam. Policjant obejmował ją ramieniem, oboje spoglądali w obiektyw. Na dole po prawej stronie ramy zatknięto starą fotografię dziewczynki z warkoczykami.

– Popatrz – usłyszała głos Henriego. Schylił się i po chwili wydobył z biurka starą czarną maszynę do pisania.

– Że też dałem się tak nabrać – powiedział i uderzył pięścią w stół. – Ale ze mnie idiota. Jakże łatwo było zaufać Mateckiemu, który niemalże się narzucał.

Nie sądziła, że Henri potrafi się tak wściekać. Jego opanowanie było raczej czymś, co ją dezorientowało i wyprowadzało z równowagi. Gdy samemu chce się być doskonałym, perfekcja innych wydaje się afrontem i osobistym atakiem.

Wzięła do ręki zdjęcie i pokazała je inspektorowi.

– To jego matka?

– Mieszka od lat w domu opieki – przetłumaczył odpowiedź Maj. – Dlatego zwolnił się wczoraj, by wyjść wcześniej. To coś z nią.

– Ile ona ma lat? – zapytała Miriam, czując, że zapala się jej wewnętrzny czujnik.

– Jest dobrze po siedemdziesiątce.

Sophia Fuchs miałaby teraz jakieś siedemdziesiąt sześć lub siedem lat. Kawałki układanki zaczęły się ze sobą łączyć. Z pojedynczych faktów tworzyła się historia.

„Ta sprawa ma jakieś głębsze dno”, powiedział Henri, gdy stali nad zwłokami Henriety Winkler.

– Proszę przynieść jego akta osobowe, jeżeli coś takiego istnieje – zadysponowała Miriam, nie myśląc o tym, że jej władza tu nie sięga. Inspektor jednak skinął głową i podporządkował się jej poleceniu.

Dziesięć minut później odłożył słuchawkę. Maj przetłumaczył jego słowa. Matecki pięć dni temu bez uzasadnienia zabrał matkę z domu opieki.

Po chwili znalazły się też akta osobowe Mateckiego.

Leszek Matecki, urodzony 03.06.1957 r. w Krakowie.

Ojciec – Albert Matecki, urodzony 6.11.1929 r., milicjant.

Matka – Zofia Matecka, z domu Lisowska.

Wszyscy spojrzeli po sobie. To takie proste.

Osiedle Sportowe w Nowej Hucie, gdzie znajdowało się mieszkanie Mateckiego, stanowiło obraz nędzy i rozpacz. Robotnicza dzielnica, licząca około dwustu pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców, powstała w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia u bram kombinatu hutniczego na wschodnich obrzeżach Krakowa. Miała stać się centrum robotniczym, miastem zaplanowanym zgodnie z wizją Wielkiego Moskiewskiego Brata. Po przemianach ustrojowych wkradło się tu bezrobocie i rezygnacja. Tu wydawało się, że żelazna kurtyna nigdy nie opadła, a mur berliński nadal stoi. Czas zatrzymał się na latach osiemdziesiątych. Panowały beznadziejność i pragnienie, by po prostu jakoś przeżyć.

Po daremnych próbach dodzwonienia się do Mateckiego wyruszyli tam samochodem cywilnym, za którym podążyły cztery wozy patrolowe. Posiłki w postaci oddziału do zadań specjalnych były w drodze, na wypadek gdyby znaleźli Frederika Winklera. Zdecydowali się działać tak, by nie wzbudzać nadmiernej uwagi. Tutejsi mieszkańcy należeli do społecznych nieudaczników. Policja była ich naturalnym wrogiem, osiedle stało się ich twierdzą, a podwórka – drogami ucieczki.

– I tutaj mieszka policjant? – zdziwił się Henri.

– Jego ojciec, zanim został milicjantem, pracował w kombinacie. Większość ludzi w tym mieście nie może znaleźć innego mieszkania, chyba że mają pieniądze – oznajmił Maj. – Oczywiście, każdy chce się stąd wyprowadzić, ale większości nie pozostaje nic innego, niż tu żyć.

Samochód zatrzymał się na parkingu, który przypominał niemiecką giełdę używanych samochodów. Przed wejściem do bloku stał stary, pokryty śniegiem wóz kempingowy.

W milczeniu przeszli przez parking w kierunku drzwi wejściowych. Mieszkanie Mateckiego znajdowało się na czwartym piętrze. Rzut oka na domofon wystarczył Miriam, by zauważyć, że przy numerze 68 brakowało nazwiska. Skrzynka pocztowa została najwyraźniej opróżniona. Gdy jednak zadzwonili, nikt się nie odezwał.

– Idę na górę – powiedziała Miriam.

– Nie – odparł Henri. – Nie wiemy, co nas tam czeka, i czy zabrał tu Frederika.

– Jak staniecie we czwórkę pod jego drzwiami, nabierze podejrzeń. Samotna kobieta nie jest podejrzana.

– Niemka owszem.

– Mogłabym mówić po angielsku i udawać, że szukam kogoś, kto tu ponoć mieszka.

Henri potrząsnął głową, ale Halecki, który kierował akcją, wzruszył ramionami i powiedział coś do Maja, po czym ten przetłumaczył:

– To niezły pomysł.

– Nie.

– Sprawdzę tylko, czy jest w domu. Nic więcej. – Odwróciła się. W Niemczech to ona kierowała dochodzeniami, tutaj władzę miał Halecki. To on decydował. Popatrzyła na niego wyczekująco. Skinął głową.

Drzwi na klatkę schodową były otwarte. Weszli do bloku. Maj nacisnął przycisk windy. Otworzyły się drzwi.

– Pójdziemy razem – powiedział Henri.

– On zna twój głos, poza tym wyglądasz na Niemca. Wzbudzisz jego podejrzenia. – Weszła

do kabiny i wybrała klawisz oznaczony numerem cztery. Drzwi się zamknęły, a winda powoli i z klekotem ruszyła. Teraz Miriam miała wreszcie czas, by się zastanowić, co tu robi. Wiedziała, że Henri miał rację, ale myślała też o Denise i o Frederiku. Istniały takie chwile, kiedy wątpliwości i przepisy były po prostu nie na miejscu.

Wyszedszy z windy, znalazła się w długim korytarzu, w którym jedno mieszkanie znajdowało się tuż obok drugiego. Ze ścian odpadał tynk i chyba nie było dozorca odpowiedzialnego za sprzątanie wspólnych korytarzy, schodów i okien.

Odezwwał się głośny dzwonek jej telefonu komórkowego. Po numerze zorientowała się, że to Henri.

– Pięć minut – rzekł. – Dłużej nie zostawię cię samej.

Nie odpowiedziała, tylko skierowała się w prawo, gdzie znajdowały się mieszkania o numerach parzystych. Niepewnie szła w głąb wąskiego korytarza, który sprawiał wrażenie pułapki. Zza drzwi nie dochodziły żadne odgłosy, jakby mieszkańcy się zabarykadowali. Mieszkanie numer 68 znajdowało się na samym końcu. Także tutaj nie było tabliczki z nazwiskiem.

Nacisnęła dzwonek i czekała.

Cisza.

Mieszkanie było puste.

Miriam czuła to, gdy tylko w ślad za policjantami weszła do przedpokoju. Tutaj nikogo nie było. Również Frederika. Funkcjonariusze natychmiast zaczęli przeszukiwać maleńkie mieszkanie. Weszła do kuchni. To pomieszczenie najwięcej mówiło o człowieku. Matecki lubił porządek. Żadnych naczyń w zlewie, blat bez plam. W szafkach starannie poustawiane piętrzyły się talerze i kubki. Kubeł na śmieci pusty, a na meblach ani źdźbła kurzu. W koszu na owoce leżały trzy jabłka, które wprawdzie nie były już pierwszej świeżości, ale też nie zdążyły się jeszcze popsuć. Otworzywszy lodówkę, Miriam poczuła zarówno ulgę, jak i panikę. W środku znajdowały się zapasy w ilości odpowiedniej dla jednej osoby. Produkty nie pochodziły jednak z polskich sklepów. Mleko, ser, kiełbasa. Wszystko z niemieckiego Aldi.

Miriam opadła na krzesło. Matecki niedawno był w Niemczech. Tyle wiedzieli na pewno. Naraz uświadomiła sobie, co to oznaczało. Byli na jego tropie, a tym samym na tropie Frederika.

– Chyba teraz już wiemy, jak przywiózł Frederika do Krakowa – usłyszała słowa Henriego. Podał jej brązowy portfel.

Wzięła go od niego. Po otwarciu wyjęła zeń polski dokument.

– Co to jest?

– Kojarzysz ten stary wóz kempingowy na parkingu?

Kiwnęła głową.

– To są papiery tego pojazdu.

Wszystko do siebie pasowało. W samochodzie kempingowym łatwo ukryć dziecko. Granice były otwarte. Nie potrzebowało się wiele szczęścia, by uniknąć kontroli. A Matecki był policjantem.

– Czy ma przyjaciół lub znajomych, do których mógłby pójść?

– Matecki to samotnik – stwierdził przy pomocy tłumacza inspektor Halecki.

– Mamy jednak rzeczywisty ślad – odparł Henri. – Frederik przebywa w Krakowie. Matecki ukrył go gdzieś w mieście. Przypuszczalnie w tym samym miejscu, do którego zawiózł również matkę po zabraniu jej z domu starców. Jego matka jest ciężko chora. Potrzebuje ciągłej opieki.

Musi gdzieś jeszcze być jakieś inne mieszkanie albo dom.

– Tylko gdzie? To duże miasto.

- Mimo wszystko zrobiliśmy znaczny postęp w śledztwie.
 - Ale to nie wystarczy. Nie pojmuję, skąd masz tyle cierpliwości.
 - Teraz nie mogę sobie pozwolić na niecierpliwość.
 - I co dalej?
- Henri wydobył z kieszeni kartkę.
- Co to jest?
 - Numer telefonu Magdy Urban.

Magda Urban odmówiła spotkania z niemiecką prokuratorką i niemieckim komisarzem w komendzie policji bądź w jakimkolwiek innym budynku. Zgodziła się jednak poczekać na nich na Rynku Głównym przed kawiarnią w Sukiennicach.

Gdy witała Miriam po niemiecku, jej ochryply głos przywodził na myśl Zare Leander. Na jej twarzy widniał nie tylko intensywny makijaż, lecz także zdumiewająca w tym wieku żywotność. Kiedy mówiła, ręce bez przerwy gestykulowały.

Próbowali namówić ją do wejścia do kawiarni, ale uparcie odmawiała.

– Ściany mają uszy – oznajmiła. – O wojnie nigdy nie rozmawiam w zamkniętych pomieszczeniach.

Zaczęli wspólny spacer po Rynku.

– Co może nam pani powiedzieć o Zofii Lisowskiej? – zapytała Miriam, mocno opatulając szyję kołnierzem płaszcza.

– Zofia Lisowska – zaczęła swą opowieść Magda – miała w styczniu czterdziestego drugiego roku trzynaście lat. Poznałam ją podczas transportu do Niemiec. Zgarnęli ją spod domu w noworoczny poranek. Zawsze myślałam, że to był przypadek tak jak u mnie. Jechałam właśnie do pracy, gdy wszystkim dziewczynom powyżej szesnastu lat kazano opuścić tramwaj i wsiąść do ciężarówki. Ale z nią było inaczej. Oni znali jej nazwisko. Wiedzieli, kim była. Zaledwie sześć tygodni wcześniej zastrzelono na ulicy jej ojca.

– Zastrzelono go?

– Tak. Zofia mówiła, że nigdy nie odnaleziono zabójców. Ale co tam. Nigdy przecież ich nie szukano. Zabili go, bo wciąż pisał do niemieckich władz listy, w których protestował przeciw wywożeniu do Niemiec dzieł sztuki z Muzeum Historycznego, z Wawelu i z Pałacu Czartoryskich.

– Wiedziała pani o jej ciąży? – spytał Henri.

– Co pan mówi? – Magda Urban nagle się zatrzymała.

– Zofia urodziła dziecko. Chłopca.

Staruszka pokręciła głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Zofia była w ciąży? To dlatego tak nagle zniknęła.

– Kiedy widziała ją pani po raz ostatni?

– W sierpniu czterdziestego czwartego. Potem już się nie pokazała. Wie pan, my zawsze spotykałyśmy się w piwnicy na węgiel. Jej nie wolno było opuszczać domu. Tamta rodzina traktowała ją jak jeńca. Gdy pani wychodziła, zamykała ją na klucz. Później spotkałam ją znowu w Krakowie. Tutaj na Rynku nagle na siebie wpadłyśmy.

– I wtedy też nic o tym nie opowiadała? – zapytała Miriam i rzuciła Henriemu znaczące spojrzenie.

– Nie. Nigdy nie mówiła mi o ciąży. Tylko że wysłano ją do pracy na frankfurckim lotnisku, gdzie razem z kobietami z Węgier musiała zrównywać nową drogę kołowania. – Przez chwilę milczała, potem ciągnęła dalej: – To wszystko ją wykończyło, złamało ją, rozumiecie. Była

chora. Znajomi jej ojca załatwili jej w końcu pracę kustoszki w Muzeum Historycznym. Tam też pracowała po wyjściu za tego milicjanta. On był taki porywczy. Nie wiem, czemu ona za niego wyszła. Jediną korzyścią, którą z tego miała, był syn Leszek. Ostatni raz spotkałam ją, gdy w dziewięćdziesiątym ósmym składałam wniosek o odszkodowanie. Ją też na to namawiałam, chociaż nie miała papierów i żadnego potwierdzenia. Ale ona się wzbraniała. Leszek, jej syn, pisał, o ile wiem, listy do Winklerów, nigdy jednak nie dostał odpowiedzi. Potem Zofia błagała, żeby przestał. Bała się, strasznie się bała. Nie rozumiałam tego. Oni przecież nie mogli nam już nic zrobić, my im natomiast tak.

– Dokąd udała się po powrocie z Niemiec?

– Jej rodzina miała dom na Starowiślniej. Gdy wróciła, nikogo już tam nie zastała. Matka rok po zaginięciu Zofii przeniosła się do Lwowa. Tam brat Zofii zmarł na gruźlicę. Nigdy się już nie spotkali.

Żegnając się z nimi, Magda Urban powiedziała:

– Nie wiedziałam, że Zofia jeszcze żyje. Tyle ludzi już poumierało, ale ją chciałabym jeszcze zobaczyć.

Henryk Lisowski posiadał dom, który odziedziczyła jego córka Zofia. Inspektor Halecki wytłumaczył im, że w okresie socjalizmu nie przysługiwało Zofii prawdopodobnie nic oprócz prawa mieszkania tam. Teraz jednak nieruchomość znów należała do niej.

Tam też musieli być. Nie było innej możliwości. Matecki zabrał matkę i Frederika do tego starego mieszkania.

Wyruszyli w drogę w towarzystwie kilku wozów patrolowych. Ulice były jednak zapchane. Nie byli w stanie szybko przedrzeć się przez korki.

Denise próbowała odkryć chociaż jeden ślad ludzkiej obecności w całkowicie zaniedbanym budynku.

Sypał się nie tylko tynk. Czerwony dach zarośnięty był szarym mchem, a próg przy wejściu obsunął się. Wszystkie domy przy tej ulicy zdawały się zapuszczone i osierocone, oprócz tych nielicznych, przed którymi stały nowe samochody. Mimo to podany przez Mateckiego adres się zgadzał.

Na ulicy nieustannie panował duży ruch, spotęgowany przez dudnienie tramwajów, które co kilka minut zatrzymywały się na przystanku.

Muszę z panią pilnie porozmawiać. Proszę przyjechać na ulicą Starowiślną. Matecki.

Oto, jak brzmiała wiadomość. Ubiegłego wieczoru daremnie usiłowała się do niego dodzwonić. Dlaczego teraz chciał się z nią spotkać? To mogło oznaczać tylko jedno: postanowił jej pomóc. Chciał jej pomóc i miał nowe wiadomości.

Nie podał dokładnej godziny. Mogła tylko mieć nadzieję, że nie było za późno.

Denise zadarła głowę do góry. Widać było, że kamienica przeżywała niegdyś lepsze czasy. Teraz jej fasada była czarna i osmolona. Na pierwszym piętrze dostrzegła w oknach szare zasłony. Przy wejściu nie było domofonu, a drzwi dały się otworzyć bez problemu. Weszła do bramy przejściowej. Po lewej stronie szerokie schody prowadziły na górę ku zamykanej kracie. Idąc prosto, wychodziło się na podwórko. Denise poszła tam, trzymając się blisko prawej ściany, na której umocowano szereg skrzynek na listy. Tabliczki z nazwiskami były albo nieczytelne, albo ich w ogóle nie było. Miejsce sprawiało wrażenie niezamieszkanego i zaniedbanego. Dlaczego Matecki chciał się z nią spotkać akurat tutaj? Spodziewała się, że zobaczy go na ulicy przed domem.

Podwórce okalały ściany. Typowy mieszczański dom, jakich było wiele również w przedwojennym Frankfurcie. Przez podwórce, niegdyś wyłożone kamiennymi płytami, a teraz niemal kompletnie zarośnięte trawą, przeciągnięto sznur na białiznę.

Obróciła się i przyjrzała oficynie. To samo co od ulicy. Zupełna cisza. Wróciła na schody prowadzące do zamykanej kraty. Znajdował się przy niej domofon. Bezimienny jak skrzyńki na listy.

Niewiele się zastanawiając, nacisnęła jeden z dzwonek i wlepiła wzrok w kratę.

Nic jednak się nie działo.

Spróbowała ponownie, w końcu zaczęła przyciskać jeden guzik po drugim.

Dlaczego nie było tu Mateckiego?

Sięgnęła po komórkę i już chciała do niego zadzwonić, gdy zabrzączał zamek otwierający drzwi. Metal szczęknął, kiedy pchnęła kratę, która ustąpiła pod jej naporem.

Przeszła pięć schodów do dużych dwuskrzydłowych drzwi prowadzących na klatkę schodową. Nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek tu mieszka.

– Panie Matecki? – krzyknęła w zimny korytarz.

Gdy nikt nie odpowiedział, kamienica wydała się jej jeszcze bardziej opustoszała. Wydeptane drewniane schody z tworzącą piękny łuk poręczą prowadziły na następną kondygnację. Stopień po stopniu wspięła się coraz wyżej. Powoli i cicho, żeby żaden szmer nie uszedł jej uwagi. Na

pierwszym piętrze znajdowały się trzy mieszkania. Mieszkańców ani widu, ani słyhu. Zapukała do pierwszych drzwi. Nic. Nie udało jej się ich otworzyć.

Taką samą próbę podjęła przy drugich drzwiach. Ku jej zaskoczeniu nie były zamknięte. Pchnęła je i zawołała:

– Halo!

Znów nikt nie odpowiedział.

Starła się zdusić w sobie niepokój. Nie mogła uciec. Nie znówu. Wszystko tutaj emanowało pustką i beznadziejnością. Gdy na dole przejeżdżał tramwaj, drewniana podłoga drżała, a szyby dzwoniły.

Weszła do pierwszego pomieszczenia. Okiennice były pozamykane, ale światła wystarczyło, by zorientować się, że od dawna nikt tu nie przebywał. Tylko stary zlewozmywak przypominał, że niegdyś była tu kuchnia. Nawet nie kapalo z kranu. Przyjrząwszy się mu, zrozumiała też dlaczego. Ostatnia kropla zamarzała.

„Gdzie był Matecki?”

Przez chwilę zastanawiała się, czy do kogoś nie zadzwonić.

„Miriam”.

Brakowało jej cierpliwości do wyjaśnień, próśb, pytań. Coś popychało ją dalej. Nieważne, czy Matecki tu był, czy nie. Ten dom miał coś z nią wspólnego. Czowała to.

Ta myśl przepędziła strach. Chociaż niezupełnie. To coś innego się nasiliło. Znów to wrażenie rozplywania się w niebycie. Mike tłumaczył jej, że właściwie wszyscy jesteśmy wyłącznie projekcjami. Potrafimy myśleć w trzech wymiarach. Czwarty znajduje się w nas i tam możemy uciekać, kiedy tylko chcemy. Niezupełnie rozumiała, co miał na myśli, ale wyczuwała to. Istniał w niej obszar, którego inni nie byli w stanie dojrzeć. To był jej czwarty wymiar, do którego przez całe lata uciekała.

Weszła do łazienki. Z toalety już dawno nie korzystano. Nie śmierdziało nawet zastałym moczem czy kałem.

Coś śmignęło obok niej.

„Myszy”.

Starła się wyprzeć wyobrażenie, że mogło to być coś większego z tego rodzaju gryzoni.

Ktoś musi w tym domu być, ktoś jej otworzył.

Kolejny pokój był wielkim pustym pomieszczeniem, w którego kącie stał ciemnobrązowy kaflowy piec. Z sufitu zwisał zardzewiały żyrandol. W przeciagu zaczął lekko się kołysać.

Gdy zadzwoniła komórka, wzdrygnęła się ze strachu. Odebrała w nadziei, że to Matecki. Ale to był Kadow.

– Gdzie pani jest? – zapytał.

– W kamienicy na Starowiślniej – odparła. – Matecki, ten policjant, chciał się tu ze mną spotkać.

Znieruchomiała, bo wydawało jej się, że usłyszała głosy.

Kadow coś powiedział.

– Co pan mówi?

– Jak nazywa się ten policjant?

– Matecki – rzuciła zniecierpliwiona. – Nie mam teraz czasu.

– Proszę posłuchać! – zawołał Kadow. – Niech pani opuści ten dom. Już wiem, kim jest Zofia Lisowska...

Reszty nie usłyszała, rozłączyła się. Znów bowiem miała wrażenie, że odezwały się głosy. Wyszła z pokoju i zaczęła nasłuchiwać w przedpokoju.

Telefon ponownie zawzięcie zadzwonił, zupełnie go więc wyłączyła.

W sieni pogłos był bardzo słaby. Wróciła do pokoju.

Wyraźnie coś słycać. Stłumiona rozmowa.

Głos dziecka?

Ręce jej dygotały. Nie mogła znieść niepewności. Czy Frederik przebywał w tej kamienicy? Zaledwie kilka metrów od niej? Po raz pierwszy naprawdę uzmysłowiła sobie, że poszukując syna, przebywa w obcym kraju, w pusto stojącym domu. Nikt nie wiedział, gdzie była.

Wyteżyła słuch. Głosy dochodziły z komina. Serce waliło jej tak, że zagłuszało dźwięki.

Przyłożyła ucho do ściany.

Cisza.

Wydawało się jej?

I znowu ten szmer z góry.

Może to wiatr?

Kominy w starych budynkach wciągały wiatr.

Za oknem jednak nie poruszała się żadna gałąź. Był bezwietrzny dzień.

Wybiegła z pustego mieszkania i pospieszenie wspięła się po schodach.

Kamienne stopnie wchłaniały odgłos jej kroków.

Na najwyższym piętrze znajdowały się tylko jedne drzwi.

Były otwarte. Znowu coś usłyszała. Ktoś śpiewał albo mówił? Nie umiała tego stwierdzić.

– Panie Matecki, to pan? – A gdy nikt nie odpowiedział, zawołała: – Halo!

Jej głos brzmiał ochryple.

Była jak marionetka sterowana zewnętrzną siłą.

Mimowolnie sięgnęła po broń w kieszeni. Myślenie wyłączyła, pozostał tylko instynkt i nadzieja. To ona pchnęła ją do tego, by zawołać Frederika po imieniu. Rozmawiała o synu, o dziecku, ale teraz nie mogła już dłużej tego znieść i raz po raz wykrzyknęła jego imię.

– Frederik! Frederik, jesteś tu?

Raptem stanął przed nią Matecki.

– Dzięki Bogu – powiedziała. – Pan go znalazł.

Była pewna, że to głos Frederika dochodził z głębi mieszkania. Przepchnęła się obok Mateckiego, wbiegła dalej w wilgotne ciepło unoszące się w powietrzu. Oczy zaszczyły jej łzami.

Otwierała jedne drzwi po drugich, aż nagle w kącie ciemnego pokoju zobaczyła małą istotkę skuloną w kącie.

– Frederik?

– Mama!

Boże, tak. To Frederik. Odnalazła go.

Chciał się zerwać z podłogi, ale Denise padła na kolana i mocno go przytuliła. Jej dłonie wpiły się w jego sweter, oplótła go ramionami.

„Już nigdy go nie wypuści”.

„Nigdy już nie odłączy się od niego”.

Raz po raz powtarzała jego imię.

Szczupłe ciało Frederika stało się w jej objęciach lekkie. Mały tobolek wisiał jej na szyi i szlochał:

– Nareszcie jesteś. On mi to wciąż obiecywał, ale już w to nie wierzyłem.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Denise. – Wszystko okej?

Na chwilę odsunęła się od niego. Pogładziła jego twarz, przeczesała palcami jego włosy.

– Tak – odparł. – Ale tęskniłem za tobą. Już nie wierzyłem, że przyjdiesz.

– Przecież wiesz, dla ciebie zajdę nawet na koniec świata.

Pocałowała go.

– Chodź, wracajmy do domu – powiedziała, znowu go objęła i uściskała, aż pisnął z bólu. Wyswobodził się z jej ramion, a Denise rozejrzała się po pokoju.

Pierwsze, co ją uderzyło, to słodkawy zapach moczu unoszący się w nagrzanym powietrzu. Ciepło pochodziło z pieca, który stał po prawej stronie, tam gdzie siedział Frederik. Potem usłyszała czyjś głośny oddech. Odwróciła się w kierunku łóżka, które stało pośrodku i w którym ktoś leżał. Ktoś, kto nie spuszczał z niej wzroku.

Wstała i podeszła do łóżka.

– Czy pani Sophia Fuchs?

– Zofia Lisowska – słowa z trudem wydobywały się z jej ust, jakby każdy wytwarzany przez nią dźwięk sprawiał ból.

Stara twarz. Zapadnięta i chora. Tylko oczy zdawały się jeszcze żyć.

„To nieprawda”, pomyślała Denise, „że z linii papilarnych można odczytać los. To w twarzy zapisane są wygrane i porażki”.

Matecki zbliżył się do łóżka. Wprawnymi ruchami zaczął zmieniać pozycję staruszki, by jej ulżyć. Denise zauważyła, że był przyzwyczajony do tych czynności. Potem wziął ze stołu kubek, zanurzył w nim chustkę i schłodził nią czoło kobiety.

Świadomość, że najwyraźniej nie robił tego po raz pierwszy, poraziła ją jak grom z jasnego nieba.

W jej oczach dostrzegł, że zrozumiała.

Matecki.

Nazwisko wypaliło jej się piętnem w mózgu.

Policjant.

Któremu wszyscy ufali. Rozpoznała to w jego oczach, w uśmiechu zadowolenia na jego twarzy: to on był człowiekiem, który wtargnął w jej życie, wywłókł sprawy z przeszłości, groził jej rodzinie, zabrał jej Frederika. Denise zrozumiała, że wszystko było jego planem.

– Dobrze wykonałaś swoje zadanie. – Ten uśmiech. Miała ochotę zbić mu go z twarzy. – Lepiej niż ten dziennikarz. Powiniennem był zadzwonić do ciebie zamiast do niego.

Ponownie zanurzył chustkę w wodzie.

– O kim pan mówi?

– To pani nie wie? Że taki jeden chciał zgrywać bohatera? Nie dla mnie albo dla mojej matki. Tylko dla siebie samego. Byle osiągnąć własny mały sukces. Obrzydlistwo – rzekł, biorąc ze stołu szczotkę do włosów. – Po prostu ohyda.

Powoli i starannie uczesał matkę.

Denise przymknęła oczy.

– Frederik – powiedział stanowczym tonem Matecki – przynieś wodę.

Zobaczyła, jak jej syn się zerwał.

– Nie! – powstrzymała go, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Ale jej chce się pić, mamó – odpowiedział Frederik, wyrwał się i wybiegł z pokoju.

– Dlaczego? – zapytała.

– Czasami trzeba samemu zadbać o sprawiedliwość – odparł.

– Jaką sprawiedliwość? Co takiego zrobił Frederik, że musi za nią płacić, czym ja zawiniłam?

– Czasami winą jest nierobienie niczego.

– To nieprawda! – krzyknęła Denise. – To nieprawda.

W odpowiedzi tylko na nią popatrzył.

– Dlaczego pan tak długo czekał? – zapytała. – Dlaczego dopiero po tak wielu latach? Co to teraz pomoże pańskiej matce, jeżeli zniszczy pan moje życie?

– Każde życie ma prawo do zakończenia. Takie życie jak mojej matki nie powinno skończyć się po cichu. Dawałem twojej babce raz po raz sposobność zadośćuczynienia. Ona jednak odmawiała. Ale ta historia musi wreszcie mieć jakiś kres.

– O czym pan mówi?

– Po co wróciście do Krakowa? Dlaczego nie potrafiliście przestać?

– Nie rozumiem.

– Czy to naprawdę tak trudno pojąć? Gdy zobaczyłem wtedy w gazecie wasze zdjęcie, jak ty, twój mąż i Frederik stoicie z prezydentem miasta na Wawelu, jak sądzisz, co sobie pomyślałem? Że to w porządku? Że możecie tutaj wracać, jak gdyby nic się nie stało? Że przyjeżdżacie do mojego miasta i odciskacie swoją pieczęć?

– Czy to dlatego podłożył pan ogień?

– A co innego mogłem zrobić? Tolerować w milczeniu? Odpowiada wam, gdy siedzimy cicho, no nie? Ale ubijanie z wami interesów to zawsze jak pakt z diabłem. Nadszedł czas, by przerwać błędne koło złożone z kłamstw, władzy, ucisku i przestępstw.

– Gdyby opowiedział mi pan swoją historię, zapłaciłabym.

Jego oczy przybrały wyraz, którego nie umiała zinterpretować. Smutek? Rozgoryczenie? Gniew?

– Pieniądze, pieniądze. Nie chodzi o pieniądze. I moja matka też nigdy by ich nie przyjęła, tych twoich... – głos u wiązł mu w krtani. – Ona nie chciała krwawych pieniędzy, jak je nazywała. Żadne pieniądze nie zdołałyby naprawić tego, że skradziono jej życie. Miała natomiast nadzieje, że „ta kobieta”, jak nazywała twoją babkę, że ta kobieta zostanie zżarta od środka. Gdy wzbierała we mnie nienawiść, mama mówiła: „Wyobraź sobie czerwie w jej wnętrzu. Wszy, karaluchy. Siedzą w niej i ją wyżerają”. „Ale przecież ona żyje”, odpowiadałem. Moja matka jednak była przekonana, że tacy ludzie tylko wegetują.

– Ale po co to wszystko?

W spojrzeniu Mateckiego pojawiła się surowość.

– Nie rozumiesz? Nie wiesz, jak to jest, gdy przebierze się miarka? Moja córka pracuje we Frankfurcie i podciera tyłki starym nazistom, a tymczasem moja matka ma wegetować w domu starców? Wciąż tylko gadała o tym dziecku.

Nie miała już ochoty słuchać ani pytać, nie chciała nic więcej wiedzieć. Dość tego.

– To nie jest wina Frederika – powiedziała Denise.

– Ani moja – rzekł Matecki. – Ale moja matka chciała go zobaczyć.

Ta stara kobieta leżąca w łóżku miała wyrazić taką wolę? Chciała, by Frederik został porwany spod domu? Jak bardzo musiała nienawidzić, skoro zrobiła to dziecku. I matce. Jej, Denise. Tak, zawsze podejrzewała, że jej dziadkowie trzymali z nazistami. Bez poparcia w faktach. Po prostu to przeczuwała. Od kiedy jednak wina była dziedziczna? Od kiedy dziecku kazało się cierpieć za błędy dziadków, ba, pradiadków? Sprawiedliwość nie istniała. Oto, czego nie rozumiał ten człowiek, czego nie pojmowała ta staruszka przykuta do łóżka.

– To nie jest sprawiedliwość! – krzyknęła Denise. – To nie jest sprawiedliwość! To zemsta!

– Nazwij to, jak chcesz – odparł spokojnie. – To ostatnie życzenie mojej matki, od kiedy opowiedziałem jej o Frederiku.

– Niech pan się nie waży wypowiadać jego imienia! – wrzasnęła Denise. – Nie ma pan prawa.

– Nie istnieje prawo, które porządkowałoby również inne kwestie. W tym świecie trzeba czasami samemu wziąć sprawy w swoje ręce.

Co? Co on powiedział?

Istniał tylko jeden sposób, by zakończyć to wszystko. Położyć kres. Wyplenić bezprawie.

Włożyła rękę do torebki, w której spoczywała broń.

Mocno chwyciła rewolwer i go wyciągnęła.

On odebrał jej Frederika. Porwał go.

Zabił babcię.

Zło bez końca. Nic tylko zło, zło, zło. Miała już tego dość. Skoro on uchylał prawo, to i ona tak mogła. Jej życie i tak już nigdy nie będzie takie samo jak przedtem.

Trzymała palec na spuście rewolweru. Był zimny i lekki. Co napisał Mike w swoim liście pożegnalnym?

Śmierć jest jedyną wolnością, jaką mamy.

Usta Mateckiego poruszały się. Coś do niej mówił. Był spokojny. Tak, w pełni przekonany, że ma rację. Że jego szaleństwo to sprawiedliwość. Już nie słuchała. I nie wystarczyło samo wyobrażenie, jak to będzie, gdy kula przebije jego głowę. Pragnęła, żeby nastąpił spokój. Chciała, żeby nikt nigdy nie miał już możliwości ingerowania w jej życie.

Słyszała go, ale nie słuchała. Słowa przekształciły się w brzmienie. Denise zamknęła oczy i rzuciła się przed siebie. Pędziła, pędziła, pędziła. Jej mięśnie się napinały. Każdy centymetr przybliżał ją do celu.

Potem huk, po którym zaczęło jej dzwonić w uszach.

Matecki ucichł. W jednej chwili padł na podłogę.

To było takie łatwe.

Spokój, spokój, spokój był uczuciem, które ogarnęło Denise.

Rewolwer wysunął się jej z ręki i głucho uderzył o parkiet. Dopiero teraz zauważyła, że w drzwiach stał Frederik. Co on mówił?

– Powiedział, że jest moim ciotecznym dziadkiem i że zabierze mnie do prababci. Że jest chora i chce mnie poznać. Więc z nim pojechałem. Babcia Henrieta zawsze mówiła, że rodzina jest najważniejsza. „Nigdy o tym nie zapominaj, Frederiku. Nie wolno jej zawieść”.

Wskazał na Zofię.

– To moja prababcia – tułów chłopca kołysał się tam i z powrotem. – Moja prababcia.

W oddali zawyła syrena.

Kroki, trzaskanie drzwi, tupot.

Głośne rozkazy.

Gdy odzyskała przytomność, Miriam nachyliła się nad nią i płakała:

– Nie wolno ci było tego robić.

Epilog

Wiatr sypał im śniegiem po oczach i targał ich płaszczami, gdy Miriam Singer i Henri Liebler szli traktem prowadzącym na Wawel. Postanowili, że czas przed jutrzejszym porannym wyjazdem wykorzystają na obejrzenie panoramy miasta. Była czwarta po południu i już zmierchało. Zamek był jasno oświetlony, a turyści dawno pochowali się w hotelach lub licznych knajpkach na starówce, pełnych młodych ludzi.

Plac na Wawelu skąpany był w ciszy i w poświacie księżycy znajdującego się w ostatniej kwadrze. Widok zapierał dech w piersiach. Wieczorny spokój, pokryte śniegiem miasto, Kraków roziskrzony grą świateł, kontury niezliczonych kościelnych wież. Przed południem odprowadzili Denise i Frederika na lotnisko. Gdy zamykały się za nimi drzwi, Miriam wiedziała, że jej przyjaciółka nie wyjeżdża stąd na zawsze. Zostawiała tu bowiem kogoś, kto był częścią jej życia. Nawet jeżeli teraz nie chciała jeszcze przyjąć tego do wiadomości.

Miriam wolała nie myśleć o procesie, który czekał Denise. Cudem było, że w ogóle pozwolono jej wyjechać. Nie, to nie cud. Raczej kalkulacja. Polski sąd zgodził się na kaucję. Wywindował kwotę do pięćdziesięciu tysięcy euro, czyli tylu, ile znaleziono w kieszeni Udo Josta i co teraz ostatecznie stało się własnością sądu. Więc jednak na koniec Winklerowie musieli zapłacić okup.

Samolotem, którym Denise wracała do Frankfurtu, przyleciała Karolina Matecka wraz z Carlem Winklerem. Karolina nie chciała spotkać się z Denise.

Gdy Carl Winkler wszedł do pokoju i po raz pierwszy ujrzał kobietę, która była jego biologiczną matką, Frederik wziął go za rękę i poprowadził do jej łóżka. Zofia nazwała Carla Karolem, a Frederika Leszkiem, by zaraz potem znowu pogрузić się we własnym świecie.

Karolina Matecka zajmie się swoją babcią Zofią. Carl przejął pełną odpowiedzialność. Zapłaci okup, o który nigdy nie upomniął się Leszek Matecki.

Ani Miriam, ani Henri się nie odzywali. Wszystko zostało już powiedziane. A z resztą każdy musiał się uporać na swój sposób. Wiedziała, że Henri nadal boryka się z wyrzutami sumienia, bo zaufał Mateckiemu. Bo nie poruszał się oficjalnymi szlakami.

– No i co z tego? – uspokajała go. – Przecież to nie zawsze jest możliwe.

– Akurat ty to mówisz? Przecież to ty zawsze powtarzałaś, że później podczas procesu ważne jest, czy stosowano się do przepisów. Że nie wolno ryzykować błędów w procedurze.

– Nie zawsze można trzymać się reguł – odparła.

Wydarzenia ostatnich dni coś w niej samej zmieniły. Może po powrocie do domu będzie na nią znowu czekał biały opel. Świadomość, że ludzkość nigdy nie wyszła z dżungli, napawała strachem, ale jednocześnie Miriam była gotowa nie ustępować. Przez całe życie walczyła. I dalej będzie walczyć. O uznanie, o miłość, o sukces, o samodzielność, o sprawiedliwość. Bo to składało się na jej życie.

Gdy od tyłu schodzili z Wawelu i rozległ się trzepot, Miriam wzdrygnęła się ze strachu. Dopiero teraz zauważyła, że na drzewach siedzą chmary ptaków, stłoczonych jeden obok drugiego, z łebkami wtulonymi w czarne pióra.

– Co to za ptaki? – zapytała Miriam.

– Gawrony – odrzekł Henri.

– Co one tam robią?

– Czekają – powiedział i przytulił ją.

„Szczęście”, pomyślała Miriam. „Teraz nareszcie je rozumiem”. Prawa do szczęścia nie można sobie rościć. I nigdy tak nie będzie. Nie można sobie na nie zasłużyć. Życie nie oznacza samo w sobie naturalnego prawa do nienaruszalności. Żeby przeżyć, trzeba mieć po prostu szczęście.

